twórczość

STYCZEŃ 1959

Rok 15

U. I. C. C.
NOV 3 0 1978
LIBRARY

nisław Jerzy Lec · Julian
jkowski · Izaak Babel ·
an Krzyżanowski · Kazi-
rz Wyka · Leon Pomi-
ski · Paweł Jasienica ·
Zdzisław Najder

twórczość

STYCZEŃ 1959 ROK

1

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/tworczosc_1959-01_15_1

twórczość

ROK XV STYCZEŃ 1959 NR 1

SPIS TREŚCI

Stanisław Jerzy Lec
GRONA * * * (WIDOKÓWKA Z CYRHLI...) Z POPIOŁÓW JESTEM OSZUSTEM
O BIELIŹNIE DRŻĄCE DUSZE NASZE NAD POTOKIEM
Str. 5

Julian Stryjkowski
UCIECZKA
Str. 9

Włodzimierz Piotrowski
DRZEWO
Str. 57

Izaak Babel
GUY DE MAUPASSANT TAK TO ROBIONO W ODESSIE
(przełożył *Jerzy Pomianowski*)
Str. 59

Z poezji jugosłowiańskiej
(przełożył *Zygmunt Stoberski*)

Vesna Parun
ŚPIĄCY MŁODZIENIEC
Str. 71

Slobodan Galogaża
ZA STOŁEM ZABAWY OD RANA DO RANA
Str. 72

Risto Ratković
IKONA
Str. 74

Julian Krzyżanowski
NIEZNANE DROBIAZGI SIENKIEWICZOWSKIE
Str. 75

Kazimierz Wyka
DWA RAZY RÓŻEWICZ
Str. 87

Archiwum

Leon Pomirowski
WACŁAW BERENT JAKO PISARZ SPOŁECZNY
(przedmowa *Ludwika B. Grzeniewskiego*)
Str. 95

Paweł Jasienica
„NIEGDYŚ"
Str. 103

Książka miesiąca

Zdzisław Najder
„WSPOMNIENIA" LUDWIKA KRZYWICKIEGO
Str. 115

Wśród książek
DWIE WISŁAWY SZYMBORSKIE — *Jerzy Kwiatkowski*
Str. 121

LIRYKA ŚWIATOWIDA — *Michał Głowiński*
Str. 125

Z MŁODEJ POEZJI EMIGRACYJNEJ — *Anna Kamieńska*
Str. 132

KSIĘGA TĘSKNOTY — *Stefania Podhorska-Okołów*
Str. 134

POWIEŚĆ LITERACKA TADEUSZA BREZY — *Ryszard Zengel*
Str. 136

JESZCZE JEDNO TRAGICZNE POKOLENIE — *Włodzimierz Maciąg*
Str. 141

TUNIKA NESSUSA CZYLI IDEA KATOLICKIEGO PAŃSTWA NARODU POLSKIEGO — *Jan Józef Lipski*
Str. 144

STARA NOWOŚĆ — *Henryk Bereza*
Str. 149

POECI WOBEC TWORZYWA — *Janusz Sławiński*
Str. 151

„PAMIĘTNIKI NAUCZYCIELI-WETERANÓW" — *Eustachy Czekalski*
Str. 154

Na widnokręgu

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 156

GARŚĆ FIOŁKÓW — *Zofia Świdwińska*
Str. 159

POETA ANGIELSKI W ŚWIECIE WSPÓŁCZESNYM — *Stephen Spender*
Str. 162

DWA BIEGUNY NIEMIECKIEJ KRYTYKI — *rk*
Str. 167

AKTUALNOŚĆ RACINE'A — *Zbigniew Bieńkowski*
Str. 169

Noty

Str. 172

Korespondencja

Str. 182

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Foksal 16, tel. 6-52-21, 6-46-30, 6-46-21
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—.

Cena prenumeraty: kwartalnej — zł 30.—, półrocznej — zł 60.—, rocznej — zł 120.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.
Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 7390/c z dnia 2. 12. 58 r.
Nakład 4948 egz. Druk ukończono w styczniu 1959 r. A-88

Stanisław Jerzy Lec

GRONA

Deszcz nagły majowy
przez rzadkie sito ciszy,
wodogrona słodkiej ulewy.
Na moje
usta
spada zawsze
jedno grono goryczy
co maja bardziej dojrzałe,
co roku
bardziej gorzkie.

*
* *

Widokówka z Cyrhli:
Twój mały Tomcio
znalazł swą pierwszą w życiu poziomkę.
I rośnie ta poziomka
w każdym moim śnie.
Już jest wielkości świata.
Kręcę głową we wszystkich kierunkach wiatru
jak wieżą czołgu.
Wypatruję pysków żarłocznych
łasych na tę poziomkę.

Z POPIOŁÓW

Wstał Feniks z popiołów
w upieczonym stanie,
zwycięzcom smakołyk do stołu.
Czy zmartwychwstanie
z ich popiołów?

JESTEM OSZUSTEM

Wystrugałem im szabelki,
wydmuchałem samolociki,
zrobiłem telefoniki z echa,
maszynki do rachowania z kukułek,
bawcie się, nie płaczcie,
a oni wyruszyli tak
w życie,
tym zabijać,
szybować,
rozmawiać z dalą,
oszukiwać uczenie.
Wrócili do mnie,
białka złością, żalem czerwone,
z prawdziwymi nożami
na samolotach podniebnych,
zwołali się samą myślą fotokomórek,
wyrachowali na swoich maszynkach,
że jestem oszustem.

O BIELIŹNIE

Majtki czerwone,
żółte biustonosze,
gacie białe, koszule,
w które ubrał się wiatr na sznurze,
machają do mnie,
witaj mi, żegnaj,
bywaj, przybywaj.

Idą ludzie
w majtkach czerwonych,
w żółtych biustonoszach,
w gaciach białych, koszulach,
przechodzą
przeze mnie
nieczuli
jak wiatr nieubrany.

DRŻĄCE DUSZE NASZE

Te nasze dusze wypożyczone
z garderoby wieczności,
przenicowane,
pocerowane,
połatane,
przefasonowane,
z kilku jedna,
ze skróconymi nogawkami,
z wypuszczonymi zakładkami,
te nasze dusze
w ciałach pięknych, mocnych,
bo śmiertelnych,
te nasze dusze
wiedzące wszystko,
ale zobowiązane
do zachowania tajemnicy
służbowej,
te biedne dusze nasze,
zużyte przez tyle pokoleń,
drżące
pod każdym podmuchem
Wielkiego Miecha,
ilu diabłom sprzedane,
wracacie do nas
dusze jak
wierne psy
z zerwanym obcym łańcuchem,
drżące dusze nasze.

NAD POTOKIEM

Płyniemy, mój pstrągu, płyniemy,
krzyczący ja, a ty niemy,
przegania nas fala,
po co?
Pożremy siebie,
wypijemy siebie,
wetchnie nas
sucha,
pluszcząca niczym
noc.

Stanisław Jerzy Lec

Julian Stryjkowski

UCIECZKA

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I

Co dzień zwalniano uczestników pogrzebu Kozaka. Tylko Hejnoch z nowoprzybyłych na próżno zrywał się, kiedy klawis o zapadniętych policzkach wywoływał z kartki nazwiska i kazał zabierać rzeczy. Z Hejnochem administracja miała stare porachunki.

Ósmy oddział izolował więźniów od głównego gmachu. Nawet gdy przeniesiono Henryka z ciemnej strony na jasną, nie mógł złapać kontaktu z towarzyszami ani z kierownictwem komuny. Dobrze, że wśród przeniesionych na jasną stronę byli Wasyl i Hejnoch. „Jestem dzieckiem szczęścia" — pomyślał Henryk na widok słońca w celi. Nawet Wasyl poweselał, jego oliwkowe oczy złagodniały. Mniej kaszlał nad ranem. Jedzenia też było więcej. Po pierwszym maja pozwolono na przesyłki i Henryk otrzymał dwie paczki od wuja Gustawa. W liście zapytywał, dlaczego Henryk nic nie pisze.

Jeszcze jedna odbyła się demonstracja. Nad miastem huczały dzwony. Odezwała się też nie w swojej porze więzienna sygnaturka. To była rocznica śmierci Piłsudskiego. Więźniowie mieli ją uczcić na stojąco. Henryk zebrał towarzyszy i jednomyślnie postanowiono nie stawać. Siedzieli też z utkwionym w podłogę wzrokiem, gdy klucznik o zapadniętych policzkach otworzył celę, chwilę poczekał, łudząc się, że więźniowie jeszcze wstaną, i spytał:

— Dlaczego nie wstajecie? Uprzedziłem was rano.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Klawis czekał, brzęczał kluczami.

Henryk kątem oka obserwował towarzyszy. Wasylowi zadrgały kolana, stopy silniej oparły się o podłogę, cała dolna część ciała drgnęła. Henryk rzucił mu ostre spojrzenie. Wasyl je pochwycił i jego popielatawa twarz poczerwieniała.

— Wstańcie, żeby nie było potem znowu chryi — namawiał klawis. Znowu czekał i brzęczał kluczami. — No, trudno, sami sobie będziecie winni. — Klawis zacisnął usta i wyszedł.

— Chciałeś wstać — gniewał się Henryk na Wasyla.

Wasyl znowu poczerwieniał.

— No, to co z tego? — bagatelizował Hejnoch. — Najwyżej pójdziemy znowu na ciemną stronę. Zabić już nas nie zabiją.

— Ale właśnie po Wasylu tego się nie spodziewałem — mówił Henryk — tak słuszną postawę miał podczas masakry.

— *Sam ne znaju* — usprawiedliwiał się Wasyl. — *Zwonyło...*
— Resztki religijnych przesądów — wtrącił Blaser, ten w jasnej marynarce.
— Ale nie wstał. — Hejnoch uderzył Wasyla w plecy.
Tym razem administracja dała za wygraną.
— Widzicie — triumfował Henryk — administracja musiała ustąpić. A ty, Wasylu, chciałeś wstać. Wszystko byś nam popsuł.
Ale najważniejsze, że nie wrócili na ciemną stronę. Kiedy mogli, wykorzystywali każdą chwilę słońca. Ściągali koszule i opalali się. Słońce było w celi całe popołudnie. Najlepsze miejsce przy oknie odstępowano Wasylowi. Wydzielano mu też przy podziale komuny podwójną porcję tłuszczu i cukru. Po masakrze pluł krwią. Taki duży, silny chłop pluł krwią! Oparty o framugę okna, z lekko skrzywionym uśmiechem, przymykał oczy. Jego śniada skóra napełniała się ciemnym rumieńcem. Ożywała pod słońcem. Opalał się szybciej od innych. Po drżeniu powiek Henryk poznawał, że nie drzemie. Henryk uczył dialektyki. Ziarno wyrasta w kłos i dokonuje skoku. Potem wieczny ruch. Potem walka przeciwieństw i walka klas. Potem najważniejsze: rewolucja i szczęście, że istnieje pierwsze państwo socjalistyczne — Kraj Rad. Ale przed snem Wasyl pytał Henryka o rzeczy dlań niezrozumiałe. Jak będzie wyglądało po rewolucji, kto będzie chciał zamiatać ulice, kto zechce być tragarzem, kiedy każdy będzie mógł uczyć się w szkole. W jego wsi zadawano mu wciąż to pytanie, ale nie potrafił odpowiedzieć. Zwierzył się ze swej miłości. Dostanie dziesięć lat? Z takimi płucami... Ani razu jeszcze nie był z nią w kinie...
— Za co ci grozi dziesięć lat? — szepnął Henryk.
— *Za wijśko. Za robotu sered wijśka. Berut mene za szpiuna.*
— Znasz Tamarę Blumenthal?
— *Abo szczo?*
— Pytam. Ona też z wojskówki! Znasz ją?
— *Znaju.*
— Skąd?
— *Znaju.*
Henryk w ciemności dotknął ramienia Wasyla.
— Kiedy wyjdziemy na wolność, na prawdziwą wolność, pójdziemy razem do kina. Weźmiesz swoją dziewczynę i pójdziemy razem.
— E, to się tylko tak mówi — odpowiedział Wasyl po polsku.

*

Po spacerze klawis nagle otworzył celę, wywołał Henryka, kazał mu zabrać rzeczy.
— Co się znowu stało? — spytał Henryk na korytarzu.
— Idzie pan do domu — odparł klawis.
— Do domu? — krzyknął Henryk.
— Ćśś... — uciszył go klawis.
— Do domu? — powtórzył ciszej Henryk.
Klawis kiwnął głową.
Henryk opanował się, żeby go nie uścisnąć.
— Mam do pana prośbę.
— Słucham.

— Niech mi pan pozwoli pożegnać się z towarzyszami.
— Nie mogę.
— Niech mi pan pozwoli napisać parę słów.
— Ale szybko.

Henryk skreślił na zwilżonej śliną bibułce papierosowej: „Towarzysze, do widzenia na wolności, na prawdziwej wolności. Trzymajcie się! Wychodzę i zostawiam waszej celi parę drobiazgów. Płaszcz Wasylowi".

Klawis wziął kartkę, tłumok, otworzył drzwi i oddał Hejnochowi, który pierwszy podbiegł.

— Wypuszczają mnie, towarzysze! — krzyknął Henryk w otwarte drzwi. — Trzymajcie się, towarzysze! — Podniósł zaciśniętą pięść. Towarzysze uśmiechnęli się i lekko kiwali głowami.

— Już rok siedziałem na śledztwie. Akurat minął rok, w rocznicę śmierci Piłsudskiego — powiedział Henryk.

Klawis nic nie odpowiedział.

— Tak — odezwał się, gdy wyszli za mury ósmego oddziału. — Mogliście sobie napytać bidy. W innych celach wstali. To pan tak namiszał, żeby nie stawać.

— W innych celach stawali? To niemożliwe! — oburzył się Henryk.

— Gdyby w innych celach też nie stawali, to bym musiał złożyć raport na waszą celę. A tak nic nie powiedziałem i spokój.

— To pan nie złożył raportu? — upewnił się Henryk.

— Po co? Wszędzie wstali i w porządku.

— Dziękuję panu w imieniu towarzyszy.

— A co mi tam...

— Mógłby pan dużo nam pomóc, gdyby...

— Gdyby co? — przeciął ostro klawis. Spojrzał na Henryka lodowatym wzrokiem.

Henryk zamilkł i do końca nie odezwał się słowem.

Otrzymał zegarek z depozytu, parę złotych z dawno złożonych pieniędzy dwadzieścia złotych od wuja Gustawa, przesłanych jeszcze przed masakrą.

Klawis odprowadził go chłodnym korytarzem biur do bramy.

Tędy wchodzili i wychodzili urzędnicy. Zwykła brama! Bez krat i zasuw! Henryk nacisnął klamkę. Brama sama otworzyła się. Mocno naoliwiona w zawiasach, sama się zamknęła. Zamykała się wolno, stanął i przymknął oczy. Ulica błyszczała. Zmrużył oczy od słońca. Zawadzał komuś swoim staniem na progu, zerwał się i przebiegł na przełaj Kazimierzowską. Tam, z drugiej strony Kazimierzowskiej, pierwszego maja dostał po raz pierwszy pałką po głowie. Szukał bocznej ulicy. Minął kiosk z gazetami. Nie zatrzymał się nawet, aby przeczytać wydrukowane duże tytuły wywieszek. Skręcił w Rejtana. Ze składu wynoszono bele sukna i ładowano na platformę wozu ciężarowego. Tragarz i furman klęli. Oni nieśli trumnę Kozaka. Henryk kiwnął im głową i uśmiechnął się. Gdybyż wiedzieli, że dwie minuty temu wyszedł z więzienia! Było po czwartej. Przytknął zegarek do ucha. Na Jagiellońskiej zwolnił kroku, obejrzał się za sobą. Potem obrócił głowę w lewo i prawo, nikt za nim nie szedł. Najbliżej było do pasażu Hausmanna.

W redakcji *Sprawiedliwości* znalazł Amelcię stukającą na maszynie, w tej samej pozycji, co przed rokiem. Horbacz jeszcze nie wrócił z obiadu.

Amelcia złożyła ręce i krzyknęła:

— Wszelki duch! To pan?! — Mniejsze oko i skrzywiony kąt ust drgnęły. — Jak się Janusz ucieszy! Panie Henryku! — Zdrowe oko napełniło się łzami. — Jak się Janusz ucieszy! Niech pan siada. Co za niespodzianka, panie Henryku! Kiedy pan...?

— Piętnaście minut temu.

— Co pan mówi! I od razu pan przyszedł tutaj? Nikogo pan jeszcze nie widział? — Amelcia znowu złożyła dłonie. — Zapraszam pana do nas na kolację. Janusz tak się ucieszy. Wie pan, on się czuje znacznie lepiej. Przestał pić, dostał pracę.

— Gdzie?

— W biurze.

— A *Sprawiedliwość* robi wciąż to samo? Nic się nie zmieniło?

Amelcia wzruszyła ramionami.

— Horbacz obłowił się na tej kaucji?

— Ach... O to panu idzie! — Spojrzała na palce spoczywające na klawiszach maszyny.

— Tamara Blumenthal wyszła z więzienia?

— Tak. Sam przecież pan mówił. Przecież pan wie.

— Wiem. Ale nic więcej.

— A co by pan chciał wiedzieć więcej?

— A pani nic więcej nie wie?

— Co?

— Po tej wielkiej demonstracji czy się z nią nic nie stało?

— Mnie pan pyta o to? Niech pan spyta swoich...

— A pani przypadkowo nic nie słyszała?

— Co miałam słyszeć?

— Bądź co bądź *Sprawiedliwość* się nią interesowała.

— Niech się pan zwróci, ja wiem do kogo... co powinni się takimi rzeczami interesować.

— Tak... Ma pani numer telefonu *Wieku Nowego?*

— *Wieku Nowego?* Dobrze.

Amelcia weszła do gabinetu dyrektora Horbacza, nakręciła numer i podała Henrykowi słuchawkę.

Henryk prosił redaktora Sulikowskiego. Po chwili odezwał się lekko ochrypły głos:

— Kto mówi?

— Znajomy — odpowiedział Henryk.

— Ale kto?

— Jarosz — wyszeptał Henryk.

— Słucham pana.

— Kiedy i gdzie mogę was zobaczyć?

— W jakiej sprawie?

— Powiem osobiście.

— Niestety dziś nie mogę. Jestem zajęty.

— Mógłbym przyjść do redakcji, jeśli chcecie.

— Wolę nie. Gdzie pan jest teraz?

— Niedaleko. Za minutę mógłbym być na miejscu.

— Nie mam czasu.
— Wszystko razem potrwa dwie minuty.
Chwila milczenia. Potem:
— Zejdę do pana.
— Gdzie?
— Na rogu Sokoła i Zimorowicza.
— Już idę.
Henryk zbiegł ze schodów. Pognał Sykstuską, przeciął Szajnochy, Kopernika i pasaż Mikolascha.
Sulikowski, przygarbiony, chudy, z gołą głową, w ciemnej marynarce, palił papierosa. Ujrzał Henryka w ostatniej chwili. Nie miał okularów.
— Kiedy pan wyszedł z więzienia? — spytał mrużąc czarne, krótkowzroczne oczy.
— Pół godziny temu.
— Co pana sprowadza do mnie? Od razu do mnie?
— Wyszedłem niespodzianie, bez kontaktów po linii partyjnej.
— Źle się pan wybrał.
— Idzie mi o Tamarę.
— Nie widuję się z nią.
— A Witold?
— O to niech pan spyta Witolda.
— Czy Witold wyszedł? Widziałem go przelotnie w więzieniu.
— Nie wiem.
— Jak to nie wiecie?
— Nie interesuje mnie.
— Od kiedy?
— Nie interesuje mnie i koniec.
— Nie braliście udziału w pogrzebie Kozaka?
— Nie pańska rzecz!
— Przepraszam.
— Źle się pan wybrał do mnie w sprawie kontaktów. — Powrawił palcami czarne włosy.
— Nie przypuszczałem, że pan tak szybko odpadnie.
— Co za głupstwa! — Sulikowski poczerwieniał.
— Gdy się zaostrza walka, słabsi odpadają.
— Jest pan idiotą. I nie mam o czym mówić z panem.
— Tchórz — rzucił Henryk.
Sulikowski zbladł. Ręce mu się trzęsły. Zmrużył oczy. Gwałtownie wzruszył ramionami i bez słowa odszedł.

*

W willi „Mon Répos", w bok od ulicy Sapiehy, Henryk zastał starszego brata pani mecenasowej Reissowej, Filipa Adlera.
Witolda jeszcze nie wypuścili z więzienia.
— A więc widział pan mego brata — ucieszył się dyrektor Browarów Lwowskich.

— Raz tylko. A potem — Henryk usiłował sobie przypomnieć — kiedy mnie prowadzono na masakrę. Zdaje mi się.

— Na masakrę! Czy Witka też?

— Nie z każdej celi brano, tylko niektórych. Bardziej bojowych.

— To pan jest taki bardziej bojowy?

Henryk zarumienił się.

— Ja... ja... — jąkał się — byłem delegatem celi.

— Jak to groźnie brzmi: „delegat celi". — Dyrektor wydął wargę. Podniósł bujną głowę i z ukosa patrzał dużymi, niebieskimi oczami. — A więc czy można wiedzieć, z czym pan przyszedł?

— Myślałem, że Witold już wrócił... Po prostu chciałem się z nim zobaczyć. W więzieniu towarzysze bardzo się do siebie przywiązują.

— Aha! — Dyrektor kiwał głową.

— Tak.

— Pani Helena wczoraj wróciła do Oporca. Ucieszyłaby się panem. Prawda?

— Tak? Mam pański tomik Ronsarda. Jutro przyniosę.

— Nie ma pośpiechu.

— Pani Helena pisała mi, że zależy panu na tej książce.

— No, wie pan... Nic pilnego. Prowadziliście z panią Heleną korespondencję więzienną...

— Jak Rysiek? Dobrze się uczy?

— Dziękuję, nieźle, o ile się orientuję. Pani Helena nie lubi opowiadać o swych kłopotach.

— Ostatecznie Rysiek jest całkiem normalnym dzieckiem.

— Ma pan rację, ostatecznie.

— Wypuścili mnie całkiem niespodzianie... — bąknął Henryk.

— Rozumiem. Chętnie służę panu natychmiast jakąś pożyczką. Ale — dyrektor spojrzał w prawo i w lewo, jakby czegoś szukał — ale tu...

Henryk się żachnął:

— Ależ nie! Mam gdzie spać! I mam też pieniądze. Nie po to przyszedłem.

— Bardzo pana przepraszam. Daleki jestem od tego, żebym pana chciał urazić.

Henryk wstał.

— Już pan ucieka — stwierdził dyrektor podnosząc się z fotela.

— Czy mogę zostawić swój adres? Myślę, że Witold dziś—jutro wyjdzie. — Henryk poszukał po kieszeniach. — Zostawiłem ołówek towarzyszom.

Dyrektor podał Henrykowi wieczne pióro i wyrwał z notatnika kartkę. Henryk napisał: „Jarosz, ul. św. Teresy 16, u Gustawa Droczaka".

— Dziękuję — powiedział dyrektor chowając kartkę pod pusty kryształowy flakon.

— Jak Witold wróci, proszę mu oddać.

Dyrektor skinął lekko głową.

— Dziwię się, że nie ma tutaj róż. — Henryk usiłował się uśmiechnąć.

— Nie ma. Miejsce róży jest na krzaku. Żeby ludzie tak znali swoje miejsce!

Henryk skłonił się i skierował do wyjścia. W korytarzu wilczur zaszczekał basem. Rozległ się dzwonek. Henryk zatrzymał się.

— Może to Witold? — spytał, odwracając się do dyrektora.

Dyrektor, pochylony, podnosił z błękitnego dywanu strzępki podartej kartki z adresem.

— To nie jest Witold — powiedział spokojnie. — To ktoś ze służby.

*

Miał wypieki ze wstydu. Pasożyt! Henryk zaklął. Zapłacisz nam za to! Spojrzał na dzikie wino i metalową chorągiewkę na dachu z wyciętymi literami. „Mon Répos". Mon repos — żydłaczył, tak jak to robił Witold podczas jego pierwszej wizyty w willi, gdy czekał w tym samym błękitnym salonie na panią Helenę. Wtedy też wyszedł obrażony. Pańskie progi!

Na Sapiehy pojechał tramwajem i wysiadł koło poczty. Ogród Ossolineum pachniał. Wiosna doszła do szczytu. Skręcił w prawo, w ulicę Chorążczyzny. Przed konserwatorium hałasowała grupka uczniów z teczkami na nuty pod pachą. W kinie „Apollo" już skończył się pierwszy seans. Wyszło trochę publiczności. W bramie zaczęło mu bić serce. O tej porze nie zastanie chyba dra Thiella. Jego wizytówka tkwiła na tym samym miejscu, przytwierdzona pluskiewką do drzwi. Zapukał.

— Pan do kogo? — Ukazała się umączona twarz pani Gabrieli. Nie poznała go. Po chwili krzyknęła: — Pan Jarosz! Wrócił pan z zaświatów. Bez przesady z zaświatów. Niech pan przejdzie próg prawą nogą. Nie poznałam pana z taką ostrzyżoną głową.

Pokoik Henryka stał pusty. Rzeczy znalazł w takim samym porządku, jak przed rokiem.

— Kiedy pan wyszedł z tego piekła? — dopytywała się pani Darowska. — Ale... ale... teraz pokoju tego nie wynajmuję, proszę pana.

— Ja mam gdzie spać, proszę pani.

— No, bo widzi pan, pokój jest mi potrzebny, dla mnie samej.

— Przyszedłem tylko przebrać się. Czy nikt mnie tutaj nie szukał?

— Kto mógł pana tutaj szukać? Pańscy koledzy chyba wiedzieli, gdzie się pan znajduje.

— Tak, to prawda.

— Ale była tu raz jedna pani, taka elegancka, nie podała nazwiska, ale to było dawno. Zaraz po tym... prawie rok temu. Rok temu, mój Boże, cały rok! Ale pan zmizerniał, może dlatego, że tam pana tak ostrzygli. Po co pana tak ostrzygli jak przy tyfusie? W piętnastym roku, kiedy wybuchły epidemie, tyfus, dyzenteria, cholera, tak, tak, cholera, ludzie, proszę pana, padali na ulicy, wapno sypali, karbol...

— Rzeczy zabiorę jutro.

— Dopiero jutro. Niech pan zabierze dziś. To nawet dla pana nie jest wskazane, żeby się pan tutaj zatrzymywał. — Boleśnie skrzywiła mocno umalowane wargi.

— Dobrze, dziś wieczorem...

— Oj, nie, nie. Lepiej zaraz.

— Czy jest pan dr Thiell?

— Dlaczego pan pyta?

— Tak sobie.

— Mój Boże! Czyżby on też?!

— Jak długo on u pani mieszka?
— Trzy lata. Dlaczego pan pyta?
— Przychodził kto do niego? Dawniej.
— Dlaczego pan pyta?
— Tak sobie... — Henryk rozwiesił granatową marynarkę na krześle. Przyjrzał się wygniecionym spodniom. Wyjął też świeżą koszulę...
— Nikt nie przychodził, proszę pana.
— Nikt?
— Nikt. — Pani Gabriela oparła ręce o biodra.
— A taka wysoka, dość wysoka brunetka, o dużych, czarnych oczach, młodsza od tej pani, która była rok temu. Też elegancko ubrana.
— Wysoka brunetka? — Pani Gabriela kręciła głową. — Kto to mógł być? Kogo pan ma na myśli? A można znać nazwisko?
— Blumenthal.
— Ach, ta córka fabrykanta. Przecież to ta, przez którą to całe nieszczęście na pana spadło. Ta Żydówka zawróciła panu głowę. Nie, takiej tutaj nigdy nie było, proszę pana!
— A jednak to była dobra znajoma dra Thiella.
— Może. Ale nie u mnie w domu.
— Nic pani o niej nie słyszała?
— Cóż ja o takiej mogłabym słyszeć? Nie, nic nie słyszałam.
Henryk zaczął rozpinać zniszczoną w więzieniu marynarkę.
— Bardzo panią przepraszam...
Pani Gabriela wyszła.
Henryk włożył granatowy garnitur, który dostał po maturze. Brudną koszulę i szare, zmięte ubranie — zostawił.
W korytarzu pani Gabriela zatrzymała go.
— Bardzo bym prosiła, żeby pan wieczorem odebrał swoje rzeczy. Będzie już pan dr Thiell. Co mu mam powiedzieć?
— Jak będę wieczorem, powiem mu osobiście.

*

Było jeszcze jasno, kiedy Henryk wysiadł na ostatnim przystanku przed Zniesieniem. Ten sam pusty teren, porosły krzakami, pofałdowany, druty telefoniczne szły w górę i opadały, w słupach huczało. Z pagórka widać było fabrykę tonącą w zieleni. Brunatną dróżką, usypaną żwirem, dostał się do murowanej bramy z żelazną, uchyloną furtką. Panowała cisza. Już po pracy. Na klombie zachwaszczonym rosły fioletowe irysy i bratki. Berberysowy żywopłot wzdłuż chodnika był niestrzyżony. Henryk zadzwonił i czekał, aż wyjdzie stróż. Nikt się nie pokazywał. Nacisnął guzik drugi raz. Głos dzwonka przepadał w pustej fabryce. Wreszcie rozległy się człapiące kroki. Coś zostało postawione na kamiennych płytkach. Kroki zbliżyły się do zamkniętych drzwi.
— Kto tam? — odezwał się głos starszej kobiety.
— Pani otworzy.
— Ja ni mam klucza. Naj pan idzie naobkoło. Ali nikogu ni ma.
— A pan dyrektor?

— Ni ma żadnego drektora.
— A panienka?
— Jaka panienka?
— Tamara.
— Ja nic nie wim...
— Córka pana dyrektora.
— Ja tam nie widziała żadny córki.
— Pan dyrektor ma córkę.
— Ta naj sobi ma.
— Pani nie wie, że dyrektor Blumenthal ma córkę?
— Naj mi pan głowy nie zawraca.

Zaczłapały ciężkie buty, zapluskała woda. Henryk zajrzał przez dziurkę od klucza. Kobieta w podkasanej spódnicy, w butach na gołych nogach taszczyła wiadro i trzymała w ręku szczotkę na długim kiju.

— Proszę pani! Proszę pani! — wołał Henryk przez dziurkę od klucza. Fabryka „Laokoon" była pusta.

*

A może Zbyszek? On na pewno wie. Henryk spojrzał na zegarek. Zegar na wieży św. Anny pokazywał tę samą godzinę. Wszedł w ulicę Janowską. Akacje wzdłuż murów koszar z trudem okryły się liśćmi. Niebo po krótkim deszczu było czyste, ale już wyblakło. Tylko nad cmentarzem Janowskim, w dali, było żółte. Tędy kroczył zjednoczony proletariat lwowski za trumną Kozaka. Tu lała się krew. O tej porze jest już po wieczornym apelu, łóżka rozścielono, pali się papierosy, spaceruje skosem po celi przed snem, żeby mięśnie nie zwiotczały. Kłaść się, gdy słońce nie zaszło, nasuwa na myśl chorobę. Kupił na rogu Kleparowskiej papierosy. Dzisiaj on poczęstuje Zbyszka, jak wtedy Zbyszek jego. Stasia. Zazgrzytała „trójka", idąca z cmentarza w dół. Henryk zatrzymał się, zajrzał przez otwartą bramę do ciemnego korytarza. Na tych schodach przesiedział całą noc skulony, skostniały z zimna. Zawrócił w stronę Bema. Zbyszek jest prowokiem.

Znowu spojrzał na zegarek, jeszcze było widać, i porównał z godziną na wieży św. Elżbiety. Miała tarcze oświetlone na wszystkie strony świata. Zabłysły latarnie wzdłuż ulic. Koło kina „Grażyna" zebrała się gawiedź. Wariat wydawał z krawężnika trotuaru rozkazy w niemieckim języku. Dowodził całą ulicą, komenderował przechodniami. Oddawał honory wojskowe, salutował, podnosił laseczkę nad głową jak szablę, uderzał w daszek austriackiego czaka. Zmieniał pozycje strategiczne, a wyrostki za nim biegły i wołały: *„Herr Major"*. To był ten sam *„Herr Major"*, który występował na rynku w Oporcu dziesięć lat temu. Oto kapitalizm! A ludzie naokoło tego nie widzą. Henryk siedział i wyszedł z więzienia, a ludzie chodzili po ulicach jak dawniej, jak dziesięć lat temu, i nic się nie zmieniło. Za dziesięć lat znowu będą chodzić po ulicach i nikt się nie zatrzyma, żeby spojrzeć na człowieka, który kilka godzin temu opuścił więzienie. Henrykowi wydawało się, że idą mu naprzeciw Wasyl, Hejnoch, Blaser. Najczęściej dostrzegał w przechodniu Wasyla, póki obcy człowiek się nie zbliżył. Co teraz robią? Już śpią. Może ich przenieśli na śledczy z powrotem; może teraz pukają do ścian i łapią „hołotę".

Z ulicy Sapiehy dochodziło dzwonienie tramwajów, a zza muru klasztornego na św. Teresy klepanie drewnianego młotka po blasze. Wykańczano krycie dachu na gospodarskim budynku. Pachniało zoraną ziemią. Tu też rosły oporne akacje, opóźnione w rozkwitaniu. Na ekranie ulicy jaśniał Żydowski Dom Akademicki otwartymi na oścież oknami. Powiało wonią bzu. U wejścia chłopcy w akademickich czapkach gwizdaniem wywoływali do okien kolegów. Krzyczeli głośno, śmiali się. Wiosna doszła do szczytu. Wieczór był ciepły. O szyby latarń obijały się pojedyncze chrabąszcze i brzęczały w prześwietlonej zieleni. Kiedyś chrabąszczy było dużo. W alei kolejowej w Oporcu w ciągu dnia spadały uśpione, gdy się potrząsnęło drzewem.

Ulica św. Teresy miała jeden tylko rząd domów, który skręcał pod kątem prostym na placyk św. Jura. Drugą stronę zajmował długi mur klasztorny. Domy niskie z ogródkami. W otwartych oknach stali lokatorzy i opierali się o futryny dłońmi. Grało radio. Pito kawę z mlekiem na kolację. Przed domem na ławeczce siedziała starsza kobieta i w zamyśleniu podnosiła do ust biały fajansowy kubek.

Numer 16-ty. Pani w żałobie wyprowadzała na spacer białego szpica. „Pikuś" — zawołała. Może to ten sam Pikuś, który nadaremnie oczekiwał „pańci" na dworcu, kiedy Henryk pierwszy raz przyjechał do Lwowa? Ten starszy pan w meloniku, jej mąż, już nie żyje? Już prawie trzy lata! Trzy lata! Spytał wdowę, gdzie mieszka pan Gustaw Droczak. Tak, ten mistrz ślusarski. Pokazała oświetlone okna na parterze. Chodnik zarósł trawą, w ogródku czernił się zaniedbany bez. Korytarz wyłożono drobną kostką kaflową. Henryk zadzwonił do świeżo politurowanych drzwi. Zamknął oczy w oczekiwaniu. Długo trwało. Usłyszał kroki. Otworzyły się drzwi. Stał w nich starszy mężczyzna z ciemną, pomarszczoną twarzą. Po gęstych brwiach i czarnej oprawie oczu, jak u matki, poznał wujka Gustawa. Trzymał w ręku laskę. Gdy się poruszył, Henryk zrozumiał, że wujek kuleje. Był mały! Ten rosły, silny mężczyzna, z szerokimi, nie dającymi się domyć rękami. Wuj zmarszczył czoło i trzymając laskę rozwarł ramiona:

— Heniu!

Objęli się.

— Heniu! Bym taki, że Heniu. — Ciągnął go kuśtykając w stronę różowo oświetlonego pokoju.

— Co się wujowi stało w nogę?

— To taki prezent na całe życie od kapitalizmu. *Un coup de grisou dans la mine.* — Uderzył się laską w protezę. Oddźwiękło suchym drewnem.

— Jezus, Maria! — wyrwało się Henrykowi.

— To nie takie straszne, przywyknie człowiek. Dwóch przy mnie zakatrupiło. Dostałem od firmy *indemnité.* Gdybym wiedział, że wyjdziesz dziś! Nie mogłeś choć słowo napisać?

— Byłem chory.

Wujek przymrużył oko.

— Dla innych to nie byłeś chory.

— Dla kogo?

— *Bon.* Zjesz coś?

— O kim wujcio mówił?

— Nieważne. Dobrze, że ty już wyszedł. Ty wyrósł. Cały chłop!

— Do kogo pisałem? O kim wujek mówił? — nalegał Henryk.
— O mecenasowej z Oporca.
— O pani Reissowej. E, tam!
— Chudy jesteś. Zawsześ taki mizerny?
— Więzienie, choroba.
— Bili cię fliki. Słyszałem.
— Od kogo?
— Od pani Reissowej.
— E — Henryk cmoknął zniecierpliwiony. — Więcej tu nikogo nie było?
— Nikogo. *Bon.* Dać ci coś jeść? — Wujek poszedł do kuchni. — Akurat dziś Stasia nic nie zostawiła.
— Stasia? Jaka Stasia?
— Znasz ją — odpowiedział wujek z kuchni.
— Ona tutaj przychodzi? Często?
— Tyle, ile trzeba. Muszę mieć kogoś. Do gospodarstwa.
Wuj wniósł na talerzu pieczywo i wędliny. Postawił przed Henrykiem i nakrył pół stołu obrusem w czerwoną kratę.
— Czy ona tu śpi? — Henryk pokazał wzrokiem dwa zsunięte pod ścianą łóżka, przykryte kapą z różowej satyny, i wiszącą lampę z takim samym abażurem.
— Nie! — Wuj błysnął spod brwi szarymi oczami. — Idź, umyj ręce.
Henryk wszedł do łazienki. W lustrze odbiła się papierowa twarz z sinymi podkowami. Powiódł dłonią po dobrze już widocznym zaroście.
— Nie będę mógł tu zostać — powiedział wycierając ręce.
— Siadaj jeść — wołał wujek.
Henryk zgasił światło w łazience. Po drodze do stołu rzucił ukradkiem spojrzenie na twarz wujka, stojącego o lasce na środku pokoju.
— Chcesz kawy z mlekiem czy herbaty? — pytał wujek.
— Wszystko mi jedno.
— Będziesz tu mieszkał — wujek Gustaw pokazał laską — tam jest drugi pokój.
Henryk milcząc nakładał sobie krajanej kiełbasy.
— Będziesz się spokojnie uczył.
— A Zbyszek też tu bywa?
— Leży w szpitalu.
— Chory?
— W gipsie. Od kuli.
— Strzelali do niego? Kto? Wiadomo?
— Nie ci, o których myślisz. Fliki. Na tym pogrzebie.
— Wujek też był na pogrzebie?
— Z tą nogą? Zresztą... — wujek przerwał.
Henryk podniósł oczy na wujka i odsunął od siebie talerz.
— Kawy z mlekiem czy herbaty, Heniu?
— Dziękuję. Nic nie chcę.
— U mnie ty nie będziesz stroić fochów. Nie stawiaj się. Będziesz tu mieszkać. *C'est fini!*
— Poproszę o herbatę.

— Tak gadaj! — Wujek wszedł do kuchni i wrócił ze szklanką herbaty. — Byłeś przy matce?
— Zdążyłem na pogrzeb. Kiedy wujcio widział panią mecenasową?
— Przedwczoraj.
— Czego chciała?
— Pogadać i nic więcej. Mówiła, że ty się zrobił inny.
Henryk wyjął pudełko „Płaskich". Wujek odmówił. Henryk zapalił sam.
— A może była też taka wysoka brunetka? — spytał Henryk.
— Była.
Henryk zakrztusił się dymem.
— Tamara Blumenthal?
— Nie mówiła, jak się nazywa.
— Taka... taka brunetka, duże, czarne oczy.
— Może czarne.
— Bardzo ładna.
— Stasia ładniejsza.
— Co? Co? To w takim razie nie ona.
— Ona, ona.
— Kiedy była?
— Kiedy była... Z datą? Z godziną?
— Ale przed czy po demonstracji?
— Idzie ci o pogrzeb? Tak?
Henryk kiwnął głową, kciukiem potarł koniec nosa.
— Przed — powiedział wujek.
— Przed... — powtórzył Henryk. — Wujek potem nic o niej nie słyszał?
— Ani widział, ani słyszał.
Henryk zgniótł papierosa na talerzu. Odezwał się po chwili milczenia:
— Czego chciała od wujcia?
— E, takie różne różności.
— Nie rozumiem.
— Żeby lokal dać na przyjazdówkę. Odmówiłem.
— Szkoda.
— Nie podobała mi się ta komunistka.
— Ja też jestem komunistą.
— Teraz będziesz spokojnie się uczył.
— Wujek boi się przyjazdówek, a mnie nie?
— *Eh, bien!*
— Jeśli zostanę tutaj, będzie to jeszcze gorzej niż przyjazdówka.
— Ja był większy... większy chojrak niż ty. Dziś wyszedłeś i już ci się chce wracać? Jest ciepło. Wyjedziesz na świeże powietrze. Masz czas, kryminał nie ucieknie.
— Dziękuję wujkowi, ale nie pojadę.
— Jak chcesz.
— Wynajmę sobie pokój na mieście.
— *Bon.*
Zapadło milczenie.
— Może chcesz spać. Ty zmęczony. Idź, zobacz twój pokój.
— Jeszcze chyba wyjdę.

— Gdzie? Ten wieczór zostań tutaj. Jutro wyjdziemy razem. Jak nie chcesz u mnie zostać, to poszukamy *quelque chose*.
— Mam przynieść rzeczy z Chorążczyzny.
— Stasia jutro pójdzie. Tak będzie lepiej, jak myślisz? Nie?
— O której Stasia przychodzi?
— Jak czasem... Jutro ona idzie do Zbyszka do szpitala.
— Zbyszek brał udział w demonstracji?
— Nawet trumnę niósł.
— To była potężna demonstracja. Ta walka lwowskiego proletariatu przejdzie do historii...
— I potem był pierwszy maj. Też nieźle...
— Właśnie. Wujek był na pierwszomajowej demonstracji?
— Nie.
— Wujka nie było na pierwszomajowej demonstracji?
— Nie.
— Wujek jest robotnikiem?
— No to co?
— Nie poczuwa się wujek do solidarności klasowej?
— Robotnik, robotnik! Na robotniku chcą robić kariery. Robotnik sam dla siebie nie jest nic. Tylko to, co mu wmówią. A ja już tego nie chcę. Dość! Się widziało już coś. Ja jestem kwit.
— To jest niemożliwe. Instynkt klasowy jest silniejszy.
— Się czytało, że instynkt mają zwierzęta. Człowiek powinien mieć rozum.
— Klasa robotnicza...
— *Merde!*
— Wujek odszedł od klasy robotniczej.
— Gadanie. Nie znacie robotnika. Co ta twoja brunetka wie o robotniku? A ty? Gdybyś pracował pod ziemią, to może ty by rozumiał. Schodzi na dół młody robotnik, a wychodzi siwiec. Takiego jednego nic już nie obchodzi. On już swoje życie stracił.
— Dla kapitalisty...
— A jak nie dla kapitalisty? Wszędzie jednakowo. Pod ziemią. Gorąc, gazy trujące — to ma być dla człowieka? Gorsze niż dla bydła: bydło pracuje przynajmniej na świeżym powietrzu.
— W socjalizmie maszyny zastąpią człowieka.
— Kiedy to będzie?
— Jak zwycięży rewolucja.
— Przecież już zwyciężyła w Rosji. I co? Guzik. Się wierzyło w Niemcy. A teraz? Gdzie komuniści? Gdzie klasa robotnicza?
— Jeszcze powstanie klasa robotnicza Niemiec. KPD działa nielegalnie.
— O la, la. Ja był tam, teraz, jak wracał do Polski z Belgii. Ja widział. Wszyscy poszli za Hitlerem.
— Międzynarodowy proletariat zagrodzi drogę faszyzmowi. W Hiszpanii Franco jeszcze przegra. Wujek zna hiszpańskie: *No passaran!* Faszyzm to ostatni szaniec ginącego kapitalizmu. Zwycięży rewolucja proletariacka. Rewolucja wymaga ofiar.
— Ofiar? *Bon!* Ile?
— Tyle, ile trzeba.

— Dla kogo?

— Dla rewolucji.

— Kto to jest rewolucja — Pan Bóg? Mówicie: ofiary. Jak ja straciłem nogę w kopalni, to to jest też ofiara? Dla patrona. To ja rozumiem. Kapitalista żyje z krwi robotnika. *Bon.* Mnie już żaden Pan Bóg ani żadna rewolucja nogi nie odda.

— Ale są jeszcze inni robotnicy.

— Zaraz. A inni jak myślą? Nie tak jak ja? Każden jeden wie, że jak straci życie, to już wszystko na nic.

— Polscy górnicy w Charleroi inaczej myślą niż wujek.

— Bo należą do partii? To się tylko rozchodzi o gaże, bo ich gaże są zawsze pierwsze zagrożone. A potem idą gaże innych etranżerów: Włochów, Hiszpanów.

— Dla wielkiej idei warto zginąć!

— Tak wierzysz, bo ty młody. Każdy wierzy, że zginie kto inny.

— Gdy kogo prowadzą pod ścianę, to wie, że właśnie on ginie.

— Tak, szkoda ginąć. Ale wtedy nie ma już rady. Wtedy już się musi.

— Zbyszek niósł trumnę, choć widział, że inni padali. Mógł nie nieść. Nikt go nie zmuszał.

— To przez was. On chciał pokazać, że nie jest prowokator.

— A inni? Tysiące, dziesiątki tysięcy innych?

— Trza wiedzieć wszystko o każdym jednym. Każdy ma swój własny mus.

— To właśnie! Ten mus! Który jest w każdym z nas, a który tworzy potęgę poruszającą koło historii.

— Ja tego musu już nie mam. *C'est fini.*

— W Charleroi były strajki, częste strajki górników. Nie wierzę, żeby wuj nie brał w nich udziału. Dlaczego wujek nie był łamistrajkiem? Ze strachu? Nie wierzę, wujku.

— Brać udział to inna rzecz, a myśleć to inna. Gdyby baran myślał, to by nie biegł za innymi do rzeźni.

— Wujek odciął się od klasy robotniczej. Ale klasa robotnicza jest silna. Kapitalizm może skorumpować tylko część klasy robotniczej.

— *Tiens, tiens!* Ja tak myślał zawsze. To nie przez moją *indemnité*... Ja myślę, że zdrowa noga więcej jest warta. Jak ja jeszcze był w partii...

— Wujek był w partii? Niemożliwe! To nieprawda!

— Prawda.

— Wujek był w partii? Wujek był w partii? A teraz... Jak to możliwe?

— Byłem.

— Z takimi poglądami? Jak wujek mógł być w partii?

— Człowiek zmienia poglądy.

— Partia nie zmienia poglądów. Tylko taktykę. Cel zostaje ten sam.

— Taktykę zmienia?

— Wobec wroga. Nowa sytuacja wymaga.

— To ty wiesz, że zmienia taktykę. To inni komuniści wiedzą. Tylko wróg nie wie? A jak wróg wie, to po co zmieniać? On nie da się oszukać.

— Sytuacja międzynarodowa wymaga tego. Trzeba się dostosować, trzeba być elastycznym. Partia musiała zmienić taktykę w zmienionych warunkach.

— Musiała?

— Historia daje nam takie przykłady. Jak było w rewolucji francuskiej?

— Toteż zjadł jeden drugiego i rewolucja się skończyła. *Bon.* Mogło być i tak.

— Wujek jest trockistą? Znam jednego trockistę...

— Nie jestem trockista. To wielka siła była — komunizm. Co z tą siłą zrobić, jak nie będzie rewolucji? Awantury, demonstracje, strajki? Ile wartają te awantury? Niemcy przed Hitlerem pamiętasz? No i co?

— Wina SPD. Gdyby nie zdrajcy z SPD, doszłoby do jednolitego frontu...

— Robotnicy walczą z kapitalizmem, żeby poprawić byt. A komunie nie o to idzie.

— To podła insynuacja pod adresem komunistów — ofiar niemieckiego faszyzmu! Im gorzej, tym lepiej! Insynuacja. Prawdziwy komunista odrzuca ze wstrętem takie kłamstwa!

— Jak się robotnikowi dobrze powodzi, to nie buduje barykady.

— Kapitalizm może skorumpować tylko część klasy robotniczej.

— Robotnik to człowiek, a człowiek lubi spokój. Strajkuje tylko, jak ma nóż na gardle. Strajk to wielka bida. Tyle strajków się przegrywa.

— To insynuacje! Każdy zwycięski strajk to cios w kapitał.

— *Bon.* Ale jak robotnik zaczyna myśleć, że komunistom nie rozchodzi się o jego interes. Parę centimów więcej za godzinę — to dla nich nic ważnego. Ważne, żeby były strajki, demonstracje, strzelanie, żeby cały świat o tym pisał, żeby była propaganda.

— A jednak w Niemczech 8 milionów głosów padło na komunistów.

— Teraz przeszli do Hitlera, jak tylko im dał pracę.

— Robotnicy nie przeszli.

— Dwanaście milionów kapitalistów wybrało Hitlera?

— Ale jest Kraj Rad! I w razie potrzeby międzynarodowy proletariat osłoni pierwszy kraj socjalizmu swoją piersią. Nawet ci robotnicy, którzy dziś idą za Hitlerem! Proletariat wie, że to jego prawdziwa ojczyzna, że to jest jego wolność, jego przyszłość. Proletariat międzynarodowy cieszy się każdym sukcesem Związku Radzieckiego, Dnieprostrojem, Magnitogorskiem, gigantycznymi osiągnięciami industrializacji... Każdą nową fabryką.

— Fabryka — to jest dalej fabryka, wyciska ostatni pot z człowieka, a ziemia... Lenin dał ziemię, a Stalin odebrał.

— Rewolucja dała wolność 150 milionom. Zniesiono podwójne jarzmo, narodowe i socjalne. Setki narodów, które przedtem nie wiedziały nic o swej odrębności, otrzymały wolność.

— A niech no który spróbuje tej wolności...

— Rewolucja rosyjska zbudziła świadomość ludów kolonialnych, ułatwiła walkę proletariatu międzynarodowego o zdobycze socjalne, podwyżkę płac i tak dalej. Rzuciła wieczny strach na kapitalistów, wskazując, że ich panowanie nie będzie wieczne, zawiesiła miecz zagłady nad ich dogorywającym światem.

— Który wciąż nie zdycha.

— Wszystko, co najlepsze i najzdrowsze, skupia się w naszych szeregach. Wszystko, co zgniło...

— Tu, w Polsce, tam, w Belgii, te same słowa...

— Bo rodzi je ta sama idea.

— Eh, gadanie. Tylko gadanie!

— Dla dezertera na pewno. I dla filistra.
— To znaczy, że ja jestem ten dezerter...
Henryk zaciął usta.
— Mów, mów.
— Nic więcej nie mam do powiedzenia.
— Ty głupi, choć masz maturę, nie dlatego, że ty komunista, ale że ty głupi.
— Wujek!... — Henryk poczerwieniał, ale się pohamował.
— No mów, mów!
— Wujek zapomina, że nie jestem już dzieckiem. Wujek mnie traktuje jak szczeniaka.
— Przepraszam.
— Będę robił, co będę uważał za słuszne.
— Rób.
— Nikt nie może mnie odstraszyć od pracy w partii. Wolę spać pod gołym niebem.
— Dziś z więzienia i już chcesz znowu. Użyj przynajmniej trochę powietrza przedtem. Nawet twoi komuniści ci powiedzą, że trzeba wypocząć. Teraz zabierają jednego za drugim do Berezy, takich, co byli w więzieniu. Ciebie też będą chcieli zabrać, teraz żaden komunista nie śpi u siebie.
— Skąd wujek wie?
— Wiem. Mój czeladnik też jest czerwony. Po tym pogrzebie policja robi wciąż obławy. Będziesz się musiał zameldować, a tu u mnie nie musisz. I tu nikt nie przyjdzie. Tydzień będziesz u mnie, dam ci forsę i pojedziesz na wieś, na świeże powietrze. A jak wrócisz, jak będziesz chciał, tak zrobisz: uniwersytet — dobrze, a jak nie, to nie.
— Jeszcze nie wiem.
— *Bon.* Ja nic nie będę ci mówił. Jesteś komunistą, bądź komunistą, ale nie bądź już całkiem głupi.
Henryk siedział z opuszczoną głową.
— Nie jestem taki głupi. Nie dam się tak szybko złapać i wywieźć! Jakoś mi zawsze szczęście dopisuje. Mam po prostu szczęście.
— *Bon.* Jesteś zmęczony. Idź się położyć.
— Jeszcze jedno... Była u wujka Tamara Blumenthal?
— Tak.
— A ja jej szukam.
— Znajdziesz, znajdziesz. Idź się położyć. Ty jesteś bardzo zmęczony. Może ci zrobić wannę?
Henryk wstał i na dobranoc pocałował wujka w rękę.

II

Zbudził się o zwykłej więziennej porze.
Ptaki świegotały. Spojrzał wkoło na niebieskie ściany z różowymi figurami geometrycznymi. Okno miało niespuszczoną storę i widać było sad na tyłach domu, lśniący liśćmi w porannym słońcu. Henryk uniósł się na łokciach. Ach! przecież wczoraj wyszedł z więzienia. Serce zabiło radością: jestem na wolności i dziś jeszcze zobaczę Tamarę. Jeśli się nic nie stało z nią na demon-

stracji. Przymknął oczy, podciągnął kołdrę. Dobrze jest mieć wujka we Lwowie. Szkoda, że nie było go dwa lata temu. Byłby studiował spokojnie. Ale nie spotkałby Tamary. Dziś zobaczy Tamarę. Przytulił policzek do ciepłej poduszki. Tamara, która trochę zbrzydła, weszła do pokoju i otworzyła okno. Potem usiadła przy stole. Henryk nie ruszał się, żeby jej nie spłoszyć, bo wiedział, że to sen. „Bałem się, że zostałaś zabita na pogrzebie Kozaka." — „A nawet" — powiedziała Tamara i znikła.

Znów napełniła go radość. Zeskoczył z łóżka. Wujek, jakby czekał na ten moment, zapukał do drzwi, uchylił je i wsunął głowę.

— Dzień dobry. Masz czas wstać. Zaraz ci podam do łóżka. Ja muszę otworzyć warsztat, mój chłopiec już czeka. Ja cię zamknę, ale Stasia ma klucz.

— Stasia?

— Tak. Ja ci nie mówił?

— Stasia? A, prawda...

Henryk wlazł z powrotem do łóżka.

Leżał z zamkniętymi oczami. Te dwa łóżka obok siebie w tamtym pokoju, różowy abażur... „Tutaj ja nie wytrzymam..."

Wstał, gdy już było południe. Słyszał szmer kroków w sąsiednim pokoju, przestawianie krzeseł. Ze Stasią zetknął się w drodze do łazienki. Chciał się cofnąć, był w czarnych kąpielówkach, w których spał latem w więzieniu, ale Stasia może go nie poznała, bo krzyknęła i uciekła do kuchni.

Drugi raz się spotkali, gdy Henryk był już gotów do wyjścia. Podał jej rękę.

— Dzień dobry pani.

— Dzień dobry.

— To pani nie wiedziała, że ja tu jestem?

— Czemu miałam nie wiedzieć! Gucio prosił, żeby pana nie budzić i żeby pan poczekał, aż przyjdzie na obiad.

— Pani się tu opiekuje gospodarstwem wujka?

— Na razie.

— Każda praca jest dobra.

— Prawda? Widzi pan.

— Wujek opowiadał mi o Zbyszku. Jak się czuje?

— Już mu zdjęli gips. Potrzebne mu to było. Jemu i... panu.

— Dzisiaj idzie pani do niego do szpitala?

— Tak. Mam go od pana pozdrowić?

— Kiedy pani idzie?

— Między czwartą a szóstą tam wpuszczają.

— A potem pani jeszcze zajdzie tutaj?

— Może... Bardzo przepraszam pana, tam się pieczeń przypali... — Zrobiła ruch ręką wskazując na kuchnię i wybiegła. Henryk podążył za nią. Na płycie stały niebieskie garnki. Z brytfanny unosiła się para.

— Pani już długo tutaj pracuje?

— Pracuję... Jestem... Jestem od stycznia.

Henryk usiadł na białym, lakierowanym stołku.

— Zadowolona pani jest z pracy?

— Tak sobie.

— Niech się pani nie pozwoli wykorzystywać.

— Przez kogo? — roześmiała się. — Przez Gucia? Przecież to chodząca dobroć.

— O, tak!

Stasia, w jasnej sukni bez rękawów, dwuzębnym, dużym widelcem przewracała mięso na brytfannie. Uśmiechała się. Wytarła ręce o fartuszek, wyjęła z białej kuchennej szafki blaszaną puszkę i wsypała kukurydzianki do kipiącej w niebieskim garnku wody.

— Jednym słowem — zaczął znów Henryk — jest pani zadowolona.

— Owszem — odparła, ociągając się. — Owszem — powtórzyła stanowczo. — Bardzo!

— To naprawdę się cieszę.

— Niech się pan cieszy czy nie cieszy. Wszystko mi jedno.

— A co porabia Irma?

— Co ma porabiać? Kocha się jak głupia w Zbyszku.

— To znaczy, że jest stała w uczuciach.

— A pan? — odwróciła czerwoną od żaru twarz.

Henryk nie wytrzymał jej wzroku. Wyjął papierosa, pomacał się po kieszeniach.

— Ma pani zapałki, panno Stasiu?

— Niech pan sobie weźmie — pokazała ruchem głowy.

Henryk wziął zapałki z kaflowego gzymsu pieca.

— Może pani pozwoli? — Wyciągnął pudełko „Płaskich".

— No, wie pan! Kobieta i papieros! Ja mężczyzn palących nie znoszę, a cóż dopiero kobiety.

Henryk głośno się roześmiał.

— Co się pan tak śmieje? Gucio nie pali.

Od kuchni szedł żar, mimo to Stasia przykucnęła i dosypała łopatką węgla. Ramiona, kark i wycięcie na plecach miała czerwone od gorąca. Henryk puściwszy dym przed siebie skierował się ku wyjściu, ale na progu się zatrzymał.

— Będzie pani u Zbyszka?

— Już panu mówiłam.

— Niech się pani zapyta o Tamarę Blumenthal — powiedział ostro.

— O tę brunetkę? Co to Guciowi zrobiła awanturę?

— Awanturę? Głupstwa pani plecie!

— Jak plotę głupstwa, to niech mnie pan o nic nie pyta.

— Nie wyobrażam sobie, żeby ona robiła awantury.

— Pewnie, że pan sobie nie wyobraża. Miłość jest ślepa. Potem się człowiek dziwi, że nic nie widział.

— Stasia zrobiła się cierpka.

— A co mam być? Słodka?

— Pani ją tutaj widziała?

— Widziałam. Pokłóciła się z Guciem, a potem jeszcze trzasnęła drzwiami. To ma być to lepsze wychowanie.

— Wujek ją na pewno obraził. Co powiedział?

— Nie pamiętam.

— Widzi pani, wujek ją obraził, a nie odwrotnie.

— Dla tej Żydówki to by pan rodzonego wujka się wyparł.

— Zmieńmy temat... Pani się spyta...

— Ja w ogóle nie mam żadnego tematu.
Henryk szukał oczami popielniczki. Wrzucił niedopałek do skrzyni z węglem.
— Będzie pani dzisiaj u Zbyszka?
— Już dwa razy powiedziałam.
— Proszę go zapytać, czy nie wie nic o Tamarze Blumenthal.
— Ja mam pytać?
— Przecież nie wymagam od pani nic wielkiego.
— Niech pan lepiej już nic nie mówi. — Zaczęła gwałtownie przesuwać garnki na płycie. — Niech pan już lepiej nic nie mówi.
— Więc pani nie chce spytać Zbyszka?...
Stasia milczała.
— W jakim szpitalu Zbyszek leży?
— Na Łyczakowie, Czerwonego Krzyża.
— Dziękuję.
— Proszę.
Na korytarzu Henryk natknął się na wujka.
— Już zjadłeś obiad? — spytał wujek.
— Nie.
— Dokąd lecisz, wariat!
— Zaraz wrócę.
Wujek bez słowa odprowadził go wzrokiem.

*

Do Zbyszka go nie wpuszczono. Kazano mu przyjść w godzinach przyjęć. Henryk usiadł w szpitalnym ogrodzie na ławeczce zalanej słońcem. Fioletowy bez pachniał mocno. Już przekwitał. Henryk rozpiął szeroko kołnierzyk. Czuł, jak pulsuje mu krew pod skórą twarzy. Włosy mu na głowie już trochę odrosły, powiódł po nich ręką, były ciepłe i ostre. Miał ochotę rzucić się na jasnozieloną trawę pod olbrzymim bliźniaczym wiązem. Chciał spać! Tyle spał i jeszcze chciał spać. Zamknął powieki. Na odgłos kroków uderzających o kamienne płyty zerwał się. Ale to nie była siostra. Na fioletowych, rdzą okrytych kiściach kołysały się pszczoły. I motyle też! Ale niżej, na kwiatach usypanej jak kurhanek grządki...

Pszczoły brzęczały, odrywały się, wirowały w powietrzu i wracały na kwiat. Słońce, motyle, pszczoły. Gdzież jest ta siostra? Henryk znów przymknął oczy. A to kurwa ta Stasia. Jak ona dziś z nim gadała! Puszcza się z wujkiem i myśli, że się z nią ożeni. A niech się żeni! Mam kłopot. Nie wrócę dziś na noc i koniec. Niech się pocieszy Stasią. Stary i co mu jeszcze w głowie! Jak on się nie wstydzi z młodszą o tyle dziewczyną! Bo ma pieniądze, dorobkiewicz, filister. Mam jeszcze dwadzieścia złotych, dam sobie radę bez niego.

Dotknięty czyjąś ręką obudził się. Siostra zwróciła mu kartkę. Na odwrocie przeczytał odpowiedź Zbyszka: „Nic nie wiem". Henryk zapiął koszulę na piersiach. Co teraz? — myślał patrząc pod nogi na szare płyty chodnika, zarastającego w szczelinach trawą. Gdzieniegdzie wykwitał spod kamienia jasnożółty mniszek. Zupełnie tak samo, jak w zapuszczonym ogrodzie Jordana w Oporcu. „Płyń, płyń" — zachęcał go wujek, rzucając go jak szczeniaka do wody. Traktuje go wciąż jak szczeniaka. Jakie to dziwne! Wczoraj był w innym świecie,

dzisiaj jest w innym. Żeby tylko nie wróciły dawne przedwięzienne czasy. Taka pieczeń w brytfannie warta, jedna porcja w restauracji, złoty, jeśli nie więcej. Nie szkodzi! W więzieniu byłby już po obiedzie. Co tam dzisiaj było na suche drugie danie? Tam wszystko szło jak w zegarku.

Powiał nań chłód głogowego żywopłotu. Parterowe domki stały w zieleni za ogrodzeniem z drucianej siatki. Uliczka wznosiła się lekko i pachniała. Wczoraj jeszcze cuchnął kibel. Wszystko jest bardzo dziwne. Tutaj nigdzie nie ma restauracji. O, nie! Nie wrócę na Kleparowską. Zbyszek go raz odprowadził do jadłodajni dla niezamożnej inteligencji. Czekał nań, schowany za betonowym słupem, póki Henryk nie wyszedł od Tamary. Ta chwila tkwi w nas obojgu — Tamaro! Tej chwili nikt już nam z serca nie wyrwie. Może Zbyszek wie i teraz się mści. Niebo jest czyste, wysokie, majowe. Szedł tą uliczką rok temu. Nagle stanął. Do furtki przybita tabliczka: „Maria i Stefan Kiczmalowie". Henryk nacisnął guzik. Otworzyła mu wiejska dziewczyna.

— Ja do pani Nelly. Do pani Kornelii Kiczmal...

Nelly siedziała na tapczanie, jak wtedy. I jak wtedy stała na dywanie filiżanka. Tu się nic nie zmieniło. Oba okna były otwarte. To parter. Można wyskoczyć do ogrodu. Miękki pokój z kilimem na ścianie.

Nelly zerwała się.

— Ach, to pan!

Henryk uśmiechnął się.

— Nie poznałam pana.

— Wyszedłem wczoraj z więzienia.

— Taa... No, niech pan siada. Wczoraj z więzienia?

— Tak.

— No, niech pan siada. Na szczęście brata i bratowej nie ma.

— Widziałem Witolda w więzieniu, ale tylko przelotnie.

— Witold mi opowiadał, że pana skatowano na śledztwie.

— Tak.

— Że się pan aż rozchorował. Płuca panu odbito...

— Tak.

— A teraz jak się pan czuje?

— Dobrze. Potem była jeszcze jedna masakra ogólna na odwachu. Wzięli nas za to, żeśmy protestowali przeciw strzelaniu do bezbronnych, i bili nas całą noc, aż do samego...

— Dosyć! Błagam pana, niech mi pan o tym nie opowiada.

— Witold nie ucierpiał. Zostawili go w celi.

— Nie o to mi idzie. Nie chcę o tym słyszeć. Czy pan już po obiedzie?

— Tak.

— Tak? — powtórzyła machinalnie, wstała i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła i przyniosła na tacy talerz. Był to kotlet ze smażonymi kartoflami.

— To pan mi uratował życie — odezwała się nagle Nelly.

Henryk przełknął kęs mięsa i spojrzał na dziewczynę.

— Tak, tak. Gdyby pan wtedy nie został, otrułabym się gazem.

— Co drugi człowiek chce popełnić samobójstwo — powiedział Henryk — w warunkach kapitalizmu. Zwłaszcza młodzież i bezrobotni.

— A pan?

— Co ja? — Henrykowi zadrżała ręka trzymająca mięso sztorcem.

— Panu nigdy nie przeszła przez głowę myśl, że najlepiej byłoby nie żyć?
— Mnie? No wie pani!... Kotlet i smażone kartofle po roku więzienia; tego nikt z was nie potrafi zrozumieć! Uratowałem pani życie — uśmiechnął się — czy mógłbym drugi raz uratować i spać tutaj tej nocy? Jedną noc. Potem się urządzę.
— Niestety. Bratowa z dzieckiem — bratowa niedawno urodziła dziewczynkę — pojechała do matki i brat ją odwiózł, ale dziś wraca. Niestety.
— Nie interesuje pani, co porabia Witold?
Nelly oblała się rumieńcem.
— Mój Boże! — powiedziała.
— Czuję się jak w obcym kraju.
— Widział pan Witolda? Kiedy?
— Nie rozumiem, dlaczego rodzina nie składa kaucji za niego. Znam o wiele cięższy wypadek. Zna pani Tamarę Blumenthalównę?
— Tamtym razem też mnie pan o to pytał. Wtedy nic o niej nie wiedziałam, dziś już coś niecoś wiem.
Henryk chwycił Nelly za ramię.
— Co pani wie?!
— Wszystko.
— Na miłość boską! Co? Żyje?
— Pokazano mi ją na ulicy.
— Kiedy?
— Dokładnie nie pamiętam.
— Przed demonstracją, przed pogrzebem czy po?
— Kozaka? — Nelly zastanawiała się. — Zdaje się, że przed. Ale nie jestem pewna.
— Była sama czy z kimś?
— Z ojcem. Zdaje mi się. Mówiono mi, że ojciec nie puszcza jej ani na krok samej.
— Bujda. Była u mego wujka sama.
— Musiał sprzedać fabrykę...
— Ach, tak.
— Żałuje pan, że przestała być córką fabrykanta?
— Wręcz przeciwnie. Nie wie pani, gdzie mieszkają z ojcem?
— Możemy sprawdzić.
Nelly weszła do pokoju, w którym on przespał noc i dowiedział się o śmierci Piłsudskiego. Przyniosła książkę telefoniczną. Otworzyła ją na literze „B". Adres był jeszcze stary, na Zniesieniu. Poszukała w adresach dodatkowych.
— Jest — powiedziała.
— Boże drogi! — Henryk pocierał ręką krótkie, ostre włosy. — Przecież można po prostu zadzwonić! — Wziął z jej rąk książkę telefoniczną. Litery i cyfry skakały mu w oczach.
— Chodźmy — Nelly wzięła go za rękę i zaprowadziła do telefonu.
Henryk nie mógł znaleźć numeru.
— Tu! Tu! — złościła się Nelly, pokazując palcem.
— Ach tak! 33-34! 33-34! 33-34! Mieszkanie: Jakuba Strzemię 2. Naprzód zadzwonimy. Naprzód trzeba zadzwonić. A potem zobaczymy. — Henrykowi trzęsły się ręce. Mylił się przy nakręcaniu. Zaczynał wciąż na nowo.

— Niech pan pozwoli. — Wyjęła mu z rąk słuchawkę, nakręciła numer. — Pan ma błędny wzrok — szepnęła czekając na odezwanie się telefonu. — Niech pan mówi — przykryła ręką słuchawkę, która huczała męskim głosem.

— Nie, nie! Niech pani gada. — Henryk odepchnął słuchawkę.

Nelly powiedziała głośno:

— Hallo. Pan Blumenthal? Proszę Tamarę... Koleżanka... A kiedy będzie? Dziękuję. — Odłożyła słuchawkę na widełki.

Henrykowi drżały usta.

— Co? Co? — pytał.

— Nie ma jej w domu. I nie wiadomo kiedy wróci.

— Boże! A więc żyje i zdrowa! — Chwycił Nelly za ręce. — Dziękuję pani, dziękuję pani. Do widzenia. Muszę już odejść. — Wybiegł na ulicę.

*

Ulica Zyblikiewicza pełna była ludzi wiosennie ubranych. Od strony parku Stryjskiego tramwaj wracał prawie pusty. Na rogu ślepiec z gołą głową, w czarnych okularach, odmawiał pacierze. Stał obok kwiaciarni. Przez otwarte drzwi unosił się zapach konwalii. Kupić kwiaty? Szybko ruszył przed siebie. Skręcił w ulicę św. Mikołaja i nie uwierzył własnym oczom: z narożnej apteki wyszła Jadwiga Sołtysikówna. Nie poznał jej. Twarz miała chudą i bladą. Teraz nie miała na sobie czarnego, słomkowego kapelusza. Przypomniał mu ją ruch ręką dotykający głowy, jakby chciała przytrzymać nie istniejące rondo. Widział ją przedtem tylko jeden raz. Teraz nie była piękna — zmizerowana, w jasnej, domowej sukience bez rękawów, pewno gdzieś tu niedaleko mieszka i na chwilę wybiegła po lekarstwo.

— Co za szczęście! — Henryk podszedł do niej blisko.

Jadwiga podniosła pomarszczone powieki. Patrzała obcym wzrokiem.

— Ach, to... — odezwała się cicho.

— Tak, to ja. — Henryk wziął ją za łokieć i chciał skierować w stronę ulicy św. Mikołaja.

— Nie, nie — pokręciła głową — nie mam czasu.

— Gdzie mieszkacie, towarzyszko? Odprowadzę was.

— A gdzie wy chcecie pójść?

— Na Jakuba Strzemię.

— To dwa kroki stąd. Który numer?

— Dwa.

— Dwa? Do kogo? — zainteresowała się nagle Jadwiga.

— Do Tamary.

— Człowieku! — Uśmiechnęła się. Pokazała gęste, lekko pożółkłe zęby. — Jej nie ma.

— Jak to? — krzyknął Henryk i puścił łokieć Jadwigi.

— Uspokój się, człowieku. Nie ma jej w domu.

— To ja wiem. Mówiłem telefonicznie z jej ojcem. Pewno niedługo wróci do domu. Poczekam.

— No, dobrze, możecie czekać. Ja muszę was pożegnać. — Zawahała się. — Nie macie tutaj po co czekać!

— Jak to? — krzyknął Henryk.

— Cicho. Nie krzyczcie tak głośno. Nie możemy tu stać na rogu.
— Wiecie, gdzie jest Tamara. Muszę ją zobaczyć. Mam do niej zlecenie.
— Zlecenie? — Jadwiga potrząsnęła głową. — To niemożliwe.
— Dlaczego?
— Tamara wyjechała.
— Kiedy? Dokąd?
— Skąd się tu nagle wzięliście? Kiedy wyszliście z więzienia?
— Wczoraj.
— Ach, tak... Ach, tak... — Jadwiga powolnym ruchem odwróciła głowę i spojrzała za siebie. — No więc bywajcie, towarzyszu! Uciekam. — Uśmiechnęła się jednym kącikiem ust.
— O, nie. Ja was odprowadzę!
— Nie trzeba. Jesteście na pewno pod obserwacją.
— Nie bójcie się. Ręczę za to. Od kilku godzin chodzę po ulicy. Byłbym zauważył.
— Nie mogę. Nie gniewajcie się, towarzyszu.
— Ja was nie puszczę. Wreszcie złapałem jakiś kontakt!
— Do widzenia. — Szybko poszła w stronę jezdni, przecięła ją i, jak wtedy, zasłonił ją tramwaj.
Henryk odnalazł ją w momencie, kiedy skręcała w ulicę Jabłonowskich. Zniknęła w sieni pierwszej kamienicy. Henryk wbiegł za nią.
— Wyście oszaleli! — Jadwiga otwierała drzwi kluczem. — Wyście oszaleli!
Od strony sutereny zjawił się dozorca. Henryk wszedł za Jadwigą do pokoju.
— Jak mogliście tak postąpić? — Jadwiga dygotała z gniewu. — Postawię tę sprawę w partii. Wiecie, kto tak postępuje? To... to... — Flaszeczki z lekarstwem trzymała wciąż w ręku. — Musicie natychmiast stąd odejść!
— Pójdę. Tylko powiedzcie mi, dokąd Tamara pojechała.
— Nie wiem.
— Czy daleko stąd?
— Nie wiem! Nie wiem!
— Nie mam żadnego kontaktu. Wczoraj wyszedłem z więzienia.
— Tym gorzej! Tym gorzej! Jak wy nic nie rozumiecie!
— Jedno tylko słówko i zaraz wyjdę. Czego wy się tak o siebie boicie? Wtedy, kiedy was wypuszczono, to mnie, to mnie...
— Wiem, towarzyszu Jarosz. Wszystko wiem. Ale zrozumcie, nie chodzi wcale o mnie. — Podeszła do białej szafki aptecznej i włożyła lekarstwo. — Wiem o was wszystko, towarzyszu Jarosz, dlatego też dziwi mnie wasze postępowanie. Powinniście zrozumieć...
— Co, do licha ciężkiego, mam zrozumieć? Że nie chcecie mi powiedzieć, gdzie jest Tamara?
— Nie o to mi idzie... Nie tyle o to. — Jadwiga wytarła chusteczką pot z czoła i siadła na brzegu kanapy.
— Jeśli nie o to, to powiedzcie.
Jadwiga milczała.
— Czy to jest tajemnica? Jeśli to jest tajemnica partyjna, to...
— Wreszcie jedno rozsądne słowo... Wyjechała... Nie ma jej we Lwowie i długo jej nie będzie.
— Uciekła za granicę?

Jadwiga milczała. Henryk usiadł przy stole.

— A więc za granicę.

Jadwiga wstała, podeszła do szafki aptecznej, wyjęła flaszeczkę, nalała na łyżkę stołową gęstego, brunatnego płynu.

— Dziwisz się — Henryk przeszedł na ty — że tak o to pytam.

— Wiem, wiem. — Jadwiga wytarła usta chusteczką.

— Kiedy ostatni raz ją widziałaś?

— Na pogrzebie Kozaka. Bardzo dzielna dziewczyna. Niosła za trumną pęk czerwonych tulipanów.

— Z pękiem tulipanów? Mogli ją zastrzelić.

— Mogli. Każdego mogli zastrzelić.

— Mogli ją aresztować.

— O, nie. — Jadwiga zaprzeczyła ręką. — Tajniacy bali się nas. A policjantów w mieście nie było widać. W tym dniu Lwów należał do nas.

— Tej samej nocy przywieźli do Brygidek setki towarzyszy. Więzienie było za małe.

— Brano z ulicy przypadkowych ludzi albo wyciągano w nocy z łóżek. Kto mógł, nie spał w domu. Na pewno u mojej ciotki też byli i chcieli mnie zabrać. Pamiętasz z cukierni tę małą kretynkę, narzeczoną tego korporanta? Nie przyznaje się do mnie na ulicy i chodzi w mojej sukience.

— Więc kiedy wyjechała?

— Wyjechała? Ach — zaśmiała się cicho. — Nie wiem, naprawdę nie wiem.

— Może ją na granicy złapali?

— Nie przypuszczam. Gazety zaraz by o tym pisały.

— Partia zorganizowała jej ucieczkę?

— Oczywista!

— Od kogo zależy taki wyjazd?

— Od sekretariatu, zdaje się.

— Co słychać z Tyszykiem?

Jadwiga spojrzała na Henryka z ukosa.

— Nie wiem. Ostatni raz widziałam go, jak nas zabrali z lokalu na Piłsudskiego.

— Mogłaś mieć podejrzenie na mnie.

— Nie miałam.

— A teraz to masz.

— Przez ten rok wiele się zmieniło. Wiele się nauczyłam.

— I ja też. A trochę zaufania trzeba mieć.

— Nigdy nic nie wiadomo. Nawet spośród najbliższych...

— Ale ja dałem chyba dowód w więzieniu.

— Nigdy nic nie wiadomo.

— Daj spokój. Tamara uciekła... do Francji?

— Nie wiem.

— A więc do Czechosłowacji?

Jadwiga wzruszyła ramionami.

— Też nie?

— Przecież nic nie powiedziałam. Nie powiedziałam ani tak, ani nie.

— Chytra jesteś. Mnie nie zbujasz. — Henryk pogroził jej palcem.

Jadwiga roześmiała się. Chrząknęła i zaniosła się na chwilę kaszlem. Zasłoniła sobie usta chusteczką.

— A więc Związek... uciekła do Związku. Teraz już wiem. Uciekła do Związku.

Jadwiga spojrzała na chustkę, zbladła.

— A więc Związek. Charków albo Moskwa. — Henryk wstał. — A więc Związek — powtarzał.

— Idź, już idź — powiedziała Jadwiga słabym głosem.

— Nie mam dziś gdzie spać.

— T u n i e — pokręciła głową. — Sonia Kogan, Kordeckiego 5, drugie piętro... na lewo...

— Co ci jest, Jadziu?

— Nic, nic. Ale idź już.

— Taka jesteś blada. Krew masz na chusteczce! Jadziu! Połóż się. Polecę po doktora.

— Nie trzeba, już mi jest lepiej. Idź.

— Teraz cię nie zostawię samej, dziewczyno!

— Nic mi nie jest. Puściła mi się tylko krew. To może być z krtani. Czuję się zupełnie dobrze. Podaj mi torebkę.

Henryk podał jej ze stołu torebkę. Jadwiga wyjęła srebrną papierośnicę. W drżących palcach trzymała płonącą zapałkę.

— Zapalisz? — spytała.

— Zapomniałem, że mam „Płaskie". — Henryk sięgnął do kieszeni. — Raz palę, raz nie palę. Już ci lepiej?

— Nie było mi źle.

— Tę papierośnicę pamiętam z cukierni Zaleskiego.

— Tak, to ta sama.

— Pamiętasz, czekaliśmy wtedy na Tyszyka.

Jadwiga skinęła głową.

— Co słychać z Tyszykiem? — spytał znowu Henryk.

— Nie wiem.

— W cukierni miałaś do mnie więcej zaufania niż dzisiaj, choć mnie nie znałaś.

— Bo wtedy w ogóle miałam więcej zaufania. Byłam młodsza.

— O jeden rok?

— I o wiele rzeczy.

— Jesteś chora? U ciotki było ci lepiej. Wczoraj spałem u wujka. Dorobił się, zdeklasował, był górnikiem w Belgii. Puściłem go kantem. I wziął sobie młodą dziewczynę. Taki stary! Nie mam gdzie spać. Pozwól mi tu przenocować. Jutro znajdę sobie coś.

— Nie mieszkam sama.

— A z kim mieszkasz? Z następcą Tyszyka? Ty uznajesz tylko okręgowców?

— Musisz już iść. Nie chcę, żeby cię tu kto zastał. To się źle może dla ciebie skończyć. Wtargnąłeś jak... Nie wolno ci tu w ogóle przychodzić. Nikomu nie wolno tu przychodzić... Rozumiesz?

— Rozumiem, ale już jestem. Chodzi mi o złapanie kontaktu.

— Sonia Kogan... Moprówka...

— Moprówka? Co ona może mi pomóc? Mnie idzie o kontakt z najwyższą instancją we Lwowie.

— Co? — Jadwiga patrzyła nań rozszerzonymi oczami.

— Czemu się dziwisz? Chcę, żeby mnie przerzucono do ZSRR.

— Nie rozumiem...

— Chcę studiować w Charkowie albo w Moskwie, tak samo jak Tyszyk, w Czerwonej Akademii. W kapitalistycznej Polsce nie mogę studiować na uniwersytecie.

— Ho! ho!

— Będę studiował. Zobaczysz.

— Jak będziesz miał takie zasługi dla partii, jak Tyszyk.

— Zobaczysz.

— Organizacja nie jest biurem matrymonialnym. Idzie ci o Tamarę, a nie o żadną Czerwoną Akademię.

— Jak możesz! Jadwigo!

— Nie udawaj oburzonego. — Jadwiga opuściła kąciki ust.

— Bardzo się zmieniłaś. Zgorzkniałaś.

— Skąd wiesz? Nie znałeś mnie przedtem. Zaledwie drugi raz mnie widzisz.

— Boję się, że będę wspominał Brygidki z rozrzewnieniem.

— Człowieku! — Oczy Jadwigi zabłysły. — Ależ naturalnie. Tam można przekonać się, co kto wart.

— Nie bałem się bicia.

— Wiemy, wiemy. Nie musisz przypominać własnych zasług. — Machnęła chudą ręką. — Wiemy...

— Ciebie też bito?

— Nie! Mnie wyjątkowo oszczędzono. Stosowano za to metody psychologiczne, insynuacje, podejrzenia, że inni podpisali deklarację.

— Tak. Ale ja nic nie podpisałem.

— Ja też nie.

— A Tyszyk? — Henryk zadrżał, ale już było za późno.

— Co? Tyszyk? — Jadwiga utkwiła w nim szare, płonące oczy.

— Nic...

Jadwiga położyła dłoń na ramieniu Henryka. Uśmiechnęła się szerokim uśmiechem, odrzucając lekko w tył głowę. W pokoju zęby jej wydawały się śnieżno-białe. Była znów piękna, jak w majową, słoneczną niedzielę rok temu.

— Człowieku — westchnęła i zgniotła papierosa na pudełku od zapałek. — Rola sędziego śledczego, to rzucanie między nas podejrzeń. Coś się z tego przylepi, myśli sędzia. A niektórzy nasi towarzysze od razu piszą sprawozdania do kierownictwa komuny.

— Ja nie pisałem o tym ani słowa — krzyknął Henryk.

— Wiem. — Jadwiga opuściła powieki. — A potem wychodzą na świat plotki i sprawa gotowa. — Jadwiga znowu chrząknęła i zasłoniła sobie usta chusteczką. Spojrzała na nią, krwi tym razem nie było. — Teraz krążą o Tyszyku plotki. Niektórzy towarzysze lubią takie historie.

— Ależ Tyszyk siedzi w Berezie! Jakie mogą być o nim plotki?

— Na wszystko, jak się chce, można mieć wytłumaczenie. Trzymają go, żeby go nie demaskować w oczach organizacji.

— Ale Tyszyk? Tyszyk?

— Niektórym właśnie zależy na tym, żeby Tyszykowi zaszkodzić. Zbyt szybko poszedł w górę.
— Nie wierzę.
Jadwiga wzruszyła ramionami.
— Jeszcze się przekonasz.
— A co na to kierownictwo?
— Nie wiem.
— Gdybym ja miał dostęp do kierownictwa!
— Oni tam mają swoje kłopoty.
— Teraz, po takich sukcesach? Po pogrzebie Kozaka? Po strajkach i demonstracjach w całej Polsce?
— Tak i po Kongresie Kultury.
— Kongres Kultury?
— W Teatrze Wielkim. Nic nie wiesz?... Sukcesy były duże, za duże jak na nasze możliwości organizacyjne. Nie zdążamy wszystkiego objąć organizacyjnie i wleczemy się w ogonie wydarzeń. Na przykład fala strajków...
— Jeden komunista potrafi prowadzić cały strajk.
— Front Ludowy to już nie jest jeden komunista, ale jeden komunista, jeden pepesiak, jeden chadek albo enperowiec i licho wie co jeszcze. A to zmienia sytuację. I robi się bezhołowie. I naszym towarzyszom często wymyka się z rąk kierownictwo.
— To znaczy, że Front Ludowy jest niedobry?
— Gadasz bzdury! Tylko należy znaleźć odpowiednie formy współpracy.
— Współpracy?
— Tak, współpracy. To trudno.
— Gdybyśmy mieli wszędzie większość...
— Ba! Jak na przykład u krawców lwowskich lub u budowlanych. Na tym odcinku Front Ludowy jest mocny.
— Należy więc dążyć, żeby wszędzie tak było.
— Robotnik z trudem zrywa ze swoją starą partią. Pepesowiec na ogół jest pepesowcem do śmierci. Widzi zdradę swoich prowodyrów, psioczy na nich otwarcie, ale z partii nie wychodzi. Inercja. Możemy liczyć raczej na młodzież.
— Po takich sukcesach!
— Im większy sukces, tym większy bałagan — roześmiała się Jadwiga. — No, no, przesadzam, ale coś w tym jest.
— Coś w tym jest — powtórzył Henryk bezmyślnie.
— Czy ty piszesz jeszcze wiersze? — spytała nagle Jadwiga.
— Co? — zdziwił się Henryk. — Dlaczego pytasz? Skąd wiesz, że pisałem wiersze? Może jeszcze kiedyś będę pisał. Jak będę w Moskwie. Tu nie. Dlaczego pytasz?
— Tak sobie. — Jadwiga podniosła głowę, przechylając ją w stronę drzwi. — Idzie Marian — powiedziała.
Wszedł łysy, otyły mężczyzna.
— Już wróciłeś? — spytała Jadwiga.
— Jak widzisz. — Spojrzał bez słowa na Henryka.
— To Jarosz. Słyszałeś o towarzyszu?
— Owszem. — Marian wyciągnął do Henryka rękę.
— Zupełnie przypadkowo znalazłem się tutaj — powiedział Henryk.

— Dawaj coś jeść, stara. Ty też coś zjesz! — zwrócił się do Henryka.
— Już jestem po obiedzie — powiedział Henryk.
— Nie szkodzi, coś jeszcze się zmieści. Kiedy wyszedłeś z więzienia?
— Wczoraj.
— Jak trafiłeś tutaj? Przez przypadek mówisz?
— Tak.
— Spotkał mnie na ulicy i poszedł za mną — powiedziała Jadwiga. — Stało się już. I nie ma o czym mówić. Sądzę, że więcej tu nie przyjdzie.
— Jadwiga nie wiedziała, że idę za nią. Wyszedłem i nie miałem kontaktu...
— Nie szkodzi — machnął ręką Marian. — Mam nadzieję, że nie przytaskałeś ze sobą szpika. Nikomu nie dasz naszego adresu.
— Oczywista. To się rozumie samo przez się — powiedział Henryk.
— Głodny jestem jak diabli, dawaj coś do żarcia. — Marian poklepał Jadwigę po ramieniu.
Jadwiga rozłożyła ręce.
— Nic nie ma. Miałeś wrócić dopiero na kolację. Kompletnie nic nie ma. — Patrzyła bezradnie to na jednego, to na drugiego mężczyznę. — Marian, znajdź sobie inną dziewczynę. Mówię to całkiem serio. Ze mnie już nie będziesz miał żadnego pożytku.
— Dobra, od jutra, Jadziu. Ale dziś jeszcze nie. Dobrze? — Objął ją ramieniem, a potem pogłaskał jej popielatą, nie uczesaną głowę.
— Chyba pójdę coś kupić? — zastanawiała się głośno Jadwiga.
— Co zamyślasz robić? — spytał Marian Henryka. — Trza się o coś zaczepić. Idziesz do jakiej roboty?
— Nie — odparł Henryk.
— Co kupić? — Jadwiga głośno się zastanawiała.
— A gdzieś pracował? — pytał Marian Henryka.
— No, nie wiem, co mam kupić? — zaczęła płaczliwie Jadwiga.
— Nigdzie nie pracowałem — odpowiedział Henryk.
— Co mam kupić! — krzyknęła Jadwiga. — Już trzeci raz się pytam. Marian, do ciebie gadam!
— Jagusiu! — Marian odwrócił się całym krępym ciałem do Jadwigi. — Co chcesz — krakowskom kiełbasę. A ty lubisz krakowskom kiełbasę, towarzyszu Jarosz? — Pokazał mocne zęby w uśmiechu. — No, czegoś taka zła? Naprawdę nic nie słyszałem. Kup, co uważasz. Forsę masz? Kup funt kiełbasy, to już będzie na kolację. I musztardę weź tyż.
Jadwiga wzięła teczkę z etażerki i bez słowa wyszła.
— Ale nie zapomnij tam o musztardzie — krzyknął za nią Marian. — Siadajmy — powiedział do Henryka, gdy za Jadwigą zamknęły się drzwi. Pokazał ciężki pluszowy fotel pod oknem, a sam zdjął marynarkę i wyciągnął się na kanapie. — Jestem skonany. — Z kieszeni granatowych spodni w białe paski wyjął zapałki i papierosy. — Bynajmniej sy zapalę. Ty tyż? — Marian wyciągnął pudełko.
Henryk wziął „Egipskiego".
— Znałeś Jadzię? — spytał nagle.
— Raz się z nią spotkałem. Przypadkowo. Siedzieliśmy z nią w cukierni, a czekała na Tyszyka.
— A Tyszyka znałeś przedtem? W trójkę należeliście do jednej sprawy?

— Tak. Myśmy oboje wyszli, a Tyszyk poszedł do Berezy.

— A w więzieniu — Marian stęknął i oparł się na prawym łokciu — a w więzieniu miałeś okazje z Tyszykiem...

— Raczej nie. Przelotnie go widziałem na spacerze.

— I już? — Marian znowu stęknął. — Do cholery, ta kanapa ma twarde gnaty. — Strzepnął popiół na podłogę, dźwignął się, opuścił nogi na podłogę i plecami oparł się o ścianę. Na ścianie wisiała makatka lniana, wyhaftowana w duże maki. — Nigdzieście się więcej nie widzieli?

— Ach, prawda — przypomniał sobie Henryk — w karcu pod kapliczką. Zapomniałem.

— No, i co o nim powiesz? Jakom masz o nim opinie?

— Jaką opinię? — powtórzył Henryk. — Nic złego nie da się o nim powiedzieć.

— Co mówili towarzysze o nim?

— Nic złego nie słyszałem.

— I nic dobrego?

— A wy, co uważacie, towarzyszu? — Henryk przyniósł popielniczkę z etażerki i postawił na kanapie. Strzepnął popiół ze swego papierosa. Towarzysz Marian też strzepnął popiół.

— Ja ci mówię „ty", możesz mi tyż tak mówić. Między towarzyszami można się tykać. Tak mniej więcej, nie ze wszystkimi. Nie uważasz?

— Owszem. Tak powinno być. Towarzysz jest bliższy niż rodzina.

— Prawdziwy towarzysz, a nie farbowany lis, jak się to czasem przytrafia. Rozmawialiśmy o tobie z Tamarom.

Henryk powstrzymał oddech.

— Mówiła mi, jak się trzymałeś w więzieniu. Dobrze się trzymałeś. Ale na Tyszyka to ona jest cięta. — Towarzysz Marian miętosił w grubych wargach zwilżonego papierosa.

— Cięta? — zdziwił się Henryk. — Dlaczego?

— Nie uważasz?

— Hm... A jaką opinię o Tyszyku ma Jadwiga? Ona go znała bliżej.

— O, tak! Bliżej! — Spojrzał z ukosa na Henryka. Pogładził jasne jak len kępki włosów nad uszami. — Była jego łączniczkom. I, nie, znowu nie tak długo, aż do wsypy. Wpadła niepotrzebnie wtenczas.

— Tyszyk też wpadł. Razem wpadli.

— Ale na konferencję mieli przyjść inni jeszcze delegaci. To była ważna konferencja. Defa mogła się nieźle obłowić. Delegaci nie zdążyli na szczęście.

— Właśnie w tym dniu siedziałem z Jadwigą w cukierni.

— Był tam w cukierni szpik?

— Tak.

— Czy szpik widział Tyszyka?

— Nie wiem. Szpik wyszedł za mną i wrócił do cukierni.

— Na ulicy był drugi szpik?

— Nie zauważyłem nikogo.

— Ale Tyszyk musiał go zauważyć.

— Na ulicy nie widziałem nikogo.

— Na pewno był! To logiczne.

— Może.

— I zamiast odwołać konferencję, Tyszyk naraża wszystkich na wsypę.

— Nie mógł już odwołać konferencji, widocznie Jadwiga umówiła się z nim na tym samym miejscu, a ja Tyszykowi to powtórzyłem.

— Ty i Jadzia... — towarzysz Marian machnął ręką. — Ale on, okręgowiec, szkolony w Charkowie. Od niego można wymagać. Co znaczy nie mógł odwołać... Dla komunisty nie ma słowa „nie mogę". Tyszyk poza tym to inteligent wykształcony. Od niego partia spodziewała się więcej niż od zwykłego robotnika. A właśnie, że nie nawali zwykły robociarz, zawsze znajdzie jakiś fortel. Instynkt klasowy to najważniejsze. Ja do Tyszyka nic nie mam. Na pewno jest dobry towarzysz.

— Siedzi w Berezie.

— No tak, siedzi.

— A Tamara w Związku Sowieckim — wypalił Henryk.

— Skąd wiesz?

— Od starego Blumenthala. Nie powiedział wyraźnie, ale domyśliłem się.

— Domyślna chłopaka z ciebie — Marian pokręcił głową.

— Musiała prędzej czy później uciekać z Polski.

— Z Ukrainy Zachodniej...

— Tak. Z Ukrainy Zachodniej. Tyle ludzi ją widziało na pogrzebie Kozaka. Swoją drogą to szczęście tak móc pobyć w Charkowie albo w Moskwie. Trochę się poduczyć i wrócić na robotę na Uzet.

— Phi — towarzysz Marian prychnął grubymi wargami. — Na to trzeba mieć szczęście. To wygrany los. Jeden na milion.

— Ja mam zawsze szczęście — roześmiał się Henryk.

Marian nie odezwał się.

— Myślę, że partia prędzej czy później mnie wyśle.

— Może...

— Wy moglibyście postawić tę sprawę...

— Ja? Za mało ciebie znam. Potem, jak skrewisz kiedyś, to ja będę za ciebie odpowiedzialny.

— O, co to, to nie. Ja nigdy nie skrewię. W więzieniu... Tamara wam powiedziała... że nie skrewiłem.

— No, cóż? Ja przecie wiem, że obeszło się bez bicia. — Towarzysz Marian przymrużył jedno oko. — No, ale to wcale nie znaczy, że gdyby ciebie bili... ale nie o to się rozchodzi. Tu trza być! Tu trza walczyć! Teraz wszyscy by tylko jechali do Związku Radzieckiego jak do Ziemi Obiecanej. W konsulacie radzieckim leży pełno podań od bezrobotnych. A kto tu zostanie?

— Za pół roku bym wrócił.

— Ale Tamara nie będzie mogła wrócić. Chyba, żeby wybuchła u nas rewolucja. Przyznaj się bez bicia. To ona ciebie tam ciągnie.

— Tamara? Zaledwie dwa razy się z nią widziałem. Prawie jej nie znam.

— No, no! — Towarzysz Marian pogroził mu palcem. — Podobasz mi się. Widzę, żeś nie kiep. Jak po dwóch razach piszesz taki list, toś nie kiep — roześmiał się głośno. — Piękny list, trza przyznać. — Henryk zbladł. Wyjmował z ust papierosa i wkładał go z powrotem strącając nie istniejący popiół. Czekał, co towarzysz Marian dalej powie. Wszystko było stracone.

— Jaki list? — wykrztusił z siebie.

— Taki na dziesięć stronic albo i więcej. Ładny masz sposób pisania. Nie

masz się czego wstydzić. Kochać to nie grzech. Wrogowie mówią, że komuniści są przeciw miłości. Chłopak musi mieć dziewczynę. Jak w partii chłopak nie chodzi z dziewczyną, to jest podejrzane. To niedobrze. Jak się chłopak i dziewczyna kochajom, to lepiej pracujom dla partii. Tylko widzisz, aby my mieli posyłać ciebie do Tamary, sam rozumiesz...

— Towarzyszu! — oburzył się Henryk.

— Nie szkodzi, nie szkodzi. — Marian machnął ręką. — Wszystko rozumiem. Ja nie uważam, żeby to miało być co złego czy antypartyjnego. Tylko że każdy wie i zara powie: posłali go do Tamary.

— Każdy wie? Co każdy wie?

— Ale, wracając do tematu... Piękne listy umiesz pisać. Żeby u nas tak ulotki z szwungiem umieli pisać. To nie byłyby takie nudne... Do cholery! Czemu Jadwiga nie wraca?

— Tamara pokazywała wam moje listy?

— Pewnie. Dla kierownictwa nie ma żadnych tajemnic. Czy ty tak nie uważasz?

Henryk milczał.

— Kierownictwo partyjne musi znać każdego członka na durch.

— No tak...

— Na durch, zwłaszcza tego, na kogo stawia. Czy teraz już zrozumiałeś?

Henryk zadrżał.

— Rozumiem. Teraz rozumiem.

— I ty pojedziesz tam, gdzie chcesz. Miałeś, bracie, rację, że masz szczęście.

— Kiedy, towarzyszu? — Henryk zerwał się z fotela.

— Nawet jutro.

— Jutro!

— Ale jutro jeszcze nie pojedziesz.

— Może być jutro, towarzyszu Marianie!

— Nie bądź w gorącym kąpany.

— Niech będzie jutro!

— No, no, uspokój się, źrebaku! Boję się tylko o jedno.

— Ja się o nic nie boję! Towarzyszu!

— Że źle, tam gdzie potrza, przedstawisz sprawę Tyszyka. Tam na miejscu. Jeśliby cię pytali. Mogom też nic nie pytać. Ale po większej części to jednak pytajom. Ale jednom dam ci radę. Jeśli masz o nim jakomś opinie, to schowaj jom dla siebie i tam się z tym nie wygaduj. Kumekasz? Prawdziwa opinia o Karpińskim, to jest o Tyszyku, prędzej czy później tam dojdzie. To po co potem mają na ciebie patrzeć, jakby to powiedzieć... — Marian nachmurzył się i rozłożył ze smutkiem ręce. Wstał z łóżka i zaczął chodzić po pokoju. Zajrzał do szafki kuchennej, za zasłonkę na półce. — Cholera, ani kawałka chleba. Do Jadzi potrzeba jeszcze jakiegoś lokaja.

— Mogę skoczyć po chleb — powiedział gorąco Henryk.

— Nie, nie! — uspokoił go Marian ręką. — Nie trzeba się kręcić.

W tej chwili otworzyły się drzwi. Jadwiga wróciła obładowana prowiantem.

III

Przy ulicy Kordeckiego, pod wskazanym przez Jadwigę adresem, znalazł małą, brzydką Sonię Kogan, kiedy właśnie wróciła z miasta zziajana, w przesuniętym na bok granatowym bereciku. Znała Henryka ze słyszenia. Szybko narzuciła na sukienkę niebieski, perkalowy szlafrok i zakrzątnęła się wokół kolacji. Na stole znalazła się majowa sałatka. Henryk wymówił się, gdyż jadł już u Jadwigi Sołtysikówny. Sonia zastanawiała się głośno podczas jedzenia, dokąd zaprowadzić Henryka na nocleg. Już jest późno i mogą zobaczyć. Został jedynie Żydowski Dom Akademicki. Tam ma jednego sympatyka, który pochodzi z Ostroga, tak samo jak ona. Jutro się rozpyta wśród znajomych na mieście. Dlaczego czekał aż do ostatniej chwili? Tak, to prawda, nie byłby jej zastał wcześniej w domu. Sama ledwie zdąża przed szperą do domu z korepetycji, które ma na różnych krańcach Lwowa. Jutro znajdzie coś odpowiedniejszego wśród sympatyków lub nieskompromitowanych towarzyszy. W Domu Akademickim nie jest dość bezpiecznie, choć dużo tam mieszka komunistów. A jak z pracą? Po wyjściu z więzienia trudniej jeszcze będzie z pracą. Jedyne, co jeszcze zostaje, to korepetycje.

— Tylko nie to! — krzyknął Henryk. — Znowu korepetycje! Wszystko od początku!

— Jeszcze ich nie macie! Ludzie proszą o korepetycje. To nie jest znowu takie łatwe. — Sonia Kogan ściągnęła niskie brwi, zarastające górną powiekę. — Dlaczego nie? Jestem ciekawa. Macie coś lepszego na widoku?

— Nie mogę. Zresztą nie będą mi potrzebne.

— Niepotrzebne? Jak to niepotrzebne? — dziwiła się.

— Wyjeżdżam.

— Kiedy?

— Niedługo.

— Nie chcę pytać dokąd.

— Wyjeżdżam.

— Od razu po więzieniu. Nie dadzą człowiekowi odetchnąć. Z więzienia od razu w teren. Od razu poznaję, czyja w tym rączka.

— Mylicie się, towarzyszko.

— Mylę się — spojrzała na niego zdziwiona, lekko wypukłymi oczami — ja się mylę?

— Na pewno, towarzyszko, nie w teren.

— Jeśli nie w teren, to już nie rozumiem. Wyszedł towarzysz Zuckerkandel...

— Zuckerkandel! Co wy mówicie? Gdzie on? Siedzieliśmy razem w jednej celi.

— To go od razu posłali w teren i to do małego miasteczka, gdzie się wszyscy znają i gdy ktoś już przyjedzie, to albo narzeczony, albo komunista. I na drugi dzień naturalnie Zuckerkandel już jechał ciupasem z powrotem do więzienia.

— Szkoda, że nie wiedziałem — żałował Henryk.

— Ale we Lwowie też można wpaść. Nie kręćcie się zanadto po ulicy.

— Do wieczora siedziałem u Jadzi.

— Dlaczego mówicie: u Jadzi? Ona była sama?

— Nie. Z Marianem.

— Właśnie. Od razu wiedziałam. Wszystko wiedziałam.

— Co?

— Nic! No, już późno. Idziemy do tego Żetdea. — Szybko zdjęła szlafroczek, nasunęła berecik.

Wychodząc spojrzała jeszcze raz na zegarek.

— Za dwadzieścia dziesiąta — powiedziała.

— Tak, za osiemnaście — poprawił Henryk.

— Jadwiga to świetna dziewczyna — powiedziała Sonia Kogan. — Tędy bliżej, przez Bema, oficerską kolonią.

— Marian też dobry towarzysz — odezwał się Henryk.

— Nie lubię łysych mężczyzn — zaśmiała się Sonia — i tęgich. — W świetle latarni zabłysły jej wilgotne, krzywe zęby.

— A jakich lubicie? — zażartował Henryk.

— Takich jak Tyszyk. Znasz Tyszyka? — Przeszła nagle na ty.

— Znam. Siedzieliśmy razem w karcu.

— A ja go znam tylko ze słyszenia. Z opowiadania Jadzi.

— A towarzysza Mariana znasz też ze słyszenia?

— Co to, to nie! Mariana znam osobiście i bardzo dobrze. — Kiwała głową, śmiejąc się. Wzięła Henryka pod rękę przy przechodzeniu przez Gródecką. Długa ulica, wykładana małą kostką, bezdrzewna i brzydka, już opustoszała. Z rogatki zjeżdżał świecący się tramwaj. Skwerek pod kościołem św. Elżbiety był też pusty. Dozorcy już stali w bramach i pobrzękiwali kluczami, oczekując wybicia godziny. Na ulicy św. Teresy zrobiło się ludniej. Żydowscy akademicy po dwóch, po trzech wracali z miasta, weseli i głośni.

— Spójrz — powiedziała Sonia Kogan — numer szesnasty, numer szesnasty — jakby sobie przypominała — tu mieszka twój wujek.

— Skąd wiesz? — Henryk przystanął.

— Z listu Tamary.

— Czytałaś mój list? Ty też?

— I ja też!

— Wiesz, gdzie jest Tamara?

— Co za pytanie! — prychnęła.

— Tamara ci się też nie podoba. Widzę. Tobie się nikt nie podoba.

— Nikt jak nikt... Jadzia, Tyszyk, Cesia Jabłońska. O niej też było w twoim liście do Tamary. To był ogromny i piękny list. Masz dobre pióro. Pisałbyś artykuły do gazety. Do naszej legalnej gazety, do *Dziennika Powszechnego*.

— A, daj spokój. Już pracowałem w jednej gazecie. — Henryk roześmiał się.

— Korepetycji nie chcesz, pisać nie chcesz... Więc co chcesz?

— Wyjechać.

— Dokąd?

— Powiedz, co masz przeciw Tamarze?

— Przeciw Tamarze? No wiesz! Co mam mieć?

— A jednak.

— Co chcesz? Czy ja muszę wszystkich lubić?

— Nie. Nie musisz, ale jakie masz przeciw Tamarze zarzuty?

— Polityczne? Absolutnie żadnych.

— A jakie?

— Ale ty jesteś nudny. Choć ja ciebie rozumiem.

— Nie krępuj się. Możesz mówić ze mną o niej całkiem szczerze. Możesz wszystko powiedzieć. Najgorsze. Tak czy tak już nie uwierzę.

— A to dobre! — roześmiała się, pokazując wystające górne zęby. — Wiesz, zaczynasz mi się podobać.

— No więc. Powiedz, co masz przeciw Tamarze.

— To już tu. — Stanęli przed trzypiętrowym gmachem. Wszystkie okna były oświetlone i otwarte. Jak we śnie w Charkowie, dokąd przepłynął czarną rzekę w nocy razem z tonącą Tamarą.

W małym ogródku pachniał spóźniony bez. Na ławeczkach siedzieli chłopcy w koszulkach bez rękawów i dziewczęta w jasnych sukienkach. Przycichły głośne rozmowy, jakiś śpiew, jakiś śmiech, i przypatrywano się obojgu. Bardziej Henrykowi niż Soni Kogan. Ją widać znali. Zresztą była Żydówką.

— Ci wszyscy to syjoniści — szepnęła Sonia Kogan, kiedy znaleźli się w długim, jasno oświetlonym korytarzu. — To głupcy albo donosiciele.

Otworzyły się drzwi z napisem „Administrator". Był tam bufet obsługiwany przez kobietę karliczkę. Wyszedł niski brunecik z pęczkiem młodej cebulki i z masłem w przetłuszczonym kawałku papieru. Zatrzymał się. Przywitał się z Sonią po rosyjsku, ale zaraz przeszli na polski.

Henryk widział gdzieś tę twarz, tę spadającą na ukos grzywkę.

— A my się też znamy — uśmiechnął się brunecik.

Henryk przypomniał sobie. Minęły dwa lata od czasu, kiedy spotkał brunecika, wypisującego formularz na korytarzu dziekanatu humanistycznego.

— Rajs — powiedział Henryk — przez „aj", z Ostroga — uśmiechnął się.

— Zgadza się — odpowiedział Rajs.

— Tym lepiej, jeśli się znacie. Weźmiesz go na jedną noc. Jutro znajdę dla towarzysza coś wygodniejszego na mieście.

— Nawet dwie — powiedział Rajs. — Mnie to nie przeszkadza. Będzie sam spał w moim łóżku. Ja wkuwam całą noc. Jestem przed egzaminami. Nikogo teraz nie ma, Sonieczka, może wstąpisz na górę?

— Nie, jeszcze zdążę wyjść przed szperą. — Wyciągnęła rękę. — Bardzo ci dziękuję, Sasza.

Pożegnali się, a Rajs zaprowadził Henryka do siebie, na pierwsze piętro.

Trzy łóżka, przykryte trzema różnymi kapami, stały w trzech kątach niedużego pokoju. Uderzył go zapach męskiego potu, trochę jak w celi. Z sufitu zwisała lampa, żarówka nakryta porcelanowym talerzem. Okno wychodziło na podwórze. W pokojach naprzeciw kręcili się chłopcy w spodniach albo czarnych kąpielówkach, bez koszul. Niektórzy siedzieli z podciągniętymi kolanami na parapecie okna i rozmawiali głośno z kolegami z naprzeciwka. Tylko dwa okna były zasłonięte.

— Pościelić wam już, kolego? — spytał Rajs. — Możecie spać przy świetle? Bo mamy tu jednego, który nie może spać, jak jest jasno. Na szczęście on więcej śpi u swej dziewczyny na mieście niż w domu. Niech myślą, że u mnie też jest kobita. — Zasłonił kapą z łóżka okno. Roześmiał się, uderzając się głośno po brzuchu. Zebrał ze stołu masło, pęczki cebuli i położył na półce, a z etażerki wyjął książki i skrypty.

— A skąd ten mecenas Reiss, o którego kolega mnie wtedy pytał?

— Z Oporca.
— A gdzie to?
— Na Podkarpaciu.
— Z austriackiego zaboru. A my jesteśmy z rosyjskiego. To nie może być żaden krewny.
— Umiecie po rosyjsku?
— Lepiej niż po polsku. U mnie rodzice z dziećmi mówili po rosyjsku.
— Żałujecie, że Ostróg nie należy do Związku Sowieckiego?
— Bo ja wiem...
— Ostróg to graniczne miasto, zdaje się...
— Tak. Polsko-sowiecka granica.
— Mieszkać tak blisko Związku Sowieckiego, to już jest coś. Można coś zobaczyć.
— Nic nie można zobaczyć. Od granicy dzieli jeszcze szeroki pas ziemi.
— A jak się nazywa pierwsza miejscowość po tamtej stronie?
— Pierwsza większa miejscowość? Sławuta. — Rajs rozkładał książki, kartkował, szukał stronicy.
— To już wam nie będę przeszkadzał. — Henryk zdjął marynarkę. Brunecik kiwał głową.
— Ostatnie egzaminy, magisterskie, z filozofii i przedmiotu pobocznego. — Rajs odrzucił skośną grzywkę i pochylił się nad książką.
— Ja nie jestem partyjny — odezwał się po chwili — żeby nie było nieporozumień.
— A skąd znacie Sonię Kogan?
— Z Ostroga. Ona jest z tego samego miasta, co ja. Po akcencie poznać. Nie czujecie? Mówię wam, że nie jestem partyjny, bo niektórzy lubią udawać, że są w partii. Ale Sonia Kogan mnie dobrze zna. I mego brata.
— A wasz brat jest w Ostrogu? Nie studiuje?
— Nie. Pomaga rodzinie. Kiedyś Ostróg był bogatym miastem. Dziś nie ma tam żadnego ruchu.
— Na granicy nie ma żadnego ruchu? Na granicy kwitnie przemyt.
— Czego? Nie ma co przemycać.
— No, nie będę przeszkadzał, dobranoc, kolego.
— Dobranoc.
Henryk kręcił się na łóżku z boku na bok.
— Nie możecie spać? Może zasłonić lampę gazetą? — spytał Rajs.
— Nie, nie trzeba.
— Jak widać, drugi kolega też dziś nie wróci — zaśmiał się. — Możecie spokojnie spać.
— Nie o to idzie. Sonia Kogan mi mówiła, że jesteście z jednego miasta.
— Ja to powiedziałem.
— Tak, wy też. Tam jest rzeka na granicy, o ile pamiętam, Horyń. To duża rzeka?
— Na samej granicy pod Ostrogiem jest Ikwa. Nieduża, ale głęboka. No, dobranoc.
— Dobranoc — odparł Henryk.
Zza ściany od czasu do czasu rozlegało się brzdąkanie na gitarze i ciepły,

niski głos śpiewał: „Daj buzi, moja mała, żebyś nie płakała, daj buzi". Refren ten się powtarzał, a słowo „buzi" zastępowały coraz to inne wyrażenia, którym towarzyszył wybuch śmiechu i pisk dwóch kobiet. Z początku sąsiedzi znosili to spokojnie, a potem bili pięściami w ścianę i domagali się natychmiastowej ciszy. Ostatecznie zagrozili administratorem, nie zgadzając się, żeby robili im pod nosem burdel. Otworzyły się drzwi, na korytarz wyszły jakieś osoby, odbyły się szeptem pertraktacje. Sąsiedzi uspokoili się, mimo że brzdąkanie na gitarze i śmiechy teraz nie ustały. Póki nie zgaszono światła i nie nastąpiła cisza. Słychać było tłumione chichoty, potem i to ustało. Chłopcy posnęli. Jeszcze ktoś gwizdał przez otwarte okno arię Violetty z *Traviaty*. Henryk przypomniał sobie, że jest palący, sięgnął po spodnie, ułożone na krześle, wyjął zgniecione pudełko „Płaskich" i zapalił ostatniego papierosa. Długo jeszcze Rajs siedział i wkuwał. Ale kiedy się położył, Henryk już nie widział.

Kiedy Henryk się zbudził, słońce wpadało do pokoju, przesiane przez firankę. Brunecik jeszcze spał z nosem wciśniętym w poduszkę. Spał w łóżku jednego z kolegów.

Henryk przeczytał kartkę zostawioną na stole:

„Nie budzić. Na dole w szafie prymus, spirytus, zapałki tudzież apetyt. Łazienka na lewo, klozet na prawo. Smacznego."

*

Rano padał deszcz, w południe się wypogodziło. Henryk krążył wokół mieszkania Jadwigi. Zjadł obiad w restauracji na Zyblikiewicza. Marian powiedział wczoraj: „nawet jutro". Mógłby wejść i na to się powołać. Jak go spotka kręcącego się po Jabłonowskich, to może być gorzej. Ale jeśli wejdzie nie proszony, może wszystko zepsuć. Usiadł na skwerku przy ulicy św. Zofii. Chłopcy sprzedawali ostatnie egzemplarze *Wieku Nowego*. Krzyczeli o zwycięstwach Franca w Hiszpanii. Kupił gazetę, przerzucił ją. Polscy faszyści sprzyjają faszystom hiszpańskim. Zmiął gazetę i zostawił na ławce. Ruszył w kierunku parku Stryjskiego. Na straganach stały dzbany z resztkami kwiatów na sprzedaż.

Tuż u wejścia do parku połyskiwała czarna woda sadzawki. Na odgłos kroków młode żabki wyskakiwały z nadbrzeżnej zieleni. Na środku gazonu człowiek wywijał kosą i kładł półkolem cierpką trawę. Ciężkie bzy na owalnych krzewach rdzewiały już. Ogrodnik obchodził z polewaczką klomby, a dwie kobiety pełły rabaty z rzędami kosaćców. Brunatną ścieżką wspinano się w górę, między duże klony i olchy, a na odsłoniętym od drzew stoku bieliły się schody z obu stron muszli, zbierającej nitki źródlanej, zimnej wody. Dzieci podstawiały z piskiem kubek i piły, jakby nie mogły ugasić pragnienia. Różowa płyta kamienna, wypolerowana jak marmur, zachęcała do picia. Słoneczna strzecha ścinała lśniące wierzchołki drzew i smugą rozpylonych promieni skośnie spadała między prześwity pni na wysoką trawę. Sam stok pozostał w cieniu, a park pławił się w popołudniowym, czerwieniejącym już słońcu. Na górze pachniało wilgocią, liśćmi zgniłymi jeszcze od śniegu. Im wyżej, było więcej lasu i mniej parku. Na szczycie, na podanej ku zachodowi polanie spał rozciągnięty na trawie pijak. Tu się upić na szczycie, z widokiem

na miasto, na Wysoki Zamek! Obok rozdartego buta leżała pusta flaszka. Pusta flaszka, ostatnia chwila pijaka. Smutny koniec. Smutny koniec kapitalizmu. Onegdaj *„Herr Major"*, a dzisiaj pijak — to ginący świat. To ofiary ginącego systemu. Szary hełm Wysokiego Zamku ciemniał i jaśniał jak lampa od przepływających obłoków. Stamtąd widział we śnie Ziemię Obiecaną. Charków. Dlaczego Charków? Bo Tyszyk ideologicznie uzbroił się w Charkowie. „Gdyby Tyszyk był teraz okręgowcem, wyjazd mój byłby pewny." Być na szczycie i upić się! To możliwe tylko w kapitalizmie. Ileż jeszcze jest nieuświadomionych robotników. To nie robotnik, to lumpenproletariusz! Henryk kopnął ze złością pustą flaszkę. Najszczęśliwszy był w więzieniu, kiedy pisywał listy do Tamary. Nie zostawiła mu żadnego znaku. Konspiracja. Tam będzie mógł z nią chodzić pod ramię ulicami wielopiętrowych domów o nie kończących się oknach. Będzie mógł śpiewać na głos. *„Dżimmi szkipier z anglijskoj szkuny, pławał dwienadcat let... Hej, hej, Sowiety, swabodnaja strana, wsiem primierom służyt ana-a-a..."* Co Marian ma do Tyszyka? Co Sonia Kogan ma do Tamary?... Boże! Ona mnie przecież nie kocha! Moje listy pokazywała! Dyskrecja, przesąd ginącego świata. Ja bym dla partii też wszystko zrobił... Ona mnie nie kocha? A jednak! Ona mnie nie może zapomnieć. To niemożliwe, żeby ona mnie zapomniała. I wszystko złe, co o niej powiedzą, jest kłamstwem. Kopnął pustą flaszkę.

Schodząc na dół znalazł się po drugiej stronie parku ze strzyżoną aleją grabową. Wysoki grabowy żywopłot i piękna droga, jakiej nigdy w życiu nie widział, połyskiwały w cytrynowym świetle słońca. — Ja jej jeszcze pokażę! — krzyknął sam do siebie i obejrzał się. Aleja była pusta i nikt go nie słyszał.

Skręcił w bok. W białym pawilonie ludzie jedli lody. Henryk poprosił o zsiadłe mleko i czarny chleb z masłem. Grało radio. Fogg śpiewał: „Znam takie oczy, niebieskie i duże...". Paczka abiturientów mówiła o wypracowaniach maturalnych z polskiego. Płacili pięć złotych od tematu. Henryk zjadł też lody, kremowe ciastko. Jeszcze wciąż było jasno — długi majowy zmierzch. Park gwałtownie napełnił się młodzieżą. Całe gromady chłopców i dziewcząt czekały tego zmierzchu. Obejmowano się już u wejścia.

Henryk wyszedł z parku. Spojrzał na zegarek: była ósma. Na Zyblikiewicza wskoczył do tramwaju.

Kręcił się jeszcze po placu Bema, gdy była za piętnaście dziewiąta. Wreszcie Sonia Kogan przybiegła zziajana po swoich korepetycjach.

— Nic nie znalazłam. Nie miałam czasu szukać. Dzisiaj jeszcze prześpisz się u Rajsa. Biegiem, żebyś się nie spóźnił. Jutro masz być u Jadzi. Wieczorem.

— W jakiej sprawie?

— Dowiesz się od Mariana.

— Od Mariana? Na pewno?

— Tak, od Mariana.

Henryk chwycił małą Sonię w ramiona.

— Jestem szczęśliwy! Jestem szczęśliwy!

— Zostaw, wariat, na ulicy! — krzyknęła Sonia. — Leć, bo zamkną bramę! — wołała jeszcze za nim.

*

Znowu padał deszcz aż do południa. Był to najdłuższy dzień w życiu. Znowu poszedł do parku Stryjskiego. W samotnych alejkach abiturienci wkuwali do matury.

„Jestem dzieckiem szczęścia. Jestem dzieckiem szczęścia." Henryk zaciągał się jak mógł najgłębiej dymem papierosa. Gdy go Tamara ujrzy w Charkowie albo w Moskwie, powie jej, że dla komunisty nie ma rzeczy niemożliwych. Źle spał tej nocy. Budził się z uczuciem, że pada.

Henryk usiadł na ławce, zmęczony całodziennym chodzeniem. Założył ręce na tył głowy. Słońce prażyło. Powieki same opadały. Głowa przechylała się na ramię. Oparł się łokciem o poręcz. Zbudził się zlany potem. Serce waliło. Podniósł głowę, ciężką od napływu krwi. Minęło zaledwie dwadzieścia minut. Przesiadł się na drugą ławkę, pod różowo kwitnącym kasztanem. Nagle zachmurzyło się i zaczęły padać grube krople deszczu. Trwało to parę chwil, chmura roztajała w słońcu. Ale Henryk wyszedł z parku. W grudniu byłby już dawno wieczór. Zmierzał ku ulicy Jabłonowskich. Nic się nie zdarzyło po drodze, żeby się zatrzymać, przypatrzeć, skrócić czas. Henryk przychodził przedwcześnie. Stanął przed domem z bijącym sercem. Piętnaście po czwartej. Jeszcze daleko do wieczora. Sonia nie podała godziny. Wszedł do sieni. Przyłożył ucho do drzwi. Cicho zapukał. Raz... potem drugi. Wyszła Jadwiga, blada, z posiniałymi wargami.

— Ach, to ty! — westchnęła z ulgą. — Wejdź!

Marian leżał na kanapie. Henryk stał blisko drzwi, zatrzymał się.

— Sonia mi mówiła... nie mówiła o której... Nie wiedziałem, czy teraz zastanę...

— Tak, tak, dobrze, żeś przyszedł, bo muszę zaraz wyjść. — Marian podniósł się i wciągnął buciki. — Siadaj sobie. Napijesz się herbaty.

Henryk usiadł. Ukrył pod stołem dygocące ręce. Skinął głową, że się napije.

— Wiesz — zaczął Marian stawiając nogi na podłodze — doszliśmy zgodnie do przekonania, że jak 2 × 2 powinieneś pracować w redakcji. Co ty na to? — Marian powiódł dłonią po łysinie. — Ma się wiedzieć, że to zależy od ciebie. Chcesz?

— W redakcji? — Henrykowi skrzywiły się wargi jak do płaczu. — Już raz pracowałem w redakcji — Henryk próbował się uśmiechnąć.

— Tak? Nic o tym nie wiem. Tym lepiej. Od ostatniej wsypy — kiedy to było, Jadziu? — nikt tam porządnie ulotki nie może sklecić. Masz żyłkę literacką.

— Ja literacką żyłkę? Skąd? Już dawno nie!

— Nie szkodzi, Sonia też mówiła, że masz literacką żyłkę.

— Skąd ona wie?

— My wszystko musimy wiedzieć. Zwłaszcza jak bierzemy kogoś na odpowiedzialną robotę. Rozumiesz?

— Towarzyszu Marianie! — wykrztusił z siebie Henryk i urwał.

— Słucham ciebie uważnie. — Marian skinął zachęcająco głową.

— Ja nie mogę.

— Et tam, gadanie, pomożemy ci!

— Towarzyszu Marianie!... Proszę was bardzo... Ja nie chcę.

— „Ja nie mogę", „ja nie chcę". Czy ci nie wstyd?
— Myślałem, że mnie wzywacie w innej sprawie, towarzyszu...
— W jakiej?... A mianowicie...
— Sami mówiliście mi... w sprawie wyjazdu.
— Ach, tak. Dobrze, ale tak piorunem takie rzeczy nie idom.
— Mogę poczekać, ale żebym wiedział, że na pewno.
— U nas nic nie ma na pewno. Dziś robisz to, jutro partia każe robić tamto. Co partia każe. Wyjazd twój ma słabe uzasadnienie... właściwie... W partii jesteś krótko. Żaden wyrok ci nie grozi. Policja cie nie szuka. A tutaj jesteś potrzebny.
— Ale ja nie chcę pracować w redakcji.
— Dlaczego? Będziesz mógł pisać artykuły, odezwy. Dostaniesz osobny pokój, trochę forsy na życie. Na żadnom masówke nie wolno ci będzie chodzić, na żadnom demonstracje, z nikim skompromitowanym nie wolno ci bedzie sie spotykać.
— Ależ ja nie dlatego, towarzyszu! Ja się nie boję. Ja się żadnej roboty nie boję. I do Związku Sowieckiego nie uciekam dlatego, żebym się bał więzienia...
Jadwiga gwałtownie pompowała prymus. Zasyczało. Towarzysz Marian odwrócił się.
— Zawsze cie prosiłem, żeby nie tak mocno. Trza, żebyś kupiła elektrycznom kuchenke, żebyś nie musiała... Towarzyszu — zwrócił się do Henryka — nikt ciebie nie podejrzewa o tchórzostwo czy dekownictwo ani o oportunizm. Przeciwnie...
— Ja się do redakcji nie nadaję. Ja do redakcji nie pójdę.
— A ja ci powiem — Marian podniósł rzadkie, jasne brwi — że ty sobie to sam wyklarujesz, obmyślisz. Powinieneś się czuć zaszczycony takim wyróżnieniem.
— Nie zasługuję na to. Mało jeszcze umiem.
— Opinie o sobie zostaw partii.
— Ależ ja swoje możliwości znam chyba najlepiej! — krzyknął Henryk.
— Ostatecznie jak nie, to nie! Nie powiem, żeby można cie było nazwać zdyscyplinowanym członkiem partii. Ale trudno...
Jadwiga podała herbatę. Tylko dwie szklanki.
— Ty czemu nie pijesz? — spytał Marian gładząc Jadwigę po ramieniu.
— Nie chce mi się pić. — Postawiła cukier i herbatniki.
— Tak się rzecz ma cała — uśmiechnął się Marian do Henryka. — Mało jest dobrych, ładnych towarzyszek tutaj na miejscu? Musisz jechać do Związku? Nie zawracaj ty sobie głowy Tamarom. Radzę ci... Z tej mąki chleba nie bedzie. Mówie ci, ona nie jest dla ciebie...
— Co wy, towarzyszu, możecie o tym wiedzieć? — Henryk czuł, jak powiało chłodem z tyłu głowy.
Towarzysz Marian spojrzał nań ostro. Przez dłuższą chwilę nie spuszczał z Henryka wodnistych oczu.
— Towarzyszu Jarosz — powiedział spokojnie — jest decyzja, że macie pójść do redakcji.
Zapanowała cisza.
— Kiedy mam pójść? — zapytał Henryk wstając z krzesła.
— Nawet jutro.

— Dobrze — Henryk kiwnął głową.

— Już odchodzisz? Wypij naprzód herbatę. — Towarzysz Marian pokazał ręką pełną jeszcze szklankę. — Złapać cię można przez Sonię? Przez nią dostaniesz kontakt. Dobra?

Henryk kiwnął głową. Pożegnał się i wyszedł.

*

Tej nocy Henryk spał u wujka Gustawa.

— Chciałeś, żebym pojechał na świeże powietrze — powiedział wujowi. — Daj mi forsę, to pojadę.

Wujek biegał wokół niego kuśtykając drewnianą nogą.

— Chory jesteś? Słaby jesteś? A mówiłem ci — martwił się wujek.

— Nie. Tylko chcę wyjechać. Już mam wszystkiego dość.

— Dam ci forsy, synu. Dam ci forsę. O to się nie bój. Jeszcze marniejszy jesteś na twarzy niż pierwszym razem. Choryś? Co ci jest? Ty się tak kręcił po mieście bez centa przy duszy. Heniu! Głodny byłeś?

— Wcale nie byłem głodny. Czego wujek ode mnie chce? — krzyknął Henryk.

— Nic. Dam ci forsę. Tylko jedź! Gdzie chcesz jechać? Może do Żełemianki. Mecenas Reiss ma tam jeszcze swoją... swoją...

— Jeszcze się zastanowię.

— Nie chcesz, to nie. Ale... *Ne m'engeule pas.*

— Czego wujek chce?

— Idź do łóżka. Jutro lepiej będzie pogadać.

— Nie mam o czym gadać!

— Tym lepiej. Idź spać.

— Nie mogę jeszcze spać.

Wujek bębnił palcami o zdrowe kolano.

— Taak. Bądź jakiś człowiek...

— Jestem komunistą. To więcej niż człowiek.

— Ale coś cię boli. Powiedz mi co. Nie masz nikogo na świecie.

Henryk zwiesił głowę.

— No, powiedz — nalegał wujek — powiedz.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Dlaczego ty poszedł wtedy i nie wrócił? Ja cię obraził?

— Nie chciałem wujkowi przeszkadzać.

— Mnie? Ty durny?

— Tak. Ze Stasią...

Wujek wstał. Lekko zwisające policzki mu się trzęsły.

— Idź spać! Idź spać!

Henryk wstał. Poczuł na swym ramieniu silny uchwyt dłoni. Dał się prowadzić. Został sam w ciemnym pokoiku. Po chwili wujek wrócił i zapalił światło. Pomógł Henrykowi się rozebrać. Nie wychodził, póki się nie położył. Potem siadł sobie na brzegu łóżka.

— Co ci jest, Heniu? — spytał.

Henryk milczał. Mocno zacisnął powieki.

— Coś niedobrego spotkało cię? Powiedz.

— Tak — wykrztusił Henryk.
— Jakieś nieszczęście?
Henryk kiwnął głową.
— I nic nie da się zrobić?
— Nic.
— Ktoś umarł?
Henryk zaprzeczył ruchem głowy.
— Jak nie umarł, to się jeszcze da zrobić. Coś się stało z tą... twoją...?
Henryk milczał, odwrócił się do ściany.
— No, dobra. — Wujek wstał. — Wyśpij się.
Henryk gwałtownie się podniósł, chwycił wujka za rękę.
— Wujek jeszcze poczeka...
— Tak?... — Wujek pochylił głowę. — Tak, tak, no, no... — chciał słuchać.
Henryk zacisnął wargi.
— Chciałeś coś? Powiedz co — nalegał wujek.
— Nie. Nic, nic.
— To pogadamy jutro.
Henryk lekko kiwnął głową.

IV

Henryk zdecydował się wyjechać i powiedział to Stasi u siebie w pokoiku.

Zdecydował się wyjechać po rozmowie z Rajsem. Znalazł go w łóżku jeszcze w porze obiadowej. Rajs napisał parę słów do brata w Ostrogu. Nie był partyjny. To dobrze. Henryk wolał bezpartyjnego.

Nikt o niczym nie może wiedzieć, nawet Sonia Kogan. Że nawet Sonia Kogan — wydało się Rajsowi dziwne. Zawsze myślał, że Sonia Kogan o wszystkim musi wiedzieć. To niedobrze, że Henryk jedzie sam jeden. Do Ostroga powinien jechać w jakimś towarzystwie. Najlepiej z dziewczyną, jako para zakochanych. Dwie osoby są mniej podejrzane niż jedna. Samotny mężczyzna w pasie nadgranicznym — to bardzo podejrzane.

W pokoiku było chłodno od ocienionego ogrodu.
— Po to pan mnie wołał! — Stasia była zła.
— Już mnie nie lubisz? — spytał Henryk.

Stasia wzruszyła gwałtownie ramionami. Wyszła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Henryk poszedł za nią. Stała w dużym pokoju przy oknie i wyglądała na ulicę. Na chodniku krzyczały rozbawione dzieci. Gdy Henryk się zbliżył, Stasia nagle odwróciła się z oczami pełnymi łez.
— Czego chcesz ode mnie? Daj mi spokój!
— Nie wierzę, żeby uczucie mogło zniknąć bez śladu — powiedział Henryk.
Stasia stanęła na środku pokoju. Henryk wyciągnął do niej rękę.
— Posłuchaj, Stasiu — perswadował jej.
— Czego właściwie chcesz? — Głos jej załamał się.
Henryk pogłaskał ją po głowie.
— Powiedz, czy nie mam racji? Bo chcę cię o coś poprosić.
— Już się jakoś uspokoiłam, to teraz chcesz mnie znowu zababrać.
— Zababrać? Nie rozumiem. Ja tylko nie wierzę, że można przestać kochać.

— O co idzie, Henryku? Czy ty coś czujesz do mnie? — podniosła ku niemu oczy.

— Ja do ciebie? Ja do ciebie... Hm. Sam nie wiem, co ja do ciebie czuję. W każdym razie nie miłość.

— Więc co chcesz? Zostaw mnie w spokoju.

— Ale ja wiem, że mogę przyjść do ciebie i poprosić cię o coś, o co nie mogę prosić nikogo.

— O co?

Henryk wziął ją za rękę i zaprowadził znowu do pokoiku. Posadził ją na krześle. Podszedł do otwartego okna. W sadzie bawił się biały szpic pani w żałobie. Zataczał koła i szczekał. Pani w żałobie, która pokazała mu w pierwszym dniu, gdzie wujek mieszka, oglądała krzaki agrestu. Henryk mocno pocierał skronie palcami.

— Tego, co ci teraz powiem, nie wolno ci nikomu zdradzić. Wujek nie śmie wiedzieć, nikt. Poza tobą, poza mną nikt o tym nie wie. To sprawa życia i śmierci.

— O Jezu! — krzyknęła Stasia.

— Tylko ty jedna możesz mi pomóc. Czy gotowa jesteś mi pomóc?

— O Jezu! — zawołała Stasia.

— Powiedz, czy chcesz mi pomóc? — irytował się Henryk.

— Chcę. Ale co? Co mam zrobić?

— Dla ciebie to nic wielkiego, ale dla mnie to wszystko. Przysięgnij mi, że zachowasz wszystko w tajemnicy.

— Jaki ty straszny!

— Pojedziesz ze mną daleko stąd.

— Dokąd?

— Jak będziemy w pociągu, to ci powiem.

— Jaki ty straszny!

— Pojedziesz?

— Pojadę.

— Dobrze. Idź. Idź już. Wujek wraca.

Z korytarza dochodziło kuśtykanie drewnianej nogi. Stasia cicho wyszła. Henryk rzucił się na łóżko z zasiśniętymi pięściami.

— Ja wam jeszcze pokażę! Ja wam jeszcze wszystkim pokażę — syczał przez zęby.

*

Pociąg jechał przez ciemne pola. Im dalej od Lwowa, tym krótsze były postoje i rzadsze stacje, słabo oświetlone, czasem latarnią z lampą naftową w środku. Nad opuszczonym oknem ciągnęło się czarne niebo, płaska ziemia, z przymglonymi gwiazdami. Powietrze niosło majowe zapachy. Gdy mijali miasteczko nakrapiane z rzadka światłami, widać było opary znad śródmiejskich ogrodów lub stawów. Na większych stacjach, gdzie nabierano wodę, rozlegał się krzyk sprzedawców gazet, napojów i papierosów, opukiwano młotkiem koła pod wagonami, jak kraty w więzieniu. Oparta o ramię Henryka, Stasia spała. Byli sami w przedziale. Na postojach przygrywały słowiki w małomiasteczkowych krzewach. Stasia budziła się na krzyk ogarniętych paniką pa-

sażerów na większych dworcach. Noc była miękka i ciepła od wilgoci ziemi i niedawnego deszczu. Stasia budziła się przerażona krzykiem pasażerów, pytała, czy już, i zasypiała znowu. Policjanci stali u wejścia, nawet w najbardziej zapadłych miejscowościach.

Henryk chciał zasnąć, ale nie mógł. Gdy tylko zapadał w drzemkę, wzdrygał się z uczuciem lęku otwierał oczy. Jechał przerażony i palił papierosy. Język ścierpł mu już od nikotyny. Ilekroć lokomotywa wydawała gwizd i pociąg zaczynał zwalniać, strach ściskał mu serce i żołądek. Krótka majowa noc nie miała końca. Niebo na wschodzie było wciąż ciemne. Ale jak długo było ciemno, jak długo jechał — tłumaczył sobie — nie miał powodu do strachu! Ale potem? Co będzie potem? Ze strachu martwiała mu twarz. Pustym korytarzem przechodził samotny pasażer, zaglądał przez szybę przedziału, ale szedł dalej. Nikt im nie chciał przeszkadzać w miłości. Pod lokomotywą syczała para. Odzywał się spokojny głos konduktora i gwizdki podawane coraz dalej jak hasło. Szarpnięcie ze zgrzytem całego żelaza na szynach i coraz szybszy stukot kół, dźwięczący w ścianach, w szybach całego wagonu. Henryk zsunął ze swego ramienia głowę śpiącej Stasi i wyszedł na pusty korytarz. Dziewczyna przez sen sama ułożyła się na ławce. W korytarzu świeciło żółtawe światełko i gorzej było widać krajobraz niż w przedziale z zepsutą gazową lampą. Henryk przycisnął twarz do szyby, dłońmi osłonił oczy od światła. Wzdłuż wagonów jechał z nimi świetlisty próg, a za progiem rozciągała się nieprzeniknionа noc. Ciemniejsze od niej kłęby, to były drzewa. I nic więcej rozróżnić nie było można. Chrzęściły pomosty buforów. Henryk wrócił do przedziału. Wyciągnął się na drugiej ławce. Zmienny stukot kół nie uspokajał ani nie usypiał. Nagle z ciemności wytrysnęły światła stacji. Henryk dźwignął się. Na budynku dworca był napis: Brody. Boże! Dopiero Brody! Po peronie snuło się parę osób, czekających widocznie na pociąg w przeciwną stronę. Konduktorzy migali ręcznymi latarkami. Pociąg nie stał długo. Wysiadło parę osób, wsiadło parę osób. Stasia się przebudziła i spytała, czy już. Podniosła się, wcisnęła w kąt. Tym razem nie od razu zasnęła.

— Czy jeszcze daleko? — westchnęła.

— Jeszcze cztery, pięć godzin — odpowiedział Henryk.

— Ty przecież nie śpisz. Cały czas nie śpisz.

— A jak trzeba będzie przesiadać, mogę akurat zasnąć.

— Zaśnij. Ja już jestem wyspana. Zbudzę cię, jak będzie trzeba.

Henryk zamknął oczy, wcisnął głowę w zgięte ramię. Pociąg kołysał.

W Zdołbunowie, gdy się przesiadali, był już dzień. Chłopki z bańkami mleka i tłumokami na plecach biegły przez peron. Dwaj Żydzi wsiedli do ich przedziału. Rozmawiali po żydowsku. Jechali z Równego do Ostroga — tyle Henryk zrozumiał.

— *A wy odkuda budietie?* — zwrócił się do Henryka starszy Żyd z brodą.

— Ja nie rozumiem po rosyjsku. Niestety. Pan mówi po rosyjsku — zachwycał się Henryk.

— Pan w Ostrog — przeszedł na polski młody Żyd bez brody.

— Tak, razem z narzeczoną. Na wypoczynek. Chorowałem.

— Na odpoczynek w Ostrog? — pokręcił głową Żyd bez brody.

— *Poczemu niet?* — zwrócił się do niego Żyd z brodą.

— *Poczemu niet?* — zgodził się Żyd bez brody.

— Jeszcze daleko? — spytał Henryk.
— Nie — pokręcił głową Żyd bez brody — kilometrow może trzydzieści.
— A do kogo pan w Ostrog? — spytał Żyd z brodą.
— Do jednego mojego znajomego.
— Do kogo?
— Do jednego znajomego.
— W Ostrogie my wszyscy znajomi — powiedział Żyd bez brody. — Może pan nam powiedzieć.
— Henryku, zobacz, jaki ładny źrebak skacze po trawie — wtrąciła się Stasia.
Wszyscy spojrzeli przez okno.
— Ładne miasto ten Ostróg? — spytała Żyda z brodą, kiedy źrebak znikł. Żyd z brodą pokręcił głową, odpowiedział za niego Żyd bez brody:
— Ostrog... kiedyś, przed wojną, to tak. Ale teraz to nie jest żadne miasto, żeby warto było gadać. Przed wojną był ruch, teraz wszystko umarło. Granica. O ósmej już się siedzi w domu. Ciemno.
Wszedł konduktor. Przywitał się z obu Żydami. Znali się.
— Dojeżdżamy — powiedział Henrykowi.
Pociąg zaczął zwalniać. Koła skrzypiały na szynach. Obaj Żydzi gotowali się do wyjścia. Pociąg zatrzymał się.
— Wysiadać — powiedział Żyd bez brody — Ożenin.
— Ożenin! — nie zrozumiał Henryk.
— Stacja Ożenin.
— Ja jadę do Ostroga.
— Ostrog, Ostrog! — kiwał głową Żyd z brodą.
— Ale jeszcze dwanaście kilometrow. Podwoda jedzie albo awtobus. 2 i pół złoty.
Nie było autobusu, tylko wymoszczony chłopski wóz. Zabrał wszystkich czworo. Jechali ubitą szosą. Po prawej stronie wznosiły się zalesione wzgórza, wysokie, łagodnie zachodzące na siebie falami. Na zboczach bieliły się wiejskie chaty. Po lewej ręce ciągnęły się łąki, ciemne od moczarów, przecięte zygzakami wąskiej, srebrnej rzeki. Zygzaki były gęste jak poplątana nić. A moczary ciągnęły się aż po horyzont.
— Jak się nazywa ta rzeka?— spytał Henryk.
— Horyń — odpowiedział Żyd bez brody. — Ona wąska, ale głęboka. Konie niedawno utonęli. A tam, ot na wprost, Ikwa. Horyń i Ikwa w marcu miesiącu wylali i jeszcze by zerwali most. Ten most ma cztery kilometry i idzie nad moczarami aż do Wielbowna.
Wóz pozostawiał za sobą smugę ciemnego kurzu. Kurz osiadał na czarnych surdutach obu Żydów, na włosach Stasi, na jej słomkowym kapelusiku. Trzymała kurczowo teczkę z jedzeniem.
Pierwsze, co ujrzeli, to błyszczące w słońcu złote kopuły. Dowiedzieli się od Żydów, że to ostrogski sobór. To był piękny widok. To już była Rosja. Coraz częstsze parterowe domki — to już przedmieście Ostroga. Samo miasto zaczęło się od starej ruiny zamku. Wjechali w ulicę miasta. Konie zatrzymały się przed sklepem bławatnym i obaj Żydzi zleźli z wozu. Henryk kazał zatrzymać wóz kilkadziesiąt metrów dalej.
— Gdzie jest ulica Dubieńska? — spytał furmana.

— *Wot* Dubieńska — furman biczem pokazał narożny piętrowy dom.

Przeszli obok sklepu zegarmistrza. Zegarek Henryka pokazywał piątą. Zapomniał go nakręcić. Była dziewiąta. Sklepy już były otwarte. Minęli piekarnię, aptekę z czerwonym szyldem: „Mgr Żółtowski". Cały czas szli w kierunku błyszczącego na wysokim wzgórzu soboru. Za apteką był posterunek policji. Zauważył to w ostatniej chwili. Wziął Stasię pod rękę i przeszedł z nią na drugą stronę ulicy. Najczęściej słychać było język żydowski. Z owocarni wyszli dwaj celnicy w zielonych mundurach. Boczne uliczki, zabudowane drewnianymi domkami, tonęły w zieleni. Henryk spojrzał na numer domu, zbliżali się do celu. Wreszcie stanęli przed dwupiętrowym domem. Sklep zbożowy? Jest. Henryk wszedł do środka sam.

— Ja od Saszy ze Lwowa. Mam list. — Henryk zwrócił się do starszej, otyłej Żydówki, siedzącej nad podłużną książką rachunków.

— *Szto takoje?* — spytała zdejmując z nosa okulary. — *Wy list priwiezli. Nu, dawajtie.* — Wyciągnęła rękę.

— Dla brata. Dla brata, proszę pani.

— Lowa! — zawołała w stronę uchylonych drzwi. Nikt się nie odzywał. — *Proszu was, wajditie* — zrobiła gest ręką.

Henryk wszedł do pustego pokoju. Po chwili zjawił się Lowa. Także brunet, ale znacznie wyższy od brata.

— Jestem tu z narzeczoną — Henryk pokazał głową w stronę ulicy.

— Pan powie, żeby weszła.

Henryk poprosił Stasię do środka. Pani Rajsowa nawet nie podniosła oczu znad książki z rachunkami. Ale Henryk ją przedstawił:

— Moja narzeczona, proszę pani.

Rajsowa spojrzała ponad okularami na syna, kiwnęła głową i powiedziała:

— *Nu, charaszo.*

— Mam list do pana od brata ze Lwowa — powiedział Henryk, kiedy znowu znalazł się z Lową w pokoju. Byli sami. Stasia została w sklepie.

Lowa przeczytał list i podrapał się w głowę.

— Oj, oj! Taż to wariat ten Sasza — powiedział. — Taż to teraz bardzo trudno.

— Ja zapłacę, ile trzeba. Mam sto złotych, mogę wszystko dać.

— Mnie? — Lowa wzruszył ramionami. — Mnie nie trzeba płacić. Ja nie jestem od tego, proszę pana. Ale jeszcze pogadamy. Zawołał pan narzeczoną? Jesteście pewnie głodni, trzeba wam dać zjeść, a potem pogadamy. Wy tu będziecie jeść, a ja wyjdę. Możecie się oczyścić, umyć, taki kurz na Tatarskiej szosie. — Strzepnął delikatnie kurz z rękawa granatowej marynarki Henryka. — Tak nie możecie się kręcić po Ostrogu. Musicie siedzieć tu i nie wychodzić na ulicę. Poczeka pan, aż wrócę. — Wyszedł do kantoru, poprosił Stasię i wrócił po chwili. — W misce jest woda — uśmiechnął się do niej. — To nie Lwów. Tu komfort nie ma. Proszę poczyścić się, umyć się, zjeść. Wszystko, aż ja wrócę. Dobrze?

Lowa wrócił dopiero na obiad.

— Czy dwie osoby? — spytał.

— Nie, tylko ja — powiedział Henryk. — Narzeczona wraca najbliższym pociągiem.

— To po co ona przyjechała? Nu, ale już! Za dwie godziny pociąg wraca

z Mohylan. Ten sam, którym pan przyjechał do Ożenina. Trzeba, żeby narzeczona pojechała zaraz autobusem. Autobus staje na Dubieńskiej koło komendy policji. — Lowa uśmiechnął się. — Musi pani sama pójść. Za piętnaście minut autobus odchodzi. Jest jeszcze czas, niedużo.

Stasia miała śmiertelnie bladą twarz. Wstała, podała rękę Lowie. Podeszła do Henryka. Chwilę stali oboje bez słowa. Henryk wyciągnął do niej rękę. Stasia rzuciła mu się na szyję. Wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Henryk oderwał ją od siebie.

— No, uspokój się — prosił — uspokój się.

Stasia ukryła twarz w chustce. Ramionami jej wstrząsał szloch.

Henryk odprowadził ją do drzwi sklepu.

Pani Rajsowa patrzyła na zapłakaną dziewczynę. Kręciła głową i pokazywała Lowie, że nic nie rozumie. Syn uspokoił ją ruchem ręki.

Stasia wyszła.

— Musiała teraz pojechać — usprawiedliwiał się Lowa. — A jak się z panem coś stanie na granicy? To ją mogą znaleźć u mnie. Po co? A tak nic nie wiem i koniec.

V

Po ulicy Dubieńskiej szli spacerowicze. To było ich korso. Jak w Oporcu ulica 3 Maja, a we Lwowie Akademicka. Złote banie soboru błyszczały nad miastem czerwono od zachodu słońca. Skręcili w boczną uliczkę z czarnymi, zapadającymi się w ziemię drewnianymi domkami. Przez drewniane płoty zwisały gałęzie z przekwitniętym kwieciem wiśni. Wyszli na Krasnogorkę, przecięli park z wysokim gmachem gimnazjum. Na frontonie Henryk przeczytał: im. Marii Konopnickiej. Klonową aleją zeszli w dół i niespodzianie ukazała się im rzeka, lśniąca, powolna, wąska, zawiła, płynąca gęstymi łukami nie kończącej się, nierównej litery „m".

— Rzeka jest wąska, ale głęboka — powiedział Lowa — konie w niej niedawno utonęli.

Zostawili park za sobą. W dole ukazała się łąka, dachy kilku domków wśród kępy drzew.

— Teraz już pan pójdzie sam, a ja zawrócę — powiedział Lowa. — Pan widzi ten domek, nie, nie ten, za tamtym czarnym dachem. Tak. Tam pan wejdzie do środka. Nu, szczęśliwej drogi. Życzę panu, żeby wszystko poszło dobrze. Pan szczęśliwy, że wreszcie stąd ucieknie.

— O, tak, jestem szczęśliwy.

— Nu, niech pan idzie śmiało. Ja tu będę stał, będę z daleka patrzył, czy dobrze pan trafił. Tylko niech pan uważa, tu już się zaczynają moczary. Tu naokoło dużo moczarów.

Pożegnali się.

Pustą drożyną chłopak bosy pędził krowę do domu.

Henryk zatrzymał się, spytał go, dlaczego tak wcześnie wraca z paszy, ale chłopak pokręcił tylko głową i poszedł dalej. Henryk jednak trzymał się go blisko. Spytał, gdzie mieszka. Chłopak pokazał palcem.

— To idziemy razem. Ja też tam idę — powiedział Henryk.

Chłopak spojrzał na Henryka spode łba i nie odezwał się słowem.

Dom miał obszerne obejście. Z chaty wyszedł siwy chłop o długich włosach i małych oczkach. Zaprowadził Henryka do izby. Chłopiec zapędził krowę do obory.

— *Nichto ne baczył?* — spytał starzec Henryka.

Henryk pokręcił głową i pokazał wracającego z obory pastucha.

Starzec potarł dłonią nos.

— *Ce mij wnuk, synoczku* — powiedział i wyszedł znowu na dziedziniec.

Po chwili wrócił, wyciągnął spod ławki dużą bańkę po konserwie, czarną od smoły. W środku tkwił pędzel gruby jak szczotka malarska. Henrykowi ręką pokazał, żeby sobie usiadł na ławce pod ścianą. Wnuk, który przygnał krowę, zapuszczał żurawia do studni, potem wylewał wodę z wiadra do cebrzyka. Spóźniona kwoka przyprowadziła pisklęta przez uchylone drzwi i siadła z nimi we wnęce dużego pieca, zajmującego pół izby. Pisklęta naprzód ukryły się pod skrzydłami matki, a potem zaczęły wyłazić jej na grzbiet. Na podwórzu źrebak pił z cebrzyka. Zrobiło się już ciemno i w starej szopie chłop zaświecił latarnię. Wnuk wszedł do szopy.

Obaj wrócili do izby. Stary postawił świecącą się latarnię na stole, czuć go było smołą, ręce miał czarne. Wnuk też miał ręce czarne. Stary zdjął z płyty żelazny sagan i wlał do glinianej misy kartoflaną zupę. Przygotował trzy łyżki i jedną dał Henrykowi. Henryk nie mógł jeść. U Lowy w domu też nie tknął obiadu. Nie mógł jeść.

Kiedy obaj zjedli, dali znak Henrykowi, że już, i wszyscy trzej wyszli.

Stary stanął, podniósł lekko głowę i wsłuchiwał się przez chwilę w szmer gęstniejącej coraz bardziej ciemności. Potem kiwnął na wnuka. Przed szopą leżała czarna łódka. Wzięli ją za oba końce i podnieśli.

— *Idemo* — powiedział stary do Henryka, dając mu znak, żeby zdjął buty i włożył do łódki. Stary i jego wnuk byli boso. Na tyłach chaty zaczęły się od razu mokradła. Powietrze było gęste od wilgoci.

Nogi chlupotały w błocie. Mimo że dźwigali łódkę, stary i wnuk szli szybko.

Stanęli. Teraz woda sięgała do łydek. Pod stopami Henryk wyczuwał śliski szlam.

Wnuk i stary opuścili łódkę na wodę i popychali przed siebie. Kiedy woda stała się głębsza, stary kazał Henrykowi wejść do łódki. Potem sam wszedł. Wnuk wycofał się z wody i został na brzegu. Stary odpychał łódkę. Było ciemno. Jakieś rozlewisko, a nie rzeka. Jakiś stojący staw, nie wiadomo jak duży. Wiosło czasem głośniej plusnęło. Płynęli tak długo. Niebo było ciemne, wilgotne, zasnute mgłą, bez gwiazd. Łódka uderzyła dziobem o grunt i Henryk myślał, że to już drugi brzeg. Ale teraz dopiero dostali się w nurt rzeki.

Do drugiego brzegu było niedaleko. Czerniał kępami zarośli.

— *Ona hłuboka, koni potopyłysia* — szepnął chłop. Stary nagle odepchnął się piórem wiosła, kilku mocnymi uderzeniami przeciął nurt prostopadle i znaleźli się na środku rzeki.

Starzec zanurzał wiosło miękko, to z jednej, to z drugiej strony łódki. Łódź szła prosto do brzegu. Henryk poczuł bosą nogą, że woda przecieka. Nie ruszając się z miejsca obmacywał dno łódki, poszukując szczeliny. Szepnął, że przecieka. Stary warknął. Henryk wziął do ręki buty, położył je na kolanach. Nogawki spodni miał przemoczone do łydek. Łódka powoli przecinała rzekę

w poprzek. Wolno posuwała się po czarnej wodzie. Niebo też było czarne. Ani jednej gwiazdy. „To dobrze. Mam szczęście .Jeszcze parę chwil. Parę tylko chwil. Parę tylko chwil..."

Dziób uderzył o miękki brzeg. Pierwszy wyszedł stary, przywiązał łódkę. Pod Henrykiem ugięły się kolana, kiedy poczuł pod stopami ziemię. Sowiecką ziemię. Czy to już jest sowiecka ziemia?

Henryk chciał włożyć buty. Stary machnął ręką, żeby tego nie robił. Znowu zaczęły się błota, głębokie po kostki. Chłop pokazywał drogę, znał ją po ciemku. Kiedy Henryk nie trzymał się śladów starego, zapadał się w mokradle po kolana. Stary pomagał mu się wydostać. Szli tak długo. Z Henryka lał się pot. Cuchnęło od zgniłej wody. Henryk sapał. Stary zatrzymał się. Czekał, aż Henryk się przybliży.

— *Uże nedałeczko* — powiedział.

Stary wziął Henryka za rękę.

— *Tuda.*

Henryk zrobił krok. Pod stopami była twarda ziemia. Usiadł, chciał odpocząć, ale stary pozwolił mu tylko włożyć buty.

— *Uże nedałeko...*

Henryk był u kresu sił. Teraz droga prowadziła pod górę. Henryk ciężko dyszał. Nagle stary dotknął jego ramienia.

— *Uże.*

— Już? — krzyknął Henryk. — Już — szepnął ciszej. Wpatrywał się w ciemności, przed siebie. Wyprostował się. Stali na wzgórzu.

— *Nu, teper możete zapłatyty* — powiedział stary.

Henryk wyciągnął portfel i oddał mu wszystko, co miał.

— Dziękuję — Henrykowi drżał głos.

— *Teper, pered sebe, pered sebe* — chłop przecinał ręką powietrze i pokazywał Henrykowi daleką, czarną przestrzeń.

— *Szczasływoj dorohy* — powiedział jeszcze. Ale Henryk tego już nie słyszał, oczami pełnymi łez wpatrzony w daleką, czarną przestrzeń.

Julian Stryjkowski

Włodzimierz Piotrowski

DRZEWO

I

Drzewo udręki
Pień pradziad
w mundurze z cementu
z dwoma rzędami zgasłych sęków
czarnym sumem u czuba
wroną
na postrach

Złamane konary dziadów
kikuty gałęzi
stryj zmarznięty o wschodzie
ojciec spalony o zachodzie

Śmieszne liście osiki
po południu
czekające
na zmierzch
na ostatni huragan

II

Drzewo goryczy
Nasze płody
żywiczne krwi skrzepy
płyną kanałami miast
Pąki
którym nie dane rozkwitnąć

Korzenie spragnione
u wyschniętych źródeł
Nadziei

liście bez rosy
chłonące ogień alkohole

Włókna pijące gorycz posuchy
na ziemi
której solą
nam być obiecano

III

Drzewo rozpaczy
Załamane
ręce gałęzi naszych
kora zmarszczona
dojrzewaniem przedwczesnym

schylone czoła patrzą
na dłonie liści
opadłych
gąsienicami
czasu

Drwal już się nam przygląda
Chmury błyskaniem grożą

rąk załamanych gestem
dajemy znak protestu

Najdoskonalsze tworzywo
któremu
kazano oglądać
wielkie grzyby zniszczenia

Włodzimierz Piotrowski

Izaak Babel

GUY DE MAUPASSANT

Zimą 16-go roku znalazłem się w Petersburgu z fałszywym paszportem i bez jednego grosza. Przygarnął mnie nauczyciel rosyjskiego — Aleksy Kazancew. Mieszkał na Piaskach, na wymarzłej, żółtej, smrodliwej ulicy. Dodatek do skąpych poborów dawały mu tłumaczenia z hiszpańskiego. W tym okresie zaczynał cieszyć się rozgłosem Blasco Ibanez.

Kazancew nie bywał w Hiszpanii nawet przejazdem, ale miłość do tego kraju wypełniała jego istotę — znał w Hiszpanii wszystkie zamki, ogrody i rzeki. Oprócz mnie do Kazancewa lgnęło całe jeszcze mnóstwo wysadzonych z siodła ludzi. Przymieraliśmy głodem. Czasem jakieś bulwarowe piśmidełka drukowały drobną czcionką nasze wzmianki o wypadkach.

Rankami pętałem się po kostnicach i komisariatach.

Kazancew był jednak szczęśliwszy od nas. Miał swoją ojczyznę — Hiszpanię.

W listopadzie trafiła mi się posada biurowa w Zakładach Obuchowskich, posada niezła, dająca zwolnienie od służby wojskowej.

Nie zgodziłem się być biuralistą.

Już w tym okresie — mając lat dwadzieścia — powiedziałem sobie: lepszy już głód, więzienie, tułactwo niż ślęczenie za biurkiem po 10 godzin dziennie. Szczególnej śmiałości w tej zasadzie nie ma, ale nie sprzeniewierzyłem się jej i nie sprzeniewierzę. Mądrość praojców utkwiła mi we łbie: jesteśmy stworzeni dla rozkoszowania się pracą, walką, miłością, właśnie po to jesteśmy stworzeni, nie po co innego.

Słuchając moich wywodów Kazancew czochrał sobie żółty, krótki puch na głowie. Zgroza w jego spojrzeniu łączyła się z zachwytem.

Na gwiazdkę przypadł nam szczęśliwy los. Mecenas Benderski, właściciel wydawnictwa „Alcjona", postanowił opublikować nowe wydanie dzieł Maupassanta. Do tłumaczenia zabrała się żona pana mecenasa — Raisa. Z pańskich zachcianek wyszły nici.

Kazancewa, jako tłumacza z hiszpańskiego, zapytał wydawca, czy nie zna czasem człowieka, który mógłby pomóc pani Raisie. Kazancew polecił mnie właśnie.

Następnego dnia przywdziawszy cudzą marynarkę udałem się do Benderskich. Mieszkali na rogu Newskiego Prospektu i Mojki, w domu wzniesionym

z fińskiego granitu i oblepionym różowymi kolumnami, blankami, kamiennymi herbami. Bankierzy bez imienia i przeszłości, neofici wzbogaceni na dostawach pobudowali w Petersburgu przed wojną mnóstwo tych trywialnych, pozornie monumentalnych zamków.

Schody wyłożone były czerwonym dywanem. Na podestach stały dęba pluszowe niedźwiedzie. W otwartych ich paszczękach płonęły kryształowe lampiony.

Benderscy mieszkali na trzecim piętrze. Drzwi otworzyła pokojówka w czepeczku i z wyniosłym biustem. Wprowadziła mnie do salonu umeblowanego w stylu starosłowiańskim. Na ścianach wisiały sine obrazy Roericha — przedhistoryczne głazy i potwory. Po kątach — na ołtarzykach — rozstawione były stare ikony. Pokojówka z wyniosłym biustem uroczyście sunęła przez pokój. Była postawna, krótkowzroczna, godna. W jej szarych, szeroko otwartych oczach zastygła rozwiązłość. Dziewczyna ruszała się powoli. Pomyślałem sobie, że w miłości jest chyba za to diablo żwawa. Wisząca nad drzwiami brokatowa kotara zakołysała się. Wnosząc duże piersi weszła do salonu czarnowłosa kobieta z różowymi oczyma. Nie trzeba było wiele czasu, aby rozpoznać w Benderskiej przedstawicielkę tego urzekającego gatunku Żydówek, które przybywają do nas z Kijowa i Połtawy, ze stepowych, sytych miast, wysadzanych kasztanami i akacjami. Pieniądze obrotnych swoich mężów kobiety te przetapiają w różowy tłuszczyk na brzuchu, na karku, na krągłych ramionach. Senny, łagodny ich uśmiech odbiera przytomność oficerom miejscowych garnizonów.

— Maupassant — to jedyna namiętność mego życia — powiedziała mi Raisa.

Starając się powściągnąć kołysanie dużych bioder wyszła z pokoju i wróciła z przekładem *Miss Harriett*. W jej tłumaczeniu nie zostało ani śladu z frazy Maupassanta — swobodnej, płynnej, o długim, namiętnym oddechu. Benderska pisała w sposób nużąco prawidłowy, martwy i nonszalancki — tak jak dawniej Żydzi pisali po rosyjsku.

Zabrałem rękopis do siebie i w domu, na mansardzie Kazancewa — gdy inni spali — całą noc przerąbywałem przesieki w cudzym tłumaczeniu. Nie jest to taka parszywa robota, jak się zdaje. Fraza rodzi się w kształcie jednocześnie i złym, i dobrym. Tajemnica sprowadza się do ledwie wyczuwalnego przesunięcia. Dźwignia powinna dobrze leżeć w dłoni i grzać się w jej cieple. Użyć jej należy raz tylko, a nie dwa.

Rano odniosłem poprawiony rękopis. Raisa nie kłamała, kiedy mówiła o swojej pasji do Maupassanta. Siedziała podczas czytania składając ręce: atłasowe te ręce spływały ku ziemi, czoło jej bladło, koronka między obciśniętymi piersiami odchylała się i drżała.

— Jak pan to zrobił?

Wtedy zacząłem mówić o stylu, o armii słów, o tej armii, w której manewrują wszystkie rodzaje broni. Żadne żelazo nie może wejść w ludzkie serce z tak mrożącą siłą, jak kropka w porę postawiona. Słuchała skłaniając głowę i rozchylając karminowane wargi. Czarny promień błyszczał w lakierowanych jej włosach, równo przygładzonych, rozczesanych na przedział. Opięte pończochą nogi o silnych i delikatnych łydkach rozstawiły się na dywanie.

Pokojówka, patrząc w bok skamieniałymi, rozpustnymi oczyma, wniosła śniadanie na tacy.

Szklane petersburskie słońce kładło się na zblakły, nierówny dywan. 29 tomów Maupassanta stało nad biurkiem na półce. Słońce tańczącymi palcami muskało safianowe grzbiety książek — piękną mogiłę ludzkiego serca.

Podano nam kawę w granatowych filiżankach i zaczęliśmy tłumaczyć *Idyllę*. Któż nie pamięta opowiadania o tym, jak głodny, młody cieśla uwolnił grubą mamkę od nadmiaru ciążącego jej mleka. Zdarzyło się to w pociągu z Nicei do Marsylii, w upalne południe, w kraju róż, w ojczyźnie róż, tam, gdzie plantacje tych kwiatów dochodzą aż do brzegu morza.

Wyszedłem od Benderskich z 25-cioma rublami zaliczki. Nasza komuna na Piaskach wstawiła się tego wieczoru jak stado pijanych gęsi. Jedliśmy łyżką ziarnisty kawior i przegryzali go leberką. Podpiwszy sobie, zacząłem urągać Tołstojowi.

— Przestraszył się wasz pan hrabia, stchórzył... Jego religia — to strach... Przeląkł się chłodu i starości pan hrabia, więc uszył sobie kaftan z wiary...

— I co jeszcze? — kiwając ptasią głową pytał mnie Kazancew.

Posnęliśmy obok własnych posłań. Przyśniła mi się Katia, czterdziestoletnia praczka mieszkająca pod nami. Rankami braliśmy u niej wrzątek. Twarzy jej nie zdążyłem nawet nigdy dobrze się przyjrzeć, ale we śnie wyprawialiśmy z Katią bógwico. Zamęczyliśmy się wzajemnie pocałunkami. Nie mogłem się powstrzymać następnego ranka, żeby nie pójść do niej po ten wrzątek.

Zobaczyłem zwiędłą, owiniętą na krzyż szalem kobietę z rozpuszczonymi kosmykami popielato-siwych włosów i rozmiękłymi od wody rękoma.

Od tej pory co rano jadłem śniadanie u Benderskich. Na naszej mansardzie pojawił się nowy piecyk, śledź, czekolada. Dwa razy Raisa zabrała mnie na przejażdżkę na wyspy. Nie wytrzymałem i opowiedziałem jej o moim dzieciństwie. Opowieść okazała się ponura, ku memu własnemu zdziwieniu. Spod kreciej czapeczki patrzyły na mnie błyszczące, wylękłe oczy. Rude, mechate rzęsy drżały żałośnie.

Poznałem męża Raisy — żółtolicego Żyda o gołej głowie i spłaszczonym silnym ciele, napiętym do krzywego lotu. Chodziły gadki o jego bliskich kontaktach z Rasputinem. Zyski, jakie ciągnął z wojskowych dostaw, nadały mu wygląd opętańca. Oczy mu latały, tkanina rzeczywistości rozpełzała mu się w rękach. Raisa była zażenowana przedstawiając nowych ludzi swojemu mężowi. Byłem w latach tak jeszcze zielonych, że połapałem się o tydzień później, niż należało.

Po Nowym Roku do Raisy przyjechały z Kijowa jej dwie siostry. Przyniosłem któregoś razu rękopis *Wyznania* i nie zastawszy Raisy raz jeszcze przyszedłem wieczorem. W jadalni był właśnie obiad. Dochodziło stamtąd srebrzyste, kobyle rżenie i gwar męskich głosów niezmiernie czymś rozbawionych. W bogatych domach bez tradycji zachowują się przy stole hałaśliwie. Hałas miał akcent żydowski — z ruladami i śpiewnymi końcówkami. Raisa wyszła do mnie w balowej sukni z gołymi plecami. Nogi w chwiejnych lakierkach stąpały niepewnie.

— Jestem pijana, mój drogi. — I wyciągnęła do mnie ręce, całe w platynowych łańcuchach i szmaragdowych gwiazdach.

Ciało jej chwiało się, jak ciało węża prężącego się ku górze w takt muzyki.

Potrząsała zaondulowaną głową, dzwoniła swoimi pierścieniami i upadła nagle na fotel rzeźbiony w staroruskie wzory. Przez puder na jej plecach przeświecały blizny.

Za ścianą raz jeszcze wybuchł kobiecy śmiech. Z jadalni wyszły siostry z wąsikami, takie same piersiste i rosłe, jak Raisa. Ich piersi były wystawione na pokaz, czarne włosy rozwiewały się. Obie były żonami jakichś swoich własnych Benderskich. Pokój wypełnił się bezładną kobiecą wesołością, wesołością dojrzałych kobiet. Mężowie otulili siostry w fokowe palta, w orenburskie szale, opancerzyli im nogi czarnymi botami; spod śnieżnej przyłbicy szala wyglądały tylko uróżowane, płonące policzki, marmurowe nosy i oczy o semickim, krótkowzrocznym blasku. Pohałasowali jeszcze trochę i pojechali do teatru, gdzie dawano *Judytę* z Szaliapinem.

— Ja chcę pracować — powiedziała niewyraźnie Raisa wyciągając gołe ręce — przepuściliśmy cały tydzień...

Przyniosła z jadalni butelkę i dwa kieliszki. Jej piersi leżały luźno w worku jedwabnej sukni; sutki się rozprężyły, jedwab je osłaniał.

— Na specjalne okazje — powiedziała Raisa nalewając wino — muskat z osiemdziesiątego trzeciego roku. Mąż mnie zamorduje, jak się dowie...

Nigdy nie miałem do czynienia z muskatem z 83-go roku i nie powstrzymałem się od wypicia trzech kieliszków pod rząd. Natychmiast też zaprowadziły mnie one w głąb tych zaułków, gdzie rozwiewał się pomarańczowy płomień i rozlegała się muzyka.

— Jestem pijana, mój drogi... Co to my dziś mamy?

— Dziś mamy *L'aveu*...

— A więc *Wyznanie*. Słońce jest bohaterem tej noweli, *le soleil de France*...

Roztopione krople słońca spadające na rudą Celestę przekształciły się w piegi. Słońce wypolerowało prostopadłymi swymi promieniami, winem i jabłecznikiem gębę woźnicy Polyta. Dwa razy w tygodniu Celesta wiozła do miasta na sprzedaż śmietanę, jaja i kury. Płaciła Polytowi za przejazd dziesięć *sous* za siebie i cztery *sous* od koszyka. I przy każdej jeździe Polyte robiąc perskie oko nagabuje rudą Celestę: „No więc kiedy się zabawimy, *ma belle*?" — „Co to znaczy, monsieur Polyte?" Trzęsąc się na koźle woźnica wyjaśnia: „Zabawić się — to znaczy zabawić się, do stu diabłów... Jak jest chłopak i dziewczyna, to już muzyki nie trzeba..." — „Nie lubię takich żartów, monsieur Polyte" — odpowiedziała Celesta i odsunęła od chłopaka swoje spódnice zwisające nad potężnymi łydami w czerwonych pończochach.

Ale ten diabeł Polyte wciąż zaśmiewał się, wciąż kasłał. — Pewnego razu zabawimy się jednak, *ma belle*. — I wesołe łzy spływały po jego twarzy koloru ceglastej krwi i wina.

Wypiłem jeszcze kieliszek muskatu na specjalną okazję. Raisa trąciła się ze mną.

Pokojówka o kamiennych oczach przeszła przez pokój i zniknęła.

Ce diable de Polyte... W ciągu dwóch lat Celesta zapłaciła o 48 franków za dużo. To znaczy pół setki bez dwóch franków. W końcu drugiego roku, kiedy byli sami w dyliżansie i Polyte łyknąwszy cydru przed odjazdem spytał swoim zwyczajem: „A może dziś się zabawimy, panno Celesto?" — Celesta odpowiedziała opuszczając oczy: „Do usług, monsieur Polyte...".

Raisa chichocząc padła na stół. *Ce diable de Polyte...*

Dyliżans miał w zaprzęgu białą klacz. Biała klacz z różowymi od starości wargami ruszyła stępa. Wesołe słońce Francji ogarnęło rydwan osłonięty przed światem zrudziałym daszkiem. Jak jest chłopak i dziewczyna, to już muzyki nie trzeba...

Raisa podała mi kieliszek. To był piąty.

— *Mon vieux*, zdrowie Maupassant...

— A może dziś się zabawimy, *ma belle*...

Zbliżyłem się do Raisy i pocałowałem ją w usta. Wargi jej zadrżały i nabrzękły.

— Pan jest zabawny — przez zęby wymamrotała Raisa i odsunęła się.

Przycisnęła się do ściany rozkładając obnażone ramiona. Na jej rękach i barkach zapłonęły plamy. Ze wszystkich bóstw ukrzyżowanych, to było najbardziej zachwycające.

— Zechce pan siąść, monsieur Polyte...

Wskazała mi pokręcony, granatowy fotel w słowiańskim stylu. Jego oparcie tworzyły rżnięte w drzewie pętle z malowanymi frędzlami. Potykając się zacząłem brnąć w tę stronę.

Noc podłożyła pod głodną moją młodość butelkę muskata z 83-go roku i 29 książek, 29 petard, naładowanych żalem, geniuszem, pasją... Skoczyłem, przewróciłem krzesło, zawadziłem o półkę. 29 tomów runęło na dywan, ich stronice się rozwarły, stanęły bokiem... i biała klacz mojego losu ruszyła stępa.

— Pan jest zabawny — stęknęła Raisa.

Wyszedłem z granitowego domu na Mojce przed dwunastą, nim siostry i mąż wrócili z teatru. Byłem trzeźwy i mogłem przejść po wąskiej desce, ale lepiej było wałęsać się, więc kiwałem się z boku na bok śpiewając po drodze w języku, który dopiero co wymyśliłem. W tunelach ulic, obrzeżonych łańcuchami latarń, falami przepływały kłęby mgły. Potwory jakieś wyły za buchającymi parą ścianami. Jezdnie odcinały nogi przechodniom.

W domu spał Kazancew. Spał na siedząco, wyciągając chude nogi w berlaczach. Kanarkowy puch podniósł mu się na głowie. Zasnął przy piecu, pochylony nad egzemplarzem *Don Kichota* z 1624 roku. Na karcie tytułowej tej książki była dedykacja dla księcia de Broglio. Położyłem się po cichutku, żeby nie obudzić Kazancewa, przysunąłem sobie lampę i zacząłem czytać książkę Edwarda de Maynial — *O życiu i twórczości Guy de Maupassanta.*

Wargi Kazancewa ruszały się, głowa mu opadała.

I tej nocy dowiedziałem się od Edwarda de Maynial, że Maupassant urodził się w 1850 roku jako syn normandzkiego szlachcica i Laury de Poitevin, kuzynki Flauberta. W 25-ym roku życia przeżył pierwszy atak dziedzicznego syfilisu. Płodność i wesołość, jakich był pełen, przeciwstawiały się biegowi choroby. Z początku cierpiał na bóle głowy i ataki hipochondrii. Później stanęło przed nim widmo ślepoty. Wzrok jego słabł. Rozwinęła się mania podejrzeń, mizantropia i pieniactwo. Walczył zaciekle, miotał się jachtem po Morzu Śródziemnym, uciekał do Tunisu, do Maroka, do Afryki centralnej — i pisał bez ustanku. Zyskawszy sławę, poderżnął sobie w czterdziestym roku życia gardło, wykrwawił się, ale pozostał przy życiu. Zamknęli go w domu wariatów. Pełzał tam na czworakach... Ostatnie słowa jego historii choroby tak brzmią:

„Monsieur de Maupassant va s'animaliser" („Pan de Maupassant przemienił się w zwierzę"). Zmarł mając 42 lata. Matka go przeżyła.

Doczytałem książkę do końca i wstałem z pościeli. Mgła podeszła pod okno i przesłoniła wszechświat. Serce mi się ścisnęło. Tknęło mnie przeczucie prawdy.

TAK TO ROBIONO W ODESSIE

Odezwałem się pierwszy.

— Reb Arie Lejb — powiedziałem do starego — pomówmy o Beni Krzyku. Pomówmy o błyskawicznym jego rozbiegu i straszliwym końcu. Trzy cienie tarasują drogi mojej wyobraźni. Oto Froim Gracz. Czy stal jego uczynków nie wytrzymuje porównania z siłą Króla? Oto Kolka Pakowski. Zaciekłość tego człowieka zawierała w sobie wszystko, co potrzebne jest, by mieć władzę. A czy Chaim Drąg nie potrafił dostrzec blasku nowej gwiazdy? Czemu jednak tylko Benia Krzyk wspiął się na sam szczyt sznurowej drabiny, a wszyscy inni zawiśli w dole, na chwiejnych stopniach?

Reb Arie Lejb milczał siedząc na cmentarnym murze. Rozpościerał się przed nami zielony spokój grobów. Człowiek szukający odpowiedzi winien uzbroić się w cierpliwość. Człowiekowi pełnemu wiedzy przystoi powaga. Dlatego Arie Lejb milczał siedząc na murze cmentarnym. Wreszcie odezwał się:

— Dlaczego on? Dlaczego nie tamci, chce pan wiedzieć? Otóż — trzeba na chwilę zapomnieć, że na nosie ma się okulary, a w duszy jesień. Niech pan przestanie awanturować się przy swoim biurku, a jąkać się — wśród ludzi. Niech pan sobie wyobrazi na chwilę, że się pan awanturuje na placach, a jąka się na papierze. Pan jest tygrysem, pan jest lwem, pan jest kotem. Pan może się przespać z ruską kobietą i ruska kobieta będzie po tym zadowolona. Pan ma dwadzieścia pięć lat. Gdyby do nieba i ziemi przytwierdzone były uchwyty, to pan mógłby za te uchwyty złapać i przyciągnąć niebo do ziemi. A za tatunia ma pan furmana Mendla Krzyka. Co do czego może myśleć taki tatunio? On może myśleć co do wypić porządnego kielicha, co do dać komuś po mordzie, co do swoich koni — i nic więcej. Pan chcesz żyć, a on każe panu umierać po dwadzieścia razy dziennie. Co by pan zrobił na miejscu Beni Krzyka? Nic by pan nie zrobił. A on zrobił. Dlatego on jest Król, a pan masz figę w kieszeni.

Beniek poszedł więc do Froima Gracza, który już wówczas patrzył na świat jednym tylko okiem i był tym, czym jest. On powiedział Froimowi:

— Weź mnie. Chcę przybić do twojego brzegu. Ten brzeg, do którego ja przybiję, będzie wygrany.

Gracz go spytał:

— Ktoś ty, skąd się bierzesz i co masz w zanadrzu?

— Wypróbuj mnie, Froim — odparł Benia — i przestańmy rozmazywać białą kaszę po czystym stole.

— Przestańmy rozmazywać kaszę — odrzekł Gracz — ja cię wypróbuję.

I zebrała się rada bandycka, żeby zastanowić się nad Benią Krzykiem. Nie byłem na tej radzie. Ale podobno taką radę zwołano. Starszym był wtedy nieboszczyk Lowka Byk.

— Co on właściwie ma pod czapką, ten Beniek? — zapytał nieboszczyk Byk.

Jednooki Gracz wydał swoją opinię:

— Benia mówi mało, ale on mówi smacznie. On mówi mało, ale człowiek ma chęć, żeby on jeszcze coś powiedział.

— Jeżeli tak — zawołał nieboszczyk Lowka — to wypróbujmy go na Tartakowskim.

— Wypróbujmy go na Tartakowskim — postanowiła rada, i każdy, w którym mieszkało jeszcze sumienie, rumienił się słysząc tę decyzję. Dlaczego się rumienił? Dowie się pan, jeśli pójdzie pan tam, dokąd ja pana prowadzę.

Tartakowskiego nazywano u nas „półtora Żyda" albo „dziewięć napadów". „Półtora Żyda" nazywano go dlatego, że w jednym Żydzie nie mógło zmieścić się tyle czelności i pieniędzy, ile miał Tartakowski. Był wyższy od najwyższego policjanta w Odessie, a grubszy był niż najgrubsza Żydówka. „Dziewięć napadów" zaś mówiono dlatego, że firma Lowka Byk i spółka zrobiła na kantor Tartakowskiego nie osiem i nie dziesięć napadów, a właśnie dziewięć. Beni, który nie był wtedy jeszcze Królem, przypadł honor dokonania dziesiątego napadu na „półtora Żyda". Kiedy go Froim o tym zawiadomił, Benia powiedział „owszem" i wyszedł trzaskając drzwiami. Dlaczego Benia trzasnął drzwiami? Dowie się pan, jeśli pójdzie pan tam, dokąd ja pana prowadzę.

Tartakowski ma duszę zbója, ale on jest nasz. On wyszedł spośród nas. To nasza krew. To nasza kość, jakby jedna i ta sama mama nas rodziła. Pół Odessy pracuje w jego kramach. I przez naszych z Mołdawanki też ucierpiał. Dwa razy porywali go oni dla okupu, a raz podczas pogromu urządzili mu nawet pogrzeb z żałobnymi pieniami. Pałkarze ze Słobody bili wtedy Żydów na Wielkiej Arnauckiej. Tartakowski uciekł przed nimi i nagle spotyka orszak pogrzebowy z chórami na Sofijskiej. Pyta więc:

— Kogo to chowają z taką pompą?

Przechodnie odpowiedzieli, że to pogrzeb Tartakowskiego. Orszak doszedł do Słobodzkiego cmentarza. I wtedy nasi wyjęli z trumny kulomiot i zaczęli sypać w słobodzkich pałkarzy. Ale „półtora Żyda" tego nie przewidział. „Półtora Żyda" zląkł się na śmierć. A kto by się nie zląkł na jego miejscu?

Dziesiąty napad na człowieka, którego już raz pochowano — to był gruby nietakt. Benia, który nie był jeszcze wtedy Królem, rozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny. Ale on powiedział Graczowi „owszem" i tegoż dnia napisał do Tartakowskiego list podobny do wszystkich listów tego rodzaju:

„Wielce szanowny Panie Tartakowski! Bądź Pan tak łaskaw położyć do soboty pod beczkę z deszczową wodą... i tak dalej. W wypadku odmowy, na co Pan sobie ostatnio zaczął pozwalać, czeka Pana duże rozczarowanie w Pańskim życiu rodzinnym. Z szacunkiem — znany Panu z pewnością

Bencjon Krzyk."

Tartakowski się nie lenił i odpowiedział bez zwłoki:

„Benia! Gdybyś ty był idiota, to ja bym ci odpisał jak idiocie. Ale ja ciebie za takiego nie mam i niech mnie Bóg broni, żebym cię miał za takiego mieć. Ty chyba robisz ze siebie małe dziecko. Czy ty wcale nie wiesz, że w tym roku w Argentynie jest taki urodzaj, że choć w pysk daj, i my z naszą pszenicą leżymy?... I ja ci powiem kładąc rękę na sercu, że mi się znudziło na starość jeść taki gorzki kawałek chleba i przeżywać takie nieprzyjemności po tym, kiedy naharowałem się przez całe życie jak ostatni tragarz. I co ja zyskałem z tej całej bezterminowej katorgi? Cholerę w bok, kłopoty i bezsenność. Daj spokój względem tych głupstw, Benia. Twój przyjaciel o wiele bardziej niż możesz sobie wyobrazić —

Ruwim Tartakowski."

„Półtora Żyda" zrobił swoje. Napisał list. Ale poczta nie doręczyła listu według adresu. Nie otrzymawszy odpowiedzi Benia wpadł w złość. Następnego dnia zjawił się z czterema przyjaciółmi w kantorze Tartakowskiego. Czterech młodzieńców w maskach i z rewolwerami wpadło do lokalu.

— Ręce do góry! — krzyknęli i zaczęli wymachiwać pistoletami.

— Pracuj spokojniej, Salomon — zwrócił uwagę Benia temu, który krzyczał głośniej od innych. — Nie miej tego zwyczaju, żeby się denerwować przy pracy — i zwracając się do oficjalisty, białego jak śmierć i żółtego jak glina, spytał:

— „Półtora Żyda" w zakładzie?

— Pana nie ma w zakładzie — odpowiedział oficjalista nazwiskiem Muginsztejn, który miał na imię Józef i był nieżonatym jeszcze synem cioci Pesi, handlarki drobiem z placu Seredyńskiego.

— No, to kto tu będzie w końcu za gospodarza? — zaczęli tamci pytać nieszczęsnego Muginsztejna.

— Ja tu będę za gospodarza — powiedział oficjalista, zielony jak zielona trawa.

— No to otwórz nam kasę w imię boże! — rozkazał mu Benia i zaczęła się opera w trzech aktach.

Nerwowy Salomon składał do walizki pieniądze, papiery, zegarki i monogramy; nieboszczyk Józef stał przed nim z podniesionymi rękoma, a tymczasem Benia opowiadał historie z życia żydowskiego narodu.

— Skoro jeżeli on zgrywa się na Rotszylda — mówił Benia o Tartakowskim — to niech go szlag trafi. Wytłumacz mi, Muginsztejn, jak przyjacielowi: facet dostaje ode mnie korespondencję handlową, dlaczego nie miałby wsiąść do tramwaju za pięć kopiejek i wstąpić do mojego mieszkania, i wypić w moim rodzinnym kole kieliszek wódki, i przegryźć czym Bóg dał? Co mu przeszkadzało zwierzyć się przede mną? „Benia — mógł sobie powiedzieć — tak a tak, tu masz mój bilans, poczekaj tę parę dni, daj mi złapać oddech, daj mi się ruszyć." Co ja bym mógł mu na to powiedzieć? Świnia ze świnią się nie spotyka, ale człowiek z człowiekiem — owszem. Muginsztejn, tyś mnie zrozumiał?

— Ja pana zrozumiałem — powiedział Muginsztejn i skłamał, nie mógł bowiem wcale zrozumieć, dlaczego „półtora Żyda", ogólnie szanowany bogacz

i wodzirej, miałby jechać tramwajem, żeby coś przegryźć z rodziną furmana Mendla Krzyka.

A tymczasem nieszczęście snuło się pod oknami jak żebrak o świcie. Nieszczęście z hałasem wdarło się do kantoru. I chociaż tym razem przybrało postać Żyda, Sawki Bucisa, ale było pijane jak woziwoda.

— Ho, ho, ho — wrzasnął Sawka — wybacz mi, Beniek, spóźniłem się — i zaczął tupać nogami i machać rękoma. Potem wystrzelił i kula trafiła Muginsztejna w brzuch.

Czy trzeba tu słów? Był człowiek i oto nie ma człowieka. Żył sobie niewinny kawaler jak ptaszek na gałązce — i oto zginął przez takie głupstwo. Przyszedł facet podobny do marynarza i strzelił nie do jakiejś tam premiowej butelki, tylko człowiekowi w brzuch. Czy trzeba tu słów?

— Wyrywać z kantoru — krzyknął Benia i wyskoczył ostatni. Ale na odchodnym zdążył powiedzieć Bucisowi:

— Przysięgam na grób mojej matki, Sawka, ty będziesz leżał obok niego...

A teraz powiedz mi, młody panie, który odcinasz kupony od cudzych akcji, jakby pan postąpił na miejscu Beni Krzyka? Pan nie wie, jak postąpić. A on wiedział. Dlatego on jest Królem, a my z panem siedzimy na murze drugiego żydowskiego cmentarza i osłaniamy się przed słońcem dłońmi.

Nieszczęsny syn cioci Pesi umarł nie od razu.

W godzinę po tym, jak odwieziono go do szpitala, zjawił się tam Benia. Kazał wywołać naczelnego lekarza i pielęgniarkę, po czym oświadczył im nie wyjmując rąk z kremowych spodni:

— Ja mam życzenie — powiedział — żeby chory Józef Muginsztejn wyzdrowiał. Przedstawiam się na wszelki wypadek — Bencjon Krzyk. Kamfora, poduszki tlenowe, separatka — na wszystko możecie sobie pozwolić. Jeżeli nie, to na każdego doktora, niechby sobie nawet był doktorem filozofii, przypadnie nie więcej niż trzy arszyny ziemi.

I mimo to Muginsztejn umarł tej samej nocy. I dopiero wtedy „półtora Żyda" podniósł krzyk na całą Odessę.

— Gdzie zaczyna się policja — wrzeszczał — a gdzie kończy się Benia?!

— Policja kończy się tam, gdzie zaczyna się Benia — odpowiadali rozsądni ludzie, ale Tartakowski nie chciał się uspokoić i doczekał się tego, że czerwony automobil z kurantem zagrał na Seredyńskim placu swój pierwszy marsz z opery *Śmiej się pajacu*. W biały dzień samochód zajechał przed domek, w którym mieszkała ciocia Pesia.

Automobil grzmiał kołami, pluł dymem, błyszczał miedzią, cuchnął benzyną i grał arie na swojej trąbce sygnałowej. Z automobilu ktoś wyskoczył i poszedł do kuchni, gdzie na podłodze z gołej ziemi tłukła się maleńka ciocia Pesia. „Półtora Żyda" siedział na krześle i machał rękoma.

— Chuligańska mordo — krzyknął on widząc gościa — bandyto, żeby cię święta ziemia nie nosiła! Ładną modę sobie zaprowadził — zabijać żywych ludzi...

— Mesje Tartakowski — odpowiedział mu Benia Krzyk cichym głosem — mija właśnie druga doba, jak ja opłakuję naszego drogiego zmarłego, niby rodzonego brata. Ale ja wiem, że pan pluje sobie na moje młode łzy. Wstyd, mesje Tartakowski — w jakiej kasie ogniotrwałej schowałeś pan wstyd? Pan miałeś serce posłać matce naszego nieboszczyka Józefa sto nędznych kar-

bowańców. Mózg razem z włosami stanął mi dęba, kiedy usłyszałem tę nowinę.

Tu Benia zrobił pauzę. Miał na sobie czekoladowy żakiet, kremowe spodnie i malinowe sztyblety.

— Dziesięć tysięcy, jednorazowo — ryknął — dziesięć tysięcy jednorazowo i rentę aż do samej jej śmierci, niech żyje do stu dwudziestu lat. A jak nie, to wyjdziemy z tego lokalu, mesje Tartakowski, i wsiądziemy do mojego automobila...

Potem oni się ze sobą kłócili. „Półtora Żyda" kłócił się z Benią. Nie było mnie przy tej kłótni. Ale ci, co byli, to pamiętają. Zgodzili się wreszcie na pięć tysięcy gotówką i pięćdziesiąt rubli co miesiąc.

— Proszę cioci Pesi — powiedział wtedy Benia do potarganej staruszki, tarzającej się po ziemi — jeżeli cioci potrzebne jest moje życie, to może je ciocia dostać, ale wszyscy są omylni, nawet Bóg. To była fatalna omyłka, ciociu Pesiu. Ale czy ze strony Pana Boga nie było omyłką osiedlić Żydów w Rosji, żeby męczyli się jak w piekle? I co by w tym było złego, gdyby Żydzi mieszkali w Szwajcarii, w otoczeniu pierwszorzędnych jezior, górzystego powietrza i samych Francuzów? Wszyscy są omylni, nawet Bóg. Ciociu Pesiu, niech mnie ciocia słucha na własne uszy. Ciocia ma pięć tysięcy do ręki i pięćdziesiąt rubli miesięcznie do samej śmierci — żeby ciocia żyła sto dwadzieścia lat. Józef będzie miał pogrzeb pierwszej klasy: sześć koni, jak sześć lwów, dwa powozy z wieńcami, chór z Brodzkiej synagogi, sam Mińkowski przyjdzie odprawić modły za cioci syna, nieboszczyka...

I pogrzeb odbył się nazajutrz rano. O ten pogrzeb może pan spytać cmentarnych żebraków. Niech pan spyta szamesów z synagogi, handlarzy koszernym drobiem albo staruch z drugiego przytułku. Takiego pogrzebu Odessa jeszcze nie widziała, a świat już nie zobaczy. Stójkowi tego dnia wdziali niciane rękawiczki. W synagogach, umajonych zielenią i otwartych na oścież, płonęła elektryczność. Na białych koniach zaprzężonych do karawanu kołysały się czarne pióropusze. Sześćdziesięciu chórzystów szło na czele konduktu. Chórzyści byli chłopcami, ale śpiewali kobiecym głosem. Starostowie synagogi przekupniów koszernego drobiu prowadzili ciocię Pesię pod ręce. Za starostami szli członkowie związku biuralistów-starozakonnych, a za starozakonnymi biuralistami — adwokaci, doktorowie medycyny i położne dyplomowane. Z jednego boku cioci Pesi kroczyły handlarki kur ze Starego Bazaru, a z drugiego boku kroczyły honorowe mleczarki z Bugajewki, okręcone pomarańczowymi szalami. Mleczarki tupały nogami jak żandarmi na defiladzie w dzień galowy. Od ich szerokich bioder bił zapach morza i mleka. A z tyłu wlekli się oficjaliści Ruwima Tartakowskiego. Było ich stu albo dwustu, albo i dwa tysiące. Nosili czarne surduty z jedwabnymi klapami i nowe buty, które skrzypiały jak prosięta w worku.

I oto zacznę mówić, jak mówił Pan na górze Synaj z płonącego krzaka. Nastaw pan uszu na to, co powiem. Wszystko, com widział — widziałem na własne oczy siedząc tu, na murze drugiego cmentarza, obok sepleniącego Mośka i Szymszona z zakładu pogrzebowego. Widziałem to ja, Arie Lejb, godny Żyd żyjący przy umarłych.

Karawan zajechał pod synagogę cmentarną. Trumnę postawiono na stopniach. Ciocia Pesia drżała jak ptaszek. Kantor wygramolił się z faetonu i zain-

tonował pienia żałobne. Sześćdziesięciu chórzystów wtórowało mu. I w takiej chwili czerwony automobil wypadł zza zakrętu. Zagrał *Śmiej się pajacu* i zahamował. Ludzie milczeli jak zabici. Milczały drzewa, chórzyści, żebracy. Czterech ludzi wychynęło spod czerwonego daszka i wolnym krokiem zaniosło do karawanu wieniec niewiarygodnych róż. A kiedy nabożeństwo się skończyło, ci czterej podsunęli pod trumnę swoje stalowe ramiona, by z gorejącym okiem i wypiętą piersią nieść ją wspólnie z członkami związku biuralistów-starozakonnych.

Pierwszy szedł Benia Krzyk, którego nikt jeszcze wtedy nie nazywał Królem. Pierwszy zbliżył się do grobu, wszedł na kopczyk i wyciągnął przed siebie dłoń.

— Co pan chce robić, młodzieńcze? — podbiegł do niego Kofman z bractwa pogrzebowego.

— Chcę wygłosić mowę — odpowiedział Benia Krzyk.

I wygłosił tę mowę. Słyszeli ją wszyscy, którzy chcieli słyszeć. Słyszałem i ja, Arie Lejb, i sepleniący Mosiek, który siedział obok mnie na murze.

— Panowie i damy — powiedział Benia Krzyk — panowie i damy — powiedział i słońce stanęło nad jego głową jak wartownik z karabinem. — Przyszliście oddać ostatnią posługę uczciwemu człowiekowi pracy, który zginął za marny grosz. W imieniu własnym oraz w imieniu tych wszystkich, którzy nie są tu obecni, dziękuję wam. Panowie i panie! Co widział nasz drogi Józef w swoim życiu? On widział parę głupich drobiazgów. Czym się trudnił? On liczył cudze pieniądze. Za co zginął? On zginął za całą klasę pracującą. Są ludzie już napiętnowani przez śmierć i są ludzie, którzy jeszcze nie zakosztowali życia. I oto kula lecąca w pierś napiętnowaną przeszywa Józefa, który nie widział w swoim życiu nic prócz paru głupich drobiazgów. Są ludzie umiejący pić wódkę i są ludzie nie umiejący pić wódki, lecz mimo to pijący ją. I oto pierwsi mają satysfakcję i z doli, i z niedoli, a ci drudzy cierpią za wszystkich, którzy piją wódkę, nie umiejąc jej pić. Dlatego też, panowie i panie, po modlitwie za duszę naszego biednego Józefa, ja was zapraszam na wyprowadzenie zwłok nieznanego wam, ale już nie żyjącego Sawelego Bucisa...

I po wygłoszeniu tej mowy Benia zszedł z kopca. Milczeli ludzie, drzewa i cmentarni żebracy. Dwaj grabarze wnieśli niemalowaną trumnę na sąsiednią kwaterę. Kantor zacinając się dokończył modlitwy. Benia rzucił pierwszą łopatę i przeszedł do grobu Sawki. Za nim ruszyli jak owce wszyscy adwokaci i damy z brzuszkami. Benia zmusił kantora, by odprawił nad Sawką pełne nabożeństwo żałobne i sześćdziesięciu chórzystów wtórowało kantorowi. Sawce nie marzył się nawet taki obchód żałobny — niech pan wierzy słowu Arie Lejba, sędziwego starca.

Powiadają, że tego dnia „półtora Żyda" postanowił zamknąć swój interes. Mnie przy tym nie było. Ale to, że ani kantor, ani chór, ani bractwo pogrzebowe nie żądali grosza za pochówek — to widziałem na własne oczy, oczy Arie Lejba. Arie Lejb — tak się właśnie nazywam. I więcej nic nie mogłem zobaczyć, bo ludzie, odsunąwszy się cichutko od grobu Sawki, rzucili się do ucieczki, jak od pożaru. Umykali faetonami, furmankami i na piechotę. I tylko tych czterech, co przyjechało czerwonym automobilem, odjechało w ten sam sposób. Kuranty zagrały swojego marsza, samochód drgnął i przepadł.

— Król — patrząc mu w ślad powiedział sepleniący Mosiek, ten sam, co zabiera mi najlepsze miejsca na murze.

Teraz pan wie wszystko. Pan wie, kto pierwszy powiedział „król". To był Mosiek. Pan wie, dlaczego on nie nazwał tak ani jednookiego Gracza, ani wściekłego Kolki. Pan wie wszystko. Ale co z tego za pożytek, jeżeli ma pan dalej na nosie okulary, a w duszy jesień?...

Przełożył
Jerzy Pomianowski

Vesna Parun

ŚPIĄCY MŁODZIENIEC

Wyciągnięty na brzegu cienistej zatoki,
leży jak ogrodzona winnica
samotny i do fal zwrócony.
Twarz jego jest miła i poważna.
Owiewa ją wietrzyk południowy.
Nie wiem, czy ładniejsza jest gałąź dzikiej róży
pełna ptasiego świergotu, czy też kibić
jego giętsza od jaszczurki.

Słucham tętentu nisko bijących piorunów,
które pędzą znad morza, coraz bliżej,
i skryta w liściach starej agawy
śledzę, jak gardło młodzieńca zamienia się w mewę
i odlatując do słońca kwili tęsknie
w żółtych obłokach. A z brązu
jego wspaniałego brzucha wznosi się ciemno
kwitnące urwisko, na którym odpoczywają
przepiękne nimfy i królewny z bajek.

Brzeg szumi, morze staje się szare.
Złote cienie przesłoniły winnicę.
Słupy obłoków wspinają się w oddali.
Błyskawice dotykają lesistej zatoki.

Wdycham woń lata na plantacjach
i upajam się nagością roślin.
Potem patrzę na moje lśniące ręce
i biodra pianą morską ozłocone,
z których ścieka oliwkowa oliwa
i zwracając spokojne oczy ku niemu,
pogrążonemu we śnie i huku

powolnej burzy, wiecznemu jak agawa,
myślę pełna rozgorączkowanej żądzy,
ile to białych ptaków na rozwiniętych skrzydłach
drży w niebieskich jarach obłocznych
tego ciała, które pogodą swą odurza
szum morza i samotność trawy.

Slobodan Galogaża

ZA STOŁEM

Dobrze jest być spokojnym
i rękami swoimi w ciszy
robić stół.

Niech na nim stoi czara z winem
i chleb,
niech na nim będzie moja myśl
i książka,
niech na nim stanie mały kwiat.

Tu w ciszy zaczyna się święto,
tam już się skończyło.
I naszej miłości już nie ma,
nas nie ma.
Na stołach pusto.

ZABAWY

Każda zabawa to nieludzkie
zabawa na piasku,
zabawa na słońcu,
zabawa na trawie.

Wszystko to opóźniony ból,
którego nie ma,
lecz będzie.

A my się mimo wszystko bawimy
miłością,
muszlami,
ciałem,
bronią,
nocami
i zawsze sercem.

A gdy zabawy zbraknie,
zostaje gorzka świadomość,
że wszystko to tylko złudzenie,
jego dzieła i postacie.

I bawimy się znowu.

Nieuniknienie i stale
tworzymy nowe zabawki,
jakby zaklęci.

OD RANA DO RANA

Świt
Cisza niezrodzonego snu.
Biel w bieli
(Wszystko to rzeka,
która nie miała brzegu,
wszystko uścisk,
który nie przeczuwał upojności rąk.)

I wtedy tworzę słowa
O złotym dniu, o lampie jego zmierzchu,
O sobie, zupełnie innym.

Wyjmuję ze strączka owoc,
Pod niebem i pod smutkiem dni,
I wiem:
Zostanę taki sam.

A późno wieczorem
Grzebię
Jeszcze jeden sen, jeszcze jedną przejrzystą niewinność
(Brak piersiom piersi!),
Grzebię słowa, pęknięte kości,
A w nich — siebie.

Czy już świta?

Risto Ratković

IKONA

Gdy widzę czasami kobietę
podobną do ciebie:
w popielatym kostiumie i białym kapeluszu
bywa — że staję na ulicy.

I chociaż wiem
że od dawna już rozpadasz się w proch
myślę: może to ty...

Zresztą wiesz:
nie wierzyliśmy w Boga
ni ja ni ty.
I naprawdę to nie ma z tym nic wspólnego
gdy chcę aby się
przed twoją fotografią
lampeczka oliwna paliła.

Przełożył
Zygmunt Stoberski

Julian Krzyżanowski

NIEZNANE DROBIAZGI SIENKIEWICZOWSKIE

Wychodzący od lat dwu w Warszawie *Rocznik Literacki* daje niezłe wyobrażenie, w jakim tempie i wymiarach dokonuje się odbudowa książki polskiej i jak odrabia się wiekowe zaległości w udostępnieniu i upowszechnieniu naszych klasyków literackich. Pracy tej można oczywiście postawić niejeden zarzut, można bowiem kwestionować i dobór pisarzy, i sposób ich opracowania. Jedno wszakże przyznać się jej musi, oto systematycznie rok po roku ukazują się na rynku księgarskim wydania zbiorowe lub wybory pisarzy, których dzieła albo dawno są wyczerpane, albo nawet nigdy nie miały wznowień. A więc Rej, Kochanowski, Potocki, Krasicki, Trembecki, Fredro, Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski, Korzeniowski, Prus, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Bałucki, Reymont, Żeromski, Staff, Tuwim — oto część tylko imponującego dorobku wydawniczego, przy czym dorobek ten często bywa powielany. Tak więc bezpośrednio po „Mickiewiczu narodowym" ukazał się „Mickiewicz jubileuszowy", tak Słowacki, którego *Dzieła wszystkie* systematycznie posuwają się naprzód, rozszedł się dwukrotnie w wydaniu popularno-naukowym, wydanie zaś trzecie dobiega końca w druku i ukaże się w roku przyszłym. Tak wielotomowym wydaniom Orzeszkowej, Sienkiewicza czy Prusa towarzyszą wydania dwunastotomowe i odwrotnie, wybory, jak w wypadku dzieł Kochanowskiego, torują drogę wydaniom pełnym.

Poziom naukowy tych wydań, a więc po prostu ich poprawność, zazwyczaj niewiele pozostawia do życzenia. Przynoszą one teksty oparte na wszelkich dostępnych przekazach źródłowych, na pierwodrukach i często rękopisach. W posłowiach wydawcy naukowi, zwłaszcza Stanisław Pigoń w dziełach Fredry i Żeromskiego, ogłaszają rozprawki przynoszące historię danego dzieła od etapów jego powstawania po chwilę ukazującego się wznowienia.

Praca tu przedstawiona, na skalę tak znaczną realizowana po raz pierwszy w dziejach kultury polskiej, jest możliwa dzięki swemu charakterowi, by tak rzec, społecznemu. Prowadzi się ją mianowicie zespołowo w redakcjach wydawnictw, obejmujących po kilka wyspecjalizowanych pracowni, jak „staropolska", „romantyczna", „epoki pozytywizmu" czy „literatury współczesnej". Istnienie takich pracowni, nieraz organizowanych *ad hoc*, dla sporządzenia danego wydania, sprawia, że nawet w razie śmierci wydawcy naukowego robota może posuwać się dalej. Juliusz Kleiner nie dożył ukazania się *Dzieł wszystkich* Słowac-

kiego, którym tyle lat pracy poświęcił, dzieła te jednak ukazują się, czuwa bowiem nad nimi zespół w wydawnictwie Ossolineum i na pewno doprowadzi je do końca. W rezultacie więc do odległej przeszłości należą u nas wypadki takie, jak żałosna historia dzieł Norwida wydawanych dwukrotnie przez Miriama i nie ukończonych, Miriam bowiem trudnemu zadaniu podołać nie mógł, a wykonywał je w pojedynkę.

Sprawy naszkicowane tutaj całkiem ogólnikowo a mimo swej doniosłości rzadko poruszane publicznie zilustrować można paru uwagami o wydaniu Sienkiewicza, a więc doniosłej imprezie wydawniczo-naukowej, która należy dzisiaj do przeszłości a przeszła nie zauważona, jeśli nie brać w rachubę plotek, które towarzyszyły jej ukazywaniu się. Wolno tu mówić o niezauważeniu, sześćdziesięciotomowa bowiem seria, rozkupiona doszczętnie, nie miała ani jednej recenzji, która wytknęłaby jej nieuniknione błędy a wspomniała jej cenne zdobycze. [1] Zamiast opinii opartych na przyjrzeniu się, choćby pobieżnym, dużemu wysiłkowi wydawcy i wydawnictwa, spotykało się jedynie plotki i insynuacje. Kiedyś wstąpiłem do malutkiego antykwariatu w Krakowie, by kupić stare, wawelbergowskie wydanie Trylogii. Gdy młody księgarz zaśpiewał niewiarygodnie wysoką cenę, radziłem mu, by pospieszył się ze sprzedażą, PIW bowiem lada tydzień rzuci na rynek wydanie nowe, o połowę tańsze od egzemplarza, który zamierzałem nabyć. Na to księgarz spojrzał na mnie z wysoka i rzucił: „Tak, ale co wydanie to będzie warte? Przecież będzie ono zupełnie przeinaczone". Nie pytając, skąd wie o tym, wziąłem jeden z tomów *Potopu*, otworzyłem na stronicy, gdzie tekst był niezrozumiały, bo zepsuty w druku, wyjaśniłem, jak dany ustęp powinien brzmieć, i zapewniłem zaskoczonego rozmówcę, że nowe wydanie o tyle odbiega od dawniejszych, że usuwa ich zastarzałe błędy.

W ciągu lat dziesięciu po tej rozmowie ukazało się z dziesięć chyba wznowień Trylogii, opartych na wydaniu, do którego się w niej odwołałem, i nikomu do głowy nie przychodzi wątpić, że odtwarzają one autentyczny tekst Sienkiewicza. Natomiast jeszcze i dzisiaj, nieraz z dalekich stron świata, dostaję listy z zapytaniem, czy „wydanie zbiorowe" nabyć można i czy warto. Odpowiedź pierwsza jest łatwa: wydania dawno nie ma w sprzedaży, o nowym zaś dotąd nie pomyślano. Odpowiedź zaś druga brzmieć by musiała pozytywnie, a oto dlaczego. Wydanie zbiorowe sporządzane przez prywatny zespół moich młodych współpracowników, którzy na nim poznawali zasady sztuki edytorskiej, powstawało wśród gruzów Warszawy, gdzie o stworzeniu nieodzownego warsztatu naukowego nie podobna było myśleć, biblioteki bowiem były zdezorganizowane, a wiedzy o Sienkiewiczu czasy przedwojenne nie wytworzyły. Wskutek tego podstawa źródłowa omawianego wydania była, zwłaszcza w tomach początkowych, niewystarczająca, jak zresztą i dzisiaj nie zadowala ona całkowicie. Do tego doszły trudności techniczne i trudności polityczne. Drukarnia tedy nie umiała podołać zadaniu i wskutek tego strona korektowa nie zawsze wychodziła dobrze. Odbierając tomy spod prasy, stwierdzało się z melancholią, że po to usunęło się mnóstwo starych błędów, by zamiast nich spotkać nie mniejszą ilość nowych. Co gorsza, człowiek, który całość oddał do oprawy bez rozcinania tomów, z nie mniejszą melancholią odkrywa w nich sporo stron nie zadrukowanych, białych!

Prócz tego ówczesna sytuacja sprawiła, że do wydania nie weszły artykuły Sienkiewicza na temat stosunków polsko-rosyjskich i polsko-ukraińskich. Wo-

jowałem przeciwko temu ograniczeniu, wysunięto mi jednak argumenty tak ważkie, że musiałem dać za wygraną. Pocieszałem się myślą, że po pierwsze: sprawa nie jest stracona, bo inkryminowane pozycje prędzej czy później doczekają się chwili, gdy przedrukować je będzie można, po wtóre zaś: wydanie zbiorowe okupywało brak rzeczonych artykułów ogromną ilością rzeczy nowych, które po raz pierwszy ukazały się w postaci książkowej, dostępnej ogółowi czytelników.

Co to znaczy, wyjaśnia fakt następujący. Gdy w r. 1922 Ignacy Chrzanowski, siostrzeniec Sienkiewicza, uczony mający dostęp zarówno do normalnie działających bibliotek, jak do archiwów rodzinnych, wydał okazały tom *Pism nieznanych i zapomnianych,* zawodowy bibliograf, Wiktor Hahn, wytknął mu jedno czy dwa przeoczenia. W trzydzieści lat później „wydanie zbiorowe" przyniosło ponad osiemdziesiąt utworów, wyłowionych nie tyle z rękopisów, ile z dawnej prasy, gdzie ich z najrozmaitszych względów odnaleźć nie umiano. I już z tego choćby tytułu wydanie zbiorowe jest niezastąpione dla każdego miłośnika czy badacza twórczości Sienkiewicza, tylko tam bowiem znaleźć można pewne jego utwory, wydobyte z niedostępnych czasopism czy rękopisów. A to samo powiedzieć trzeba o dwu pękatych tomach korespondencji Sienkiewicza, przynoszących ponad osiemset listów wielkiego pisarza do kilkudziesięciu osób, z którymi utrzymywał takie czy inne stosunki. Zespół, by dodać nawiasem, ogłoszony w omawianym wydaniu, stanowi zaledwie jakąś jedną trzecią listów, które znamy dzisiaj i które niekiedy, jak w wypadku korespondencji z Godlewskim, doczekały się później bardzo starannego wydania. [2]

Edycja warszawska jednak nie wyczerpała, bo zrobić tego nie mogła, wszystkich utworów Sienkiewicza, znanych nam dzisiaj. Nie mogła, bo żadne wydanie pisarza nowoczesnego nie może się pochlubić, że przynosi całą jego puściznę. Zawsze znajdzie się jakieś czasopismo, które uszło uwagi wydawcy, zawsze wyskoczy jakiś zbieracz, zazdrośnie ukrywający swe skarby, tak że dopiero po jego śmierci wychodzą one na jaw. Toteż dwa tomy *Uzupełnień*, narosłe w toku pracy nad wydaniem zbiorowym a ogłoszone w r. 1952, dzisiaj dopełnić by można kilku znaleziskami nowymi i zabawnymi.

Najosobliwsze z nich, a zarazem najmniej ciekawe, to mowa... rektorska autora Trylogii, znaleziona w papierach botanika krakowskiego, E. Janczewskiego. [3] Botanik spowinowacony był z pisarzem, żony ich bowiem były rodzonymi siostrami. Bawiąc kiedyś u Janczewskich Sienkiewicz wybawił gospodarza, człeka niepiśmiennego, z kłopotu, napisał mu bowiem mowę, którą ten jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego musiał wygłosić na inauguracji roku akademickiego. Mowa ta ukazała się w prasie i dopiero po latach dowiadujemy się, kto ją właściwie napisał. Dokument ten, przy całej swej osobliwości, jest nam obojętny. Rektor Janczewski był człowiekiem ciężkim do pióra, ale wyręczając się Sienkiewiczem musiał mu powiedzieć, czego mowa ma dotyczyć, wielki pisarz więc odegrał tutaj jedynie rolę myślącej maszyny do pisania.

Znaleziska inne pochodzą ze źródeł odmiennych, to znaczy z listów Sienkiewicza. Autor *Bez dogmatu* był — jak wiadomo — epistolografem niesłychanie ruchliwym i w korespondencji swej niejednokrotnie mówił o swych pracach i zajęciach literackich. Wzmianki te dotyczą czasami utworów, pod którymi autor nie kładł w druku swego nazwiska, których zatem bez danej informacji rozpoznać niesposób. Bardzo być może, iż idąc tym szlakiem dokonać będzie

można niejednego jeszcze sensacyjnego odkrycia. Tutaj obranie tej drogi pozwala udostępnić czytelnikowi świetną humoreskę zakopiańską *Kto da więcej?!*.

Rola korespondencji nie ogranicza się jednak do dostarczania nam szyfru, dzięki któremu możemy ustalać autorstwo Sienkiewicza pod maską. W jej zespołach bowiem znajdujemy niekiedy wierszyki ulotne, do druku nie przeznaczone, a przesyłane przyjaciołom dla rozrywki. Wśród listów do Jadwigi Janczewskiej, Kazimierza Pochwalskiego czy Wandy Ulanowskiej trafiają się takie drobiażdżki literackie, z których część weszła do *Dzieł*, miało się ją bowiem pod ręką w chwili ich przygotowywania.

Cztery takie nieznane osobliwostki, które na razie mam w tece, ogłaszam tutaj. Trzy z nich, czy może nawet wszystkie cztery, związane są z korespondencją Sienkiewicza i tym właśnie tłumaczy się owo „na razie". Nie tracę mianowicie nadziei, co więcej, jestem głęboko przekonany, że prędzej czy później odnajdą się duże bloki listów Sienkiewicza, pisanych do Karola Benniego, do Dionizego Henkiela, do Marii Szembekowej i in. Nadzieję tę, graniczącą z przekonaniem, opieram na swoich doświadczeniach z ostatnich lat dziesięciu. Na podstawie poszlak, takich czy innych, długo tropiłem listy wielkiego pisarza do jego przyjaciół, Mścisława Godlewskiego czy Bronisława Kozakiewicza; dochodziłem do przekonania, że uległy one zagładzie, a przecież dzisiaj pierwsze są zabezpieczone w zbiorach Ossolineum, drugie w Bibliotece Narodowej. Dlatego też spodziewam się, że listy do Józefostwa Krasińskich, do Benniego i inne wypłyną kiedyś z mroków, w których kryją się obecnie, i że na ich podstawie ustalić będzie można autorstwo niejednego jeszcze utworu Sienkiewicza, drukowanego anonimowo czy pseudonimowo.

Inedita zaś, ogłaszane obecnie, mają swą wymowę bądź artystyczną, bądź przynajmniej historyczną. Gdyby jednak kwestionować i jedną, i drugą, pamiętać należy, iż są to okruchy z warsztatu Henryka Sienkiewicza! — Bez względu tedy na swą wartość, taką czy inną, są to dokumenty, które mówią coś o człowieku czy o pisarzu lub o jednym i drugim — i to stanowi dostateczny tytuł, by wydobyć je z niepamięci.

WIERSZ DO „ANTAŁKA"

Grackoś spisał się Antoni!...
W całym mieście grzmi nowina,
Że Ci Nieba dały syna,
Choć wątpili o tem oni...
Więc kolegów liczna rzesza
Z życzeniami dziś pośpiesza.
Niechaj syn Twój w winta grywa,
Niestrawności niech nie miewa,
Bismarckowi szyku zada,
Buttersznytów zaś nie jada...
Myj mu uszy, strzyż paznokcie,

Ucz statecznie nos obcierać;
By zaś miewał całe łokcie,
Każ u Szabcia się ubierać...
Niechaj pannom w twarz nie kicha,
Kołnierzyki miewa czyste,
Niech zdrów będzie... i — o Chryste!
Niech ustami tylko wzdycha...
Niechaj talent Twój dziedziczy,
Serca druhów niech pozyska,
Dużo robi — mało krzyczy,
Teraz, Antku, daj nam pyska!...

Wierszyk ten, podpisany „Koledzy ze *Słowa*", odbito w drukarni tej gazety i Sienkiewicz przesłał go w liście do wieloletniej przyjaciółki krakowskiej, doskonale zorientowanej w światku redakcyjnym, w którym pisarz pracował, i w ludziach, którzy go otaczali. Wśród ludzi tych jednym z najbliższych był Antoni Zaleski, Antałkiem przez przyjaciół zwany, wydawca *Słowa*, tęgi publicysta i wielbiciel talentu twórcy Trylogii. Jemu to właśnie ok. r. 1890 „nieba dały syna", które to wydarzenie koledzy redakcyjni uczcili ogłaszanym tu panegirykiem urodzinowym.

Czy drobiazg ten wyszedł spod pióra Sienkiewicza, pewności nie mamy. Wszystko jednak przemawia za takim przypuszczeniem. W listach pisarza do Godlewskiego są często koncepty na temat impotencji Antałka [6], czego echem jest wiersz „Choć wątpili o tem oni". Szabcio, u którego niemowlę ma się kiedyś ubierać, to nadworny krawiec Sienkiewicza i mistrz niekoniecznie najwyższej klasy, przerabiający ponoć więcej okazów garderoby powieściopisarza niż wzbogacający ją swymi nowymi kreacjami. A wreszcie jowialny ton wierszyka urodzinowego znamy doskonale z innych drobiazgów ulotnych, które Sienkiewicz pisywał tak chętnie dla znajomych. Wszystkie te okoliczności pozwalają uznać wierszyk do Antoniego za płód Muzy przyszłego autora *Tej trzeciej*, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że całkowitej pewności tu nie mamy.

SZARADA O BAKALIACH

Jeśli kiedy pierwsza pierwsza, póki je i żywa,
Drugie drugie w pierwsze trzecie, choć to rzadko bywa,
Wszystkie z tego się nie złożą, więc jeśli asindziej
Chcesz ich dostać, to nos zatkaj i szukaj gdzie indziej.

Osobliwostka ta zachowała się w dwu aż egzemplarzach, z których jeden jest w Bibliotece Jagiellońskiej, znowu przy zespole listów, co może nie jest rzeczą przypadku. Ponieważ między obydwu egzemplarzami są drobne różnice.

przyjąć trzeba, że Sienkiewicz napisał sam daną szaradę, a nie przepisał cudzego konceptu. Charakter zaś tego niewybrednego konceptu wskazuje, że mógł on zrodzić się w redakcji *Słowa*, choć równie dobrze przypuścić można, że był to pomysł starego jowialisty, Kazimierza Szetkiewicza, a więc teścia Sienkiewicza, człowieka, który w opinii znajomych uchodził za model Zagłoby, choć był jednym tylko z takich modeli. Tak czy inaczej, zachowany drobiazg stanowi dowód, że Sienkiewicz był nie tylko znawcą rubasznej humorystyki staropolskiej, ale że również w niej gustował. Dodać może warto, że szaradzie tej patronował w jakiś sposób *Beniowski*, poemat, który Sienkiewicz umiał nieledwie na pamięć. Stamtąd to, z wierszy „lecz pozwól, Asindziej, że się nie mogli widywać gdzie indziej" (I, w. 103—104) wywodzi się przecież zakończenie szarady.

LICYTACJA ZAKOPANEGO

KTO DA WIĘCEJ?!

Szkice z licytacji Zakopanego

Sprawa ta budziła tak powszechne zajęcie, że jakkolwiek dziś jest już rozstrzygnięta, nie będzie od rzeczy skreślić, w formie małego obrazka, cały jej przebieg.

Jak dalece zależało wszystkim na tym, by Zakopane nie wpadło w złe lub obce ręce, najlepszym dowodem jest, że *ad hoc* uformowane Tow. Ochrony Tatr, mimo ogólnej biedy i równie ogólnej niechęci do składek, zebrało w ciągu ledwie kilku tygodni około 80 tysięcy złr. Oczywiście, do zakupienia Zakopanego potrzeba było pięć razy większej sumy, mimo to jednak Towarzystwo postanowiło przystąpić do licytacji, w nadziei, że potrzebna całkowita suma zbierze się drogą dalszych składek.

Krążyły wieści, że do licytacji staną, prócz Towarzystwa Ochrony Tatr, Goldfinger, izraelita z Nowego Targu, Kolischer, również izraelita, współzawodnik pierwszego, domniemany pełnomocnik księcia Hohenlohe — i rząd, który pod naciskiem opinii zdecydował się był podobno wystąpić do współzawodnictwa. Tymczasem, na krótko przed terminem, poczęto sobie powtarzać, że znajdzie się i piąty współzawodnik w osobie Władysława Zamoyskiego, właściciela Kórnika. Wieść sprawiła ogromne wrażenie. Robiono powszechne wota za Zamoyskim. Gdyby on zdołał się utrzymać, Zakopane przeszłoby w młode, energiczne i możne ręce, co dla ulubionej miejscowości mogłoby przynieść nieobliczalne korzyści i usunąć raz na zawsze groźbę przejścia jej w obce władanie.

Tymczasem zapytywany hr. Wł. Zamoyski milczał. Obawy rosły z każdą chwilą. Przepowiadano, że ani Towarzystwo Ochrony Tatr, ani rząd nie będą mogli przelicytować Kolischera, a zwłaszcza Goldfingera, który mając sklep w Nowym Targu może z kupna ciągnąć znaczniejsze niż ktokolwiek korzyści, choćby dlatego, że wszelką robociznę będzie płacił góralom towarami, zarabiając na nich i na udzielanym im kredycie sto na sto. Położenie było istotnie groźne. Goldfinger okazywał zupełną pewność siebie i otwarcie oświadczał, że

się utrzyma. Pieniędzy nie mogło mu braknąć, bo worki współwyznawców stały dlań otworem. Zresztą Kolischer czy Goldfinger znaczyło to samo, co zamknięcie gór, wycięcie lasów, zniszczenie, rabunkowe gospodarstwo, wyzysk górali i upadek miejscowości.

Musimy co do Kolischera dodać, iż wieści, że występuje on w imieniu ks. Hohenlohe, były przypuszczeniem bez pewniejszych podstaw. Ma to być człowiek ucywilizowany, posiadacz rozległych dóbr na Węgrzech, który prawdopodobnie chciał je zaokrąglić przez nabycie Zakopanego. Z dwojga złego byłoby pożądańszym utrzymanie się Kolischera niż Goldfingera.

Towarzystwo, mając na czele ks. E. Sanguszkę i adwokata Markiewicza, wytężało ostatnie siły. Co do rządu, wiedziano, że nie posunie się i nie może się posunąć nad pewną określoną cenę. Zguba zdawała się nieuchronną.

Na koniec nadchodzi dzień stanowczy. Tłumy zalegają salę. Serca biją niespokojnie. Wśród głębokiej ciszy jeden z urzędników odczytuje nazwiska tych, którzy złożyli wadium. Jest Goldfinger, jest Kolischer, rząd i Towarzystwo. Zamoyskiego nie ma. Stało się! Próżno oczy szukają go między publicznością w sali. Jest tylko adwokat Rettinger, na którego każdy patrzy z niechęcią i wyrzutem. On to, według opinii publicznej, dopuścił już raz do licytacji, z której zwycięzcą wyszedł Goldfinger; wprawdzie licytacja nie była formalna i Rettinger zwalił ją potem, ale nikomu nie przychodzi do głowy, że zręczny adwokat właśnie może dlatego do niej dopuścił, aby ją następnie z powodu nieformalności zwalić i przez to zyskać na czasie.

Tymczasem siedzi oto pod strzałami niechętnych spojrzeń, które odwracają się od niego dopiero wówczas, kiedy walka się rozpoczyna. Licytanci szybko przechodzą sumę 400 000 guldenów.

— Czterysta pięć tysięcy! — woła Goldfinger.

— Czterysta sześć! — odpowiada Markiewicz w imieniu Towarzystwa.

— Czterysta siedem! — brzmi głos pełnomocnika rządu.

— Ośm! — poprawia Kolischer.

Śruba idzie w górę! Pot występuje na czoła.

Dziewięć, dziesięć, dwanaście, piętnaście!

Chwila milczenia!... Pełnomocnik rządu oświadcza, że ustępuje.

Wrażenie pognębiające! Towarzystwo nie przemoże takich dwóch potentatów, jak Kolischer i Goldfinger. Jakoż przy czterystu siedmnastu tysiącach Markiewicz rozkłada ręce. Stało się! Z czterech licytantów pozostają tylko Kolischer i Goldfinger. Ale przypuszczenie, że działają w porozumieniu, okazuje się mylnym. Obaj licytują się zawzięcie i obaj robią wrażenie wyścigowych koni wytężających przed metą ostatnie siły. Idą przez jakiś czas *„dead head"*. Lecz Kolischer poczyna okazywać zmęczenie i widocznie robi bokami. Goldfinger „bierze" go.

— Czterysta dwadzieścia cztery tysiące!

— Czterysta dwadzieścia pięć!

Milczenie.

Upływa kilka minut.

— Czterysta dwadzieścia pięć, po raz drugi! — woła głos urzędnika.

Słychać tylko tik-tak zegara. Przechodzi jedna minuta i druga — po upływie trzech następnych własność przyznana zostanie Goldfingerowi.

Wtem na sali odzywa się głos adwokata Rettingera:

— Za pozwoleniem! Składam wadium i staję do licytacji!...

Wrażenie nie do opisania. Między publicznością zrywają się szmery i cichną. Podziw miesza się z trwogą i nadzieją. Jakim sposobem Rettinger rozporządza tak ogromnymi sumami? Czy staje w swoim imieniu, czy jako pełnomocnik kogo innego? Pytania te zostają bez odpowiedzi. Goldfinger blednie. Złowrogie przeczucie ścina mu serce. Przecież ten sam Rettinger zwalił już raz licytację. Zresztą wzbudza on w ogóle postrach między miejscowymi finansistami.

Tymczasem groźny współzawodnik składa wadium. Obliczenie i wpisanie sumy nie zabiera wiele czasu, są to bowiem cztery papierki po 10 000 reńskich każdy. Walka rozpoczyna się na nowo.

— Czterysta dwadzieścia pięć tysięcy! — powtarza urzędnik.

— I centa! — dodaje z flegmą Rettinger.

Pot pokrywa czoło Goldfingera, ale walczy jak rycerz, który chce drogo sprzedać życie... chciałem powiedzieć: Zakopane. Sam przerażony, pragnie przerazić przeciwnika i postępuje po tysiąc reńskich. Rettinger natomiast zachowuje spokój głazu i na domiar wszystkiego igra okrutnie ze współzawodnikiem. Raz postępuje centa, potem rzuca od razu tysiącami guldenów, jakby pieniądze nie miały dla niego znaczenia — to znów ofiaruje centa więcej. Jest chłodny, pewien siebie i powolny. Walka staje się coraz straszliwszą.

Czterysta trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt!

Głos zamiera Goldfingerowi, gdy wreszcie wyrzuca z piersi słowa:

— Czterysta pięćdziesiąt pięć tysięcy!

— Czterysta sześćdziesiąt! — mówi nieubłagany Rettinger.

— Po raz pierwszy!...

Cisza.

— Po drugi!...

Dłonie Goldfingera podnoszą się nagle ku niebu:

— Jam założył papiernię w Zakopanem — mówi głosem „Kupca weneckiego" z ostatniego aktu. — Jam zaczął eksploatować chłop... chciałem powiedzieć: lasy! — i teraz... teraz... ustępuję!...

— I po trzeci! — rozlega się suchy głos urzędnika.

Dramat skończony!

Jest tylko jeszcze mały epilog. Oto Rettinger wstaje i mówi:

— Licytowałem na własne imię, obecnie oświadczam, że działałem jako pełnomocnik hr. Władysława Zamoyskiego.

Sprawa nie mogła wziąć szczęśliwszego obrotu. Przede wszystkim zyskali na niej górale. Nabyte przez nich grunta od poprzednich właścicieli nie były intabulowane bądź to z powodu opieszałości, bądź dlatego, że stosunek kupna i sprzedaży oparty był na wzajemnej ufności. Nie chcemy twierdzić, żeby Goldfinger, na wypadek utrzymania się przy Zakopanem, zamierzał skorzystać z tej okoliczności i wyrzucić chłopów z posiadanych i zapłaconych przez nich gruntów — wiemy tylko, że im samym serca zamierały ze strachu, aby się tak nie stało. Obecnie niebezpieczeństwo to stanowczo jest zażegnane. W Zakopanem odprawiono nabożeństwo dziękczynne.

Nowonabywca zapłacił za Zakopane dość drogo — zapłacił niemal *„praetium affectionis"*, widocznie bowiem chodziło mu o to, by ten tak malowniczy i ulubiony szmat gór nie przeszedł w nieodpowiednie ręce. Czy jednak zrobił zły

interes? Ludzie obeznani ze stosunkami twierdzą, że nie. Zakopane staje się stacją klimatyczną nie tylko letnią, ale i zimową, podnosi się i będzie się podnosiło coraz bardziej. Praca i pomysłowość, poparte zmysłem praktycznym, mogą w tym górskim zakątku stworzyć liczne źródła dochodu. Otóż twierdzą, że nowonabywca jest obdarzony zmysłem praktycznym w wysokim stopniu. Z pracą stykał się nie tylko teoretycznie, ale przykładał do niej ręki bezpośrednio. Słyszeliśmy, że w swoim czasie był w Australii skwaterem i farmerem. Sam orał, sam rudował lasy. Jest przy tym człowiekiem zamożnym.

Waham się doprawdy, czy mam dodać dla warszawianek szukających świeżego powietrza w Zakopanem — jeszcze jedną wiadomość... Gdy ją dodam, w Zakopanem będzie tłok, a ceny mieszkań i żywności zdrożeją... Ale niech tam! Wyjdą na tym dobrze górale, więc mówię. Oto nowonabywca jest podobno młodym, interesującym człowiekiem o posępnym spojrzeniu i smagłej cerze. Powiadają przy tym, że jest trochę dziki i... nie żonaty.

Pod pewnym względem jednak nie chciałbym być w jego skórze. Oto Zakopane jest dla wszystkich ulubionym miejscem. Każdy ma gotowe teorie, jakby tam gospodarował i co by uczynił, gdyby był właścicielem. Owóż z tych teorii każdy będzie robił regułę obowiązującą dla istotnego właściciela i ilekroć ów postąpi wedle własnego rozumu i własnych interesów, będzie krytykowany i sądzony do nieskończoności. Może to być nudna kontrola tak właśnie, jak nudną rzeczą jest być sądzonym za niespełnienie wszystkich, płynących z dobrych chęci, ale mniej więcej mądrych lub głupich pomysłów, które się wylęgną w głowach gości.

Ale ponieważ nie ja kupiłem Zakopane, więc mi to jest wszystko jedno.

K. Dobrzyński

Taki oto felieton ukazał się w *Słowie* nr 115 w dniu 22 maja 1889, skąd po latach siedemdziesięciu wydobywa się go na światło dzienne. O autorstwie dowiadujemy się z listu Sienkiewicza do Godlewskiego.[5] Przesyłając utwór powieściopisarz zastrzega sobie dyskrecję redaktora, zamierza bowiem nabyć parcelę w Zakopanem, więc — jak mówi — „chodzi mi o to najmocniej, aby Zamoyski nie pomyślał czasem, że sympatyczny dla niego artykuł pisany jest z ukrytą chęcią uzyskania jakichś wyjątkowych ustępstw".

Sens zaś artykułu jest jasny. „Państwo zakopiańskie", jak wedle łacińskiego „dominium" nazywano duży majątek leśny pod Giewontem, wyszedłszy z rąk Homolacsów, przechodziło wieloletni kryzys, grożący ruiną dużemu zespołowi wsi góralskich. Rabunkowa gospodarka obcych banków i bankierów sprawiła, że ostatecznie dobra poszły „na młotek" i mogły dostać się drobnym spekulantom, co równałoby się ich całkowitemu zniszczeniu. Niebezpieczeństwo zażegnał Władysław Zamoyski, który w dniu 9 maja 1889 kupił klucz zakopiański na licytacji w Nowym Sączu i kupił po to, by go po latach w postaci „Fundacji Kórnickiej" ofiarować państwu polskiemu.

Czytelnicy rzadkiej dzisiaj a godnej wznowienia książki F. Hoesicka *Tatry i Zakopane* lub rozreklamowanej a pełnej nieporozumień opowieści J. Kurka

Z Tatr, wiedzą cośkolwiek o tej transakcji, nie bardzo jednak umieją się zorientować, czym kierował się Zamoyski, którego druga z wymienionych książek robi po prostu półgłówkiem. Dlaczego? — ano chyba dlatego, że był to arystokrata. Dopiero ze szkicu Sienkiewicza dowiedzieć się można, jak sprawa wyglądała w rzeczywistości i o co owemu arystokracie mogło chodzić. W toku zaś samej relacji uderza jedno, powściągliwość autorska tam, gdzie łatwo było uderzyć w strunę antysemicką. A wreszcie nie ma potrzeby rozwodzić się nad artyzmem tej relacji, na każdym kroku zdradzającej lwi szpon wielkiego pisarza. Wystarczy zwrócić uwagę na sposób, w jaki cieniuje on sylwetkę mecenasa Józefa Rettingera od pierwszej o nim wzmianki po jego końcowe oświadczenie, by dostrzec całą dużą skalę efektów iście dramatycznych, które stanowią o wartości obrazka *Kto da więcej?!*.

SATYRA NA AUSTRIĘ

PROJEKT LAPIDARNEGO NAPISU NA GROBACH SAMOBÓJCÓW POD WAWELEM

Obiecanka, cacanka,
Zabiła mnie Hrabianka,
Mogiłę mi . . . . . .

LEGENDA AUSTRIACKA

Raz stary, strudzony Taaffe
Otworzył zamczystą szafę,
Wyjął gąsiorek z winem, postawił na stole,
Jedną dłoń wsparł na sercu a drugą na czole —
I rzekł, lejąc z butelki wino do kieliszka:
My niby rządzim Austrią, lecz nami . . . . . .

Ha, myszka!
Myszką trąci ten węgrzyn! Bodaj to Madziary!
Wolę od Młodoczechów tokajer ów stary.
Ta butelka wygląda jak zgrzybiała mniszka.
Tak, tak! My rządzim Austrią, a nami . . . . .

Toż zwyżka
Będzie w finansach państwa. Stary Dunajewski
Lepiej gospodarował niż te nowe pieski;
Ciężko mi będzie rządzić bez tego chłopyszka —
Bo to ja rządzę Austrią, a zaś mną . . . . . .

Sam Żyszka
Nie sprawił tyle zmartwień Luksemburczykowi,
Ile mnie Młodoczechy, Gregr... Temu Gregrowi
Oberwałbym z radością uszy! Chytra liszka!
Więc że my rządzim Austrią, a nami . . . . . .

Franciszka
Józefa piję kaiser-koenigliche zdrowie!!!
Tu umilkł — i łza spadła mu na dno kieliszka,
Ale echo zbudzone w sklepieniach odpowie:
Myszka, mniszka, kieliszka, Żyszka i . . . . .
FRANCISZKA!...

Wierszyk o kłopotach premiera austriackiego, Edwarda Taaffego, zachował się w papierach Franciszki z Krasińskich Woronieckiej i był może załączony do jakiegoś nieznanego dzisiaj listu.

Tenor satyrycznej humoreski pozwala nam ustalić czas jej powstania. Idzie o to, że wszechwładny minister finansów monarchii habsburskiej, Julian Dunajewski, który przez lat dziesięć kierował faktycznie polityką Austrii, w początkach r. 1891 podał się do dymisji i dymisja ta została przyjęta. Pozbywając się polskiego współpracownika stary wyga ministerialny, jakim był Taaffe, nie przewidział, że sam podpiłował konar, na którym siedział. Następcy Dunajewskiego nie umieli dać sobie rady z kłopotliwą sytuacją finansową ani z opozycją parlamentarną, prowadzoną przez popierane przez Dunajewskiego prężne stronnictwo młodoczeskie, któremu przewodził Edward Greger. W rezultacie Taaffe po piętnastu latach rządów przewrócił się jesienią r. 1893. W ten sposób daty dwu dymisyj, Dunajewskiego i Taaffego, a więc styczeń 1891 i październik 1893, są równocześnie datami granicznymi satyry Sienkiewicza natrząsającej się z bałaganu wiedeńskiego. Dodać należy, że pośrednio wierszyk dworuje sobie nie tylko z premiera, ale również z cesarza Franciszka Józefa, którego imię przewija się echem przez wszystkie misternie splecione zwrotki. Czy jednak autorowi, zręcznie posługującemu się przysłowiowym powiedzonkiem Krasickiego: „My rządzim światem, a nami kobiety", chodzi o, by tak rzec, babskie rządy nieudolnego cesarza, pewności mieć nie możemy. Za taką interpretacją przemawiałoby niejedno, choćby charakterystyka owoczesnych stosunków w cennym szkicu o Dunajewskim Leona Pinińskiego, a więc człowieka, który w atmosferze politycznej Wiednia orientował się dobrze, a który dymisję znakomitego ekonomisty uznał za przyczynę dalszych niepowodzeń Austrii, równocześnie zaś bardzo cierpko oceniał zdolności Franciszka Józefa. [6]

Wykluczone jednak nie jest, że omawiany wierszyk jest pogłosem jakichś rozmów na temat Wiednia w Radziejowicach, gdzie mieszkali rodzice „hrabianki Franciszki", Józefostwo Krasińscy. Pani domu, Helena ze Stadnickich, miała rodziców niedaleko Wiednia, stąd życiem stolicy naddunajskiej interesowano się w pałacu radziejowickim żywo i może snuto jakieś pomysły, które ubawiony nimi Sienkiewicz utrwalił w wierszyku. Za przypuszczeniem takim przemawiałaby niezrozumiała dla nas aluzja do samobójców podwawelskich

i wyrazy „Hrabianka" w napisie nagrobkowym oraz „Franciszka" zamykająca wierszyk. W rezultacie więc *Legenda Austrii* jest kłębuszkiem zagadek, które może kiedyś komuś uda się rozwiązać.

Ponieważ i życie, i twórczość Sienkiewicza są dzisiaj nie tylko żerem dla rozmaitych łowców skandali i skandalicznych plotek, ale również przedmiotem bardzo wnikliwych badań naukowych [7], spodziewać się wolno, że i zabawny wierszyk o Austrii doczeka się poprawnego wyjaśnienia.

Warszawa, w październiku 1958

Julian Krzyżanowski

PRZYPISY

[1] *Dzieła* Sienkiewicza (nie zaś uzupełnienia naukowe) miały jedną tylko recenzję i to godną pamięci. Myślę tu o bardzo pięknym artykule M. Danilewiczowej, drukowanym w *Wiadomościach* a poświęconym korespondencji pisarza.

[2] *Listy H. Sienkiewicza do M. Godlewskiego* opracował E. Kiernicki, Wrocław 1956.

[3] O. Jędrzejczak: *Mowa rektorska* Henryka Sienkiewicza, *Pamiętnik Literacki* 1956.

[4] *Listy do Godlewskiego*, s. 106, 117.

[5] j.w., s. 99.

[6] *Wspomnienie o Julianie Dunajewskim* w *Przeglądzie Współczesnym* 1925.

[7] Chodzi tu o rzeczy takie, jak *Pamiętnik Literacki* z r. 1956 z kilku dobrymi studiami, jak *Listy do Godlewskiego*, doskonale opracowane przez E. Kiernickiego, jak wreszcie rozprawy o Sienkiewiczu w Ameryce Z. Najdera i o Sienkiewiczu w Wielkopolsce J. Maciejewskiego.

Kazimierz Wyka

DWA RAZY RÓŻEWICZ

I

Tadeusz Różewicz jest tematem niniejszego artykułu w sposobie dwojakim. Jako autor dziesiątego z kolei swego zbioru *Formy* (Warszawa 1958, „Czytelnik", str. 71 + 5 nl, obwoluta, karta tytułowa i ilustracje Jerzego Tchórzewskiego), który, by dalej nie powtarzać oceny, uważam za najdojrzalsze zjawisko poetyckie roku 1958. Jest także owym tematem jako bohater główny studium wersologicznego *Wersyfikacja Tadeusza Różewicza wśród współczesnych metod kształtowania wiersza (Pamiętnik Literacki,* 1958, z. 3), pióra Zbigniewa Siatkowskiego, ucznia najwybitniejszego dzisiaj znawcy wiersza polskiego, prof. Marii Dłuskiej.

Ponieważ koledzy pisarze nie zwykli czytywać wystąpień polonistycznych, o ile takowych wykpić nie można, bądź krytycznych, o ile nie donoszą one o ostatnich wahaniach kursów na giełdzie literackiej, więc studium Siatkowskiego nie tylko zasygnalizuję, ale i streszczę w głównych obserwacjach i wnioskach autora. Wszystko dlatego, że pisząc te słowa czytam jednocześnie jakże rozsądny felieton KTT *Trochę melancholii (Nowa Kultura,* 1958, nr 46) o odciętej od świata willi Tomasza Manna i o tym, że żaden pisarz polski w niej by nie zamieszkał — z obawy przed giełdą i kawiarnią. „Jeżeli codziennie nie krzyknę, że jestem, że żyję, dowiem się z gazety, że pochowano mnie żywcem i że się skończyłem. Co drugi pisarz w Polsce budzi się z przerażeniem, czy przypadkiem przez noc się nie skończył. Histeria? Ależ oczywiście. Powodem jednak tej histerii jest fakt, że w Polsce nic się nie sumuje i wszyscy bez wyjątku są nędzarzami na dorobku."

Zaś Różewicz pod hałdami siedzi w swoich Gliwicach poza sferą kawiarnianej giełdy i zawodowej histerii. Być może także i dlatego pierwszy ze swojego pokolenia wchodzi na warsztat polonistyczny. Ba! Spotykamy u niego tekst, który do dokumentacji pewnego głośnego wydarzenia trzeba włączyć na osobliwym miejscu. Tekst datowany i określony: listopad 1956 (na Zjeździe Literatów w Warszawie). Dla ścisłości, było to na przełomie listopada i grudnia w solidnym gmachu z arcykariatydami przy ulicy Czackiego.

Coraz częściej spotykam umarłych
są niezwykle ożywieni

usta mają otwarte mówią dużo
niektórzy z nich pienią się
jak mydło

ostatnio zetknąłem się z większą liczbą umarłych
którzy siedzieli rzędami na krzesłach
mieli na twarzach rumieńce
śmiali się klaskali siadali
oburzali wstawali
robili osobiste wycieczki

Jakim sposobem dostaje się Różewicz na warsztat wersologiczno-polonistyczny? Wszyscy znakomici badacze wiersza polskiego — Fr. Siedlecki, K. W. Zawodziński, Stan. Furmanik, aż do Marii Dłuskiej — przyjmowali istnienie i przedstawili opis trzech tylko systemów wersyfikacyjnych jako wystarczających do zrozumienia przemian wiersza polskiego od Kochanowskiego po współczesność. System sylabiczny, system sylabotoniczny i system toniczny. System oparty na uporządkowaniu liczby sylab w wersie, na miejscu średniówki i dwóch stałych przyciskach przed średniówką oraz w rymie. System przy zachowaniu uporządkowanej liczby sylab oparty na ułożeniu istniejących w mamateriale językowym przycisków na podobieństwo stóp. Wreszcie system rezygnujący zarówno z porządku równosylabicznego, jak układu stóp na rzecz pewnej liczby przycisków rytmicznych, opartych na istnieniu zestrojów intonacyjnych w materiale języka. Czyli:

1. Nie bądź mi hardym, chociaś wielkim panem,
   Jam nie starostą ani kasztelanem,
   Ale gdy namniej podweselę sobie,
   Siła mam w głowie panów równych tobie.

2. Pod skejskim donżonem, na blankach, na murach
   Pancerni przysiedli stróżowie,
   Łby wsparli na szpadach, na srogich kosturach
   Na czatach na zamku w Krakowie.

3. Od czarnej słodyczy jedwabnych słów
   dusza powstaje i tęskni znów,
   i wije wianki, i powrozy wije
   i zarzuca je gwiazdom i księżycom na szyję;
   wychodzi z ciała na niebieski połów
   i wraca z siecią, pełną ptaków i aniołów.

Kochanowski, Wyspiański, Iłłakowiczówna. W tych trzech systemach nie dawał się wszakże zmieścić średniowieczny wiersz polski, będący nie wynikiem jakiejś nieudolności wersyfikacyjnej, lecz po prostu odmiennej zasady. Nie dawał się również zmieścić powstający właśnie podówczas, właśnie w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy w nawiązaniu do badań Kazimierza Wóycickiego podano definitywny opis naukowy tych trzech podstawowych syste-

mów — jakiś system nowy, wyrażający się przede wszystkim w praktyce awangardy krakowskiej i jej naśladowców. S y s t e m IV. Oto termin Siatkowskiego. Jego rozprawa stanowi właściwie pierwszą próbę opisu tego systemu IV, jak ostrożnie autor się wyraża, próbę doprowadzoną do ostatnich tekstów Różewicza.

Jakie są cechy i właściwości owego systemu IV? Siatkowski śledzi je na obszernym tle porównawczym, od Apollinaire'a i Majakowskiego poczynając na tle poezji światowej, od Norwida na tle poezji polskiej. Stwierdza słusznie, że u podstawy tego systemu spoczywa, w przeciwieństwie do systemów poprzednich — „sztuka operowania intonacją, tworzenia z jej pomocą takich układów, takich rozczłonkowań, jakich nie zna normalna, nie obliczona na ekspresję wypowiedź" (str. 130—1).

Ten punkt wyjścia Siatkowskiego pokrywa się zasadniczo z obserwacją Stefanii Skwarczyńskiej w tym względzie, obserwacją wszakże bardzo lakoniczną, wiążącą natomiast — w moim przeświadczeniu bardzo słusznie — tendencję pojawiającą się w systemie IV z wyróżnikami średniowiecznego wiersza polskiego (rozdział *System składniowo-intonacyjny w poezji polskiej* we *Wstępie do nauki o literaturze*, Warszawa 1954, t. II, s. 432—440). Tyle że ostrożny Siatkowski woli jeszcze tego systemu nie nazywać dokładnie, lecz, podobnie jak nowe osiedle, opatruje takowy na razie cyfrą kolejną.

Kolebkę czwartego systemu wersyfikacyjnego dostrzega Siatkowski słusznie w teorii oraz praktyce awangardy krakowskiej. Przeprowadza czułą i wrażliwą analizę wersyfikacji Przybosia, wskazując trafnie, że w istocie rzeczy dają się u tego poety zachwycić uchem „jakieś reminiscencje klasycznych polskich systemów, jakieś strzępy znanych rytmik", ale ustawione i wyzyskane w szczególny sposób. Mianowicie: „Rytm u Przybosia polega na intonacyjnej samodzielności każdego wersu. Jednakże nie jest to samodzielność wypowiedzenia, złożenia wypowiedzeniowego, zestroju intonacyjnego, frazy itp., ściśle biorąc to nie musi być taka samodzielność. W tym bowiem systemie wierszowania podstawą, na której się dokonuje rozczłonkowanie, jest intonacja, nie gramatyczna, standartowa, podręcznikowo beznamiętna, lecz intonacja mówionego języka, obciążona ekspresyjnie, zawsze trochę indywidualna i niekonsekwentna na pozór, poświęcająca wzorek gramatyczny dla wyrazistego oddania zamierzonych treści" (str. 129).

Dalsza droga w stronę Różewicza prowadzi poprzez rytmikę Józefa Czechowicza. Ta obserwacja Siatkowskiego wydaje się celna i bodaj nigdy dotąd nie uczyniona. Nie tylko w tym miejscu młody wersolog wykazuje trafną intuicję krytyczną. Chociażby w takim powiedzeniu również: „spokój, beznamiętność postulowanej przez Różewicza intonacji tłumaczy się doskonale na tle głównych tematów jego twórczości. Jeśli tak często zestawia się Różewicza z Tadeuszem Borowskim, to istotnie przecież różewiczowski typ intonacyjny jest jakąś paralelą dla zimnej, aż — zdawałoby się — cynicznie obojętnej stylistyki nowel *Kamiennego świata*" (str. 136).

Na czym zaś polega swoistość rytmiki Różewicza w stosunku do jej awangardowej kolebki, swoistość wszakże tylko z jej założeń dająca się wyprowadzić? Wiersz Różewicza o wiele dobitniej porządkuje zasadniczą tendencję intonacyjno-ekspresywno-deklamatorską systemu IV, porządkuje, ponieważ skupia wokół pewnego stałego elementu jego wersyfikacji. Ten stały element od

strony jego określenia wersologicznego Siatkowski nazywa — w i ą z a n i e m (termin znany K. W. Wóycickiemu). Od strony określenia syntaktycznego nazywa — s k u p i e n i e m (termin używany przez Z. Klemensiewicza). Te dwa określenia oznaczają zaś po prostu: „zespół wyrazów zgrupowanych wokół wspólnego akcentu wartościującego, który pełni określoną funkcję w wypowiedzeniu" (str. 141). Czyli w przykładzie poetyckim:

Siódmy anioł
jest zupełnie inny
nazywa się nawet inaczej
Szemkel

to nie to co Gabriel
złocisty
podpora tronu
i baldachim

ani to co Rafael
stroiciel chórów

ani także
Azrael
kierowca planet
geometra nieskończoności
doskonały znawca fizyki teoretycznej.

Celowo zacytowałem nie Różewicza, lecz Zbigniewa Herberta *(Siódmy anioł* ze zbioru *Hermes, pies i gwiazda).* Celowo, ponieważ chodzi mi o wskazanie, że system IV, mimo iż Siatkowski rozpatruje go tylko w oparciu o dorobek Różewicza, jest w obecnej poezji zjawiskiem o wiele szerszym. I to właśnie wskazuje na wagę omawianego studium. Zaś u Różewicza, cytuję *Formy:*

Murarze odchodząc
zostawili w ścianie pionowy otwór
Czasem myślę
że mieszkanie moje jest zbyt umowne
łatwo tu wchodzą
różni ludzie

Gdyby murarze nie zostawili
tego otworu w ścianie
byłbym eremitą

(Drzwi)

Istotnie. Każdy werset to skupienie, czyli jakaś syntaktyczna grupa wyrazowa. To wiązanie, czyli zgrupowanie wyrazów wokół intonacji ekspresywnej, a nie równej liczby sylab, nie układu stóp, nie intonacji tonicznej. Pisząc kiedyś o *Zaległych tomach Różewicza (Życie Literackie,* 1956, nr 46), by nazwać to po-

stępowanie, wprowadziłem metaforę wziętą z dziecinnej zabawy w klocki, zaopatrzone w obrazki i łącznie układające się w całość. Tę metaforę studium Siatkowskiego wypełnia precyzyjną treścią wersologiczną. Każde skupienie różewiczowskie to jakiś klocko-obrazek, klocko-czynność, klocko-sąd, klocko-ocena.

To wszakże określa granice możliwości wersyfikacyjnych Różewicza. To prowokuje do oceny. Nie podaje takowej Siatkowski, nie była ona zresztą jego obowiązkiem. Lecz nawet po przeczytaniu studium tak godnego uwagi pozostaję przy swoim. To znaczy przy przekonaniu o merytorycznej wyższości wersyfikacji Przybosia, tak ujętym we wspomnianym artykule: „Zdanie poetyckie Przybosia jest bardziej bogate i giętsze w punktowaniu sensów i wzruszeń. Nie jest tak podległe niewoli frazy zdaniowej, wyrzucanej do odrębnej linijki. W związku z tym Różewicz zna właściwie tylko jeden znak przestankowy, nie uwidoczniany w druku — granicę klocka-wersetu. Jego interpunkcja jest uboga i monotonna. Natomiast — interpunkcja Przybosia w sposób jakże pełen niespodzianki i posłuchu wobec retorycznej i wzruszeniowej intencji prowadzi tok wiersza".

II

Mimo wszystkie, minione i niegodne, ażeby je dzisiaj przypominać, wahania tematyki i stanowiska ideowego, Różewicz należy do autorów o tak jednolitym pionie wewnętrznym, że *Formy*, zbiór całkowicie dojrzały, to nic innego, jak swoisty nawrót do prapoczątku tej poezji. Nawrót, utrwalenie, jeden więcej wariant wciąż tej samej propozycji stawianej światu. Coraz to częściej poetów współczesnych można porównać do ludzi, którzy właściwie wygłaszają jedno i to samo zdanie. Trzeba to uściślić: w zdaniu owym zmieniają się podmioty i dopełnienia, ale identyczne pozostaje orzeczenie. To, które zjawiskom dostrzeganym nadaje jedność, to, które powiada, że wszystkie podmioty i dopełnienia łączy identyczna funkcja.

U prapoczątku poezji Różewicza podmioty pochodziły z atmosfery okupacyjnego zarażenia śmiercią. Wszystkie obserwacje, wszystkie zjawiska dostrzeżone przez autora stawiane były w okrutnym i zimnym świetle owej śmierci — bez patosu, bez ofiary, bez poświęcenia, bez jakichkolwiek cnót dodatkowych i dopełniających. W kilkanaście lat po otwarciu bram ostatniego z obozów koncentracyjnych darmo by szukać tego samego podmiotu. Lecz świat wyludniony poprzez śmierć, sprowadzony do jakichś najprostszych form i objawów, trwa nadal w *Formach*.

Kto wie, czy w jakiś sposób nie dociera już do kresu. Bo bez mała połowę tomu zajmujące *Spojrzenia*, utwory ujęte prozą, przedstawiają się odmiennie: jak tytuły poetyckie są w y l u d n i o n e, sprowadzone w swojej zawartości do form najprostszych, tak tytuły prozaiczne są d o l u d n i o n e, w krąg obserwacji Różewicza wkraczają tu objawy dotąd na ogół przez autora nie dostrzegane. Lub tylko marginalnie, jako pretekst do satyry.

W tym stanie rzeczy nie warto kręgu poetyckiego Różewicza raz jeszcze opisywać i odtwarzać. Od *Czerwonej rękawiczki* i *Niepokoju* jest to przecież ten sam wciąż krąg. Budzi się inna pokusa: mówiąc o poecie tak upartym, tak jednolitym, tak zawziętym, warto zapytać, jakie są właściwie konsekwencje filozoficzne jego postawy. Co ona oznacza? Oczywista nie ażeby w ujęciu dyskur-

sywnym dała się ona uchwycić w *Formach*, lecz dlatego, że — jak u każdego prawdziwego poety — zawarta jest ona w zespole górujących w nim wyobrażeń i skojarzeń. U Różewicza tak dalece górujących, że nabierają one charakteru perseweracyjnego, stają się natrętne i nieodparte. Więc?

Jest w tym zbiorze znamienny i o autokrytycyzmie autora dobrze świadczący obraz drzwi obrotowych, przez które „wchodzą sprawy tego świata". Lecz nie wszystkie, wybrane, do tych, które przed progiem pozostały, powrócimy jeszcze. Wnika bowiem przez te drzwi przede wszystkim widzenie człowieka, istoty uważającej siebie za istotę o podszewce psychicznej, w i d z e n i e — j a k o r z e c z y, jako formy, jako swoistego ciała fizykalnego. Przeczytajcie pod tym kątem *Wieżę*, bo nie zawsze najlepsze utwory poetów mówią najwyraźniej o ich stanowisku:

To ciało które ona nosi na sobie
które kładzie na łóżku zmęczone
w które wprowadzono metalowe instrumenty
to smutne ciało co drży jak mały piesek
pod zbyt obszernym niebem
to wesołe ciało które tańczyło tak lekko
które miało usta i drogocenne oczy w głowie
które mówiło

ta skóra po której wędrowało słońce
spływały deszcze
ta cisza skóry uroczysta
rozpięta nad nami jak namiot

To ciało którego nigdy nie miałem
bo należało tylko do siebie
to ciało chodzi samo po dalekim obcym
mieście siada na ławce odpoczywa

I tak wszędzie. Człowiek sprowadzany do rzeczy, do ciała, do tego, co somatyczne. Ostrość spojrzenia Różewicza, ale też jego uparta monotonia, polega na nieustannie koniugowanym orzeczeniu tyczącym się każdego ciała, równoważnika każdej sprawy: „Ono wraca bez wytchnienia do swej matki większej do ziemi". Ten somatyzm posiada bowiem tylko jeden cel — dotrumienny. Dlatego poetycką filozofię Różewicza proponuję nazwać s o m a t y z m e m d o t r u m i e n n y m.

To nie przypadek, że używam terminów, jakie dotyczą stanowiska filozoficznego, które głosi Tadeusz Kotarbiński. Stanowiska antymetafizycznego, agnostycznego, pozbawionego śladów jakiejkolwiek złudy pozaziemskiej. Poeta powiada to dotkliwie i dobitnie: „Żywi i umarli obcują ze sobą unoszą się w powietrzu i daremnie szukają miejsca na ziemi". Tak ukształtowane obcowanie żywych i zmarłych utkane jest z dymów krematoryjnych czasów pogardy i atomowego grzyba.

Wśród dotyczących Różewicza opinii, tych, jakie powodują, że jego poezja przestała być sprawą zamkniętego kręgu znawców, uderza stałe podkreślanie

gorzkiego humanizmu owego autora. Gdzie w tym dotrumiennym somatyzmie mieści się ów gorzki humanizm? Nie widzę sprzeczności. Istotnie się mieści i to dopiero nadaje pełny smak omawianemu dorobkowi. Ta uparta, somatyczna ziemskość jest ostrzeżeniem przed złudą, a zarazem ku temu zmierza, by przypominać ustawicznie, że nie poeta dopiero ją wynalazł. Pod jego piórem krystalizuje się to, co jest powszechne, co nazwane być musi i wspólnie uświadamiane:

to nie nasza wina
że zamiast pięknych
dobrych i radosnych
rodzimy potwory

przecież to z wami
z waszą wyobraźnią
z waszym przerażeniem
krzykiem i milczeniem
krzyżujemy się łączymy
tworzymy z wami

potwory
bez ust bez światła
bez wiary bez honoru

twarze zalane łzami i wódką
ślady po obroży
ślady po kiju
(Niejasny wiersz)

Druga strona somatyzmu to u r a z m o r a l n y. Bez tego urazu nie byłoby podstaw dla widzenia tak dokładnego i tak gorzkiego. Kto sprawcą ostatecznym owego urazu — tego poezja Różewicza nie nazywa. Ona tylko sygnalizuje, uporczywie, wciąż na tym samym tonie, niczym alarmowa syrena. Dlatego zapewne rytmika Różewicza pozbawiona jest jakiejkolwiek melodii, jest to bowiem rytmika powtarzanego sygnału, nic ponadto.

Powróćmy raz jeszcze do *Drzwi*, jakich to one nie przepuszczają zjawisk:

nigdy nie stanęła w nich
kwitnąca jabłonka
ani mały źrebaczek
z wilgotnym okiem
ani gwiazda ani złoty ul
ani strumień z rybami
i jaskrami

Oto są odczuwane przez samego poetę jego granice. Czy je przekroczy? Wątpię. Otwórzmy jeszcze szerzej tę krainę niedostępnej mu poezji, na której progu Różewicz przystaje. To nie jego słowa:

Do tej krainy — lecz jakąż jest ona,
Wybudowana gdzieś na zgasłych tonach,
Pożar ognistym mieczem wejścia strzeże,
Umarły gil ćwierka u jej bram,
Siedzą z głową na rękach polegli żołnierze,
Na miast ruinie rzędy lisich jam
I mlecz, i wrzos na zapomnianych schronach.

Spojrzenia zdają się być próbą podobnego wyjścia poza obręcz zamykającą poetę. W sensie liczby przedmiotów, obiektów i ciał, jakie poczynają w owej prozie defilować przed okiem Różewicza, istotnie — wyjścia, czy też raczej rozmnożenia owych wszystkich podmiotów obsługujących właściwe autorowi orzeczenie trumienne. Nie poddawajmy się wszakże takiemu złudzeniu. Przede wszystkim dlatego, że oglądanie ludzi i zjawisk w ich somatycznej postaci wcale nie zanika. Nic bardziej znamiennego w tym względzie, jak notatka poetycka nosząca tytuł *Prawdziwe atrapy*. Czyli z papierowego miąższu wykonane wędliny, pieczywo, lśniące i martwe, pomalowane i nie do spożycia. Ludzie siedzący w kawiarni stają się dla Różewicza zbiorowiskiem podobnych atrapów. „Siedzą na krzesłach, wypchani swoim doświadczeniem, światopoglądem, wykształceniem. Czekają na przyszłość, trawią teraźniejszość."

Złudzeniu, że obręcz została przekroczona, nie należy się poddawać także z innego powodu. Gdybym na podstawie *Spojrzeń* miał narysować mapę i krajobraz Polski, obejmie ta mapa rejon od Częstochowy po Trzebinię oraz Gliwice i Bytom, to przeludnione, wyprane z przyrody, pracowite, surowe, proletariackie serce naszego kraju obejmie. „W działkowych ogródkach słonecznikom odcięto promienne głowy. Z pustych łodyg czarnych kominów odlatywały sadze."

Tam, pod hałdami, siedzi Różewicz i tam jest ojcowizna jego wyobraźni. Trudno patrzeć na tę ojcowiznę inaczej jak na rzecz bardzo smutną i równocześnie przyklejoną do wrażliwości poety w sposób nieodwołalny. Ta ojcowizna zarazem zdaje się stanowić — obok doświadczenia okupacyjnego, obok ostrzegawczego humanizmu — podłoże, dzięki któremu twarde spojrzenie poety jest jednak ludzkie. Podobnie jak spojrzenie robociarza na kilof, który trzeba wziąć w garść i którego uchwyt nie jest złudzeniem, którego uchwyt prowadzi w rzeczywistość samą. Czytamy: „Przeżyłem tylko dzięki temu, że istniały stoły, źdźbła trawy, krople deszczu. To w świecie ducha, w tym fikcyjnym, wieloznacznym świecie wykuto miecz, który przebił bok dobrego, obojętnego stworzenia: Natury. Jeszcze teraz możesz włożyć palce w ranę. Chwyciłem za pióro jak za gałąź drzewa, krzemień, ogień" *(Złote miasto)*.

Słowem — ów świat złożony jedynie z ciał i przedmiotów, ludzie spod tego określenia się nie wymykają, jest światem istniejącym obiektywnie i niezależnie od poczynań ludzkich. To znowu próba przekładu na język filozoficzny. Somatyzm prowadzi do materializmu jako zasady ontologicznej.

Poezja Tadeusza Różewicza osiągnęła dostępną jej całkowitą dojrzałość. Dostępną w ramach założeń moralnych i filozoficznych uprawianych przez poetę. Krytyk w takim wypadku nic więcej nie ma do powiedzenia.

Kazimierz Wyka

Leon Pomirowski

WACŁAW BERENT JAKO PISARZ SPOŁECZNY

Leon Pomirowski (1891—1943), krytyk literacki, autor książek: *Stefan Żeromski w sieci krytycznych pomyłek* (1927), *Doktryna a twórczość* (1928), *Walka o nowy realizm* (1933), *Nowa literatura w nowej Polsce* (1933), *Drogi i cele najnowszej krytyki literackiej w Polsce* (1933) — w pierwszych latach okupacji hitlerowskiej napisał książkę poświęconą analizie twórczości Wacława Berenta. Aresztowany 7 lipca 1942 roku, więziony był początkowo na Pawiaku, a potem na Majdanku, gdzie umiera na tyfus. Śmierć jego nastąpiła 31 marca 1943 roku. Piękne wspomnienie o Leonie Pomirowskim — jedyne zresztą — wydrukował w 1948 r. w *Nowinach Literackich* nie żyjący już dziś Jerzy Wyszomirski (*Pamiętam Ciebie, Leonie blady* — nr 38/78).

Książka Leona Pomirowskiego o Berencie, przepisana na maszynie w dwóch egzemplarzach, złożona została w przededniu wybuchu powstania sierpniowego przez żonę krytyka, p. Marię Pomirowską, w dwóch osobnych miejscach na przechowanie: 1) w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa, 2) u p. Władysława Zawistowskiego (zginął w 1945 r.), który miał ją ulokować w Bibliotece Narodowej. Obydwa te egzemplarze — jak również egzemplarze drugiej książki Leona Pomirowskiego, napisanej w latach wojny, a zatytułowanej *Ludzie i mity* — uległy zniszczeniu lub zaginęły. Mimo usilnych poszukiwań nie udało się p. Pomirowskiej trafić na ich ślad. Zapewne uznać je należy za bezpowrotnie utracone.

Dopiero latem bieżącego roku p. Julian Wołoszynowski odnalazł w swych szczęśliwie ocalałych zbiorach wydaną konspiracyjnie w listopadzie 1941 roku przez Leona Pomirowskiego i grono jego współtowarzyszy jednodniówkę literacką, zatytułowaną *W pierwszą rocznicę śmierci Wacława Berenta*. Egzemplarz tej jednodniówki złożył w latach okupacji u Juliana Wołoszynowskiego p. Adam Zagórski z prośbą o przechowanie. Kto wie, czy egzemplarz, który mam w ręku, nie jest unikatem. Nie przypominam sobie, aby wspomniał o tej publikacji ktokolwiek z piszących o Berencie w latach 1945—1958.

Jedniodniówka składa się z jedenastu luźnych kart białego papieru o formacie 22 x 35. Tekst pisany jest dwustronnie na maszynie. Całość odbito na powielaczu. Paginacja obejmuje 22 numerowane strony. Maszynopis oprawny starannie w czerwony brystol; całość związana białym sznureczkiem. Na okładce pośrodku

wykaligrafowany tuszem tytuł: *W pierwszą rocznicę śmierci Wacława Berenta. 22.XI.1940—22.XI.1941.* U dołu zaś data i miejsce wydania: „Warszawa, 22.XI. 1941".

We wstępie czytamy:

„Po jednodniówce ku czci Mickiewicza, wydanej w listopadzie r. ub. [tzn. 1940 — L.B.G.] z okazji 85-lecia śmierci twórcy *Dziadów*, przygotowaliśmy niewielki zbiorek poezji z wojny obecnej, włączywszy doń ponadto kilka utworów z końca sierpnia 39 r.

Niestety, *Pieśń ujdzie cało...* z powodów od nas niezależnych ukaże się z większym opóźnieniem, niż przewidywaliśmy początkowo. Pragnąc jednak zaznajomić szerszy ogół z charakterem tej twórczości i jednocześnie uczcić w ten sposób 110-tą rocznicę czynu listopadowego, dajemy z niniejszego zbiorku przedruk słowa wstępnego wraz z kilkoma utworami.*

Jednodniówka obecna to hołd złożony w 1-szą rocznicę śmierci Wacława Berenta, jednego z największych i najdostojniejszych przedstawicieli literatury naszej, pisarza »poczuwającego się do skrajnej odpowiedzialności artystycznej za słowo, do skrajnej odpowiedzialności etycznej, społecznej za jego walor ideowy«.

Mimo bardzo ubogiej szaty zewnętrznej, otoczyliśmy jej wydanie najgłębszym pietyzmem, dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności praca nad ogłoszeniem tych kilkunastu kart lichutkiego papieru zbiegła się z »*Kulturtage*« wroga.

Jesteśmy szczęśliwi, iż możemy okupantom urządzającym »dni kultury« na ziemi naszej przeciwstawić tę jednodniówkę, która, mimo iż taka nieskończenie niepokaźna, posiada swą wymowę.

Zwracamy się z gorącym apelem do czytelników o pomoc w rozpowszechnianiu pism autora *Nurtu*.

Niech starsza młodzież nie pozostanie w tyle. Niech się nie zraża początkowymi trudnościami, związanymi z lekturą Berenta. Pewien wysiłek włożony w przezwyciężenie tych trudności opłaci się sowicie.

W dziełach autora *Oziminy* trzeba się rozsmakować. A na to — wierzymy — stać będzie bardzo wielu.

»Literatura każdego narodu jest jego moralnym bytem; bezpieczna w swoich granicach, żadnemu zniszczeniu nie podległa.«

Słowa Brodzińskiego dodają otuchy. Tej otuchy dostarczy również w dużym stopniu zżycie się, z ostatnimi zwłaszcza, dziełami Berenta."

Poza wstępem jednodniówka zawiera: zwięzłe dane biblio- i biograficzne o Berencie, dwa okolicznościowe felietony: *Senne widziadło* i *Polska i Warszawa w twórczości Berenta*. Po czym idą: dwa fragmenty z *Nurtu* oraz dwa dłuższe szkice *(Berent — piewca humanizmu polskiego* oraz *Wacław Berent jako pisarz społeczny)*, oznaczone jako „fragmenty z większej całości". Te dwa fragmenty są rozdziałami książki Leona Pomirowskiego o Berencie. Na dalszych kartach jednodniówki pomieszczono: fragment przedwojennej rozprawy Edwarda Porębowicza o W. Berencie (Porębowicz nie żył w 1941 roku, podano więc nazwisko), fragment z *Żywych kamieni*, fragment wiersza pt. *Róże*, wyjęty z tomu IX *Chimery*, felietonik *Elementy wieszcze*, poświęcony *Zmierzchowi wodzów*, wreszcie — na zakończenie — wyjątek z ostatniej książki Berenta *Zmierzch wodzów*.

Z jednodniówki redakcja *Twórczości* zechciała przedrukować w całości (zamiesz-

* Ta osobna plakietka zachowała sie również — *L.B.G.*

czony poniżej) szkic Leona Pomirowskiego pt. *Wacław Berent jako pisarz społeczny*. Warto również z felietonu *Polska i Warszawa w twórczości Berenta* przytoczyć szczegół, który może zainteresować przyszłych biografów autora *Oziminy*:

„...autor *Próchna*, dogorywując w zduszonej przez niemiecki terror policyjny Warszawie, na łożu śmierci porzucił protestantyzm, obawiając się, by wyznania, w którym urodził się i życie spędził, wróg nie wyzyskał jako pretekstu do posądzania go o związki z kulturą, z którą Berent nic nie chciał mieć wspólnego. Ta decyzja umierającego starca ma swą głęboką i wręcz tragiczną wymowę, gdy zważyć, że Berent należał do rzetelnych znawców kultury niemieckiej z czasów, gdy reprezentowała ona istotne wartości..."

Wacław Berent zmarł 22 listopada 1940 roku. Umierał jak olimpijczyk: patrzył w przyszłość. Nie znosząc pleniącego się w okresie międzywojennym biograficznego plotkarstwa *à la* Boy, Berent niszczy przed śmiercią wszystkie osobiste pamiątki i wszelkie materiały pomocnicze — zostawiając w pustym biurku jedynie opłacone kwity za gaz i komorne oraz maszynopis swej ostatniej książki, a na półce *Dzieła zebrane*, starannie przez siebie opracowane w ostatnim wydaniu. Berent — pisze Tadeusz Mikulski w szkicu *Reymont i duchy* z tomu *Spotkania wrocławskie* — „stosuje ostracyzm wobec najmniejszej kartki papieru. Jest to postawa, której należy przyznać celowość i skuteczność postępowania: pisarz usuwa i pali wszystko, cokolwiek jest dokumentem biograficznym, notaty, listy. Z przebiegu powstawania swojego dzieła niszczy wszelkie materiały, bruliony. Ma zostać po nim — po Wacławie Berencie — książka. Zamiast wielu papierów — ten jeden monolit".

Przerzucając kartki konspiracyjnej publikacji o Wacławie Berencie, wydanej z narażeniem życia w okupowanej przez hitlerowców Warszawie przez Leona Pomirowskiego i jego przyjaciół — myślę o Wacławie Berencie, pisarzu, który umierając w tragicznym listopadzie 1940 roku myślał — pomimo wszystko — o trwałości własnego dzieła. Właśnie on, tak mądry i zgorzkniały, który „zamykał się w swojej samotni i tam wędząc płuca dymem setek papierosów przeżywał tragedię narodu i swoją własną...".

Ludwik B. Grzeniewski

...Berent jest pisarzem najwyższej elity. Należy do artystów wyjątkowo trudnych i dlatego nie mających warunków na dotarcie do mas czytelniczych. Nawet wtedy, gdy Młoda Polska znajdowała się u zenitu swojej popularności, gdy zatem kodeks mody twórczości jego dawał wszelkie szanse głębszego promieniowania, pozostał pisarzem samotnym.

...To, co o nim dotychczas pisano, nie ogarnia nawet w przybliżeniu całej, niezmiernie bogatej zawartości problematowej jego tworu. Nalepiono mu np. upraszczającą etykietkę „stylizatora" (W. Feldman), która częściowo tylko wyjaśnia rodowód oraz źródła jego artyzmu. Pozostał natomiast zupełnie nieodkryty Berent, przedziwnie subtelny pisarz społeczny o wyczulonym zmyśle moralno-społecznym, pisarz, który w epoce prymatu hasła „sztuka dla sztuki" z niezwykłą, inkwizytorską przenikliwością wykazywał istotną bezpłodność

i nieżyciowość tego hasła *(Próchno)*, który, jak Wyspiański i Żeromski, w swojej *Oziminie* współczesną mu polską rzeczywistość przenicował z nieubłaganym krytycyzmem, piętnując jej chorobliwy brak instynktu życia, karłowatość, bezdziejową martwotę oraz rezygnację z dziejowo-twórczych ambicyj. Trzeba zaznaczyć, że ten niezwykły wirtuoz słowa, którego tajemnice rozumiał jak mało który z polskich pisarzy, czarodziej stylu i języka, utrudniał sam spoufalenie się czytelnika ze swoją głęboką problematyką społeczną. Jej przejrzystość gubiła się nieraz mimo woli w przepychu formy, którą dorównywał najbardziej wyrafinowanym suwerenom współczesnej literatury wszechświatowej. Istotna postawa autora stawała się wskutek tego zamaskowana. Krytyka literacka potykała się również o te szkopuły, dając wskutek tego jednostronne komentarze na marginesie twórczości autora *Oziminy*, akcentując mylnie, jako zagadnienie centralne u Berenta, jego artyzm.

Już w pierwszej powieści, jeszcze młodzieńczej, mianowicie w *Fachowcu*, niedociągniętym w psychograficznym rysunku tej czy owej postaci i chropowatym jeszcze językowo, uderza mocny, korektorski stosunek pisarza do życia.

W *Fachowcu* nie objawił się jeszcze Berent w całym mistrzostwie swojego niezrównanego artyzmu. Nie przemówił również z tej powieści późniejszy psycholog, najczulszy analityk przerafinowanych stanów duchowych człowieka „rasy kulturalnej" i całych skupień ludzkich. Między *Fachowcem* (r. wyd. 1895) a *Próchnem*, napisanym w pięć lat później, rozciąga się tak zdumiewająca odległość atmosfery i światów duchowych, mówiąca o skrajnie rozbieżnych dyspozycjach artystycznych, że amalgamat tych zadziwiających przeciwieństw w ramach rozwoju pisarskiego tej samej osobowości wydać się musi najrzadszym zjawiskiem. A jednak, mimo tych przeciwieństw, istnieje tu bezspornie konsekwencja ciągłości — widzenia życia i jego społecznej struktury. W *Fachowcu* pokazuje Berent powolny proces wykolejania się inteligenta, który wsiąka w rezultacie częściowo do masy robotniczej, a raczej staje się nie umiejscowionym klasowo ogniwem pośrednim między proletariatem a inteligencją.

...O ile w *Fachowcu* występują pewne ślady niedojrzałości literackiej, chociażby w niestosunku między zamiarem autorskim a jego artystycznym wcieleniem, to druga z rzędu powieść Berenta pt. *Próchno* zasługuje na kwalifikację arcydzieła w całej rozciągłości znaczeniowej tego wyrazu. W literaturze wszechświatowej nie ma drugiej powieści, w której by wiwisekcyjny przekrój dekadentyzmu przedstawiono z równym kunsztem olśniewającej analizy, z równie głęboką dialektyką myślową i bogactwem języka. W literaturze polskiej znalazł dekadentyzm swój najbardziej charakterystyczny wyraz w twórczości St. Przybyszewskiego. Przybyszewski, uważany za arcykapłana tego kierunku w Polsce i jednego z najwybitniejszych jego pionierów na Zachodzie, główny jego teoretyk a zarazem literacki przedstawiciel, nie zdobył się nigdy na przedmiotowy dystans w stosunku do wybitnie jednostronnych założeń dekadentyzmu. Liczny zespół jego postaci powieściowych, dosyć monotonnych w swej duchowej niemal tożsamości, spowinowacony był tak blisko z twórcą, że nie czynił wrażenia kreacyj artystycznych, lecz sobowtórów autorskich o nieznacznej skali odmian.

...W *Próchnie* wytoczył Berent proces nie literackiemu modernizmowi bynajmniej ani sztuce w ogóle, lecz spotwornieniom i wynaturzeniom, których terenem stał się dekadentyzm. „Próchnem" nazywa też sztukę i literaturę dekadenc-

ką. Sam, jeden z najbardziej rasowych modernistów w zakresie formy przede wszystkim, przeciwstawiał się naczelnym założeniom modernizmu, między innymi — jednowładztwu tak modnego wtedy estetyzmu, wyłamywał się spod hipnozy aspołecznych haseł, w sztuce i literaturze ówczesnej, mających prawo obywatelstwa. Lepiej i głębiej od St. Przybyszewskiego wniknąwszy w złożoną duszę dekadenta, zachował mądrą odległość krytycznego stanowiska wobec samego kierunku, który uznał za fatalną pomyłkę.

Próchno — to zenitowy punkt dekadentyzmu, nie tylko w literaturze polskiej, ale zarazem jego przezwyciężenie, co wydawać się może paradoksem, ale co w istocie jest bezspornym faktem, właśnie dzięki wzmiankowanemu wyżej krytycznemu, a nawet rewizjonistycznemu stanowisku autora. Zaatakował Berent chorobowe znamiona sztuki i literatury dekadenckiej, owocującej pasożytniczo w próżni narodowej i pozaspołecznej, na podłożu nienormalnych przerostów indywidualnych, rozwijającej się zaś w wielkomiejskich, kosmopolitycznych środowiskach, pełnych zblazowanej nudy i przesytu życiowego. Berent, pisarz społeczny, w *Próchnie* zaznacza swój stosunek do życia polskiego tylko pośrednio, poniekąd na marginesie, w demaskowaniu tego odcinka sztuki i literatury, który zamiast życie to zorganizować, dezorganizował je. Za to stosunek ten w następnej powieści, t.j. w *Oziminie,* występuje bezpośrednio. Berent zobrazował w *Oziminie* z naturalistyczną drobiazgowością szczegółów, nie szczędząc barw miejscami wybitnie brutalnych, polską rzeczywistość u wrót wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, w momencie, gdy zaczynała się gorączka pierwszych ruchów mobilizacyjnych.

Autor pragnął dać w powieści swojej syntezę tej rzeczywistości, wplecionej w bezdziejowy kierat, którego grozę zaakcentował tym silniej przez paralelizm z pełną nieobliczalnych możliwości i nieznanych perspektyw nadchodzącą chwilą dziejową. W ramach dziejów jednej nocy, jakby według przestarzałej recepty pseudoklasycznej jedności czasu — zamknął historię całego społeczeństwa polskiego, od jego wyżyn towarzyskich, zebranych w salonie magnata warszawskiej finansjery, barona Niemana, do jego nizin, wraz z szumowinami i ulicą włącznie. Ten nowy salon warszawski, tak bardzo podobny, mimo odległości epok, do salonu warszawskiego z Mickiewiczowskich *Dziadów* — to mikrokosmos ówczesnego życia polskiego, karlejącego coraz bardziej, pogrążonego w leniwym, niewolnym kwietyzmie, w domorosłych matactwach karykaturalnych hetmanów politycznych w rodzaju barona i schyłkowych nastrojach. Tu już nie sztuka, lecz życie samo występuje w stanie duchowego próchnienia, w stanie potwornego bezwładu, którego tragicznym produktem i wyrazem jest Bolesław Zaremba. W nim, małym Don Juanie buduarowym, którym miotają istne torsje panicznego lęku przed koniecznością pójścia na wojnę, który jest istnym kłębowiskiem chorych nerwów i ogniskiem męskiej histerii — doprowadził Berent zwyrodnienie plemiennego gatunku do ostatecznego punktu.

Krzyczącym kontrastem tej żałosnej karykatury życia, symbolicznego do pewnego stopnia zaniku sił żywotnych pokolenia, jest muzealny szczątek bohaterskiej przeszłości, żywe widmo błąkające się po pałacu barona, powstaniec jeszcze z 31 r., a następnie współuczestnik wielu kampanii wojennych, dziad Komierowski, czcigodny i dostojny w swoim czujnym i czynnym idealizmie narodowym, którego konsekwencję pieczętował własną krwią na wielu polach bitew. W osobie starego Komierowskiego patos przeszłości tak niedawnej,

a jednak nikomu już niepotrzebnej, przez barona zaś uważany za „klątwę grobów", obcy w ogóle całej atmosferze nowego pokolenia, posiada twardą wymowę satyryczną, jako sprawdzian małości ówczesnego życia polskiego i bezgranicznej prostracji społeczeństwa, a raczej jego najbardziej odpowiedzialnego odłamu, tj. elity narodowej i kulturalnej. W starczej bowiem postaci Komierowskiego, trącącej już mumią, żyje, mimo jego wieku — duch plemiennej tężyzny i sumienie narodowe, które przekreśla po męsku łatwą grę nagminnych wtedy kompromisów oraz lilipucie spekulacje, obliczone na ochłapy czy jałmużnę ze strony rządu rosyjskiego, chociaż wątpliwe zresztą ocalenie na tej drodze pozorów życia narodowego — nie mogło dać zadowalających wyników. Dlatego na tle bezprogramowej „dzisiejszości", w której poczucie historycznego trwania przemieniło się już w mitologię „narodowej obrzędowości" tylko, dalej na tle bolesnej maskarady, jaką była ta „Polska miniaturowa" z nowego salonu warszawskiego, stary Komierowski — to monumentalny anachronizm, w którym pulsuje dziejotwórcza dynamika, w przeciwieństwie do całej niemal reszty pokolenia.

Typową emanacją tego pokolenia są kobiety w *Oziminie*. Jakkolwiek stanowią one ważny (na ogół ujemny) współczynnik życia, a raczej jego nijakości, do którego wnoszą charakterystycznie kobiecą, pozbawioną punktu oparcia bezwolną miękkość, histerię i szkodliwy egocentryzm, trudno doszukać się w nich jakiegoś skierunkowania ideowego. Z wyjątkiem jednej jedynej Wandy, chorej na gruźlicę, mimo to czynnie walczącej o prawa polskości, którą wypada zaliczyć do nielicznych jeszcze szeregów tworzącej się armii „ludzi podziemnych", galeria pozostałych kobiet w *Oziminie*, to wydelikacone, mimozowe dusze, przeestetyzowane i cieplarniane, wegetujące niemal poza nawiasem życia społecznego, do którego ustosunkowują się dziwnie biernie. Nie wyczuwa się w nich ani przymierza, chociażby platonicznego, tj. w postaci teoretycznej lojalności, z budzącą się na wąskim na razie i ograniczonym odcinku samowiedzą narodową, ani tak naturalnej solidarności z zagadnieniem własnej płci, z hasłami kobiecego równouprawnienia, które w owym czasie zaczynały promieniować i przenikać coraz szerzej, by w kilkanaście lat później zmienić poważnie oblicze życia społecznego. Żadna z tych kobiet nie dostarczy zapewne materiału dla elity kobiecej będącej w stanie narastania. Wybitnie aspołeczne i amoralne, zamknięte w chorobliwej introspekcji i narcyzowo w sobie pogrążone, pasożytują sztucznie na mikroskopijnych smutkach, smuteczkach i wyobraźniowych cierpieniach, w przedziwnej aurze wyolbrzymiania i dramatyzowania najprostszych wydarzeń, zakłamane wewnętrznie i słabe. Żyją w ogóle jakimś fantastycznym półżyciem, zapuszczającym głęboko korzenie swoje w glebę literackości, słowem lichym surogatem prawdziwego i pełnego życia. Zmysły i nerwy — to poza tym jedyny u nich realny teren wyżywania się. Na tym jedynie terenie manifestują swoją kaleką i zniekształconą kobiecość. Histeria, hipochondria i introspekcja dochodzi w nich do wyjątkowego stopnia napięcia.

Oto jak wyglądają w *Oziminie* odmiany kobiecej psychozy i kobiecej schyłkowości, naznaczonej znamieniem rozpaczliwej słabości pokolenia, w których pozostała jeszcze podziwiana przez rosyjskiego pułkownika wytworność rasy i swoisty styl. Tego pułkownika czyni Berent jakby rezonerem swojego stanowiska, a pośrednio sumieniem epoki. Jego bezwzględnie lekceważące słowa i sądy o społeczeństwie polskim owej doby mają posmak, niestety, nie herezji

ani plemiennej niechęci, przemycającej prowokacyjnie kłamstwa i fałsze, lecz najautentyczniejszej prawdy, która jest właściwie diagnozą autorską. Zamiast przedstawiciela społeczeństwa polskiego, w którym bezdroża i błędy tego ostatniego doszłyby do samopoznania, autor wybrał pozornie paradoksalnie, a w istocie z głęboką motywacją logiczną, prostolinijnego Rosjanina, by przez jego usta sformułować sąd swój o polskiej rzeczywistości. Pułkownik rosyjski — to jedyny prawie człowiek w powieści, powołany do takiej roli, w którym żywioł przedmiotowego krytycyzmu oraz chłodna, racjonalistyczna postawa obserwatora nie uległy wykrzywieniu przez organiczny defekt duchowy całego pokolenia z jednej strony lub patos rewolucyjny „ludzi podziemnych" z drugiej strony.

Berent potraktował tę rzeczywistość polską z prokuratorską bezwzględnością, nawet bardziej surowo niż Wyspiański w *Weselu* i *Kazimierzu Wielkim*. W *Weselu* i *Kazimierzu Wielkim* zawarł Wyspiański przeważnie negację i krytykę. Symboliczny bowiem czyn wielkiego króla polskiego, rzucającego młot w pierś mówcy, którego pojmował poeta jako fatalną syntezę chorób i braków polskiej teraźniejszości, nie wyjaśniał właściwie dróg polskiego jutra. A teraźniejszość ta rozwijała się — według poety — pod znakiem pustej retoryki, gestów romantycznych, obchodomanii, walk o bezprzedmiotowe orientacje czy doktryny, dalekie od realnych konieczności życia, wreszcie sugestii przeszłości, ubóstwianej fetyszystycznie, więc najwyłączniej uczuciowo, co odrywało społeczeństwo od twórczej wartości życia współczesnego.

Berent wyszedł w *Oziminie* poza samą rewizję i krytykę polskiej współczesności. W mrokach polskiej irredenty, która scaliła najlepsze elementy społeczno-klasowe w rewolucyjnym wysiłku galwanizowania sennej i zmalałej zbiorowości polskiej, a wobec zaborcy stawała się manifestem nieodwołalnej woli dziejowego żywota Polski, szukał autor *Oziminy* rozwiązania zagadnienia przyszłości narodowej.

W „ludziach podziemnych" dostrzegł pocieszające zaczyny odrodzenia narodowego, w nich jedynie widział materiał na budowniczych nowej rzeczywistości polskiej, przewartościowanej w duchu nowoczesnych haseł postępu. Nie historycznym dotąd klasom, tj. ludowi i proletariatowi, które zaczynały się społecznie samoemancypować, wyznaczał rolę dziejotwórczego czynnika przyszłości; nie znaczy to bynajmniej, by jej zbawczym programem miała być doktryna klasowa. Berent rozumiał dobrze, że sama logika współczesnego życia i jego przemiany wykluczały bezapelacyjnie ciągłość ziemiańskich tradycji. Mimo to uczynił jednym z wodzów „ludzi podziemnych" człowieka starego rodu szlacheckiego, bojownika o żelaznym charakterze, Komierowskiego-wnuka.

Ale w młodym Komierowskim wyzwala się przede wszystkim człowiek pozaklasowy. Demokratyzacja ruguje z jego duszy dziedziczne rysy duchowe kasty szlacheckiej, naturalnie ujemne. Berent demonstruje na nim nowego człowieka polskiego, w którym proces wewnętrznej przebudowy doprowadza do stopu najidealniejszych cech przeszłości z nowoczesnym typem charakterologicznym pioniera demokratyzmu.

Jakże daleko odbiegał ten spiżowy bojownik od sporego zespołu ludzkich nieużytków i schyłkowców, zgromadzonych w salonie barona Niemana. W nim i jemu podobnych kryje się błogosławiony potencjał polskiego wyzwolenia. Dla niego bezduszna, nieodpowiedzialna deklamacja o potrzebach dnia dzisiejszego

i projektomania tzw. elity kulturalnej, zebranej w salonie jego szwagra, barona — to ucieczka od prawdy a zarazem nałóg tragicznych półśrodków, prowadzących do samooszukiwań. „Ludźmi przyszłości" są również w *Oziminie* Niemsta, twardy, wrośnięty i wkorzeniony w ziemię chłop, symboliczny okaz niezniszczalnego autochtonizmu, oraz robotnik Jur, przedstawiciel proletariatu.

Ten ostatni należy również do „świata podziemnego". Dla tych „ludzi podziemnych" Polska nie była nigdy idealnym mitem i Chrystusowym misjonarzem ludzkości, jak ją pojmował romantyzm polski, lub, co gorsza, synonimem bezpowrotnie minionej dawności, jak ją pojmowało pokolenie ówczesne, lecz żywą konkretnością.

Z *Oziminą* wysunął się Berent na czołowe stanowisko w literaturze polskiej przed r. 1914, walczącej o Polskę historyczną. Stał się piewcą polskiej państwowości, podobnie jak Żeromski i Wyspiański, z którymi łączył go poza tym surowy rewizjonizm w stosunku do współczesnego mu pokolenia. Z Andrzejem Strugiem i Gustawem Daniłowskim, którzy byli swojego czasu najwybitniejszymi epikami polskiego czynu rewolucyjnego, zetknął się Berent również na gruncie pokrewieństwa postawy wobec irredenty narodowej. Ale te wszystkie, tak niezmiernie ważkie pozycje twórczości Berenta, pragnącej życiu polskiemu torować najwłaściwszą drogę w dniach jego marazmu, pozostały prawie nie zauważone. Niewątpliwie przepych jego formy spowodował, że treściowa oraz ideologiczna zawartość Berentowskiego dzieła pozostała nieuchwytna z powodu lirycznej rozlewności jego cudownej orkiestracji językowej i stylistycznej. Dlatego nie dotarła do świadomości czytelnika w autentycznym kształcie. Wirtuoz formy, artysta, dystansował w nim i przelicytował głębokiego ideologa. Dotychczasowa krytyka literacka potęgowała tylko to nieporozumienie, widząc w Berencie głównie wspaniałego stylistę i „stylizatora". Trzeba go więc odkłamać z mylnych szablonów krytyczno-literackiej nomenklatury, która zuboża tylko istotny zasięg jego twórczego pola widzenia i fałszuje zawartość jego tworu. Trzeba nareszcie odcyfrować w całej pełni nieznane oblicze Berenta, pisarza społeczno-narodowego.

Warszawa, 1940—1941

Leon Pomirowski

Paweł Jasienica

„NIEGDYŚ"

Na krótko przed wojną Polskie Radio transmitowało z Paryża wielki koncert symfoniczny. W przerwie premier Edward Herriot miał z sali bankietowej wygłosić prelekcję o Szopenie i George Sand.

Byłem wtedy w Wilnie speakerem i z entuzjazmem powitałem taki program. W prowincjonalnej rozgłośni tylko technicy pilnują wtedy aparatów. Speaker ma siedzieć w studio i zajmować się czym chce, z wyjątkiem spania.

Herriot mówił swobodnie, ze swadą, po gawędziarsku. Czuć było, że on tekstu nie czyta. Minął kwadrans, dwadzieścia minut, pół godziny — pan premier gada, gada, gada... Po tylu latach trudno przypomnieć sobie, ile czasu to trwało. W każdym razie program transmisji legł w gruzach. Druga część koncertu już się na pewno zaczęła, a dostojny orator jeszcze do brzegu nie dobił.

Przyjemnie było siedzieć w wygodnym fotelu, palić papierosa, słuchać inteligentnej gawędy i odgadywać, jakie piekło nastało w warszawskiej centrali. Przecież tam musieli sobie jakoś poradzić ze szczątkami programu.

Herriot zaimponował mi wtedy. Polityk-intelektualista, mąż stanu, osobiście parający się studiami i piórem, mający coś od siebie do powiedzenia w rzeczach kultury! Pod naszą szerokością geograficzną zjawisko rzadkie.

Opinie o nim jako o polityku nie są jednakowe. W październiku 1958 roku londyńskie *Wiadomości* ogłosiły duży artykuł W. A. Zbyszewskiego *De Gaulle*. Autor wcale nie korzy się przed generałem, ale:

„...jeszcze bardziej osłupiającym, niewiarogodnym objawem francuskiej ślepoty politycznej — pisze — była trwająca przez lat z górą trzydzieści popularność Herriota. Ten marny retor, pusta purchawka, trzykrotny nieudany premier, burmistrz Lyonu, który zrobił z tego miasta ośrodek najgorszych we Francji »slumsów«, słabeusz, który przewodniczył na posiedzeniu parlamentu, gdy Pétainowi oddano całość władzy, burmistrz za okupacji, ten wreszcie złośliwy intrygant, który jako prezes radykałów, szef masonerii i przewodniczący izby deputowanych niszczył ustrój parlamentarny, wydrążał każdą większość, obalał każdy gabinet, uniemożliwiał wszystkie reformy i postępowym frazesem osłaniał oblicze nie konserwatywne, ale najbardziej reakcyjne — ten oto człowiek (powstrzymam się od przymiotników) był nie tylko twórcą i obalaczem gabinetów, ale cieszył się prawdziwą popularnością, uchodził za »sumienie Republiki«. Potworne!"

Najtrudniej utrafić w sprawiedliwe sedno, reszta jest łatwizną. „Burmistrz za okupacji" został jednak złożony z urzędu, uwięziony i wydany Niemcom. Widocznie nie obciążały go kolaboranckie grzechy, skoro w cztery lata później otrzymał funkcję przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego.

Wielu polskich publicystów od dawna lubi wycieczki przeciwko republikańskim politykom francuskim. Żaden jednak ani się nigdy nie zbliżył do tej zwięzłości i soczystości wymyślań, w jakich celują sami Francuzi. Leon Daudet powiada i drukuje: „Napoleon nazywał Talleyranda łajnem w jedwabnej pończosze, pan Briand jest łajnem w brudnej skarpetce".*

Fizycznie Herriot mało przypominał potomka Gallów: wielki, ciężki, niemal kwadratowy, o kanciastym łbie. Był jednak stuprocentowym Francuzem zarówno z pochodzenia, jak z obyczajów.

Robert Coulondre to dyplomata, któremu los wyznaczał niezbyt przyjemne zadania. Jako ambasador, w październiku 1938 roku musiał iść na Kreml oznajmiać o stanowisku zajętym przez Francję w Monachium. 3 września 1939 roku wypowiadał Niemcom wojnę. Ale w jego pamiętniku można znaleźć i rzeczy weselsze.

W sławnej paryskiej restauracji Pruniera zauważył kiedyś Coulondre Herriota. Premier wchłonął znaczną ilość ostryg, prowansalską zupę rybną, steak, jarzyny, ser... Coulondre nie wytrzymał i zagadnął go, jak często bywa u Pruniera.

— O, wie pan, ze dwa razy w tygodniu. Przejadając się stale na przyjęciach dyplomatycznych trzeba od czasu do czasu przestrzegać diety.

*

Mam w tej chwili przed sobą dwa biało oprawne tomy pamiętnika niedawno zmarłego Edwarda Herriot. Nazwa wspólna: *Jadis.* Podtytuły: *Avant la première guerre mondiale* i *D'une guerre a l'autre 1914—1936* **. Czasy do roku 1939 omówione zostały aż nazbyt zwięźle w posłowiu drugiego tomu. Szkoda! Herriot nie należał wtedy do rządu, zawszeć jednak był przewodniczącym parlamentu.

Przeszło dziewięćset stron druku, opowieść o żywocie personalnym, rozpoczętym w Troyes 5 czerwca 1872 roku, oraz politycznym, który się datuje od chwili wyboru na radnego Lyonu, czyli od dnia 1 maja 1904 roku. Z mnóstwa faktów wybieram nieliczne. Zacząć chcę od chwili moim zdaniem najważniejszej w całej karierze Herriota. Jego osobiste postępowanie wywarło wtedy wpływ na przyszłe losy milionów. I to jakie losy! Było to w sierpniu 1924 roku, w Londynie.

W styczniu 1924 roku, kiedy premierem w Paryżu był nieustępliwy adwokat Rajmund Poincaré — prezydent z czasów wojny — dwie francuskie dywizje piechoty i jedna jazdy wkroczyły do Zagłębia Ruhry. Była to represja za opieszałe płacenie przez Niemcy odszkodowań wojennych. Podkreślano, że operacja nie jest działaniem okupacyjnym, ma tylko na celu wzbudzenie w Niemcach chęci do wypełniania zobowiązań.

* Léon Daudet de l'Académie Goncourt: *La police politique, ses moyens et ses crimes.* str. 14.

** Edouard Herriot de l'Académie française: *Jadis,* Paryż. Flammarion.

Może i ma rację ex-premier Paweł Reynaud, który twierdzi, że Poincaré nie przemyślał rzeczy do końca. Zaraz po wkroczeniu wojska należało kuć gorące żelazo, Francja powinna była rozpoczynać bezpośrednie rozmowy ze spokorniałymi Niemcami. Tymczasem Poincaré dwukrotnie odrzucił niemieckie propozycje rokowań, propozycje składane przez sfery naprawdę decydujące, to znaczy gospodarcze. Doczekano się obrad na szerokim froncie, takich, w które wdali się Anglosasi z obu stron oceanu, politycy i bankierzy. Ci *de facto* zdecydowanie wzięli stronę Niemiec. Mówiło się, że należy uzdrowić cały organizm gospodarczy Rzeszy, która inaczej nie będzie mogła płacić ani uczestniczyć w międzynarodowym życiu ekonomicznym.

W wiosennych wyborach 1924 roku zwyciężył we Francji tak zwany „kartel lewicy", socjaliści i radykałowie. Premierem i ministrem spraw zagranicznych został Herriot. W sierpniu wybrał się na konferencję do Londynu. Była to pierwsza od lat dziesięciu bezpośrednia rozmowa francuskich i niemieckich szefów polityki. W Wersalu „Tygrys" Clemenceau nie pertraktował z Niemcami, zwracał się do nich jak zwycięzca do pokonanych.

Delegacji Rzeszy przewodniczył kanclerz, centrowy katolik, Wilhelm Marx (pojawiło się wtedy nad Tamizą jeszcze inne historyczne nazwisko: Luther; ale nie Marcin, tylko Hans, przyszły kanclerz). Naprawdę jednak kierował delegacją Gustaw Stresemann, jedyny podówczas — niestety! — zachodni polityk, którego należy brać poważnie.

Drugi tom pamiętników Herriota poświęca tej konferencji dziesięć stron, z czego tylko trzy nader ogólnikowo malują przebieg obrad — reszta poszła na uzasadnienie postępowania autora. Ministrowie i premierzy nie byli jednak wtedy sami.

Minęły czasy, w których każdy polityk musiał władać językiem francuskim lepiej niż własnym. Typowym przedstawicielem tego gatunku był zmarły w Belwederze namiestnik Królestwa Polskiego, książę Gorczakow. Jego przemówień do wojska, z konieczności wygłaszanych po rosyjsku, prawie wcale nie można było zrozumieć. Pojmowali je najwyżej oficerowie, szeregowy żołnierz stał jak na niemieckim kazaniu. Gorczakow zamknął oczy w roku 1861. Demokratyczne XX stulecie wymagało obecności tłumaczy nawet podczas obrad na samym szczycie.

Funkcję tę w delegacji niemieckiej pełnił wtedy dr Paweł Schmidt, człowiek obdarowany przez naturę znaczną sprawnością pióra. Jego pamiętnik *Statist auf diplomatischer Buehne* * omawia ową konferencję na dwudziestu dwóch stronach drobnego druku. Mało tam rozważań natury ogólnej, przeważają fakty, dosłownie podane teksty rozmów, wizerunki okoliczności. Schmidt pisał, posługując się własnymi notatkami tłumacza, które musiały być bardzo ścisłe.

Memuary osobnika, który nie miał prawa wtrącić do obrad choćby jednego słowa od siebie, pozwalają ustalić, co wolał przemilczeć wymowny kiedy indziej premier.

Podczas otwarcia konferencji Wilhelm Marx ostrożnie zaznaczył, że przy omawianiu problemu odszkodowań z musu przyjdzie zatrącić o kwestię Ruhry. Kanclerzowi chodziło o wprowadzenie tego tematu chociażby przez boczną

* Dr Paul Schmidt: *Statist auf diplomatischer Buehne*. Bonn, 1953.

furtkę. Tłumacz, radca Michaelis, dał się ponieść germańskiemu temperamentowi, wygłosił to zdanie ze specjalnym naciskiem. — Herriot podskoczył, jak szydłem żgnięty, przerwał tłumaczowi i oświadczył, że jeszcze jedno słowo o Ruhrze, a natychmiast wyjedzie z Londynu.

Na żądanie Brytyjczyków Niemcy zmienili tłumacza. Krewkiego Michaelisa zastąpił Schmidt.

W parę dni później, wieczorem, minister Stresemann i dr Schmidt wyszli z hotelu Ritza kuchennymi schodami. Na ulicy przystawali przy wystawach, pilnie zerkali wokół. Postrachem byli dla nich dziennikarze. Normalnie, gdy tylko auto niemieckiej delegacji ruszało sprzed podjazdu, natychmiast siadała mu na kółku maszyna któregoś z reporterów, za nią gnała konkurencja z innych gazet. Nie było sposobu na pozbycie się orszaku.

Tym razem w pobliżu stale kręciło się tylko dwóch pieszych panów. Ale ci nie wzbudzali obaw. Byli to bowiem detektywi Scotland Yardu, obarczeni misją strzeżenia Stresemanna i doskonale poinformowani o wyprawie.

Na Piccadilly czekał samochód. Niemcy szybko wsiedli. Zaraz potem wpakowali się do środka obaj policjanci. Szofer minął Pałac Buckinghamski i zatrzymał auto przez gmachem Królewskiego Automobilklubu. Krótka rozmowa detektywów z portierem, winda rusza, nie czekając na innych gości, którzy właśnie pokazali się w hallu.

Pokój, w którym Niemcy ostatecznie wylądowali, miał na drzwiach tabliczkę: „Apartament prywatny".

Oczekiwanie nie trwało długo. Herriot przyszedł sam. Rozsiadł się w fotelu, sięgnął po fajkę i wielki kapciuch. — „Fajka pokoju!" — błogo pomyślał Schmidt.

— Panie Herriot — nosowy głos Stresemanna dźwięczał metalicznie, z pruska. — Właśnie pan, jako doświadczony parlamentarzysta, zrozumie, że nie będę mógł wystąpić przed Reichstagiem z propozycją przyjęcia planu Davesa, jeżeli niczego nie powiem o sprawie głównej, która od początku zeszłego roku porusza wszystkie niemieckie serca, o problemie Ruhry i jego likwidacji.

Tym razem Herriot nie podskoczył na dźwięk słowa „Ruhra". Słuchał spokojnie, parę razy nawet przytaknął: *„Ja!"*, chociaż znał niemiecki całkiem słabo.

Stresemann mówił długo i bardzo zręcznie. Starannie unikał akcentów drażniących. Ani wspomniał o panującym w Rzeszy przekonaniu, że okupacja Ruhry stanowi bezprawie.

Herriot odpowiedział jak zwykle, to znaczy ze swadą i temperamentem:

— Mogłem przyjechać na tę konferencję tylko dlatego, że obiecałem Izbie Deputowanych i Senatowi, iż tu, w Londynie, w ogóle nie będzie mowy o sprawach polityki i Zagłębia Ruhry.

Dalej powoływał się na opozycję we własnym stronnictwie radykalnym, w parlamencie, nawet w rządzie, którego był premierem. Szczególnie niebezpiecznym wydawał mu się minister wojny, generał Nollet. Zgoda na wycofanie wojsk z Ruhry niechybnie spowodowałaby upadek gabinetu.

— W ten sposób — wywodził — oddałoby się złą przysługę sprawie porozumienia Francji z Niemcami, gdyż moim następcą zostałby albo Poincaré, który już zażarcie przeciwko mnie pracuje, albo jakiś inny pokrewny mu duchem polityk z prawicy.

Jak widzimy, obaj mężowie powoływali się na opinię swych krajów. Stresemann chciał zaspokoić żądania rodaków, Herriot... wręcz przeciwnie.

Zdawało się, że sprawa utyka. Ale Gustaw Stresemann był dobrym graczem. Podchwycił narzekania Herriota na wzrost nacjonalizmu w Niemczech. Najlepszy sposób pohamowania elementów skrajnych polega na wyrwaniu im gruntu spod nóg — twierdził. Francja może to osiągnąć, czyniąc ułatwienia siłom rozsądku, które reprezentuje on, Gustaw Stresemann. Każda jego zdobycz polityczna to tama dla nacjonalizmu.

Pierwszemu ustępstwu ze strony Herriota towarzyszył rycerski, iście gallicki gest. Premier przyrzekł amnestię Niemcom, skazanym przez sądy wojskowe za sabotaże w Zagłębiu Ruhry.

— Kocham Francję i każdego, kto dla niej walczy; dlatego doskonale rozumiem, że Niemcy bronią tych, którzy w starciu o Ruhrę działają po stronie Rzeszy.

Teoretycznie miał rację. Ale w praktyce trzeba zawsze uważać, kogo się traktuje na równi z uczciwymi ludźmi. W owych sabotażach z zapałem uczestniczyli wybitni hitlerowcy. Mocno w nie zamieszany był Rudolf Hoess, przyszły komendant Oświęcimia, już wtedy członek NSDAP (legitymacja nr 3240). Oni wszyscy w czasie wcześniejszych walk w krajach bałtyckich i na Śląsku złożyli dowody jak najmniej rycerskiego stosunku do bojowników o wolność Łotwy czy Polski. Premier Francji powinien był o tym wiedzieć — lub pamiętać.

Pomimo tego ustępstwa i wzajemnego zrozumienia spotkanie zapowiadało się jałowo. Następowały chwile uciążliwego milczenia. Nieoczekiwanie Herriot powziął decyzję. Dał się przekonać argumentowi o potrzebie podtrzymywania w Niemczech sił rozsądku. Dotychczasowe sukcesy nacjonalistów w Rzeszy uznał za skutek błędnej, nieco zbyt twardej, polityki Rajmunda Poincaré.

— W każdym razie przyrzekam panu, panie Stresemann, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by zaspokoić pańskie zrozumiałe żądanie w sprawie wycofania wojsk z Ruhry i w ten sposób wzmocnić pana pozycję w Rzeszy.

Niemcy wracali do hotelu już bez zbytniej ostrożności, autem. Stresemann wyglądał na bardzo zadowolonego. Nakazał tłumaczowi najściślejszą tajemnicę, nawet kanclerzowi Rzeszy nie wolno powiedzieć ani słowa. Jeszcze tej samej nocy Schmidt musi sporządzić dokładny protokół konferencji, wyzyskując własne notatki tłumacza. Dokumentu nie wolno nikomu dyktować, należy go napisać własnoręcznie.

Po stronie francuskiej protokołu nie było. Herriot przyszedł bez tłumacza. Pewnie nie chciał mieć świadka w żadnym rodaku.

W drugim tomie pamiętnika, na stronie 141, czytamy jego własne słowa, powiedziane do premiera brytyjskiego, Macdonalda:

„W rezultacie jestem zdania, że musimy nadać cały możliwy rozgłos naszym zobowiązaniom, ponieważ Francja i Wielka Brytania ponoszą odpowiedzialność nie tylko wobec nadchodzących pokoleń, lecz także wobec samej przyszłości demokracji".

Piękny frazes padł w końcu czerwca 1924 roku. 9 sierpnia, po opisanej już rozmowie ze Stresemannem, Herriot wyruszył do Paryża. Niemcy zostali w Londynie. Gnębiła ich niepewność, czy francuski premier w ogóle powróci

nad Tamizę, czy go nie obalą. Agencje prasowe doniosły o ostrym starciu między Herriotem a generałem Nollet.

Herriot powrócił. Tym razem spotkał się z Niemcem bez ceremonii, w gmachu angielskiego ministerstwa. Opowiadał o niesłychanych trudach, które poniósł, przekonywując gabinet i szefów partii politycznych. Uzyskał ich zgodę wyłącznie pod tym warunkiem, że wycofanie wojsk z Ruhry nastąpi za rok.

— Panie Herriot, muszę podziękować za pańskie starania w Paryżu. Dotrzymał pan przyrzeczenia sprzed niewielu dni. Ale niestety nie widzę żadnej możliwości dalszych pertraktacji na zaproponowanej przez pana płaszczyźnie.

Gustaw Stresemann niezłomnie trzymał się zasady dość prostej: każde ustępstwo natychmiast ogłaszał za niewystarczające.

W danym wypadku uzyskał wiele. Okupacja Ruhry miała się ostatecznie skończyć w terminie rocznym, ale pierwsze oddziały francuskie wymaszerują zaraz po podpisaniu umowy.

W sierpniu 1924 roku Francja właściwie wyrzekła się prawa zwycięzcy. Przestała zmuszać Niemcy do posłuchu. (Herriot sam pisze o Rzeszy: „Nie mogła już odtąd mówić o dyktacie".) Rozstrzygnęła o tym nocna rozmowa dwóch polityków, utrzymana w najgłębszej tajemnicy. Ona wykreśliła granicę między dwoma rozdziałami historii. W następnym — 1925 — roku, już za prezesury Arystydesa Brianda, Francja podpisze układ w Locarno. Zgodzi się na międzynarodową gwarancję tylko zachodniej granicy Niemiec, pozostawi bez zabezpieczenia swych wschodnich sprzymierzeńców, Czechosłowację i Polskę.

Cóż mówi pamiętnik Herriota o tym nieszczęsnym sierpniu? Całkiem niewiele. Bez porównania mniej niż na przykład o wojażu do Turcji, odbytym w roku 1910.

Herriot pisze przede wszystkim o zachowaniu się Macdonalda i presji wywieranej przez niego na Francję. Co do tego nie ma kwestii — spotkanie ze Stresemannem doszło do skutku z inicjatywy i za pośrednictwem Anglików. Herriot nie informuje nas wcale, jak się stało, że powziął decyzję opuszczenia Ruhry i pojechał do Paryża namawiać rząd i szefów stronnictw. Nieco szerzej rozpisuje się o wypadkach, które zaszły po powrocie do Londynu, to znaczy o mniej ważnych.

W każdym razie wspomina, że zaproszony przez jednego z Anglików na rozmowę z kanclerzem Marxem, nieoczekiwanie spotkał tam Stresemanna. Pozostaje więc faktem, że się widzieli w cztery oczy.

Czy mamy wobec tego wierzyć Schmidtowi? Sądzę, że raczej tak. Niemcy odniosły wtedy w Londynie ogromny sukces, tak nawet wielki, że propagandowe kłamstwo nie ma po prostu pola do popisu, staje się zbyteczne. Schmidt opowiada, jak doszło do zwycięstwa. A ponadto jeszcze, jako autor pamiętnika, znajduje się w położeniu, które utrudnia koloryzowanie. Z jego notatek i protokołów sporządzano liczne odpisy, które po wojnie dostały się w ręce aliantów. Jak tu kłamać? Zresztą — w danym wypadku i nie potrzeba. To rozstrzyga.

Herriot i inni politycy przeżyli gorzką chwilę, kiedy po śmierci Stresemanna w 1929 roku ogłoszono jego pamiętniki, zawierające radę spychania Francji z szańca na szaniec, ponieważ generalny atak nie jest jeszcze możliwy.

Śmiertelnie chory Stresemann wycofał się z życia politycznego i zamieszkał w Vitznau, w Szwajcarii. Odwiedził go tam Bertrand de Jouvenel.

— Niech pan raczej pojedzie do Norymbergi zobaczyć się z Adolfem Hitlerem — usłyszał.

20 lutego 1936 roku (pamiętnik już nie obejmuje tej daty) Herriot żalił się przed francuskim parlamentem. Wspominał daremne próby porozumienia z Niemcami. „Odpowiedziano nam — wołał — pamiętnikami Stresemanna, obraźliwymi, przykro mi o tym mówić, dla niektórych spośród tych, co najgoręcej pragnęli pokoju, w szczególności dla Brianda. Odpowiedziano nam za pośrednictwem *Mein Kampf*."

Płaczliwe żale to nie jest ton odpowiedni dla polityka.

W roku 1924 Herriot stale powoływał się na chęć ratowania pokoju. Używał w tym celu kunsztownych literackich porównań i metafor. Ratował pokój? Zagłębie Ruhry to było siedemdziesiąt trzy procent niemieckiego węgla i osiemdziesiąt trzy procent stali. Dopóki trzymali je Francuzi, nie mogło być mowy o żadnej wojnie. — „Zająć ten region znaczyło ugodzić Rzeszę w samo serce" — pisze Jakub Chastenet, historyk dyplomacji dwudziestolecia.

Nie silę się na syntetyczny sąd. Motywy postępowania niefortunnego premiera były na pewno liczne i skomplikowane. Wśród najpierwszych wymienić wypadnie niechętne Francji stanowisko Anglosasów. Wszystko to jednak trafiało na podatny grunt. Edward Herriot był zwolennikiem p o l i t y k i n a j m n i e j s z e g o w y s i ł k u. Tęsknił do niej cały „kartel lewicy", który po majowych wyborach 1924 roku wyniósł go do władzy.

Ale nie wolno pomawiać Herriota o chęć pozostawienia wykrwawionej Francji sam na sam z Niemcami. Złym politykiem był na pewno, nigdy zdrajcą.

Edward Herriot bardzo wcześnie obrócił wzrok ku Rosji.

Zaczęło się od troski o pomoc dla artystów i uczonych, zarówno emigracyjnych jak i tych, co cierpieli nędzę w Piotrogrodzie. O sukurs dla nich gorąco wołał Maksym Gorki.

W 1921 roku, bawiąc w Sztokholmie, Herriot odwiedził przedstawiciela Sowietów. Był to ryzykowny krok, mogący nadłamać karierę. Kiedy rosyjski poseł wydał w Sztokholmie uroczysty obiad, z zaproszenia skorzystał tylko jeden dyplomata, Estończyk.

Jesienią 1922 roku Herriot, w towarzystwie swego ucznia z liceum, Edwarda Daladier, przybył do Moskwy.

Kreml nosił jeszcze wyraźne ślady walk rewolucyjnych. W obrębie jego murów stały silne oddziały wojskowe. Z wież nie zdążyły zniknąć dwugłowe orły.

Herriot pilnie szukał objawów, mogących pocieszyć francuskiego mieszczucha. Z rozbrajającą naiwnością dopatrywał się znamion ewolucji w kierunku właśnie mieszczańskim. Pisze o tym wszystkim, ale najważniejsze nie są słowa pamiętnika, lecz rozłożenie akcentów. Główną jego uwagę przyciągnęły sprawy tak czy inaczej związane z wojskiem.

Nie zapominajmy, że był rok 1922. Francuzi aż za dobrze pamiętali minioną wojnę i ten straszny dla nich moment, kiedy przestał Niemcom zagrażać front wschodni. Herriot rozmawiał o tym na Kremlu, śpieszył upewnić swych czytelników — bo pisywał do prasy paryskiej — że bolszewicy zastali armię

już rozłożoną przez rządy Kiereńskiego (co niewątpliwie odpowiada prawdzie) i że właściwie pragnęli odbudować front, pomóc aliantom.

Wydaje się, że Herriot niewiele zrozumiał z genialnego posunięcia bolszewików, którzy w roku 1918 woleli wycofać się z walki z Niemcami, by skupić siły na froncie wewnętrznym. Może nie chciał zrozumieć. Zresztą nie o to chodzi.

Wizytę w pułku piechoty opisał dokładnie. Wiemy, jak zachowywał się dowódca odpowiadając na pytania przełożonego, że był zdyscyplinowany, salutował. Poznajemy karność oddziału, wyćwiczenie, uzbrojenie, ducha. — „W Paryżu przedstawia się bolszewizm jako doktrynę szczególnie antymilitarystyczną" — pisze Herriot i stara się zniweczyć ten pogląd. „Trzeba pracować nad pogodzeniem republiki rosyjskiej z francuską" — wołał już wtedy, w grudniu 1922 roku.

Edward Herriot wcale nie chciał zostawić Francji sam na sam z Niemcami. Pragnął tylko uprawiać politykę najmniejszego wysiłku z jej strony. Wytężać się i trzymać Niemcy za połę powinien był — jego zdaniem — kto inny.

28 października 1924 roku, w dwa miesiące po układach londyńskich, premier Herriot przeprowadził oficjalne uznanie czerwonej Rosji przez rząd francuski.

Komisarzem spraw zagranicznych był wtedy Cziczerin. Herriot korespondował z nim, niektóre z epistoł umieścił w pamiętniku. Jakie mogą być listy dyplomaty? Normalne, to znaczy wylizane i gładkie. Samego Cziczerina w książce nie ma. A przecież była to postać niezwykle ciekawa dla literata.

Polski przedstawiciel w Moskwie, profesor Stanisław Kętrzyński, wdał się z nim kiedyś w rozmowę *„po dusze"*.

— Proszę pana, jak to się stało, że pan, potomek starej arystokracji rosyjskiej, został bolszewikiem i komisarzem?

— Widzi pan, kiedy w XVII wieku moskiewskie poselstwo jechało do Warszawy po waszego Władysława IV, sekretarzem delegacji był diak radny, Cziczerin. Proszę pana! My zawsze byliśmy postępowi.

*

Działalności Herriota niesposób pojąć, mając na oku tylko wielkie linie polityki. Istnieją jeszcze — och, istnieją, istnieją! — związki osobiste, grupowe, wpływy i przewodniki wpływów... W. A. Zbyszewski nazwał Herriota szefem masonerii. Sprawy wolnomularstwa nie interesowały mnie nigdy, lecz ani mi w głowie lekceważyć opinię publicysty, znającego Francję jak własną kieszeń.

Faktem jest, że Herriot skąpi nam wiadomości o początkach i rozwoju własnej kariery. Jest w tej mierze dziwnie lakoniczny. Czyżby tylko przez skromność?

31 sierpnia 1896 roku ministerstwo oświaty mianowało go nauczycielem w jednym z liceów Lyonu. Wtedy po raz pierwszy zobaczył miasto, z którym los jego miał się związać na zawsze.

Najwcześniejszy krok polityczny Herriota to przystąpienie do oddziału „Ligi Obrony Praw Człowieka". Rozpalała się właśnie we Francji batalia o sprawę kapitana Dreyfusa.

Herriot dopiero z czasem stanął wśród jego obrońców. Jak wielu innych najwybitniejszych nawet „dreyfusardów" był początkowo przekonany o słuszności wyroku. Cóż mu się dziwić, kiedy sam Jaurès piorunował wtedy przeciwko nadmiernej wyrozumiałości trybunału.

— Wypędzono mnie z Izby, ponieważ żądałem sprawiedliwości w wojsku. Oficer może zdradzać ojczyznę i darowuje mu się życie. Ale śmierć, śmierć, śmierć, zawsze śmierć dla prostego żołnierza — wołał na wiecu socjalistów w Carmaux.

Dreyfus nie był winien i ci, co go bronili, zapisali piękną kartę w historii Europy. Ale jak zawsze w polityce, tak i przy tej okazji utworzyło się lub okrzepło niejedno towarzystwo wzajemnej adoracji. Jeśli dreyfusardzi, antyklerykałowie i im podobni tworzyli we Francji kliki, to bezstronność każe stwierdzić, że odpłacali swym przeciwnikom pięknym za nadobne.

— Oficerowie demokraci są na indeksie. Awansu mogą oczekiwać tylko ci, którzy mają garnizon w Rzymie * — mówił Jaurès na wspomnianym zebraniu.

„Liga Praw Człowieka", jeżeli była dla Herriota odskocznią polityczną, to nie jedyną. Młody nauczyciel ożenił się bardzo dobrze. Teść, dr Fleury Rebatel, grał dużą rolę w samorządzie departamentu Rodanu, do parlamentu nie wszedł, bo nie chciał, żył blisko z wybitnymi osobistościami.

W 1904 roku mer Lyonu zaproponował Herriotowi kandydowanie do rady miejskiej. Jak do tego doszło, czemu dostojnik upatrzył sobie właśnie jego? — nie wiemy. Dość, że upatrzył i zachęcał do ubiegania się o mandat „pod socjalistyczną etykietą". Ale Herriot nie czuł zbytniego pociągu do teorii Karola Marksa i wolał wystąpić na liście stronnictwa radykalno-socjalistycznego (które, jak powszechnie wiadomo, nie ma absolutnie nic wspólnego z socjalizmem, jest samą kwintesencją mieszczaństwa).

Odmowa przyjęcia „etykiety", zalecanej przez protektora, nie wpłynęła ujemnie na karierę. 1 maja 1904 roku Herriot został radnym.

Wygląda więc na to, że sprawą jedynie istotną było wytypowanie osoby, barwa i nazwa stronnictwa grały rolę podrzędną. Obyczaje dość egzotyczne w oczach tych, którzy trochę pamiętają „partyjnictwo" polskiego, przedmajowego typu. Ale u nas demokracja parlamentarna trwała krótko i nie zdążyliśmy dojść do doskonałości.

Różnice między partiami nie musiały być takie już zupełnie zasadnicze, skoro młody kandydat mógł swobodnie przebierać w... sztandarach. Wywody Herriota uzasadniające jego niechęć do socjalizmu można sobie darować. Sprawiają wrażenie stroniczki napisanej na odczepne. Coś przecież wypadało powiedzieć.

Początek XX wieku to we Francji okres zaciętych a głośnych walk politycznych, którym jednak towarzyszyły objawy godnego pochwały umiarkowania. Pryncypia bardzo wysokiej rangi umiano traktować w sposób zastanawiająco oględny.

W 1904 roku umarł były mer Lyonu. Uroczysty orszak żałobny zmierzał do kościoła św. Bonawentury. „Zmarły był eklektykiem — pisze Herriot. — Na

* Marcelle Auclair: *La vie de Jean Jaurès*, strona 303, przytoczony dokładny tekst mowy z dn. 5. I. 1895 r.

trumnie piętrzyły się wieńce, jedne oznaczone krzyżem, inne zdobne w emblematy masońskie."

Żaden tłum nie stanął murem we wrotach kościoła. Ani jeden głos nie krzyknął: „Wara! Idź precz, szatanie!". Dwie starsze panie wymieniały uwagi, ale tylko o tym, czyj jest ten „piękny pogrzeb".

Nie wszystkie romańskie tradycje przeszczepiły się znad Rodanu na brzegi Wisły. Widocznie najdokładniejsza znajomość łaciny niekoniecznie zbliża do zachodniego obyczaju. Interpretacja kanonów pod różnymi szerokościami potrafi być rozmaita.

3 listopada 1905 roku Herriot został merem Lyonu. Zaproponował go na to stanowisko ten sam Wiktor Augagner, który w poprzednim roku skusił skromnego nauczyciela godnością radnego (sam protektor ustąpił z merostwa, obejmując gubernatorstwo Madagaskaru). W siedem lat później widzimy Herriota na fotelu senatora. Mechanizm awansu nadal pozostaje ukryty. Dowiadujemy się tylko, że w wyborach Herriot zwyciężył nieznaczną przewagą piętnastu głosów. Czemu on właśnie, człowiek w Lyonie nowy, szedł tak szybko naprzód? Przyjmijmy, że wyłącznie z powodu zasług.

Polityczne zatrudnienia nie przeszkadzały Herriotowi studiować, co mu się naprawdę chwali. Zostawszy radnym, przedłożył Sorbonie swe tezy doktorskie. Były to prace o dwóch ze wszech miar interesujących niewiastach: pani de Staël i pani Récamier. Ładny fragment pamiętnika poświęcony został ich postaciom. Skądinąd wiemy, że o każdej z nich Herriot wydał książkę, o pani Récamier nawet dwutomową. Jest on autorem przeszło dwudziestu dzieł na tematy zgoła różne: od Filona z Aleksandrii i Beethovena po „Nową Rosję".

Wcale mnie nie gorszy, iż wiele stronic pamiętnika poszło na swobodne rozważania humanisty i wykład własnych zdobyczy badawczych. Zazdroszczę krajowi, w którym zawodowi politycy to potrafią. Herriot nie stanowi przecież we Francji wyjątku.

Wolałbym jednak, by humanistyczne popisy nie grały w pamiętniku roli swoistego parawanu. Uwagi o sławnych paniach doskonale by się czuły w bezpośrednim sąsiedztwie nieco obfitszej informacji o kulisach polityki. Herriot pisze: osiągnąłem taką to a taką godność — i zaraz daje nura w historię.

W porównaniu ze szczupłym pierwszym tomem drugi jest opasły, ma prawie trzy razy więcej stron. Bo też przeładowują go materiały oficjalne, listy, dokumenty, stenogramy przemówień, przytaczane często we fragmentach (rozdział o nawiązaniu stosunków z Rosją niemal w całości składa się z urzędowych not). Dokument drukowany z jakimikolwiek opuszczeniami nie ma najmniejszej mocy dowodowej. Badacz będzie w nim najwyżej szukał wiedzy o tym, co chciał ukryć człowiek, który preparował tekst. Każdy pamiętnikarz uzasadnia swe czyny. Najlepiej jednak, jeśli argumentuje wprost, od siebie.

W sumie — książka raczej przeciętna. Ciekawa ze względu na sławną osobę autora, ale daleka od szczytów pamiętnikarstwa. Moim zdaniem wydane u nas niedawno wspomnienia Jana Skotnickiego reprezentują klasę znacznie wyższą. Gdzie tam Herriotowi do przenikliwości i inteligencji Rumuna Gafencu.

Materiału anegdotycznego mógłby nam autor dać więcej. Tylko od czasu do czasu coś u niego błyśnie.

W 1902 roku Herriot pojechał do Skandynawii i uważał za święty obowią-

zek powinszować witającym go osobom takiego geniusza, jak Ibsen. Zdumione spojrzenia i po chwili ktoś odpowiada:

— Istotnie, mamy tu starego wariata, który pisze sztuki teatralne. Wiemy, że się je wystawia w Paryżu. Dla nas to niepojęte.

Zdarzenie w Manchesterze. Herriot podróżował w towarzystwie esperantystów i był dobrej myśli, bo wśród gospodarzy nie brakło uczniów Zamenhofa. Rozczarowanie! — akcenty okazały się tak różne, że esperantyści obu krajów nie rozumieli się wcale.

„Pojąłem wtedy — rozmyśla Herriot — że aby zbliżyć ludzi, nie wystarczy nauczyć ich tych samych wyrazów. Istnieje ponadto akcent i sprawdziłem później, że podobnie jest często w stosunkach międzynarodowych, nawet wtedy, gdy chodzi o doktryny i idee."

Retoryki, pozy i frazesu sporo w tej książce. A jednak czytając ją wzdychałem z zawiści.

Herriot przez kilkadziesiąt lat był merem Lyonu!

Jednym z pierwszych jego uczynków, jako burmistrza, była reforma pewnego szpitala, przedsięwzięcie wymagające odwagi. Herriot obala legendy. Nieprawdą jest — powiada — że ów szpital założył Childebert (osobnik ten, przez lat przeszło czterdzieści piastujący godność króla Paryża, rozlał niemało krwi i szczęśliwie zmarł w roku 558. Był synem takiego tamtejszego Mieszka I, czyli króla Franków, Chlodwiga, który w roku 496, przyjmując chrzest z rąk św. Remigiusza, usłyszał słowa godne uwagi: „Ugnij karku, Sygambrze, uwielbij, coś prześladował, prześladuj, co uwielbiałeś"). Pierwsza niewątpliwie historyczna wzmianka o „L'Hotel-Dieu de Lyon" znajduje się w bulli papieskiej z roku 1183. Od tej pory pożyteczna instytucja trwa nieprzerwanie.

Mój Boże! Niedługo przed wojną wybuchła w Polsce sensacja natury prawniczej. Pewien „król kurkowy" z Pomorza odmówił płacenia podatków, powołując się na nigdy nie odwołany przywilej Jana III. — Sobieski... schyłek XVII wieku, wielkie rzeczy!

Nie przeczę, w moich zachwytach jest zazdrość syna plemienia nieszczęsnych nomadów, nieustannie pędzonych losem w nieznane. Dla nas osiadłość, ciągłość urzędów i instytucji, administratorzy, sprawujący swe funkcje od młodości do zgonu, to egzotyka, powieściowy wymysł. Kraków wydaje się nam wyspą trwałości. Całe jego szczęście polega na tym, że przez mizernych dziewięćdziesiąt lat nie oglądał wojny we własnych murach. Doznał jednak w tym czasie metamorfozy, która Francuzom niewątpliwie wydałaby się strasznym trzęsieniem ziemi: zmienił przynależność państwową.

Znam miasteczko w Kieleckiem, którego mieszkańcy dzielą ludzi na dwie kategorie. Pierwsza, jedynie godna zaufania, to „krzoki", autochtoni, rodziny odwiecznie wrosłe, takie, które dziedziczą po praszczurach nawet miejscowe plotki. Nauczyciel, urzędnik, a także ksiądz — to wędrowne „ptoki"... „ludzie luźni i niepewni", jak się wyraził polski pamiętnikarz z XVII wieku.

W 1939 roku niemiecka dywizja pancerna spaliła owo miasteczko niemal do szczętu. „Krzoki" nie dały się wykarczować, ale też utraciły prawie wszystkie dobra doczesne, z wyjątkiem roli.

„Bo taki los dał nam Bóg, że nie wiemy, gdzie nasz próg."

Ten sam człowiek przez kilkadziesiąt lat był w Lyonie głową miasta. Jeśli nawet uznamy go za wcielenie ducha kliki, to przez tyle czasu miał sposob-

ność załatwienia interesów dość rozległych, które nie mogły polegać na rujnowaniu gospodarki i kultury. Z oczywistych powodów musiało mu zależeć, by krąg ludzi względnie zadowolonych rósł. Nie był zresztą namaszczony na wieczyste władztwo „z bożej i jeszcze czyjejś łaski". Podlegał kontroli, miał konkurencję. Przemądre przysłowie białoruskie głosi: *„Na to szczuka w stawie, szczob karaś nie driemau"*.

Kto wie, czy najistotniejszą przyczyną naszego zapóźnienia kulturalnego i wielu innych mizerii nie jest to właśnie, że od połowy XVII stulecia losom Polaków prawie zupełnie brak elementu trwałości. Trochę za dokładnie doświadczamy słuszności starożytnej maksymy: „wszystko płynie".

*

Pokolenie działaczy, czynnych podczas obu wojen światowych, schodzi z pola. Niedawno temu zmarł w Londynie Stanisław Stroński.

Jego droga życiowa to studenckie czytelnie i organizacje we Lwowie, polski ruch polityczny przed i podczas pierwszej wojny światowej, dwudziestolecie, sejm, prasa. Stanisław Stroński był tym, który — dopóki mógł — dwa razy dziennie, rano i wieczorem, bezcześcił w druku Józefa Piłsudskiego. Druga wojna, Paryż, Angers, Londyn, ministerstwa, bliska współpraca z Sikorskim, gorycz emigracji. Profesor Stroński był człowiekiem ogromnej wiedzy, kultury i prawości osobistej, badaczem średniowiecznej poezji francuskiej, pisarzem znakomitym. Jego roli podczas zabójstwa Narutowicza, a w szczególności artykułu *Ciszej tam nad tą trumną*, zapomnieć nie mogę, ale nie o to chodzi.

Stanisław Stroński zmarł nie zostawiwszy pamiętnika. Polacy umieją marnować skarby.

A bezcenny pamiętnik profesora Kętrzyńskiego spłonął w Warszawie, podczas Powstania.

Paweł Jasienica

Zdzisław Najder

„WSPOMNIENIA" LUDWIKA KRZYWICKIEGO

Pośród naukowców-pionierów ruchu socjalistycznego w Polsce Ludwik Krzywicki najszybciej i najpełniej doczekał się zadośćuczynienia za tzw. „błędy okresu". Świadczy o tym przede wszystkim monumentalne wydanie *Dzieł*, rozpoczęte w r. 1957 przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe *. Obecnie zaś dostaliśmy do rąk — nareszcie — trzy grube woluminy legendarnych nieomal *Wspomnień***. Dlaczego legendarnych? Otóż *Wspomnienia* Krzywickiego, choć w przeważającej części powstały nie dawniej niż przed laty dwudziestu, mają już swoją zawiłą i dramatyczną historię.

Poszczególne fragmenty, zwłaszcza reminiscencje na temat niektórych działaczy ruchu socjalistycznego, powstawały okolicznościowo, poczynając od roku 1911. Zasadniczy jednak zrąb tekstu pochodzi, jak się zdaje, z ostatnich kilku lat życia uczonego, zmarłego w r. 1941 w wieku 82 lat. Wówczas w każdym razie Krzywicki porządkował i uzupełniał luźne notatki, łączył je w systematyczną i planową całość. Czynności zamierzonych ukończyć nie zdołał, jego ostateczną kontrolę przeszło zaledwie mniej niż 1/4 wszystkich tekstów.

Segregatory z maszynopisem *Wspomnień* przechowywał wieloletni przyjaciel Krzywickiego, Stanisław Stempowski. Dzięki jego pieczołowitości egzemplarz ocalał z powstania. W roku 1946 Stempowski rozpoczął, na zlecenie Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", przygotowanie *Wspomnień* do druku. Ukazał się tylko, w roku 1947, tom pierwszy — następne tomy, już złożone, nie doczekały się wydania. A kiedy po kilku latach wydawnictwo podjęło znowu myśl puszczenia w świat pamiętników wielkiego uczonego i działacza — natrafiono na nowe przeszkody. Stanisław Stempowski zmarł, a zebrane przezeń materiały uległy ponownemu rozproszeniu. Wiele prac trzeba było wykonywać od początku. Już podczas druku obecnego wydania (który zajął prawie dwa lata) natrafiono na wiele fragmentów uznanych poprzednio

* Ludwik Krzywicki: *Dzieła*. Warszawa 1957—58, Państwowe Wydawnictwo Naukowe. T. I: *Pierwociny więzi społecznej;* str. 806, posłowie Jana Lutyńskiego, t. II: *Artykuły i rozprawy 1880—1886;* str. 606.

** Ludwik Krzywicki: *Wspomnienia*. Posłowie Henryka Hollanda. Warszawa 1957—58. „Czytelnik"; t. I — III, str. 451 + 626 + 465.

za przepadłe. Wypłynęło też, w postaci luźnych maszynopisów, wiele odmian i tekstów równoległych — włączono je do opracowanych tomów. Powtórzeń jest we *Wspomnieniach* bardzo wiele, zwłaszcza w tomie drugim, ale winić o to nie można ani autora, ani redaktorów — warto by tylko pomyśleć o wydaniu mniej kompletnym, a za to bardziej spoistym.

O samym Krzywickim we *Wspomnieniach* czytamy niewiele. Jedynymi obszerniejszymi wyjątkami są wspominki z okresu wczesnej młodości, spędzonej w Płocku, i relacja z poszukiwań archeologicznych na Żmudzi. Na ogół autor pisze o wszystkim i wszystkich, tylko nie o sobie i swojej pracy. Mimo że bardzo wcześnie osiągnął znaczne sukcesy naukowe i zdobył rozgłos publicystyczny — o swoich książkach i artykułach prawie nie wspomina. O swojej działalności konspiracyjnej pisze w sposób mocno ogólnikowy i wywołuje czasem efekt taki, jak gdyby był w opisywane wydarzenia wplątany przypadkowo i tylko dzięki zbiegowi okoliczności odgrywał w nich rolę kierowniczą. Gdy więc na przykład opowiadając o wypadkach związanych z głośną „schodką Apuchtinowską" w roku 1883 Krzywicki pisze: „po chwili Własow stał na ulicy, a ja siedziałem na jego miejscu w «proletce» i energicznie protestowałem przeciw postępowaniu władz" — czytamy te zdania z podświadomym zdziwieniem. Nie licują jakoś z obrazem skromnego, nieskorego do przewodzenia człowieka, jakim wydaje się być Krzywicki-narrator.

Osobista skromność autora jest pierwszą uderzającą cechą *Wspomnień*. Wstrzemięźliwość w mówieniu o własnej osobie przybiera szczególną formę w relacjach o sporach partyjnych, w których Krzywicki brał udział, a także w opowiadaniach o rozmowach z przedstawicielami innych ugrupowań politycznych. Krzywicki krytykuje swoich oponentów w sposób bezosobowy, nie tyle przeciwstawiając ich poglądom — własne, ile wytykając wady omawianych stanowisk. Jest to oczywiście dyktowane dążnością do zachowania obiektywizmu i sprawia zwykle dobre wrażenie na czytelniku — jednakże w tych, nieczęstych zresztą wypadkach, kiedy Krzywicki żywi w stosunku do przedstawianej osoby czy ruchu zdecydowaną niechęć, zamierzony obiektywizm (druga cecha szczególna *Wspomnień*) staje się źle przylegającą maską. Tak jest w niektórych uwagach o członkach SDKPiL, w szkicu o Abramowskim, którego Krzywicki wyraźnie (i z wzajemnością) nie znosił, tak jest w relacji o bojkocie szkolnym w r. 1905 (gdzie widoczna jest sprzeczność między rzeczowym przedstawieniem nastrojów młodzieży a pełnym irytacji oskarżeniem rzekomych sprawców strajku). *Casus* Abramowskiego, potraktowanego bardzo jednostronnie, jest zresztą charakterystyczny i z innych względów: Krzywicki, którego socjalizm opierał się na twardej, racjonalistycznej postawie, nie mógł tolerować socjalisty-mistyka.

Skromność i zamierzony obiektywizm charakteryzują postawę piszącego — jednak nie w pełni. Trzecią cechą szczególną, najmniej eksponowaną, lecz wcale nie najmniej ważną, jest uczuciowość. Wolna od sentymentalizmu i hałaśliwości, po męsku trzymana na wodzy, przebija raz po raz przez spokojną powierzchnię narracji. Pojawia się najczęściej w szkicach, poświęconych pamięci przedwcześnie zmarłych, pomordowanych lub zmarnowanych przyjaciół czy znajomych działaczy. Ujawnia się jednak także w epizodycznych obrazkach postaci napotkanych gdzieś przypadkiem, nikomu nie znanych i przez wszyst-

kich zapomnianych. Sporo takich fragmentów na przykład we wspomnieniu *Na Żmudzi.*

Metoda pisarska Krzywickiego jest zewnętrznie całkiem prosta: opowiada nieozdobnie, bez polowania na efekty, bez świadomego gromadzenia wrażeń, nawet niezbyt plastycznie. W gruncie rzeczy jednak, przy całej prostocie i bezpośredniości, Krzywicki umiejętnie komponuje swoje szkice i sylwetki. Żadna anegdota nie pojawia się nieuzasadniona i niepotrzebna, każdy szczegół dodaje coś istotnego do obrazu. W kreśleniu sylwetek ludzkich znać u Krzywickiego rękę socjologa, który, nie zagłębiając się zbytnio w trudno uchwytne i werbalne dociekania psychologiczne, ukazuje przedstawianą postać w paru sytuacjach, często zabawnych, i uzyskuje żywy i wyrazisty obraz swego bohatera. Niektóre szkice monograficzne, te zwłaszcza, które autor zdążył wykończyć i poprawić, są pod tym względem naprawdę doskonałe (o Białobłockim, o Szymonie Diksztajnie).

Właśnie w taki pośredni sposób objawia się we *Wspomnieniach* olbrzymia kultura społeczno-naukowa Krzywickiego, jego umiejętność obserwowania, analizowania i zapamiętywania faktów symptomatycznych, istotnych, uderzających. Zdarzeń i anegdot mnóstwo w tych tomach — od żywiołowej dyskusji między Abramowskim a Dzierżyńskim do kapitalnej historyjki o Józefie Kotarbińskim, który przełożył jakiś tomik z francuskiego, zapomniał o tym i po ukazaniu się książeczki zrąbał ją nielitościwie. Większość takich epizodów wbija się w pamięć jako charakterystyczne bądź to dla pewnych postaci, bądź dla środowiska czy epoki.

Z tym wszystkim można sobie wyobrazić, że gdyby nawet *Wspomnienia* Krzywickiego nie posiadały wymienionych walorów literackich, czytano by je z ogromnym zainteresowaniem. Cóż to bowiem za wspaniałe tematy! W tomie pierwszym opowiada Krzywicki o wychowaniu młodzieży gimnazjalnej w latach siedemdziesiątych, o społecznych skutkach uwłaszczenia chłopów, o początkach konspiracyjnych organizacji studenckich, które były jednym z pierwszych przejawów budzenia się kraju z popowstaniowej śpiączki, dalej o życiu na emigracji i pracach nad formowaniem ruchu socjalistycznego w Polsce. Tom drugi dzieli się na cztery części. Najobszerniejsza nosi tytuł *Z zarania ruchu robotniczego w Polsce* i zawiera szkice takie, jak na przykład *Psychologia ruchu robotniczego, Wpływy ze Wschodu, Ludwik Waryński, Tadeusz Rechniewski i jego pokolenie, Jak wydawano „Kapitał" K. Marksa, Epigoni Proletariatu, Marcin Kasprzak* itd., itd. Samo wyliczenie tytułów i pamięć o tym, że Krzywicki ludzi i sprawy opisywane znał osobiście i czynnie, starczy dla uzmysłowienia sobie rewelacyjnej wartości tych tekstów. Część druga, *Z walk o polską szkołę i oświatę,* zawiera między innymi artykuły o Sempołowskiej, Dawidach i bojkocie szkolnym w r. 1905. Część trzecia — *Ze świata kultury i nauki* — przynosi ogromnie interesujące szkice o Prusie, Kasprowiczu, Przybyszewskim, Sieroszewskim i innych pisarzach. Wreszcie *Przyczynki* zawierają głównie parę artykułów, przeznaczonych dla *Polskiego Słownika Biograficznego.* Tom trzeci z kolei rozpada się na dwie zasadnicze części: *Z kręgu publicystów i wydawców* — wspomnienia z prac publicystycznych i redakcyjnych w latach 1883—1910, kolejno w *Przeglądzie Tygodniowym, Głosie, Prawdzie, Gazecie Polskiej, Poradniku dla Czytających Książki* i *Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej* (wspomnienia te rozrastają się niemal

do rozmiarów monografii poszczególnych pism) — i *Z dwudziestolecia*, garść szkiców o różnych osobach i środowiskach (między innymi o rodzinach Narutowiczów i Piłsudskich) oraz bardzo obszerne, pisane z wielką ścisłością a nie mniejszą pasją wspomnienie *Burdy studenckie* (o warszawskich awanturach antysemickich w latach 1937—8).

Bogactwo treści niezmierne, nie do objęcia w ramach najobszerniejszego nawet artykułu, wymagające opracowania historyków — specjalistów od różnych epok. Coraz to napotykamy zagadnienia mało zbadane (na przykład sprawa polsko-rosyjskich stosunków kulturalnych u schyłku wieku), zapomniane (życie polityczne i społeczne prowincji) albo przemilczane. Owe przemilczenia są najbardziej irytujące, bo dotyczyły postaci i ugrupowań, na które powoływano się codziennie, a wiedzę o których zamknięto na cztery spusty. *Wspomnienia* Krzywickiego są kopalnią wprost niewyczerpaną — a rewelacyjność ich zawartości nie wyczerpuje się na wieku XIX. Młode pokolenie akademickie, dla którego lata trzydzieste są historią odległą i mniej znaną niż epoka wojen napoleońskich, znajdzie jednostronną wprawdzie, ale jakże pasjonującą lekturę w opisie burd studenckich, kreślonym gniewnym piórem blisko osiemdziesięcioletniego bojownika o równouprawnienie i tolerancję.

Wszystkich godnych uwagi tematów nie da się nawet odnotować. Ograniczmy się więc do przykładowego, krótkiego omówienia dwóch zagadnień, które wysuwają się na czołowe miejsce w drugim, centralnym tomie *Wspomnień*. Są to problemy tzw. pozytywizmu warszawskiego i formowania się socjalizmu na ziemiach zaboru rosyjskiego.

Na temat interpretacji i oceny ideologii pozytywistycznej toczyła się u nas przed paru laty ożywiona dyskusja. Ostatnim w niej głosem był szkic Henryka Markiewicza *Pozytywizm a realizm krytyczny* *. Rzecz ciekawa, że choć żaden z dyskutantów na Krzywickiego się nie powoływał (nikomu pewnie nie udało się dotrzeć do nie opublikowanych jeszcze wówczas materiałów), Markiewicz zbliżył się ostatecznie do stanowiska, jakie we *Wspomnieniach* reprezentuje Krzywicki **. Możemy Krzywickiego uznać za dobry autorytet, bo działalność pozytywistów i jej skutki poznał dobrze i bezpośrednio. Jest on zdecydowanym przeciwnikiem tego kierunku, dodaje jednak lojalnie (t. II, str. 40—41): „Bądź co bądź pozytywizm, do szpiku kości płód widnokręgów mieszczańskich, torował bezwiednie drogę nowym prądom w społeczeństwie polskim. Prądy, które zerwą z lojalnością polityczną organiczników, będą urągały płytkości ich pojmowania stosunków społecznych, ale w spuściźnie po pozytywizmie wezmą swoją wolnomyślność,

* Ogłoszony w *Pamiętniku Literackim*, 1955, nr 2.

** Mam oczywiście na myśli tylko stanowisko wobec pozytywizmu. Tytułowy problem szkicu Markiewicza da się rozstrzygać raczej dowolnie, ponieważ oba wchodzące w grę pojęcia mają odmienne genezy i charaktery znaczeniowe. „Pozytywizm" wywodzi się wprost od ludzi, którzy się sami pozytywistami nazywali; nasze trudności z tym terminem powstają w chwili, gdy zaczynamy się zastanawiać, k t o w ł a ś c i w i e był pozytywistą, a kto już nie. Najlepiej byłoby pozostawić termin w posiadaniu jego autorów, a znaczenie badać przez analizę wchodzących w skład konkretnych postaw. Natomiast o „realizmie krytycznym" żaden z „krytycznych realistów" nie słyszał, jest to termin „nakładany" na epokę — i w zależności od tego, czy i jakie wyznaczniki polityczne umieścimy w jego definicji, będzie on kolidował z pozytywizmem lub nie.

swoje opieranie się na nauce jako jedynej instancji, wyrokującej o tym, czemu mamy wierzyć, a co odrzucić".

Zasadnicza i bezwiedna zgoda między współczesnym historykiem literatury i starym działaczem pierwszych polskich ugrupowań socjalistycznych jest bardzo pocieszająca. Niedobrze byłoby jednak pominąć fakt, że Krzywicki, który sam przez lat parę ku pozytywizmowi się skłaniał, nie ma ani na chwilę wątpliwości, iż podstawową i konstytutywną cechą tego prądu był lojalizm. Na takiej podstawie dokonywany obrachunek musi wypaść zdecydowanie ujemnie dla pozytywizmu: bo naukowe widzenie świata nie musi się wiązać z ugodowością, natomiast ugodowość musiała iść w parze ze wstecznictwem. Z drugiej strony można u Krzywickiego odnaleźć — na przykład w pięknym i wzruszającym szkicu o Prusie (który, choć przeciwnik rewolucji i socjalizmu, a przy tym nie opływający w dostatki, za każdym spotkaniem wciągał Krzywickiego do najbliższej sieni i wysupływał kilka albo i więcej rubli na więźniów politycznych w Cytadeli) — *implicite* zawarty postulat badania pozytywizmu nie przez studiowanie nazwy i programu czołowych działaczy (jak antypatyczny Świętochowski), lecz przez śledzenie działań poszczególnych tzw. pozytywistów.

Należy żałować, że — szczególnie predestynowany do wypełnienia takiego zadania — nie podjął Krzywicki węzłowego zagadnienia: dlaczego u schyłku lat siedemdziesiątych w całym społeczeństwie dało się zauważyć pewne ożywienie i wyraźne wzmocnienie ruchów opozycyjnych? Zdaniem Krzywickiego zmiany te następowały w sposób spontaniczny, ale przecież jakieś prawidłowości życia społecznego musiały nimi kierować. Wiele natomiast uwagi poświęcił Krzywicki bardziej szczegółowej sprawie powstawania na terenie Kongresówki pierwszych ugrupowań socjalistycznych. I jak nikt inny chyba zdecydowanie i jasno pisał (t. II, str. 36): „Mogę twierdzić z całą stanowczością: socjalistyczny ruch w Kongresówce powstał pod bezpośrednim wpływem ruchu rosyjskiego". Spory szkic *Wpływy ze Wschodu* jest w całości poświęcony oddziaływaniu radykalnej literatury i myśli rosyjskiej na młodzież polską. Oddziaływanie to pociągało nieraz za sobą rusyfikację zupełniejszą niż narzucana przez władze carskie (przypomnijmy sobie *Płomienie* Brzozowskiego).

Specyficzna geneza socjalizmu w Polsce nie pozostała, zdaniem Krzywickiego, bez bardzo poważnych następstw. „Do świadomości przyszliśmy cudzym rozumem. Światło przyszło od Wschodu, z Rosji" (t. II, str. 41). Ale teorie socjalistyczne, idące drogą tak okrężną, dochodziły w postaci mocno zmienionej. Traciły częściowo swój klasowo-robotniczy charakter, nabrzmiewały nihilizmem, a przede wszystkim — zabarwiały się kosmopolitycznie. Stąd podobne zdarzenia, jak to z roku 1876, opisane w artykule o Kazimierzu Hildcie (*Jeden z pierwszych zwiastunów*, t. II, str. 19): „Na zebraniu w domu pod Dzwonnicą (około kościoła OO. Bernardynów) Józef Pławiński zawoła z najwyższym przejęciem do przyjezdnych (Dłuskiego i Rodziewicza): «My, patrioci, nigdy nie będziemy socjalistami, każdy socjalista to zdrajca!». W dwa lata później obaj Pławińscy, Józef i Kazimierz, są już w Cytadeli za socjalizm".

Nie wszystkie starcia kończyły się tak „pomyślnie". Powstał ciążący później jak przekleństwo nad polskim ruchem robotniczym, przez lata całe trwający, rozłam między dążeniami klasowymi a narodowymi. Uwagi Krzywickiego

niejednokrotnie rzucają nowe i ciekawe światło na źródła tego rozłamu, który jego zdaniem nie był wcale jakąś fatalną koniecznością, ale wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Pisząc o działalności Proletariatu w latach 1881—1883 Krzywicki komentuje między innymi (t. II, str. 167): „Nawet z tego okresu «antynarodowego» są szczegóły niezmiernie znamienne, świadczące, iż w istocie rzeczy chodziło tam nie o walkę przeciw prawom narodowości polskiej do bytu samodzielnego, ale o walkę z sobkostwem klasowym mieszczaństwa, nadużywającym haseł narodowych w celu uświęcenia swojej bierności politycznej. A zatem głównym agitatorem wysłania adresu do Lwowa w r. 1881 z powodu pięćdziesiątej rocznicy powstania listopadowego był Stanisław Krusiński — młodzieniec wychowany w Rosji i zaledwie poczynający dobrze władać językiem polskim". Dodajmy, że z racji tej samej rocznicy odbył się w Genewie obchód socjalistyczny, na którym doszło do tragikomicznego zdarzenia: oto na zaproszeniach na obchód wydrukowano między innymi, że „dawne hasło *Vive la Pologne* znikło zupełnie wśród walki klas, wśród walki pracy z kapitałem" — tymczasem Marks, Engels, Lafargue i Lessner przysłali wspólny list, zawierający świetne pochwały demokracji polskiej i kończący się właśnie słowami *„Vive la Pologne!"*.

Z punktu widzenia historyka najważniejszymi fragmentami *Wspomnień* są, jak mi się wydaje, wypowiedzi na temat pozytywizmu i początków socjalizmu w Polsce. Historyk niejedno dziełu Krzywickiego zarzuci, niejedno sprostuje, z niejednym podejmie dyskusję. Ale dla czytelnika nie polującego na materiał do rozważań i opracowań naukowych najciekawsze i najcenniejsze będą zapewne sylwetki działaczy i pisarzy. Wstrząsająca opowieść o Szymonie Diksztajnie (Janie Młocie), człowieku fenomenalnie zdolnym (mając lat czternaście wstąpił, po maturze, na uniwersytet), znakomitym popularyzatorze marksizmu, który w wieku lat dwudziestu sześciu odebrał sobie życie nie mogąc znieść myśli, że jest... mało przydatny i do niczego nie zdolny. Imponująca epopeja Tadeusza Rechniewskiego, zakończona pięknym testamentem „Starego Proletariatu". Dramatyczny, jakże żywy i serdeczny w gruncie rzeczy szkic o Kasprzaku. Ciekawa i ucieszna opowieść o Kasprowiczu, barwna i egzotyczna historia tułaczych lat Sieroszewskiego. Wygłoszone z niebywałą pasją przemówienie nad grobem Wacława Nałkowskiego. *Wspomnienia* Krzywickiego — to przede wszystkim bogata księga o burzliwych i nieraz tragicznych, pełnych klęsk i nowych nadziei, losach paru pokoleń „ludzi podziemnych".

Zdzisław Najder

DWIE WISŁAWY SZYMBORSKIE

W i s ł a w a S z y m b o r s k a: *Wołanie do Yeti*. Kraków 1957. Wydawnictwo Literackie; str. 52.

1

Jest Szymborska-moralistka i Szymborska-nauczycielka. Poetka bolesnej, przejmującej drwiny — i żartownisia na niedzielnej wycieczce. Poetka świetnej metafory, znakomitego skrótu, lirycznej definicji — i wynalazczyni dziennikarskiego konceptu.

Poezję — wyniosła z płonącego domu. Ocaliła ją — może po prostu dlatego, że była to poezja, nie mistyfikacja, nie pozór, jak u tylu współczesnych. Lecz pożar osmalił jej skrzydła.

W *Wołaniu do Yeti* nie trudno dostrzec podobieństwa przeżycia, podobieństwa postawy, jakie tom ten łączą z najmłodszym pokoleniem poetyckim, zwłaszcza z ostatnim zbiorem wierszy Stanisława Grochowiaka. Istnieje tu przecież różnica zasadnicza. Poezja Szymborskiej wyrasta bowiem z retoryki. Była — bez reszty — retoryczna w poprzednim tomiku poetki, w *Pytaniach zadawanych sobie*. Szymborska znajdowała się wtedy na przeciwległym biegunie wobec ekspresjonizmu, nastrojowości i — jak to się w dawnych czasach mówiło — „formalizmu". To nie ona służyła poezji, to poezja służyła jej. Środki wyrazu tej liryki były środkami mówcy, dyskutanta: nie pragnęły rozbudzać wyobraźni, pragnęły przekonywać w sposób racjonalistyczny, ba, dyskursywny.

Ta czystość retoryki została zamącona w *Wołaniu do Yeti*. Co nie znaczy, by retoryka straciła swą ważną, dominującą rolę w tej poezji. Przede wszystkim bowiem zmieniła się nie zasada liryki, lecz metoda argumentacji. Korelatywnie — w stosunku do bardziej istotnych przemian, przez jakie przeszła autorka *Pytań zadawanych sobie*. Znaczy to, że środki wyrazu w najbardziej typowy sposób retoryczne: dydaktyczny patos, maksymalna komunikatywność i dosłowność — zamieniły się w ironię i drwinę, w poetykę bardziej skomplikowaną, zmetaforyzowaną i aluzyjną. Jest to niewątpliwie poważny krok naprzód na drodze ku unowocześnieniu — w gruncie rzeczy dość przestarzałych, choć w pewnym momencie przodujących w liryce „minionego okresu" — środków wyrazu, jakimi poetka operowała w *Pytaniach*. Zbiorze wierszy — trzeba to przecież wyraźnie podkreślić — odznaczającym się dużą sugestywnością.

Przemiana ta nie dokonała się jednak z dnia na dzień. I — w *Wołaniu do Yeti* odnaleźć można niejeden jeszcze relikt dawnej poetyki. Zaliczyć tu trzeba, między innymi, błąd dydaktyzmu nauczycielskiego, błąd polegający na zbyt natarczywym, zbyt oczywistym doprowadzaniu do wniosków, które czytelnikowi należałoby raczej zasugerować. W sposób najbardziej ewidentny błąd ten przejawia się w wierszu *Noc*, gdzie cały wywód wypowiedziany w mowie pozornie zależnej, poprzez stylizację na rozumowanie dziecka, dziecka zbuntowanego przeciw zagadkom starotestamentowej moralności — zamyka się strofą napisa-

ną w konwencji odmiennej: komentarzem dorosłej narratorki. Komentarzem wyraźnie określającym sens owej przygody dla rozwoju światopoglądowej biografii poetki. Zatem — wszystko zostało tu wypowiedziane do końca, *expressis verbis*, z tendencją dydaktyczną. Wiersz traci w ten sposób na sugestywności, jednocześnie zaś sygnalizuje pewną naiwność: daleka to bowiem droga od krytyki starotestamentowych przypowieści do ateizmu. Nie mówiąc o tym, że jednoznaczny wniosek osłabia znaczenie aluzyjnego podtekstu wiersza.

Błąd dydaktyzmu nauczycielskiego — już dla tego tomu nietypowy — stanowi jednak wyjaskrawiający sygnał, czy wyjaskrawiający symbol, pewnych cech liryki Szymborskiej, które mogą okazać się dla niej niebezpieczne. Błąd ten stanowi bowiem przykład ujemnej roli estetycznej, jaką odgrywa, jaką może odegrać swoista asceza artystyczna Szymborskiej, jej niechęć do innych niż racjonalistyczno-dyskursywne środków wyrazu. Zapewne, *„in der Beschraenkung zeigt sich der Meister"*. W twórczości Szymborskiej istnieją także i takie wiersze, które zdanie to potwierdzają. Istnieją jednak i takie, w których odczuwa się szczupłość miejsca zawartego między murami racjonalistycznej ortodoksji; istnieją wiersze, w których poezja — nie mogąc rozwijać się swobodnie, napotkawszy opór — zaczyna rysować zawiłe meandry, tworzyć dziwaczne narośle, zatracać to, co intuicyjnie nazywamy naturalnością środków wyrazu.

I tu — geneza k o n c e p t u tej poetki.

Uprawiana przez nią przedmiotowo-racjonalistyczna poetyka wyklucza w zasadzie widzenie typu ekspresjonistyczno-symbolicznego, wyklucza typ poezji, w którym obraz wiąże się z rzeczywistością społecznie sprawdzalną w sposób — wyłącznie — emocjonalno-aluzyjny. Ponieważ zaś autorka *Wołania do Yeti* jest, nie od dziś, poetką fabularnego, jednorodnego p o m y s ł u — jako skrzyżowanie tych dwu tendencji musi pojawić się u niej pomysł fabularny zbliżony do prozy, powiedzmy: skrót noweli realistycznej.

I rzeczywiście: wiersze tego rodzaju zdarzają się niejednokrotnie w *Pytaniach zadawanych sobie**. Są to na przykład: *Malowidło w Pałacu Zimowym, Wstępującemu do partii, Rozmowa ze sceptykiem*. W *Wołaniu do Yeti* wierszem takim jest właśnie — *Noc*.

Ale zesencjonalizowana i zwersyfikowana proza fabularna jest już dla Szymborskiej zbyt łatwa. Przychodzi jej teraz w pomoc paradoksalne zjawisko, dające się zaobserwować przy stylistyczno-formalnej analizie współczesnej realistycznej prozy i współczesnej prozy eseistyczno-publicystycznej. Mianowicie: nie trudno dostrzec, że jeśli chodzi o „literackość" (wcale nie pejoratywną): drobną metaforykę, alegoryczne pomysły, argumentację przez podobieństwo — proza eseistyczno-publicystyczna przewyższa zdecydowanie prozę fabularną. Żaden prozaik nie tworzy już dzisiaj tego typu gigantycznych konstrukcji, jakie ostatnio zdarzają się Arturowi Sandauerowi; żaden tak często nie operuje metaforą, jak czyni to Kazimierz Wyka. Obrazowanie dyskursywne z rąk poetów i prozaików przejęli krytycy-eseiści. Przy czym, przypomnijmy: różnica między obrazowaniem tego typu a obrazowaniem *sensu stricto* poetyckim polega na tym, że pierwsze jest wtórne, a drugie spontaniczne, że funkcją pierwszego jest eksplikacja i sugestia, drugie zaś — w gruncie rzeczy — nie jest funkcją niczego.

Jeśli jednak obrazowanie wiersza *Dwie małpy Breughla*, zbliżając się do obrazowania prozatorskiego, daje się z nim porównać tylko w wysokich już regionach artystycznego skrótu, jeśli przywodzi na myśl wysokiej klasy prozę eseistyczną — nie wszystkie wiersze Szymborskiej takie właśnie zestawienie nasuwają. Znaczną rolę odgrywa tu bowiem środowisko realiów, z którego pochodzi motyw kształtujący warstwę znaków wiersza. A idzie tu zarówno o hierarchię tematów przeprowadzoną z punktu widzenia ich wagi intelektualnej, jak o oryginalność. Otóż — z chwilą kiedy miejsce obrazu szesnastowiecznego mistrza zajmuje obiegająca codzienną prasę, eksponowana przez humorystów całego

* Jak się zdaje, pierwszy zwrócił na to uwagę Leszek Herdegen w recenzji tego tomu, drukowanej w 35 nrze *Życia Literackiego* z roku 1954.

świata sensacja o humbugowym posmaku (Yeti) lub — zaczerpniętą z tejże prasy, równie ulubiona przez humorystów — forma drobnego ogłoszenia — trudno tu już mówić o zbieżnościach z techniką eseju. Raczej — z techniką dziennikarskiego felietonu. Pomysłom Szymborskiej zaczyna w tym momencie grozić — pospolitość.

Z drugiej zaś strony — sztuczność. Niebezpieczeństwo to, dość niespodziewane w zestawieniu ze słowem „pospolitość", wynika jednak w sposób oczywisty z nieprzystosowalności obydwu układów. Przeżycie poety — z natury rzeczy bardzo indywidualne, skomplikowane i jedyne w swoim rodzaju — zestawia się tu bowiem z pojęciem obiegowym, wylansowanym, z pojęciem, które — jeśli można się tak wyrazić — zrobiło społeczną karierę. Trudno w tego rodzaju rozważaniach bawić się w arytmetykę; niewątpliwie jednak pojęć takich — w stosunku do całego bogactwa przeżyć poety — nie ma wiele. I dlatego — daleko trzeba szukać, by w układzie pojęć obiegowych znaleźć odpowiednik dla poetyckiego przeżycia. Co potwierdzają teksty. Od Wielkiego Rozczarowania do ogłoszenia w gazecie — bardzo przecież daleko. Nie tylko pod względem pojęciowym. Wtedy — wszystko byłoby w jak najlepszym porządku. Bardzo daleko — pod względem estetycznym, pod względem estetycznej tonacji — czego nie usprawiedliwiają tu ani walory ironiczno-komiczne (zbyt słabe, *vide:* pospolitość), ani naturalność odległego skojarzenia (brak sygnału współgrania podświadomości). Stąd — w sumie — sygnał: sztuczność, stąd — niekiedy — wrażenie, pozwalające na nieco złośliwe słowa o kształtowaniu się tej poezji zgodnie z zasadą: co by tu jeszcze wymyślić.

Jeśli jednak napisałem powyżej, że pomysłom Szymborskiej z a c z y n a j ą g r o z i ć pospolitość i sztuczność — nie był to eufemizm. Poetka bowiem potrafi bronić się przeciw tym niebezpieczeństwom — tymi walorami swej liryki, o których będzie mowa poniżej. I jakkolwiek efekt omawianych utworów nieco osłabią, to jednak ani w wierszu *Z nieodbytej wyprawy w Himalaje,* opartym na pomyśle wołania do Yeti, ani w *Drobnych ogłoszeniach* — porażki artystycznej bynajmniej nie ponosi. Zwłaszcza wiersz pierwszy w trwały sposób zapisuje się w pamięci czytelnika.

Że jednak niebezpieczeństwa te istnieją i że nie należy ich lekceważyć — świadczą także zjawiska zdecydowanie już negatywne pod względem estetycznym. Pomijając bardzo sztuczną *Lekcję,* jako wiersz nie wchodzący w skład omawianego tomu, drukowany w czasopiśmie*, trzeba tu zwrócić uwagę na inne od dotychczas omawianych momenty — wywodzącej się z pasji realistyczno-dydaktycznych — pospolitości. Na wstępie — parę cytatów:

Ale już wiedzą o nas, wiedzą
te cztery kąty, ten piec piąty
(Jawność)

Tak w czterech ścianach lawin
wołałam do Yeti
przytupując dla rozgrzewki
(Z nieodbytej wyprawy...)

Godzina a-czy-po-nas-nic-nie-pozostanie
(Czwarta nad ranem)

A my wiecznie jacyś tacy
(Buffo)

gdzież twoja ślepa ufność, gdzież twoja
[niewinność
twoje jakośtobędzie
(Rehabilitacja)

Cóż ja zrobiłam nieszczęśliwa,
że bez kaloszy grzęznę w smole
(Spotkanie)

Jeśli do cytatów tych dodamy „różowe okulary" stanowiące zgrzyt świetnej pointy wiersza *Rehabilitacja,* będziemy rozporządzali wystarczającym już materiałem egzemplifikacyjnym dla dowiedzenia, że do poezji Szymborskiej przyplątał się — nie od dziś zresztą — zabawny tonik pseudo-lekkości, pseudo-swobody, pseudo-żartu — znów zmuszający do snucia porównań z prozą dziennikarską. Nie ma on nic wspólnego ze znakomitą drwiną i ironią tej poezji. Jest po prostu tęsknotą poetki precyzyjnej, racjonalistycznej, dyskretnej — do babskiego gadu-gadu, do pensjonarskiego śmichu-chichu. Stanowi próbę nobilitacji pewnej gwary, pewnego rodzaju języka potocznego. Gwara to jednak mało ciekawa, język — zbanalizowany. Poetka tej

* *Nowa Kultura* 1958, nr 16

klasy, co Szymborska, każdy poeta zresztą — powinien z próby takiej szybko się wycofać.

Ów tonik Szymborskiej przenika niekiedy całe wiersze, np. *Spotkanie*. I tu — spotyka się z jednym jeszcze spośród meandrów tej poezji.

Myślę o jej stylizatorstwie.

Pchnięci oddechem trąby owej
Gromadą zlatujemy w przepaść.
Na dno sterują nasze głowy,
Łapiemy próżnię, żeby nie paść,
Któż widział daremniejsze łowy!

Czegóż tam nie ma: gnaty i oprawcy, strzygi i siepacze, mnogi rabuś i „już ni sapu ni kołatu". Staropolska archaizacja, przybierająca tu leciutki akcent villonowsko-boyowski, w tym wypadku zdecydowanie żartobliwa — gdzie indziej jest już bardziej poważna, wygrywana przez ironię i jak najrdzenniej rodzima. „Mundur powietrza" z *Historii nierychliwej* przywodzi na pamięć barokowy konceptyzm, czy nawet — dokładniej — rodzaj obrazowania charakterystyczny dla poezji konfederatów barskich. A początek wiersza *Obmyślam świat* jest po prostu trawestacją podtytułu *Nowych Aten* Benedykta Chmielowskiego.

W sumie — stylizacje Szymborskiej najbliższe są poetyce polskiego baroku: jego odmianie sarmacko-dewocyjnej, bardziej osiemnasto- niż siedemnastowiecznej. Ich funkcji estetycznej nie można oceniać sumarycznie. Zdarza się, że wprowadzają one efekty znakomite *(Historia nierychliwa)*, zdarza się, że współgrają z pseudo-dowcipnym tonikiem. Stanowią przecież poważny argument popierający główną tezę tego rozdziału: są przykładem — jednym jeszcze — pewnej sztuczności, pewnej wymyślności tej poezji — wynikających z jej ascezy. A o sztuczności, o konceptyzmie stylizacji na konceptyzm czy concettyzm może być tu mowa także dlatego, że stylizacja ta nie wychodzi na ogół poza warstwę językową, że sięga do stylu epoki, której duchowe konflikty, której typ wyobraźni — z gruntu obce są psychice autorki.

2

Szymborska jest poetką wylansowaną. Krytyka — nie wyłączając autora tego sprawozdania — lubiła zawsze pisać o niej dobrze i powierzchownie, lubiła składać jej laurki. Tym potrzebniejsza wydaje się próba spojrzenia na tę poezję okiem krytyka zgryźliwego. Zwłaszcza że obok zawartych tu momentów dyskusyjnych, wynikających z nieco odmiennego niż wyznawany przez poetkę poglądu na istotę liryki — recenzja ta zwraca także uwagę na niebezpieczeństwa bezsporne, a — jak się zdaje — możliwe do uniknięcia.

Skoro już jednak obowiązek swój postarała się spełnić — może teraz spokojnie i z czystym sumieniem zająć się tymi utworami czy tymi momentami poezji Szymborskiej, które potwierdzają zasadę: *„in der Beschraenkung zeigt sich der Meister"*. A że momentom tym mniej poświęci miejsca i uwagi niż zjawiskom omówionym w rozdziale pierwszym — to już prawo gatunku: zasada recenzji zgryźliwej.

Poetyka *Wołania do Yeti*, pominąwszy jej związki z tradycją, nawiązuje — w najzupełniej oryginalny sposób — do zasad poetyki Tadeusza Różewicza. Podobne tu zrozumienie dla postulatu dyskrecji środków wyrazu, podobna skłonność do komprymowania efektu artystycznego. Szymborska działa z większą ostentacją, wyraźniej swoje efekty komponuje i punktuje, dzięki czemu osiąga zresztą niekiedy efekty wręcz znakomite. Myślę tu zwłaszcza o zakończeniu *Rehabilitacji*, w którym — niemal dosłownie — krzyk zastąpiono szeptem; o zakończeniu stanowiącym świadectwo wytrawnej wiedzy poetyckiej, która uczy, że o wiele boleśniejsze od uderzenia jest dotknięcie — nerwu. A także — myślę tu o wierszu *Dwie małpy Breughla*, w którym sarkastyczny skrót całej historii świata mieści się w jednym ruchu kajdan zwierzęcia, w c i c h y m dźwięku łańcucha. Kompresja tego obrazu jest ogromna, zaskoczenie — nadzwyczaj silne. Jednocześnie zaś — poddany zostaje nowy dla tej poezji ton. O sprawie bolesnej i wstrząsającej mówi się tu bowiem przy pomocy symbolu zwierząt, które najczęściej uchodzą za śmieszne, są bowiem w oczach człowieka jego parodią. Szymborska zapowiada w tym wierszu kierunek drwiny. *Pogrzeb Rajka* — bodajże najtrafniej — zapowiedź tę realizuje:

Odczytali z karteczki
a) był to chłop serdeczny
b) zagrajcie orkiestry

c) szkoda, że nie wieczny
Odczytali z karteczki.

odziani tylko w listki powiek
leżymy wśród głębokiej nocy

Tak więc — przezwyciężywszy zasadę mówienia wprost, nazywania uczuć po imieniu, zasadę, która panowała jeszcze w *Pytaniach zadawanych sobie* — Szymborska szybko przechodzi ewolucję, niewątpliwie korzystną dla rozwoju jej talentu. Wstydliwość uczuć, wyrażająca się poprzez dyskrecję, poprzez ściszenie — szybko przekształca się w perwersję uczuć, w ironiczne ich maskowanie.

I właśnie ironia: typowo intelektualna kategoria estetyczna, wydaje się najwłaściwszym żywiołem tej poezji. Tonuje ona nadmierną nieraz dosłowność i oczywistość — cechy, ku którym ciąży liryka Szymborskiej także w warstwie metaforyczno-alegorycznej. Znakomicie koresponduje z tendencją do uproszczenia groteskowego, nadzwyczaj w tej liryce cenną. Komplikuje i unowocześnia jej retorykę: wprowadzając pierwszą maskę, daje asumpt do ich zwielokrotniania, do bogatej wieloplanowości estetycznej. I wreszcie — świetnie współgra z trafną, precyzyjną, intelektualną metaforą Szymborskiej. Z metaforą przy tym — dodajmy to na marginesie — bardzo subtelną, bardzo delikatną. Jak ta:

Toteż ów nurt ironii przynosi najcenniejsze bodajże spośród artystycznych osiągnięć Szymborskiej. Zarówno wtedy, gdy poetka daje wyraz konkretnym lękom i konkretnej grozie epoki, jak wtedy, gdy tematem jej drwiny staje się problematyka egzystencjalna: gdy w wierszu *Obmyślam świat* pisze:

Świat tylko taki. Tylko tak
żyć. I umierać tylko tyle.
A wszystko inne — jest jak Bach
chwilowo grany
na pile.

Tak więc — przeprowadzona w tej recenzji próba oczyszczenia poezji Szymborskiej z kruszców mniej szlachetnych, a także różnoraka z nią polemika — nie mogą podważyć jej wartości najbardziej istotnych, tych, które pozostają po odrzuceniu cech o charakterze mniej czy więcej akcydentalnym. Każda zaś polemika o typ poezji, o istotę i sens liryki — w jakimś momencie lektury tych wierszy powinna zostać przerwana.

Jerzy Kwiatkowski

LIRYKA ŚWIATOWIDA

J u l i a n P r z y b o ś: *Narzędzie ze światła*. Warszawa 1958. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 171.

Brak ciągłości w rozwoju kultury polskiej, o czym tyle się ostatnio pisze, daje o sobie znać nie tylko w dziejach kierunków, prądów czy poetyk, ale także w twórczości poszczególnych pisarzy. Nowa książka, to często całkiem nowe propozycje literackie, czasami nawet niespodziewane. Proteuszowa natura literatury polskiej jest wyrazem jej niesamodzielności, uzależnienia od aktualnych przemian historycznych. Dlatego — jak sądzę — trzeba się ze szczególną uwagą przyglądać twórczości tych pisarzy, w stosunku do których takie terminy, jak „przełom" czy „ewolucja", są po prostu nieprzydatne. Nie dlatego, że zakładam z góry, iż twórczość poetów i prozaików konsekwentnych jest lepsza. Z całkiem innych względów: dlatego raczej, że świadczy ona o tym, iż w polskiej sytuacji kulturalnej, tak kapryśnej i podlegającej różnym, na ogół przeciwstawnym tendencjom, jest możliwe pisarstwo, rozwijające raz przyjęte zasady estetyczne i ideowe. Demonstruje ono niejako, że literatura może zdobyć tyle autonomii, by nie zmieniać się równolegle do zakrętów polityki i historii, by nie podlegać temu, co się zowie modą. Trudno o lepszy przykład realizowania tej moż-

liwości niż twórczość Juliana Przybosia. Rozwijana w okresie ponad lat trzydziestu, nie przeżyła żadnego przełomu, kontynuuje raz przyjęte założenia artystyczne. Autor *Pióra z ognia*, poeta programowo nowoczesny, nie uciekający od spraw dnia dzisiejszego, wplata w szerokim sensie aktualność w swą lirykę — nie dostosowuje zaś drugiej do pierwszej. Jest pisarzem, który uzupełnia i doskonali swój świat poetycki — na ogół o czasie powstania tego czy innego liryku nie można wnioskować na podstawie formy i wyrażanej postawy. Wskaźnikami mogą być pewne realia czy aluzje do ściśle określonych w czasie wydarzeń. Istotna poezja Przybosia jest wciąż ta sama. To między innymi sprawia, że pozycja, którą zajmuje wśród poetów swego pokolenia, jest jedyna i odrębna. Jeden chyba Przyboś może sobie pozwolić na to, aby w tomie, który z założeń nie jest wyborem, przedstawiającym różne etapy twórczości, zamieścić obok utworów najnowszych wiersze sprzed lat dwudziestu czy trzydziestu. I tak w *Narzędziu ze światła* obok liryków z ostatnich lat, które tworzą główny trzon tomu, znajdują się cykle wcześniejsze: *O grosz* (1927—28) i *Pióro z ognia* (1937). Z samych tekstów jednak nie można by było wywnioskować, że są one przedrukami. Przyboś jest jednym z nielicznych poetów starszego pokolenia, o którego twórczości można mówić jako o całości — stąd uwagi o utworach najnowszych, po dokonaniu pewnej amplifikacji, mogą się odnosić do wierszy o ćwierć wieku wcześniejszych. Nie znaczy to, że jest on monolitem; rozwija się — tylko w ramach raz przyjętej poetyki.

INTEGRACJA LIRYKI

W *Jednorożcu*, poemacie prozą, pisanym w formie dialogu o poezji, jeden z dwu dyskutantów wypowiada następujące zdanie: „W herbie nosiłbym Światowida, czterogłowe bóstwo patrzące na zewnątrz, na wszystkie strony świata". Wygłaszająca tę myśl postać zastrzega się: „Nie jestem pisarzem". Trudno jednak nie dostrzec w niej poetyckiego samookreślenia Przybosia, chociażby wtedy tylko, jeśli zestawi się ją z jego artykułami krytycznymi czy tak charakterystycznym „widzę", jakby bezpośrednio wprowadzającym w tę poezję moment patrzenia. O jego roli w liryce autora *W głąb lasu* napisano już tak dużo, że omawianie jeszcze raz tej tak istotnej sprawy skazywałoby na pisanie truizmów. Wydaje się jednak, że jeden z jej aspektów nie jest dostatecznie eksponowany. Myślę o funkcji kompozycyjnej owego „widzenia", nie związanej zresztą zawsze bezpośrednio ze słowem „widzę".

Analiza jej napotyka trudności rzędu najwyższego. Kompozycja utworu lirycznego — w przeciwieństwie do gatunków fabularnych — jest właściwie zjawiskiem bardzo płynnym, nie ma stałych wyznaczników. Nie można jej bowiem sprowadzić tylko do pewnych faktów, należących do tzw. techniki literackiej, jak układ strof czy powtarzalność refrenów. Są one z punktu widzenia kompozycji niezwykle ważne, ale nie stanowią wszystkiego. To zaś, co znajduje się poza nimi, jest trudno uchwytne, przecieka przez palce. Odkąd podział na gatunki w liryce (typu ody lub elegii) stał się fikcją, brak kategorii opisowych, które pozwalałyby ująć precyzyjnie te sprawy. Stąd konieczność zwracania się przy analizie kompozycji do zjawisk, które w zasadzie luźno wchodzą w jej obręb.

Wydaje się, ze owo patrzenie, czynność sama, tworzy w liryce Przybosia podstawy kompozycji, jest — by tak powiedzieć — umotywowaniem pojawiania się w wierszu elementów pozornie niejednorodnych. Jest jednocześnie jakby punktem wyjścia i zasadniczym zwornikiem, decydującym o tym, że liryki Przybosiowskie są niemal wzorem konsekwencji i przejrzystości. W wierszach Przybosia prawie nigdy nie pojawia się sprzeczność między bohaterem lirycznym a przedstawionym światem. Liryk ten jako jeden z pierwszych chyba przezwyciężył romantyczną antynomię „poeta — świat", antynomię, która zaciążyła na rozwoju poezji polskiej w ciągu stulecia, wyznaczyła jej ramy kompozycyjne. Przeciwstawienie to, urastające w liryce Mickiewicza i Słowackiego do rangi dramatu, przez ich następców zostało rozmienione na drobne. „Świat" stał się swoistym przedmiotem lirycznego komentarza. Charakterystyczna dla liryki romantycznej spo-

istość obrazowa ustąpiła miejsca dezintegracji przedstawień, kompozycja całościowa — kultowi drobiny. Wartość liryczna przedstawianego przedmiotu ujawniała się w twórczości postromantycznej (rozumianej szeroko, w moim mniemaniu wchodzą w jej obręb także pewne zjawiska jeszcze z dwudziestolecia) nie w odniesieniu do całości wiersza, nie jako jej cząstka funkcjonalna, zależała ona od bezpośredniej waloryzacji emocjonalnej. Poeci sprowadzali wszystko do swej, wąskiej często, skali odczuwań — ona stanowiła miarę, była kryterium. Innymi słowy: nie tworzyli spoistej wizji świata (w przeciwieństwie do romantyków), ale komentowali emocjonalnie jego poszczególne składniki. Stylistycznym wyrazem tej swoistej dyktatury podmiotu lirycznego, chcącego „w pełni się wyrazić", ale jednocześnie niezdolnego do ogarnięcia całości, była inwazja epitetu. Jestem przekonany, że gdyby ktoś podjął syzyfowy trud obliczenia statystycznego, jakie typy tropów najczęściej występują w twórczości drugorzędnych romantyków, poetów drugiej połowy wieku XIX i pierwszej ćwierci naszego, doszedłby do przekonania, że epitety zajmują bądź pierwsze miejsce, bądź jedno z pierwszych. Wydaje się, że epitet nie jest tu tylko zwykłą figurą stylistyczną, że w jego wielkiej roli wyraża się niejako ogólnie pewien typ kompozycji lirycznej. Epitet bowiem nie tworzy spoistej konstrukcji z rzeczownikiem, do którego się odnosi — przymiotnikowe określenie można odjąć, a sens jego ulegnie małym jedynie zmianom. Czy to w poezji parnasizującego Asnyka, czy w liryce impresjonistów i symbolistów, należących do pokolenia młodopolskiego, epitety są jakby nosicielami bezpośredniej oceny autorskiej, nawet wtedy, gdy pozornie wskazują na naturalne właściwości przedmiotu. Bez liku można cytować sformułowań w rodzaju: „promieniejące ramiona", „jasna głębia", „złoty uśmiech", „gorętszy całunek" (pochodzą one z jednej tylko strofy wiersza Kasprowicza *Wiosna*). To nie są jedynie ozdobniki stylistyczne — powiedziałbym, że tego rodzaju poezja konstruowana jest na zasadzie epitetu. Znaczy to, że poszczególne elementy w wierszu w dużym stopniu emancypują się, podlegają oddzielnej, w pewnym sensie samoistnej interpretacji lirycznej, uwydatniającej sprzeczność między przedstawianymi przedmiotami a podmiotem lirycznym. Ich wartość dla bohatera nie wypływa jakby z nich samych, pochodzi od niego, jest narzucona.

Konstruowanie wiersza na zasadzie epitetu dominowało, wydaje się, aż do czasów dwudziestolecia. Nie tu miejsce na szeroki wywód historyczny, ukazujący różnorakie jego realizacje. Przezwyciężenie tej zasady — a próbowali tego w zaraniu lat 20-tych poeci należący do różnych szkół — przebiegało na dwu płaszczyznach: konstrukcji nowego rodzaju bohatera lirycznego i nowego stosunku do świata przedstawionego. Rzecz charakterystyczna: wysiłki Tuwima i Przybosia, aczkolwiek oparte na innych teoriach poezji i wypływające z całkiem odmiennych tradycji literackich, szły w pewnej mierze w tym samym kierunku. Ich celem wydaje się kompozycja całościowa wiersza, zaniechanie impresjonistycznej drobinowości, w e w n ę t r z n a i n t e g r a c j a l i r y k i. Czynnikiem strukturalnie dominującym staje się metafora. I znów rzecz nie polega na częstotliwości jej pojawiania się. Jest ona jakby zasadą organizującą całość — wartości liryczne powstają z zestawiania słów i rzeczy, nie pochodzą już bezpośrednio od podmiotu lirycznego. Poeta staje się jakby organizatorem zmetaforyzowanych wizji. Sam obraz zawiera w sobie jakby liryczną interpretację, nierozerwalnie jest z nią związany — przestała być już ona czymś przychodzącym z zewnątrz. Nikną „jasne głębie" i „złote uśmiechy" nie tylko jako ozdobniki, należące do określonej poetyki historycznej, nikną dlatego przede wszystkim, że ich funkcję przejmują struktury inne — bogatsze i bardziej skomplikowane. Kompozycja na zasadzie metafory implikuje spoistość, tak jak spoistość jest właściwością samej przenośni, której składniki są tak z sobą związane, że zamiana któregokolwiek z elementów zmienia sens całej konstrukcji. W liryce Przybosia tej zasadzie komponowania towarzyszy rzeczywista ekspansja metafory. Poszczególne przenośnie nie są w wielu wypadkach tylko częściami większych całości obrazowych, niejako same rozrastają się w obraz:

Z wyłupanych kulami dziur
mur patrzał Ich oczodołami.
(Miejsce uświęcone)

Z metafory powstaje niejako jednorodna rzeczywistość, podobieństwo wyglądów, które spowodować mogło splecenie dwu rzeczy, poprowadziło do ich utożsamienia. „Mur patrzał..“ to nie zwykła personifikacja, jakby mógł sądzić ktoś patrzący na to z punktu widzenia klasycznej poetyki, to raczej stylistyczny wyraz tego utożsamienia. Przytoczony tutaj fragment, rozbudowany na jednej zasadzie obraz, jest niezwykle istotny ze względu na funkcję, jaką pełni w kompozycji całego wiersza. Jest on punktem kulminacyjnym, zbiegają się w nim wszystkie motywy, wyraża się w nim jakby podstawowy chwyt, zastosowany w całym utworze: nakładanie się na siebie wizji Warszawy dzisiejszej i Warszawy z dni powstania. Wszystko sprowadza się do jednego obrazu i wszystko zeń wynika. W całym wstrząsającym wierszu nie ma ani jednego momentu bezpośrednio zwaloryzowanego emocjonalnie. Bohater liryczny nie przyjmuje nigdy roli komentatora, określającego swój stosunek do konstruowanych przedmiotów. W poezji Przybosia jest on utajony — poeta nie narzuca rzeczom swojej interpretacji, tkwi ona w samych ich układach, jest pochodną, następstwem. Konstrukcje metaforyczne, obejmujące nie tylko poszczególne przedstawienia, ale całości kompozycyjne, scalają nie tylko obrazy, wyznaczają także pewną rolę podmiotowi lirycznemu. Przyboś, zwolennik liryzmu dyskretnego, rezygnując z formułowania *expressis verbis* swoich lirycznych racji, nie oceniając niczego „z zewnątrz”, inaczej podchodzi do warstwy obrazowej, do przedmiotów. Powracamy więc do funkcji widzenia, tak istotnej w tej liryce, do „postawy Światowida”, która określa jakby sposób zetknięcia podmiotu lirycznego z przedstawionym światem. Eksponowanie właśnie widzenia jest u Przybosia czymś w rodzaju wewnętrznej motywacji, jest środkiem organizowania wiersza jako jednolitej całości. Świadczy ono o swoistej, dla autora *Równania serc* niezwykle charakterystycznej, konstrukcji podmiotu lirycznego, o jego specyficznej funkcji w wierszu.

EMPIRYZM I NUTY KONRADOWE

Przyboś nie tylko organizuje stosunki między rzeczami, sam jakby z nimi obcuje. Podmiot liryczny oddziałuje w tym samym stopniu na przedstawiane przedmioty co one na niego — ich stosunki są wzajemnie dynamiczne:

Z miliona złożonych do modlitwy palców
[wzlatująca przestrzeń!
Lecz zdjęło mnie z iglicy jak z haka
[Wnętrze — przerażenie.
Wyszydzony i opluty śród poczwar
[rozdziawionych deszczem,
wiem: Co znaczę ja, żywy, o krok od
[filarów!
Te mury z odrąbanych skał — jak łby
[ponade mnie
zmartwychwstają z sarkofagu.
(Notre-Dame) *

Bohater i świat, w którym on przebywa, znajdują się jakby na jednej płaszczyźnie. Wszystko ujmowane jest podobnie — tzn. przedmiotowo. Stąd wielka rola tego, co Jan Prokop nazwał w swym świetnym szkicu o frazeologii Przybosia „topografią podmiotu lirycznego“. Podmiot liryczny w tej poezji to nie tylko człowiek przeżywający, to także uczestnik pewnej obiektywnej sytuacji. Do świata zewnętrznego nie przychodzi on jakby z gotowymi uczuciami — powstają one zawsze w momencie zetknięcia z przedmiotami, są przez nie określane, krystalizują się w orbicie ich działania. Ta obiektywizacja ma kolosalne konsekwencje: bohater Przybosiowski jest jednocześnie wypowiadającym i przedmiotem wypowiedzenia, jest jednocześnie — by sięgnąć po kategorie epiki — narratorem i przedstawianą postacią. Nie opowiada jednak o sobie — prezentuje się w pewnej sytuacji, jakby cały się w niej ujawnia. Swoje „ja” wyraża podobnie obiektywistycznie co otaczające przedmioty, podległe poetyckiemu konstruowaniu. Bezpośredni ich kontakt z owym lirycznym „ja” czyni je jakby pełnoprawnymi jego partnerami.

* Wiersz napisany w roku 1936, przedrukowany w *Narzędziu ze światła* i uzupełniony jakby „koreferatem: *Przed „Notre-Dame“ po latach*, pochodzącym z roku 1956. Zestawienie tych dwu wierszy jest niezwykle interesujące.

W tym — wydaje się — tkwi główny czynnik poetyki Przybosia, decydujący o kompozycyjnej koherentności wierszy.

Podłożem myślowym tego obcowania z przedmiotami jest — można przypuszczać — empiryzm. Wskazują na to tak charakterystyczne dla Przybosia słowa: „widzę", „słyszę" itp. Żaden chyba poeta tak bardzo nie eksponuje właśnie zmysłowego kontaktu z przedstawionymi rzeczami. To, co nie wynika z bezpośredniego doświadczenia, nie wchodzi w zakres tej poezji. Materią jej jest konkret. Zaważyło to na strukturze wierszy, nawet na strukturze gramatycznej. Pisał o tym sam Przyboś w jednym z *Zapisków bez daty:* „Moja liryka (...) bardzo rzadko sięga w koniugacji poza drugą osobę liczby pojedynczej. Zamykam swój świat liryczny między j a i t y. Nawet tam, gdzie mówię on, ona, wy, oni — widzę i czuję jego, ją, was i ich bezpośrednio, tak jakbym miał przed sobą człowieka, któremu mówię i z którym czuję na t y. (...) Dopiero czując każdego człowieka poprzez najbliższe t y, odczuwając każdego tak, jakby był mną, współodczuwając z każdym tak, jakby ów każdy był jeden jedyny na świecie — dopiero wtedy ma się prawo powiedzieć w poezji: wy, oni, masa. Inaczej — wy i oni pozostaną matematycznym, algebraicznym tłumem bez twarzy i serc". Wydaje się, że pod to konkretne „w drugiej osobie" (taki bowiem tytuł nosi zapisek) podciągnąć można w poezji Przybosia wszystko: oprócz ludzi, także przedmiotowe składniki przedstawionego świata.

Empiryzm Przybosiowski nie jest bierny. U autora *Narzędzia ze światła* doświadczanie świata równa się jego przekształcaniu. Percepcja zjawiska to tutaj tyle, co zapanowanie nad nim, „ułożenie" go na nowy sposób. Sandauer pisał o postawie kreacyjnej, Prokop — o kompleksie Atlasa. Przyboś, łącząc w swej poezji normalne doświadczenie z kreacyjnością, prezentuje pewien sposób postępowania: zetknięcie się z przedmiotem staje się pierwszym stopniem jego przebudowy. Jest jakby inżynierem, który najpierw ogląda surowiec, by potem przy pomocy maszyn przekształcić go. Konstrukcja bohatera-empiryka jest początkowym stadium konstruowania postaci — „Człowieka bez granic". Sądzę, że w tym wierszu, który jest chyba summą poetycką Przybosia, ujawnia się funkcja owego empiryzmu. Jest on środkiem ogarnięcia świata, jego fundament to nowoczesna cywilizacja. W *Człowieku bez granic* dokonuje się zadziwiające połączenie: wiary w postęp cywilizacyjny z pewną nutą konradową (na echa Wielkiej Improwizacji we wcześniejszych wierszach poety zwrócił uwagę Prokop). Bohater — tak jak Mickiewiczowski Konrad — dąży do opanowania świata. Nie jednak w irracjonalnym dyskursie z Bogiem. Jego „improwizacja" wynika z przeświadczenia o bezgranicznie twórczej roli cywilizacji. „Człowieka — Boga" zastępuje „człowiek — słońce". U Przybosia, poety świata nowoczesnego, cywilizacja stała się rzeczywistą wartością liryczną — tzn. nie tylko przedmiotem przeżycia lirycznego, ale jego fundamentem. Stała się punktem wyjścia do koncepcji człowieka, „człowieka bez granic" właśnie.

WIERSZE KRYTYKA LITERACKIEGO

Stała się także kryterium. Przeniknęła do tych liryków, w których Przyboś wyraża swój program literacki, w których występuje jako polemista i nauczyciel poezji. Jest to grupa wierszy, zajmująca dość pokaźne miejsce w *Narzędziu ze światła*, choć ich wartość poetycka nie zawsze jest największa. Przyboś jest w tych wierszach krytykiem literackim, proponującym pewien model literatury i zwalczającym inny. Pośrednio więc — tak jak w licznych artykułach i esejach — formułuje zasady własnej poetyki. Są one w dostatecznym stopniu znane, aby nie trzeba było ich wyprowadzać z tych wierszy; utwory liryczne są przecież zawsze gorszymi przekazami poglądów estetycznych niż prace „prawdziwie" krytyczne. Charakterystyczna jest właśnie sama, tak rzadka w poezji, postawa krytyka literackiego *. Jej następstwo stanowi swoi-

* Nieznana chyba od XVIII w., epoki wierszowanych poetyk. Później pojawiały się wiersze-programy (typu *Poezji* Tuwima), jednakże autorzy nie przyjmowali postawy oceniającej, postawy nauczyciela, który uczy młodszych poetów sztuki dobrego pisania, który daje wskazówki.

sta dydaktyka artystyczna. Przyboś pisze z pozycji poety-mistrza. W wierszach o poetach i poezji stosuje kryteria własnej poetyki — nawet wtedy, gdy składa hołd zmarłemu poecie-powstańcowi, ocenia wartość jego wierszy. Przytoczoną jako motto wiersza *Jeszcze o poległym poecie* strofę Krzysztofa Baczyńskiego opatruje następującym komentarzem:

Ja tego wiersza nie chcę — nie zapomnę.
Choć jest zły — jest ogromny.

Już „wystygły" — jak pisał nieporadnie —
[„boje"
i już murarz ociera nie krew dawną
[z czoła,
lecz pot, rosę żyjących, i wznosi spod cegły
nie kość, jak sztandar klęski, ale żywe
[swoje
ciało, a w ciele —
szkielet...*

Niezwykle interesująca jest rola, jaką w tej dydaktyce literackiej odgrywa właśnie motyw nowoczesnej cywilizacji — świadczy ona pośrednio o jego funkcji w całym systemie poetyckim Przybosia. Ujawni się ona nie w obydwu wierszach, poświęconych Baczyńskiemu, ale w tych utworach, w których polemizuje poeta ze swoimi artystycznymi przeciwnikami. Nowoczesność staje się argumentem — w skali wartościowania Przybosia to, co nie odpowiada dzisiejszej cywilizacji, jest aktualnie nieważkie. Jest może paradoksem, że właśnie w polemice z socrealistami, szczególnie lansującymi tzw. „produkcyjną tematykę", autor *Narzędzia ze światła* eksponuje właśnie motyw nowoczesnej fabryki, jako dowód, że twórczość ich nie ma nic wspólnego z dniem dzisiejszym. Nie jest to bynajmniej chwyt polemiczny, polegający na przejęciu argumentów adwersarza i skierowaniu ich przeciwko niemu. W produktach pisarskich socrealizmu istniała sprzeczność między kultem maszyny a sentymentalną formą jego wyrazu (nie mówiąc już o tandetności środków literackich) — maszyna nie była czynnikiem wpływającym na nowoczesną postawę człowieka. Sprzeczność ta była dla Przybosia nie do przyjęcia: fundamentem jego poetyki jest bowiem przeświadczenie o jednolitości przedmiotów i ich poetyckich ujęć. Maszyna czy ogólniej: rozwój cywilizacyjny, to u niego nie tylko postęp techniczny, kształtujący „ludzi bez granic" — stosunek do niego jest elementem postawy, jakby wewnętrznej edukacji człowieka. Sztuka, poezja — to jeden z jej środków. Stąd pasja Przybosia w atakach na tych, którzy przeciwdziałają tej jej roli — tutaj przedstawia się poeta jako satyryk i ironista. Jego inwektywy przypominają sarkastyczne dygresje z *Beniowskiego:*

A skądże was aż tylu Redaktor przynęcił
jak pracowitych mrówek:
1) uczniowie księdza Baki stłoczeni we
[zwrotkach,
2) arkadyjscy rapsodzi w działkowych
[ogródkach.
3) homerzy epopei rycerskich na dudkach,
4) mydlarze wydaleni w cenzury wychodkach,
5) wrzeszcz-wieszcze w orderowe niebo
[(z gwiazdą) wzięci,
na koniec — gromowładni, gromcy i
[zacięci
TYRTEJE! ...pełzający po wielbionych
[schodkach...
(Głos o poezji)

W wierszach o poezji, powstałych przeważnie w przełomowych latach 1953—1955, odbija się walka z ówczesnymi przesądami i zakazami literackimi — jednakże równie co aktualna wymowa jest ważny ich bardziej generalny sens.

PRYMITYW CZYLI GROTESKA

Cywilizacja nowoczesna jako wartość liryczna posiada w poezji Przybosia jakby odwrotną stronę. Tam, gdzie jej nie ma — rodzi się groteska. „Człowieka bez granic" zastępuje właśnie „człowiek ograniczony", przykuty do swych prymitywnych realiów. Znajduje się on niejako poza Przybosiowską koncepcją humanistyczną. Myślę tu o cyklu *O grosz,* zajmującym w twórczości autora *Pióra z ognia* miejsce osamotnione. W jego sens wprowadza już pierwszy wiersz, oparty na charakterystycznym przeciwstawieniu. Jedni:

* Strofa Baczyńskiego brzmi:

Wołam cię, obcy człowieku,
co kości odkopiesz białe:
kiedy wystygną już boje,
szkielet mój w ręku będziesz miał,
sztandar ojczyzny mojej.

wspinają się, by wymiary nad siebie
[wynosić,
toczą glob, gruboposrebrzany luną,
odplątują przestrzenie

Drudzy zaś:

spadają w dół,
wnikają w grunt,
jeden zdrabniają źrenicami w pół, pół
[w ćwierć, ćwierć w...
...boga: punkt.

(1)

W ramach więc właściwej Przybosiowi wizji przestrzennej dokonuje się zróżnicowanie postaw, zarysowuje się konflikt między postawą maksymalistyczną a minimalistyczną, czyli — między postawą człowieka epoki nowoczesnej a postawą człowieka prymitywnych narzędzi. Pierwsza prowadzi do „liryki serio", druga — do jej odwrotności. To samo zjawisko ukazuje się od swej strony negatywnej. Bohaterami wierszy stają się ludzie nieprzystosowani, jakby „pierwotni" — ci sami, którzy u Leśmiana stają się uczestnikami metafizycznych tragedii, u Przybosia są właśnie przez swe nieprzystosowanie, zagubienie — groteskowi. W *Pieśniach kalekujących* groteska w ujmowaniu bohaterów jest środkiem, w *O grosz* — celem. Przyboś przedstawia się tutaj jako satyryk zacofania. Człowiek prymitywny (cywilizacyjnie, nie — psychicznie) nie może uczestniczyć — w myśl jego koncepcji poetyckiej — w świecie nowoczesnym. Jego istotę wyznacza właśnie związek z tym, co jest zabytkiem czasu minionego. W świecie kelnerów, subiektów, muzykantów odkrywa Przyboś dziwność. I w tym niewątpliwie zbliża się do innych poetów dwudziestolecia. Pełni ona jednak całkowicie inną funkcję niż w wierszach Tuwima o fryzjerach czy w balladach Zegadłowicza o beskidzkich rzemieślnikach. Tam wynikała ona z uświadomienia psychologicznej odrębności powsinogów czy warszawskich uliczników, z uświadomienia dystansu, jaki dzieli poetę, człowieka kultury, od tych ludzi, którym jego kategorie myślenia i czucia były najzupełniej obce — efekt artystyczny wynikał z przeniesienia tych właśnie kategorii w świat myśli i uczuć prostodusznych golibrodów czy szklarzy. W konsekwencji więc wyrafinowanie stapiało się w całość z celowo eksponowanym prymitywizmem. Ta strona sprawy jest Przybosiowi całkowicie obca. U niego dystans udziwniający wypływa z dezaprobaty świata prymitywnych narzędzi, w którym żyją bohaterowie cyklu *O grosz* i który ich przytłacza, nie pozwala na „bezgraniczność".

W wierszach tych w zupełnie innej funkcji występuje charakterystyczna dla Przybosia stylistyka i kompozycja. Związana jest ona z liryką określonego typu — cykl *O grosz*, jedyny, w którym w pełni dochodzi do głosu groteska, jest niemal jej przeciwieństwem. Poprzez zastosowanie w nowej sytuacji poeta jakby obnaża, demonstruje swoje chwyty poetyckie. Dynamiczny i hiperbolizujący opis odnosi się do zjawisk codziennych:

zjadacz, uzbrojony w chochlę,
nawet nie wystawiwszy z barszczu uszek,
w sto jam ustnych rozkopanych widelcami
wtaczał bryły miąs,
rozszerzał się,
trząsł,
pęczniał, wypacając porami
brzuszek.

(Jadłospis)

Mechanika opisu jest ta sama, co przy opisywaniu gotyckich katedr czy katastrof górskich. Dynamizacja i skrótowość kłóci się, co zapewnia doskonały efekt groteskowy, z małością odtwarzanych rzeczy. Swoiście Przybosiowska, „deformacyjna" konstrukcja języka — z jego potocznością. Efekty fonetyczne, gry słów i przekształcenia składni, zawsze podporządkowane strukturze całości, tutaj w pewnym stopniu się autonomizują. Ich funkcją jest właśnie jawność, natrętność, podkreślająca groteskowy charakter wierszy:

Mówca wieje rękami nad zgromadzeniem:
— Murarze, towarzysze murarze, że!...
(Murarze)

A on (z drugą źrenicą wyciekło mu słońce):
z jednego oka w y k a p a n y człowiek.
(Mimochodem o jednookim)

Pierwszy — ksiądz kanonik (ze służącą),
potem zatroskany staruszek (z bródką),
potem panna Tekla (bez córki), pan
[brzuchaty (bez obrazy...)
obeszli go dziesięcioma groszami (razem).
(Mimochodem o jednookim)

„Chwyt obnażony" (jeszcze raz użyję tego terminu utworzonego przez rosyjskich formalistów) odkrywa jakby warsztat poetycki Przybosia, wyprowadza go na powierzchnię. Siłą rzeczy jednak, poprzez kontrast, określa jego właściwą istotę w wierszach, które tworzą zrąb główny twórczości Przybosia. Jest on bowiem — tak jak Leśmian — poetą jednego widzenia, jednego typu przeżyć. Wciela je w niezliczone ilości kształtów i wizji poetyckich. W twórczej kondensacji tkwi bogactwo tej liryki.

Michał Głowiński

Z MŁODEJ POEZJI EMIGRACYJNEJ

Marian Pankowski: *Sto mil przed brzegiem.* Warszawa 1958. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 64.

Między młodą poezją polską na emigracji i krajem zacieśniają się więzy. Zaczynają odwiedzać ojczyznę młodzi ludzie, którzy opuścili ją w okresie wojennej zawieruchy jeszcze jako dzieci. Odnawiają mgliste wspomnienia ojczystego krajobrazu, wsłuchują się w żywy polski język. Nasze wydawnictwa zaczynają się interesować ich twórczością. Państwowy Instytut Wydawniczy wydał ostatnio kilka tomików młodych poetów emigracyjnych. Wybieram z nich do omówienia tomik Mariana Pankowskiego dlatego, że jest mi sympatyczny. Nie widziałam na oczy autora, nie wiem, jak wygląda, ale twarz jego wyzierająca z tomiku jest przyjemna, ludzka i budząca zaufanie. Ostatnio Jerzy Kwiatkowski, jeden z nielicznych krytyków interesujących się poezją, dociął mi, że specjalizuję się w przecenianiu poetów średniego lotu. Przyjmuję ten zarzut. W okresie, kiedy wszyscy się nawzajem żrą i pożerają, kiedy inni specjalizują się w biciu leżących, niechże będzie ktoś śmiesznie naiwny, szukający w każdym dziele stron dodatnich, wartości jemu właściwych. Hierarchia wartości w naszej krytyce i tak nie istnieje od dawna. Ścierają się towarzyskie koterie, snobizmy, różne kręgi snobizmów, a gdy do tego dochodzą jeszcze koniunktury polityczne (a dlaczegożby miały nie dochodzić?), powstaje tak pogmatwany obraz istotnych wartości, że właściwie cieszyć się powinni ci twórcy, którym udaje się uplasować poza nawiasem gremialnych przeważnie zainteresowań krytycznych. Są krytycy, którzy uważają, że pisarz przez nich zauważony doznaje nie byle jakiego zaszczytu. Są tacy, którzy spoglądają na naszą współczesną literaturę z perspektywy kosmicznej, doszukując się w niej bezwzględnych jakichś, uniwersalnych wartości. Nie znajdując ich, rozdzierają szaty i wyjeżdżają do Paryża oglądać nowe kabarety. Niechże mnie wolno będzie patrzeć na naszą poezję z mniej górnych pozycji pełznącej mrówki, przenoszącej na swym grzbiecie sosnowe igliwie. Poza tym piszę nie dla przyjemności poetów ani krytyków pokrewnej branży. Staram się pisać dla bardzo nielicznych na pewno czytelników poezji. Staram się pokazywać im, co ciekawego jest w takim lub innym tomie poezji. Informować i zachęcać do czytania. Może dlatego, że jestem bezpośrednio zainteresowana w sprawie odbioru poezji. Ludzie dzisiaj bardzo mało interesują się poezją. Wcale się temu nie dziwię, ale bardzo utrudnia mi to własną pracę poetycką. Czy czasami nielepiej wziąć się do konkretnej pracy? Ale znowu nie tak łatwo wyrzec się poezji, tej tak gorzkiej i tak słodkiej potrawy. I dlatego chciałoby się, aby ludzie czytali wiersze. Obawiam się, że bardzo inteligentne i nawet potrzebne recenzje złośliwe i zgryźliwe nie pomogą poetom w zdobyciu czytelników i dlatego nie rezygnując z miłości prawdy piszę bez jadu, i o tych tylko książkach, w których, jak to się między nami mówi — coś jest, coś drga.

Czytelnicy wybaczą mi może ten

przydługi wtręt, tym usprawiedliwiony, że mówiąc o literaturze, a zwłaszcza o najwrażliwszym jej rodzaju, jakim jest poezja, wolno powiedzieć także coś o życiu, o sprawach ogólniejszych, stanowiących dla zjawiska literackiego tło. Poza tym polemika dotyczy moich recenzji drukowanych przeważnie w *Twórczości*.

Książka poetycka Pankowskiego wydana w Polsce padła na nasze tło, wtargnęła jakoś w sytuację naszej młodej poezji, bardzo w tej chwili ożywionej i przedsiębiorczej. Przy całym swym ożywieniu młoda poezja nasza stała się jednak niesłychanie monotonna. Nawet oczytany i oblatany w poezji czytelnik nie potrafi już rozróżnić poszczególnych twarzy poetyckich. Jakby wszyscy młodzi poeci włożyli jedną maskę, jeden uniform szarego koloru. Chociaż wiele dobrych wierszy wychodzi spod młodych piór, wszystkie są tak podobne, jakby pisał je jeden zbiorowy autor. Poeci mogliby pozamieniać się twarzami, nikt by tego pewno nie zauważył. Wszyscy piszą bez rymu i rytmu, moda na awangardę obnażyła wiersze ze wszelkich już rygorów. I chociaż zwycięstwo awangardy cieszy mnie jako reakcja na ornamentacyjny i wielkosłowny styl post-romantyczny, niepokoi także odcięcie się od tradycji polskiej poezji, brak oczytania w poezji polskiej minionych wieków, pogarda dla klasyczności, zwłaszcza łacińskiej, która tak głęboko zrosła się z poezją polską.

Podczas gdy młodzi poeci polscy dążą do jak największej uniwersalności stylu, zacierają realia ojczyste, chcą być na gwałt ogólnoludzcy i europejscy, młody poeta na emigracji, odcięty od ojczyzny, powraca do źródeł polskości tryskających ze złotego wieku literatury polskiej, lubuje się w rodzimych pejzażach i smakach języka polskiego.

Już w pierwszych wierszach składa hołd Kochanowskiemu i poprzez Kochanowskiego Horacjuszowi, a także ukrytym w zwrotach codziennych pacierzy starszym jeszcze mistrzom poezji średniowiecznej. I wraz z przywołaniem tego kręgu tradycji, wraz z przyjęciem terminowania u tych mistrzów (jakże był dumny Gałczyński z terminu u mistrza Kochanowskiego!) wypłynął cały krąg realiów, urok świata, miłość do natury i jakaś radość życia wcale nie równoznaczna z bęcwalstwem i ograniczeniem.

Dzbanie mój, zielono pisany,
wesele przelewaj.
Zdrowyś jak strumień górski,
kąpiący jastrzębie.
Dzbanie mój, słońcem polewany,
śpiewaj.

Z ciebie wiersze dobywam siedmią zórz
[błyszczące,
z twych rozbryzgów rodzę miłosne łabędzie.
Zgarnąłem noc nad głowę
i śpiewam, zanurzony
w ogromniejącym firmamencie.

Pochody gór ku morzu
i pienisty San;

ich szumem szumi
mój zielono pisany dzban.

Pankowski nie jest epigonem, jest jak najbardziej w swojej poezji autentyczny i bynajmniej nie zaślepiony na grozę współczesnego świata. Ale przy tym jest poetą zielonego dzbana, wieczoru nad Sanem, poetą bliskim ptakom, zwierzętom, roślinom, poetą wrażliwym na urok życia i nieobojętnym dla natury, którą to obojętność głosi w sztuce abstrakcjonizm.

A przede wszystkim — poetą szczególnie wrażliwym na smak słowa. Język Pankowskiego jest nie tylko świetnym językiem polskim, ale też zadziwiająco świeżym jak na poetę oddalonego od żywego nurtu językowego. Mało który z naszych poetów, choć jest takich kilku, interesuje się w tym stopniu językiem od strony słownictwa.

Pankowski zna język polski lepiej niż przeciętny młody poeta w kraju. Mało tego, kocha się w języku polskim. Przypomina przeróżne stare, ciekawe i piękne słowa. wymyśla też nowe i to wcale zręcznie. Słownik Pankowskiego jest soczysty i bogaty, zna on nazwy roślin, ptaków, zwierząt, które nie są dla niego ogólnikami bez imienia. Nie boi się słów ostrych i drapieżnych, gwałtownych. Nie stroni od wyrażeń gwarowych, które zawsze brzmią u niego świeżo, nie w sposób sztucznie stylizatorski. Pracuje w języku dodając do słów nieoczekiwane,

nie używane w tych złożeniach przedrostki. Np. „wymilknąć", „rozmiażdżyć", „dogórny". Postępując z umiarem krasi wiersze takimi nowymi lub odmłodzonymi słowami, jak: „piórno", „mrugliwy", „łyskawisko", zasuty", „zadurkać", „miodzisty" itd.

Wiersz Pankowskiego nie stroni od melodyjności, jest ciekawy i zróżnicowany pod względem intonacji, ma ładne apostrofy. Nie będąc kokieteryjnym, nie wyrzeka się wdzięku, nie rezygnuje z ładności i poetyczności. Być może, w naszym surowym świecie mogą sobie na to wszystko pozwolić tylko poeci odrobinę naiwni, ale bez szczypty naiwności niemożliwa jest w ogóle poezja.

Nie chciałabym, aby czytelnik mojej recenzji wyobraził sobie Pankowskiego jako aintelektualnego „bożego", żywiołowego poetę. Ładunek refleksji w jego poezji jest niemały i nielekki. Zarówno erotyki jak i wiersze operujące obrazami natury mają głęboki podtekst zamyślenia filozoficznego. A wiedza poety kochającego świat i życie w jego przejawach pełnych wdzięku i uroku jest gorzką wiedzą człowieka współczesnego, pełnego sceptycyzmu i pewnego jednej tylko rzeczy — swojej śmierci.

Dokąd steruję, budząc się z życia
i dzięciołowe niosąc we krwi tętno?
Wzrok mój śmiertelnie zapatrzył się
[w gwiazdy
i wieczność ujrzał przez roc odemkniętą.

Mrowie strzeliste świdruje powietrze.
Ćmią się planety i syczą w mijaniu,
coraz ostatniej kwitną góry, oblane przez
[ziemię.
Jawy bolesne płyną piórami wzdłuż ramion
nielotnych — i krzeprą na kamień.

Idę w stronę snu jedwabnego,
z grudą gliny pod głową,
jak człowiekowi przystoi.
Światy się toczą firmamentami,
ku Twoim leżom, ku moim.

Zasada jedności polskiej literatury, w kraju i na emigracji, powoli dochodzi do głosu. Pankowski wnosi do tej naszej wspólnej literatury ton własny, przypomina jakiś trakt porzucony a malowniczy. Czy jest poetą średniego czy wysokiego lotu — nie wiem. Nie mam narzędzi do mierzenia lotu. A jednak chciałabym, abyśmy mieli więcej takich średnich poetów, jak Marian Pankowski. Na Mickiewiczów nadal musimy czekać.

Anna Kamieńska

KSIĘGA TĘSKNOTY

Kazimiera Iłłakowiczówna: *Niewczesne wynurzenia.* Warszawa 1958. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 242.

Ach, dokądże mam pójść
z moją tęsknotą.

(Ikarowe loty, 1912 r.)

Któż by to wówczas przeczuł?
Zachód za lasem bladł.
W majowy, przeczysty wieczór
wyszłyśmy w sad.
. . . . . .
Ręka twoja na moim ramieniu
jakby wczoraj, jakby tak samo...
...Włosy twoje siwe — dawno w ziemi...
...mamo ...mamo.

Jest taki wiersz Iłłakowiczówny w jednym z najpiękniejszych zbiorków jej poezji *Popiół i perły* (1930 r.), pulsującym echami szczęśliwego dzieciństwa. A teraz otwórzmy jej ostatnią książkę, książkę prozą, i czytajmy:

„Było tam dużo jezior, więcej, niż można sobie na raz wyobrazić".

I płynie jak powolna fala opowieść o kraju lat dziecinnych nad Dźwiną. Zaczyna się akordem minorowym:

„Jezioro dubińskie, jezioro dubinieckie... Drabiak, cały ubrany w kwiaty i zaprzężony w siwe konie, dygoce o deski w takt grzebiących niecierpliwie kopyt. Stary chłop, zgrzebny i kosmaty jak Charon, przeprawia JĄ na tamten brzeg... Oto odpływa na pro-

mie unoszącym JĄ ku cmentarzowi. Jak można było zapomnieć..."

Brzmi to jak komentarz autorski i do tego wiersza, i do wielu innych, do *Ojczyzny* i do *Grobu w Dubinkach*, i do *Lamentu*, i do *Czystej wody*.

Ale podczas gdy tamte poezje powstały przeważnie w Warszawie, w wolnej Polsce, nad tym fragmentem prozy widnieje data: „Kluż-Kolozsvar, 13 listopada 1940". Wojna, klęska, tułaczka, obczyzna... I ta sama, co wówczas, tylko pomnożona przez czas, przestrzeń — tęsknota. I tak będzie do końca, aż do rozdziału *Dlaczego nie lubię książek*, w którym autorka nawraca do lat młodzieńczych i budzącej się tęsknoty za przygodą, kiedy to, jak pisze, „była połknięta przez świat książek".

Cóż z tego, że zmieniają się miejsca pobytu, otoczenie, okoliczności? Ta sama nostalgia trawi duszę poetki, jest źródłem natchnienia. Zrazu jest to żal po ludziach, prawych i dobrych, którzy darzą opieką i czułością osierocone, spragnione ciepła dziecko, zaczynając od przybranej matki, Zofii, kończąc na domownikach, owych bonach, „bałtkach" z Rygi i nieco groteskowej gromadzie służby.

Długą listę żydowskich „przyjaciół" poetki otwiera rzeźnik Rufke i Soreczka z kramu w Krasławiu, przyjaciół nie tych od parady, od święta, ale od ciężkiego nieraz dnia powszedniego. Więc panna Muszkatówna, sącząca w duszę podlotka „jad radykalizmu", i zaradna starsza studentka z Oxfordu, Gertruda Saunders, oraz cała jej rodzina, i świąteczne obiady, do których panowie zasiadali do stołu w cylindrach na głowie, i wreszcie ten zacny doktor, który uratował ją w 1915 roku, wówczas siostrę miłosierdzia polskiej czołówki w Mińsku, umierającą na dyzenterię w baraku dla cholerycznych. A wreszcie nieskończona seria Żydów siedmiogrodzkich, pochłoniętych przez hitlerowskie fabryki śmierci.

I tak mimochodem poznajemy „po ludziach" koleje życia poetki.

Epizod z pierwszej wojny to znów komentarz autorski do strofy z *Trzech strun:* „Umiera na ręku moim już tylu, tylu ludzi...". Jakże cenne wspomnienie dla tych wszystkich Polek, które w latach pierwszej wojny światowej pracowały w szpitalach przyfrontowych Mińska, Słucka, Bobrujska...

Zmienia się sceneria... Od razu skok w lata 1939—40 i dalsze. Czarne jak noc lata wygnańcze rozjaśniają barwne sylwetki kobiet cudzoziemek, które okazały współczucie i pomoc polskiej tułaczce. I tu ujawnia się niezwykły, jak na poetkę liryczną, dar epickiego malowania wizerunków ludzkich. Ich wyrazistości sprzyja może fakt, że ma ona do czynienia z materiałem dla nas, Polaków, dość egzotycznym. Ale tym jaskrawiej i wyraziściej uwypukla się strona obyczajowa Siedmiogrodu, tego przedziwnego zlepku etnograficznego, w którym na szereg lat ugrzęzła wyobraźnia poetki. Ugrzęzła, ale nic nie straciła na dynamice. Świadczą o tym takie wizerunki, jak owej osiemdziesięcioletniej baronowej Samuelowej Jożyka, zwanej przez bliskich Ire neni, której mąż był ministrem węgierskim, a ona sama żyła atmosferą dworu cesarzowej Elżbiety. A obok niej, jakby dla kontrastu, sędziwa Majka Lucia, „o torsie atlety i krótkich nogach, ni to wiejska baba, ni to wielka dama, o niskim czole i podbródku Nerona", uosobienie czynnej miłości bliźniego. I Maria, kucharka, „szef chłopskiej dynastii Lapuszanów, panującej od szeregu lat nad rodziną, którą obsługiwali".

Zdumiewająca jest lapidarność i dosadność, z jaką poetka w jednym zdaniu zamyka ten obcy już dla nas świat obyczajowości feudalnej.

Przyczynkiem do charakterystyki samej poetki jest jej stosunek do zwierząt, wyniesiony jeszcze z domu przybranej matki, gdzie koty i psy żyły w przykładnej zgodzie i cieszyły się przywilejami ulubionych domowników. Nic dziwnego, że dożywały lat „matuzalowych".

Ta miłość do zwierząt zostaje poddana ciężkiej próbie na obczyźnie, gdzie w nieopatrzonych budach wiązano psy przy trzydziestostopniowym mrozie.

A oto zdanie, które samo jedno wystarczy za patent przyjaciółki zwierząt: „Mam znajomego, który jest kanarkiem i wisi w klatce u szewca". I jeszcze jedno, które brzmi jak stłumiony jęk nieuleczalnej nostalgii: „Nikt prócz mnie nie chodzi w Klużu na słowiki. Mogę ich słuchać zupeł-

nie spokojnie. Są inne. Nic nie przypominają". Ale czytelnik tej „prozy" przypomina sobie, że ma do czynienia z poetką...

I tylko poetka po ośmiu latach pobytu w tym kraju, w którym żyła jedynie „różnymi etapami męki", umiała pożegnać go takim pełnym harmonii i wewnętrznego uciszenia utworem, jak *Siedmiogrodzkie kwiaty*. Niegdyś Orzeszkowa była namiętną zbieraczką i miłośniczką leśnych i polnych kwiatów. Iłłakowiczówna jest godną kontynuatorką jej umiłowań. A za brata duchowego ma w tej dziedzinie innego mistrza prozy: Paustowskiego. I nie tylko w państwie ziół.

Wystarczy przeczytać w dalszym ciągu *Niewczesnych wynurzeń* takie szkice, jak *Parę nieodpowiedzialnych słów o przypadkowych tłomaczeniach, Wrażenia i wiersze: Andrzej Ady, Coś niecoś o pisaniu wierszy, Pozgonne Tuwimowi. Dlaczego nie lubię książek, O „Poemacie dla dorosłych" Adama Ważyka*. Klimat tych szkiców, pisanych w latach pięćdziesiątych, już po powrocie do kraju, jest taki sam, jak w *Złotej róży*. Nie podsuwam tu żadnych myśli o filiacjach. Stwierdzam po prostu duchowe pokrewieństwo dwojga twórców.

Jako wyznanie osobiste cenna jest definicja genezy poezji: „Wiersz rodzi się z poczucia samotności i jako ucieczka od ciżby, z siły i bezsiły, z szoku radosnego i bolesnego, ale najpewniej — z nudy, z pustki".

I jeszcze jedno — ostrzeżenie dla komentatorów: „...o ile poeta działał niekiedy jak w opętaniu świętym, o tyle komentator był trzeźwy i cwany, kuty na cztery nóżki i nieśmiertelny jak sama poezja...".

Garść przypadkowo zebranych szkiców jest związana w jedną całość osobowością autorki. To nie tylko „niewczesne wynurzenia", to pamiętnik wewnętrznych przeżyć, prawdziwych i głębokich, pulsujący krwią jak żywe ciało, zawsze zgodny z rytmem serca, które nadaje mu ten wewnętrzny rytm prozy.

To jest książka, do której się wraca, nie tylko dla jej treści, ale dla stylu, dla urzekającego czaru słowa.

Stefania Podhorska-Okołów

POWIEŚĆ LITERACKA TADEUSZA BREZY

T a d e u s z B r e z a: *Adam Grywałd*, Warszawa 1958. „Czytelnik"; str. 342.

I

Książka ta, będąca jednym z najefektowniejszych debiutów dwudziestolecia, wyrasta z określonej atmosfery intelektualnej i określonych doświadczeń literackich. Z uświadomienia sobie przez literaturę własnej swej niedoskonałości. Ściślej mówiąc, było to smutne doświadczenie prozy jako gatunku. Okazało się, że tak mozolnie doskonalona od czasu narodzin powieści nowożytnej jej forma, jest jedynie zbiorem warsztatowych chwytów, konwencji, figur stylistycznych, mniej lub więcej udanych, ale już przestarzałych. Dopiero ta świadomość wyznaczała drogi awangardzie powieściowej naszego wieku. Najśmielszym jej czynem było obnażenie mechanizmu powieści, procesu narodzin bohatera i narodzin fikcji literackiej; słowem zdrada tradycyjnej powieści, jej najgłębszych tajemnic. Degradacja mitu o autorze, o jego wszechwładnej potędze, była już tylko prostą konsekwencją wspomnianej zdrady.

Pierwszą ciekawą rzeczą w *Adamie Grywałdzie* jest próba znalezienia sobie właściwego miejsca przez autora. Waha się Breza cały czas, czy być narratorem, kronikarzem, czy jedną z osób towarzystwa, plotkującą jak inne i beztrosko słuchającą plotek. Czy być zapobiegliwym autorem, czy beztroskim bohaterem. Ale zdaje sobie sprawę, że na gruncie wspomnianych wyżej demaskacji ta pierwsza rola jest bardzo niewdzięczna. Jednocześnie nie chce się zbyt daleko angażować w

świat swoich bohaterów, wplątać w akcję własnej powieści, zagubić dystans. Będzie w końcu narratorem, ale w pierwszej osobie, będzie też i bohaterem, ale anonimowym. Jeden z rozdziałów swojej książki otwiera Breza słowami: „Znów straciłem ich z oczu. Nie spotykaliśmy się i nie szukali. Nie byłem dla nich czymś niezbędnym. Kimś, jak oni wzajem dla siebie, koniecznym. Mogli doskonale widywać się i rozumieć poza mną, beze mnie. Na co im byłem potrzebny? Tak więc spotkania nasze organizował w tych czasach przypadek, a nie czyjekolwiek pragnienie". To jest przyznanie się do klęski. Oto do jakich proporcji został sprowadzony ten wszechwładny w XIX-stym wieku autor.

I od momentu, w którym poczuło się już smak owej klęski, czuje się już tylko smak l i t e r a c k o ś c i swego zawodu. Wiadomo, że nie jest się już moralizatorem, prorokiem, ideologiem i szamanem, lecz przede wszystkim literatem. I że się ma do rozstrzygnięcia głównie problemy zawodowe. Podstawowy problem własnego warsztatu, problem literatury w stanie czystym. Jej chwytów, konwencji, form, mechanizmów.

Świadom więc jej wszystkich niedoskonałości błąka się Breza-autor po swojej powieści, błąka się pokornie, nie mogąc znaleźć w niej określonego miejsca. Pełen wyrzutów wobec własnych bohaterów, dających sobie świetnie radę bez niego. Mogłoby się wydawać, że pod koniec powieści autor przestaje być pokorny, a staje się perfidny, kiedy pisze o swoich bohaterach: „...Niech idą dalej tą ślepą ścieżką. Ja na nich nie spojrzę. I po cóż mi czekać, myśleć dalej o obcych ludziach i niepokoić się o nich. Byłem tu jak człowiek niewidzialny. Pomiędzy nimi, lecz nie tyczący ich. Powiązany z nimi tylko ciekawością. I teraz nagle, znudzony i rozżalony, nie wiem już: na nich, na siebie czy ciekawość". Mogłoby się wydawać, że w tych słowach odzywa się dawna duma artysty-władcy, wszechwiedzącego autora, mogącego z góry przewidzieć, iż drogi jego bohaterów są fałszywe. Tak nie jest. Rozdrażnienie i zniecierpliwienie, które wyczuwa się w tych słowach, ma inne źródło. I należy słowa te cytować (co jeszcze uczynię) w pełnym kontekście. Ale tu już się kończy pierwszy temat tej książki: temat-literatura, i zaczyna drugi: temat-życie.

II

Nie, pierwszy temat jeszcze się nie kończy. Literatura będąca jednym z bohaterów *Adama Grywałda*, literatura od strony warsztatu, zostaje wsparta subtelną kulturą literacką, wielką kulturą erudycyjną. A kultura literacka i erudycyjna to świadomość stylów i ... stylizacji. Stylizacji psychoanalitycznej, gdy trzeba, lub opisowej, fantastycznej albo groteskowej czy poetyckiej. I stąd w powieści ów niepokojący, stary burżuj Mosse, z własnym, niedostępnym i tajemniczym planetarium, *Traktatem o wszechświecie*, niechęcią do wszystkich ludzi i wyłączną miłością do córki. Stąd pani Mossowa, wiecznie zaczytana w romansach, a w przerwach między nimi odbywająca długie, zdrowotne spacery po siedmiu pustych, nieumeblowanych pokojach swego olbrzymiego mieszkania. Stąd p. Hozjusz cierpiący na patologiczny lęk przestrzeni, lęk nie tylko przed wysokością, ale przed wszelką odległością, przed wielką przestrzenią Warszawy, nie mówiąc już o wielkiej przestrzeni zagranicznego wojażu. I kiedy całkiem nie z własnej woli w podróż tę się wybierze, aby na drugiej półkuli wygłosić odczyt o *Pulardyzacji kaczek*, zginie tragikomicznie, wpadając do basenu portowego. Stąd wreszcie groteskowy stary Hinczka, ze swą nie mniej groteskową pracownią nomenklatur.

Ale ta urocza stylizacja nie tylko stwarza klimat owej „literackości". Widać w niej całą świadomość Brezy, już nie tylko literacką, ale historyczno-literacką i historyczno-obyczajową. Świadomość bardzo prostej w gruncie rzeczy dialektyki postawy antykołtuńskiej i antymieszczańskiej — polskiej i nie tylko polskiej literatury XIX-stowiecznej. Oczywiście od modernizmu począwszy. Świadomość całego jej sztafażu satyrycznego. Owego burżuja, który obmyśla jedynie wielkie transakcje i smaczne *menu* obiadowe, jest sybarytą i snobem estetycznym o płaskim guście. Burżuja odbywającego pyszne, rozrzutne zagraniczne wojaże. Czy Żyda zachłannie liczącego pieniądze i sprzedającego swój

honor w pierwszej lepszej handlowej transakcji.

Breza uprawia więc satyrę perfidną, satyrę *à rebours*. Jeden jego burżuj jest ascetyczny, zdziwaczały i bezinteresowny w swej astronomicznej, amatorskiej pasji, drugi równie zdziwaczały, czujący się jedynie bezpiecznie w czterech ścianach swego gabinetu; wreszcie Żyd-kupiec posiada nadwrażliwość ambicjonalną, silne poczucie godności własnej i honoru, wręcz artystyczne zacięcie w swoim zawodzie i jest właścicielem elitarnej pracowni nomeklatur, szacownej i obrośniętej w chlubną tradycję. Ironia jest tu podwójna: wobec danego typu obyczajowego i wobec pewnej tradycji literackiej. Satyra perfidna i cienka jest zupełnie bezinteresowna, jest tylko zabawą literacką. Orzekliśmy już przecież, że ten typ doświadczeń literackich, które spożytkowuje Breza, nie pozwala pisarzowi być moralistą. Każe mu być w pierwszym rzędzie l i t e r a t e m.

Nie kończy się więc rozdział o literackości pierwszej powieści Brezy. Tym bardziej że pada na nią wielki cień Prousta.

Jakże proustowskie są w swym założeniu notatki literackie Adama Grywałda. Wielostronicowe notatki na takie tematy, jak: „list" albo „smak". Ile w tym pomyśle proustowskiej drobiazgowości, kultu, miłości i poetyckiej ciekawości rzeczy małych, faktów niepozornych. Albo motyw młodego chłopca krawieckiego — homoseksualisty. Jest jakby żywcem wyjęty z *Sodomy i Gomory*, z pierwszej wielkiej sceny rozpusty barona Charlus z krawcem Jupien. Zdumiewające, z jakim taktem i konsekwencją jednocześnie Breza uwidacznia na każdym kroku wszystkie szwy warsztatowe swojej powieści, jej literackość. A jednocześnie z jakim wdziękiem i znowu z przekorą składa ukłon wobec ciągle jeszcze obowiązującej mody w świecie literackim na proustyzm. Ale jest to już ukłon konwencjonalny i, jak powiedziałem, przekorny. Wychodząc w drugim głównym temacie swojej książki, temacie-życiu, z dzieła Prousta, Breza nic nie przyjmie z jego stylistyki, tak jak nie przyjmie z niej nic Grywałd w tak proustowsko zapowiadających się refleksjach o listach i smaku.

Breza odrzuci modną stylistykę, ale i jednocześnie proustowski stosunek do rzeczywistości, proustowskie rozumienie psychiki ludzkiej, proustowską filozofię artystyczną. W czasie kiedy pisze Breza swoją pierwszą powieść, coraz modniejszy w kręgach elity intelektualnej staje się wiedeński neopozytywizm filozoficzny. Do tej elity należy autor *Adama Grywałda*. Stąd antyproustowski charakter tej książki i wiele innych dalszych konsekwencji.

III

Kiedy Gide odbywał swoją drugą zdrowotną podróż do Algeru, spotkał się tu z Oskarem Wilde'em, którego poznał wcześniej w Paryżu. Wilde jest teraz ze swym kochankiem, lordem Douglasem. I jest taki, jak zwykle. Wytworny, czarujący, paradoksalny i demoralizujący. Młody Gide usiłuje się jeszcze przed nim bronić, ale wdzięk i urok Anglika zniewalają go. Włóczą się we trójkę po podejrzanych knajpach i kawiarenkach w Blidach i Biskrze. W tej rozpuście Gide jest jak dotąd jedynie biernym kibicem. I oto pewnego dnia grzeszy po raz pierwszy. Jako niedawny zajadły czytelnik Biblii zna wagę grzechu pierworodnego. Dlatego ten moment opisał tak dokładnie w swej autobiografii *Si le grain ne meurt*. Przepiszmy stamtąd ową scenę. Warto. Wilde z Gide'em spotykają pięknego chłopca-flecistę. Nagle Anglik rzuca pytanie: „*Dear*, czy chcesz tego małego grajka?". I oto reakcja Gide'a: „Oh! jakże ta uliczka była ciemna! Czułem, że serce mi omdlewa i ile wysiłku odwagi trzeba było, aby odpowiedzieć: »tak«, i to jak zdławionym głosem". I potem jeszcze przeciągły, dźwięczny, hałaśliwy śmiech Wilde'a w tych ciemnościach, w tej wąskiej uliczce. Literacko scena ta jest bez zarzutu. Więcej, jest wspaniała. Nie dziwimy się zmieszaniu Gide'a. Wczoraj jeszcze miał być pastorem i usta, które wypowiadają owo grzeszne „tak!", powtarzały jedynie dotąd wersety Biblii. To był ów moment przekraczania progu, poza którym roztaczała się wolność instynktu i obyczaju. Książka *Jeżeli ziarno nie zamrze* jest w lekturze chwilami dramatyczna, w całości pasjonująca. Bez względu na to, ile jest w niej świadomej kokieterii autora. Potrafił w niej Gide swą najbardziej osobistą

prawdę uczynić kwestią społeczną. Potrafił dla obronienia swej własnej indywidualności wytoczyć proces całemu społeczeństwu. W książce tej wziął całą problematykę homoseksualizmu na swoje barki, przyznawał się do wszystkiego, aż go wzięto na serio, a problematykę uprawomocniono. Gide swoją literaturą (obok *Jeżeli ziarno nie zamrze*, jeszcze *Corydon*, *Fałszerze*) i swoją osobą stwarza klimat, modę artystyczną, stawia literaturze nowy temat.

Temat ten stawia jeszcze wcześniej Proust, już tylko swą literaturą. Ale jaką literaturą! Cały IV tom *W poszukiwaniu straconego czasu* był wielkim poetyckim, socjologicznym i obyczajowym traktatem o homoseksualizmie. Ukazującym tę drażliwą obyczajową problematykę w nowoczesnej, bardzo humanistycznej, antypurytańskiej perspektywie. Przy całej jednak dociekliwości i precyzji analitycznej Prousta pozostanie dla niego ten perwersyjny erotyzm jeszcze jedną tajemniczą zagadką ludzkiego bytu.

Ale gdy u Prousta, a tym bardziej u Gide'a, ten niebanalny temat jest wzięty prosto z życia, u Brezy wynika już z przygotowanej mody, atmosfery literackiej. A więc i ten drugi temat jego książki, temat-życie, musi przejść filtr literatury. Breza chce do końca pisać powieść literacką.

Powieść literacka, kiedy mówi o literaturze, a więc o sobie samej, albo kiedy udaje życie, jest zawsze zdyscyplinowana, ulega ustalonym kanonom formalnym. Inaczej nie różniłaby się niczym od eseju, który też dyskutuje np. o literaturze, często nawet dla ożywienia dyskursu mistyfikuje życie, a jednocześnie może być improwizacją, może być nieporządny i rozwichrzony, ma bowiem naturę dowolną, jest przecież próbą. Ale w *Adamie Grywałdzie* dyscyplina autorska jest podwójna. Obok literackiej — filozoficzna. Wspomniany temat-życie zostaje zaatakowany z pozycji neopozytywistycznych.

Cóż wobec tego pozostaje autorowi? Konsekwentna empiria, nieufność wobec introspekcji, sama obserwacja i same opisy, jak głoszą hasła Wiedeńskiego Koła. Tym bardziej pilna obserwacja i opis, jeżeli chodzi o fakt psychologiczny skomplikowany.

Przez całą powieść głównym przedmiotem zainteresowań Brezy był Grywałd i jego dwie miłości: do Izy Mossowej, później do jej brata Edmunda. Breza chciał wszystkie tajemne, pogmatwane i nieprzewidziane siły ludzkiej psychiki okiełznać; wydobyć na jaw wszystkie jej paradoksy i co najwyżej skatalogować je. I rzeczywiście zdumiewające jest, jak klarownie, prosto wyłożona jest historia miłości Grywałda do Izy i narodzin przyjaźni do jej brata. Jak autor wymija swobodnie wszystkie niebezpieczne mielizny, pułapki ludzkiej natury, starając się jednocześnie zachować psychiczną prawdę. Ale nagle okazuje się, że prawda ta jest znacznie bardziej skomplikowana, właśnie niepojęta, tajemnicza, nie do zracjonalizowania. I stąd owo rozdrażnienie, zniecierpliwienie Brezy pod koniec powieści. Autor, podenerwowany, obrażony na bohaterów, porzuca ich bezlitośnie w chwili, kiedy wstępują na fałszywe ścieżki swego życia. Ale obiecałem zacytować pełniejszy kontekst: „Fascynowała mnie ich miłość. Wydawała mi się jakoś bardziej niż inne silna i mądra. Zbierałem wiadomości, tak jakbym chciał o niej napisać historyczne studium. Pytałem się o to uczucie, szukałem o nim plotek, a dziś mogłem porzucić cały ten zamiar i cały ten ciężar. Miłość w sercu Grywałda weszła na dziwne manowce. Poszła na przepadłe drogi, pokrętne". I dopiero teraz następuje owo zdanie: „Winienem już był wrócić do Warszawy". Autorowi nie pozostało już nic innego do zrobienia. Mniejsza z tym, czy miłość ta poszła, czy nie poszła na „przepadłe drogi". Po prostu dopiero teraz stała się miłością, stała się pełna i odzyskała swą istotę, aby istotę tę odkryć, odgadnąć i opisać, nie wolno pytać o to uczucie i szukać o nim plotek. Należy w nie wnikać z całą proustowską pasją analityka albo przeżyć ją samemu, a potem introspekcyjnie wydobyć, urzeczywistnić w literackim kształcie. Ale w żadnym wypadku nie można tutaj zastosować techniki behaviourystycznej, nie można wywnioskowywać o psychice ludzkiej z wykonywanych gestów i wypowiadanych słów. Lepiej od razu wyjechać do Warszawy albo wcale nie zabierać się do pisania historycznego studium o miłości. Rzadko się ono w ogóle udaje. Dopiero doskonałym, skończo-

nym studium o miłości jest uczucie Swanna czy barona de Charlus.

Dogmat filozoficzny zapanował u Brezy nad instynktem literackim. Proust miał być nie tylko właścicielem wypożyczonego, epizodycznego bohatera, daleką reminiscencją literacką. Miał być w pierwszym rzędzie nauczycielem metody.

Zacytujemy jeszcze raz ten sam, właściwie autoironiczny akapit. Breza mówi o swoich bohaterach: „Są moimi przyjaciółmi. Lubię ich. Przyszedłem do ich życia, jakbym przyszedł na wystawę przyjaciela. Patrzę, popatruję, widzę kolory i barwy, i światłocienie. Wysiłki, namysły, trudy, wahania. Snuję się między nimi. Stoję na wprost tych płaskich płócien". Zdumiewający, nagły brak dyscypliny filozoficznej, ryzykowne wykroczenie poza dogmat. „Widzę... barwy." To tylko początkowo Koło Wiedeńskie sądy, twierdzenia sprawozdawcze rozumiało za Machem subiektywnie, psychologicznie, jak zdanie typu „widzę barwę" np. zieloną. Bardzo prędko przeszło na stanowisko przeciwne. Zdanie sprawozdawcze — to teraz zdanie obiektywne: „To jest barwa zielona", podlegające intersubiektywnemu sprawdzeniu. Ale wybaczmy tę niekonsekwencję młodemu wówczas uczniowi filozofów wiedeńskich. Jest w końcu literatem, a nie filozofem, a nie logistą matematycznym. Bo chyba tylko snobizmem na tę ostatnią pozę intelektualną można wytłumaczyć sąd Brezy, że człowiek jest płaskorzeźbą, ma płaskość malarskiego płótna. Nagle nie dostrzegł fizycznej trójwymiarowości człowieka i nieobliczalnej wielowymiarowości jego duszy, psychiki. Nie pojmuje, a właściwie ignoruje jako „bezsensowną", jak na rasowego pozytywistę przystało, metafizyczną perspektywę losu ludzkiego. I wierzy naiwnie, że podglądając skonwencjonalizowane gesty i podsłuchując jakże często wymuszone formą, sytuacją słowa zdobywa ostateczną prawdę o człowieku.

I uwikłany w te wszystkie „racjonalistyczne" mity, gubi świetny temat, traci go bezpowrotnie, nie potrafi nim zafascynować. Brak mu proustowskiej wiary i niepokoju wobec tajemniczej zagadki natury i romantyki obyczajowej homoseksualizmu. „Dla tych ludzi najnieprawdopodobniejsze romanse stają się prawdą, bo w tym romantycznym, anachronicznym życiu ambasador jest przyjacielem zbrodniarza, książę — z ową swobodą manier, którą daje arystokratyczne wychowanie, a której nie miałby drobnomieszczanin — wychodząc od księżnej, idzie na schadzkę z apaszem." Jest w tym długim zdaniu rzucona swobodną ręką gotowa anegdota do niejednego romansu psychologicznego, jakże niebanalnego. A jednocześnie jest pokora i podziw dla zagadki dziwnej, tajemniczej.

Tyle jest w jednym proustowskim zdaniu.

W całej powieści Brezy, w całej jego powieści o homoerotyzmie, jest tylko nieprawdziwa teza naukowo-psychologiczna Adlera, iż homoseksualizm jest jedynie rekompensatą zawiedzionych i nieszczęśliwych miłości do kobiety, jest wynikiem okoliczności życiowych, a nie wrodzoną dyspozycją psycho-fizjologiczną.

Kiedy czytam *Adama Grywałda*, wydaje mi się, że końcowe rozdrażnienie, poczucie klęski autora, jest rzeczywistym intelektualnym dramatem. Wcześniej jeszcze wierzył ufnie w doskonałość swej metody, w swą sprawność analityczną (pojmowaną w sposób neopozytywistyczny) i opisową. Świadom wielkich trudności w opisaniu uczucia przyjaźni, tej całej sieci drobnych incydentów, słów prawdziwych i kłamliwych, potrzebnych i zbytecznych, słów banalnych i napęczniałych od wieloznaczności i podtekstów, drażniących nieporozumień, świadom tego wszystkiego wykrzyknie nagle: „Opowiedzieć o własnej przyjaźni jest niezmiernie trudno... Ale w jaki sposób opowiedzieć o przyjaźni innych? Według jakiej zasady porządkować?". Breza będzie o niej opowiadał. Spokojnie, logicznie porządkując. Ale jednej przeszkody nie wyminie, zatrzyma się przed nią. Zresztą przewidział ją jak gdyby wcześniej: „Wiele rzeczy trzeba opisać i przypomnieć, aby opowiedzieć o miłości, i to wcale nie jest łatwo. Ale znacznie trudniejsza jest do przedstawienia historia przyjaźni. A poza tym wymaga ona zakończenia, wyniku, pointy. Utarło się, że wystarcza, by ostatnim aktem romansu był akt erotyczny... Jest pointą romansu. Ale co w przyjaźni jest pointą? Jak to odnaleźć?".

W swej książce nie dotarł Breza do tego momentu. Dopiero co Grywałd

zdążył zorientować się z niepokojem o erotycznym podtekście swojej przyjaźni. Dopiero między przyjaciółmi doszło do pierwszej gwałtownej sceny i pierwszej kłótni. Niespokojny Grywałd, podniecony, wzburzony do ostatecznych granic długą i bliską obecnością ukochanego chłopca, zmuszony jednocześnie do szybkiego wyjazdu, wyciska mu na ustach pierwszy, namiętny pocałunek. Mossek jest zaskoczony, speszony i zdenerwowany. Dopiero teraz zrozumiał wszystko. Czuje się oszukany, ale i podniecony. W jego mieszczańskim życiu, w jego wzorcu obyczajowym, erotyzm zaproponowany przez Grywałda jest niemałą prowokacją, wręcz rewoltą. Po burzliwej scenie, nocą Grywałd wyjeżdża, następnego zaś dnia Mossek sam snuje się po zimowym ogrodzie, chroni przed ludźmi swą obrzękłą, okaleczoną wargę. Znajduje się w głębokiej rozterce. A kiedy późnym wieczorem tego dnia autor będzie przemykać się do swego pokoju, ujrzy półotwarte drzwi do pokoju Mosska i padającą stamtąd smugę światła. „Mimo woli spojrzałem w głąb. Edmund siedział przy biurku. Nie widziałem jego twarzy. Był odwrócony bokiem do mnie. Przed nim leżały kartki papieru. Pisał list." „Pisał list" — jest to ostatnie zdanie powieści. A właściwie powinno ono ją dopiero otwierać. To, co Breza zamknął w swej książce, było pierwszym, sielankowym okresem przyjaźni. Jej wszystkie męki, triumfy i klęski przyjdą dopiero później. Edmund późną nocą pisze list do przyjaciela. Będzie w nim zapewne go obrażał i przepraszał, będzie się na niego gniewał i usprawiedliwiał go zarazem. To jest dopiero pierwszy list w ich korespondencji. Ile ich jeszcze muszą wymienić i ile jeszcze burzliwych konfrontacji musi nastąpić, ile powikłanych spraw, problemów! O, jak daleko jeszcze do pointy tej przyjaźni, i rzeczywiście, jak trudno jest ją określić, odnaleźć, nazwać. Ale wszystko to już nie w tej książce. Pozostawia więc ona uczucie niedosytu.

Lecz ta słabość jest jednocześnie jej walorem. Rzucając się w wir nowych, burzliwych psychicznych powikłań, musiałby w pewnym momencie wyjść Breza poza behawiorystyczną technikę swojej powieści, postawę empirycznego dystansu wobec ukazanego świata, ludzi i problemów. Poza zręczną literacką stylizację i neopozytywistyczny światopogląd.

A tak pozostał *Adam Grywałd* zdyscyplinowaną powieścią literacką, bardzo wysmakowaną, jak mówi autor interesującego wstępu do książki, Henryk Bereza, bardzo inteligentną. Ale niestety o zagubionym, niewykorzystanym temacie.

Długo się więc zastanawiałem, czy artykułu niniejszego nie zatytułować *Blaski i nędze powieści literackiej.*

Ryszard Zengel

JESZCZE JEDNO TRAGICZNE POKOLENIE

Marian Ruth-Buczkowski: *Tragiczne pokolenie.* Warszawa 1958. „Iskry"; str. 224.

Pierwsze wydanie tej książki ukazało się w roku 1936 i wywołało duży oddźwięk w prasie literackiej. Powieść Ruth-Buczkowskiego stawiała bowiem — bodaj w sposób najbardziej sugestywny — problem, który przewijał się w książkach i artykułach autorów debiutujących w latach trzydziestych Tytuł tej książki stał się nazwą problemu. Pokolenie tragiczne — innymi słowy pokolenie przystępujące do życia w momencie, w którym historia nie daje żadnej szansy zademonstrowania talentów i możliwości, pokolenie skazane na przemilczenie kulturalne, na wegetację. Jakie były źródła społeczne tej ideologii literackiej, nie trudno się domyślić. Samo ambitne postawienie sprawy wskazuje na jej inteligencką genealogię, chociaż bez wątpienia ujawniły się w niej także pogłosy spengleryzmu. Mniejsza jednak w tej chwili o genezę — ta jest zawsze sprawą bardziej skomplikowaną.

Uderzająca jest bowiem uległość na-

szej świadomości kulturalnej. Tragiczność — to oczywiście bardzo szlachetna kategoria estetyczna. Lecz zachęty w tym kierunku — zdaje mi się — wcale nam nie trzeba, bo skłonności tego rodzaju znajduje się u nas zbyt często, a przede wszystkim zbyt łatwo. Tragiczność — to dojście do punktu, gdzie sprzeczności życia są nierozwiązalne. Cóż jednak łatwiejszego, jak założyć tę nierozwiązalność na samym początku? Tragiczność może być rezultatem długiej drogi intelektualnej, ale może być również łzawą demonstracją bezradności. Przedwrześniowa Polska istniała tylko dwadzieścia lat, a już zdążyły się w niej ukształtować dwa pokolenia tragików: pierwsi — to ci, których rozczarowała realizacja państwowej wolności, drudzy — to ci, którzy w dziesięć lat później nie mogli znaleźć dla siebie szansy. Obydwa zjawiska robią wrażenie reakcji dyktowanych obrażeniem się na rzeczywistość. U nas literatura obraża się na świat i obrazę tę ubiera w szaty tragiczności. Przegrana każdego pokolenia pokwitowana zostaje — z regularnością zadziwiającą! — przybraniem pozy tragicznej. Od zakończenia wojny przeżyliśmy już wiele tragicznych spraw. Toteż zachęcanie literatury polskiej do uprawiania tragizmu, tej literatury, która od lat nic innego nie robi, jak tyko tragizuje, nie wydaje się właściwe. Raczej leczyć ją z tego należałoby.

Te wstępne uwagi pozwolą mi uzyskać pewien dystans wobec książki Mariana Ruth-Buczkowskiego, która w swoich aluzjach uogólniających sięga trochę za daleko. Mimo wszystko historia śmiertelnej choroby jej bohatera, młodego studenta, nie daje podstaw do patetycznego tytułu. Autor twierdzi w przedmowie, że historia późniejsza potwierdziła prawdę stwierdzenia tytułowego. Zapewne, ale we wręcz przeciwnym znaczeniu. Przecież Julianowi Cypryszewskiemu, jego bratu i kolegom chodziło o sens życia, o cel, o „wielką ideę", a okupacja niemiecka dała tego doprawdy pod dostatkiem. Jeśli już ktoś chce być tragiczny, to znajdzie argument dla siebie w każdej okazji: albo że nie ma co robić, bo istnieje normalne państwo, jest względny spokój, zapotrzebowania na bohaterstwo nie ma, albo, gdy historia dostarcza sytuacji bohaterskich w nadmiarze, tym bardziej istnieją podstawy, aby mówić, że w obliczu masowych śmierci tragiczność jest jedyną kategorią, w której da się zamknąć doświadczenia życia. Zresztą nie są to już zarzuty pod adresem Buczkowskiego. Książka jego ukazała się na tyle dawno, że mówić o niej można z pewnym historyczno-literackim spokojem.

Bohater Buczkowskiego jest dwudziestokilkoletnim młodzieńcem, czekającym na śmierć w zakopiańskim sanatorium. Jedyny kontakt z życiem, jedyny rodzaj duchowej egzystencji polega na bezustannych wspomnieniach, które snuje w czasie wielogodzinnego werandowania, spacerów, w ciszy leczniczego zakładu. Izolacja jego nie ma więc tylko fizycznego charakteru, kończy się nie tylko jego zdrowie, życie w biologicznym znaczeniu, ale także — znacznie wcześniej — kończą się wszystkie dążenia wewnętrzne. Julian umiera więc w podwójnym sensie. Ponieważ istnienie jego składa się tylko z teraźniejszości i przeszłości, a teraźniejszość żadnych bodźców nie daje — Julian żyje przede wszystkim przeszłością. Tam szuka racji wewnętrznych, źródeł swej duchowej sylwetki, temperamentu, świata uczuć, smaku przeżyć, miar i kryteriów własnej osobowości. Marzenia o dzieciństwie, odnajdywanie tam sielanki, mitu beztroskiego szczęścia — to znamy dobrze. Ale Julian istnieje tylko poprzez swoje dzieciństwo, on nie może go z niczym porównać, bo poza dzieciństwem nic nie ma, nie jest ono mitem, lecz quasi-rzeczywistością. Potrzeby duchowe tylko tam się wyładowują, tylko tam istnieją miłość, walka, nadzieja i pełny świat duchowy. Teraz zaś nie ma autentycznych przeżyć, są tylko namiastki budzące niesmak, znudzenie, pustkę. One nie napełniają duszy, lecz ją w swoisty sposób oszukują. To nawet nie mistyfikacja życia, to tylko odruchy martwiejącego organizmu.

Konfrontowanie obu wewnętrznych nurtów jest w książce najlepsze. Zwłaszcza kiedy sobie uświadomić, jakie było w istocie to dzieciństwo Juliana. Okres wojny, nędzy i głodu, edukacja życia, odbierana od kolegów na łące przy pasieniu krów, trudność zaspokajania najprymitywniejszych potrzeb, istnienie ubogie w jakiekolwiek atrakcje. Ale istnienie, którego najcenniejszą wartością była wiara w przyszłość, mobilizacja wszystkich sił dla sprostania tej

przyszłości, pragnienia zdobywcze, marzenia o karierze. To nadzieja właśnie każe budować swoje życie wewnętrzne na wyrost, aby pomieściła się tam przeczuwana przyszłość. Świat wewnętrzny tego dziecka pokazany jest dobrze, żywo, ciekawie, dziecka wcale nie specjalnie ambitnego, jak wynikałoby może z powyższego opisu, lecz właśnie przeciętnego i w ambicjach, i w agresywności. Lecz dziecko to ma życie i świat przed sobą i dlatego wszystko, cokolwiek przeżyje, nabiera szczególnego sensu, znacznie większego, niżby to wynikało z rzeczywistej wartości przeżycia. Wszystkie te przygotowawcze zabiegi zostały stracone, przegrane, o tym już wiemy i ta świadomość każe im przypisywać znaczenie tym większe. Zresztą cały klimat przypomina bardzo żywo pozytywistyczne obrazki z dzieciństwa zdolnych chłopskich dzieci, np. *Antka* Prusa, gdzie również wszystkie wydarzenia mają perspektywę na czas przyszły.

U Buczkowskiego przyszłość przynosi generalne rozczarowanie, przygotowania podejmowane w dzieciństwie nie przydają się na nic. Przedtem najważniejsza była przyszłość, teraz na odwrót — najważniejsza jest przeszłość. Powieść *Tragiczne pokolenie* może być w pewnym sensie uznana za replikę pozytywistycznym nadziejom i to nie tyle w sensie historycznym, ile raczej egzystencjalnym: w dzieciństwie czeka się na życie, później tęskni się za dzieciństwem.

Zamysł literacki autora ma bowiem dwie szanse: egzystencjalną i społeczną. Lepiej wykorzystana została, moim zdaniem, pierwsza, podczas gdy ambicją autora była — jak można się zorientować — właśnie druga. Wskazuje na to choćby tytuł: Buczkowski podkreśla nim, że daremność tego oczekiwania na życie ujawniła się w pokoleniu jego bohatera szczególnie silnie. Wiele perypetii Juliana z okresu przedsanatoryjnego, pewne wieści, jakie otrzymuje o swym bracie, zdają się wskazywać, że winę za rozczarowanie odnieść należy nie tyle do sytuacji człowieka na ziemi, ile raczej do historii. Lecz ten punkt odniesienia nie znajduje w tekście przekonywającej argumentacji. Wydarzenia bowiem, jakie autor przytacza jako dowody konkretnego historycznie i społecznie rozczarowania, nie sięgają zbyt głęboko w życie państwowe, w strukturę sanacji, w stosunki społeczne, prawne czy obyczajowe. Tu trzeba byłoby zademonstrować więcej umiejętności krytycznych, analitycznych, więcej obserwacji i spostrzegawczości. Doświadczenia Juliana są pod tym względem bardzo ogólnikowe: ograniczają się do trudności finansowych związanych ze studiami. Jest w książce także scena, w której Julian napotkaną prostytutkę bierze za opatrznościową opiekunkę. Po chwili przeżywa oczywiście rozczarowanie. Podobnej naiwności nie możemy jednakże uważać za charakterystyczną dla świadomości pokolenia, należy ona do indywidualnej charakterystyki bohatera. Julian ma poza tym jakieś niejasne wieści o podobnym procesie rozczarowania, który przeżywa jego brat, Marcin. Ale te wieści są także zbyt enigmatyczne, zbyt aluzyjne. Mówiąc brutalnie: sam fakt, że dwu braciom nie udało się zrobić kariery, zwłaszcza gdy jeden bardzo poważnie zachorował — nie stanowi żadnego argumentu, że los pokolenia był tragiczny. Mam wrażenie, że książka Buczkowskiego inaczej odczytywana była w dwudziestoleciu, kiedy „powszechna niemożność" była zjawiskiem uznanym i intelektualnie przyjętym i kiedy uzasadnienie jej istnienia nie było może tak niezbędne. Po latach dwudziestu czuje się to jednakże inaczej. Książce, która ma przecież ambicje przedstawienia atmosfery duchowej młodego pokolenia, brakuje polityki, brakuje ideowych starć. Pustka wewnętrzna Juliana jest zjawiskiem, które czytelnik chętniej odnosi do jego osobistej ciężkiej choroby niż do atmosfery pokolenia. Dziś chciałoby się już więcej, chciałoby się głębiej znać uzasadnienie trapiącej go pustki.

W powieści pojawia się postać komunisty Prowima, który w przeciwieństwie do Juliana pozostaje, mimo choroby (Prowim jest także na leczeniu), czynny, pełen wiary w życie, w siebie, w sens swojej aktywności. Wynikałoby z tego, że pustka Juliana wypływa z braku idei, że bohater Buczkowskiego tęskni za czymś, w co mógłby wierzyć, czemu mógłby się oddać. Ale tutaj właśnie powstaje konieczność pokazania prób w tym względzie. Czy Julian próbował czegoś? Rezygnacja, która nie płynie z nieudanego działania, jest raczej słabością i bezradnością, być może dezorientacją, ale nie rozczarowaniem.

Julian szukający przyczyny swej rezygnacji w historii przypomina owych obrażających się na świat. Kiedy się im nie udaje, to świat jest winien, nie oni. Dzisiejszy czytelnik *Tragicznego pokolenia* chciałby dokładniej wiedzieć dlaczego. Bo najprawdopodobniej tak właśnie musiało być i tak zresztą jest zawsze, ale pisarz musi to pokazać, musi przeprowadzić tę krytykę świata, jeśli żąda od nas współczucia i solidarności.

Tu znowu narzuca mi się dygresja historyczna, bo powieść Buczkowskiego bardzo silnie tkwi w tradycji kulturalnej. Otóż jest w niej bez wątpienia wyraźny akcent romantyczny, przeświadczenie, że życie to sprawa, którą warto podejmować tylko w patetycznym sztafażu. Szukając bowiem wartości duchowych, których Julian był pozbawiony, do tego się musi dojść. Gdyby tylko dożył lat okupacji, wtedy już znalazłby dla siebie miejsce. Można powiedzieć, że świadomość tego właśnie romantycznego wymiaru żyje w pełni w ciągu tych lat swego istnienia, kiedy zjawia się szansa na wielką ideę, na patetyczny gest, na heroizm. Ponieważ lata takie wypadają akurat wówczas, gdy jest wojna lub rewolucja czy jakiś inny kataklizm, świadomość owa żyje w wiecznym jego oczekiwaniu. Może się go obawiać lub na niego liczyć, idzie o to, że zdarzające się przerwy traktuje jak antrakty, chwile odpoczynku, właściwe życie spala się w nagłych wyładowaniach. Jest to światopogląd powstańczo-militarny, który — nieszczęściem — sprawdzać się zaczyna w bieżącym stuleciu zbyt często. Zapewne, z książką Ruth-Buczkowskiego wiąże się to w sposób raczej pośredni. Jego bohater ma do dyspozycji inny argument: choroba zaważyła przecież o wiele silniej na biegu jego życia niż jakiekolwiek perturbacje ideologiczne. Wszakże pewne symptomy są te same. Źle jest — w moim przekonaniu — jeśli idee zbyt natrętnie wciskają się w każdy szczegół ludzkiego życia. Julian zdawał się do takiego życia tęsknić i to właśnie mam mu za złe. Poza tym chciał oczywiście wyzdrowieć, dojść do pełni sił, być pełnowartościowym człowiekiem. Ale to już dla mnie zagadnienie osobne. W książce Buczkowskiego istnieje pewna wymienność argumentacji: jedną sprawę uzasadnia się inną, co mąci trochę rozważania. Starałem się obie te rzeczy oddzielić, bo tylko w ten sposób można sugestie tej powieści odczytać.

Włodzimierz Maciąg

TUNIKA NESSUSA CZYLI IDEA KATOLICKIEGO PAŃSTWA NARODU POLSKIEGO

Zofia Kossak: *Suknia Dejaniry*. Wydanie I (!). Warszawa 1958, „Pax"; str. 275.

Krytycy przedpaździernikowych podręczników szkolnych słusznie zwracali uwagę na ich nieatrakcyjność nawet w tym wypadku, gdy sam przedmiot — np. historia ojczysta — stwarza naturalne warunki dla powstania barwnego, przykuwającego uwagę dziecka obrazu, obdarzonego przy tym pełnym walorem dydaktyczno-poznawczym. Przytaczano przy tej okazji, słusznie zresztą, swego rodzaju arcydzieło: *Z dawnych czasów* Mossoczowej. Zapomniano o innym wzorze: o Zofii Kossak. Być może wpłynęła na to strona ideologiczna jej powieści historycznych, daleka od tych treści, które by przeważnie chcieli przekazywać młodzieży krytycy zdeprecjonowanych, schematycznych podręczników. Z powieściami historycznymi Zofii Kossak, jako z lekturą historyczną dla szkół, rzecz się ma tak samo, jak z czytankami Mossoczowej: trzeba być ostrożnym z ich treściami, ale należy uczyć się na nich techniki.

Powieści historyczne Zofii Kossak bowiem to przeważnie arcydzieła w gatunku czytanki mającej spełnić cel dydaktyczny. Kto poznał cały cykl *Krzyżowców* (wraz z *Królem trędowatym* i *Bez oręża*) — ten zdobył niemałą, oczywiście bardzo spopularyzowaną, wiedzę historyczną. Parę akapitów tych

powieści potrafi dać więcej znajomości obyczaju odległej epoki — niż jakikolwiek podręcznik. Jest w nich coś z barwnego filmu kostiumowego — ale filmu robionego przez mistrza, który zna na wylot i psychikę swego widza, i jego bagaż kulturalny, wie, jakie jego emocje musi poruszyć, jakim wyobrażeniom dać satysfakcję, by inne przy tym nieznacznie wpoić, zna technikę utrzymywania w napięciu ciekawości, operowania wypróbowanymi schematami fabularnymi, czerpanymi to z powieści dla młodzieży, to nawet z sentymentalnej powieści brukowej. Uczmy się techniki od Zofii Kossak. Jeśliby któryś z polskich teoretyków literatury spróbował napisać podręcznik dla autorów popularnej powieści — jest trochę tego typu dzieł w Ameryce — musiałby go oprzeć w przeważającej mierze na analizie utworów, które już trafiły w gust lub jakieś inne, choćby pozaestetyczne, potrzeby czytelnika. Jednym z takich utworów mogłaby być *Suknia Dejaniry*, nie najbardziej chyba znana spośród powieści Zofii Kossak, a jednak wydrukowana przez wydawcę w 30 tysiącach egzemplarzy — w roku 1958! Któreż książki mają dziś jeszcze — czy też już — takie nakłady?

Trudno by mi tu było przedstawić pełny schemat fabularno-techniczny tej powieści. To rzecz większego studium, które chyba powinno zresztą powstać, nie ze względu na wagę *sensu stricto* artystyczną *Sukni Dejaniry*, lecz właśnie dla prześledzenia i opisania mechanizmu jej techniki. Chciałbym tu wskazać tylko niektóre elementy, widzialne gołym okiem, nie uzbrojonym w precyzyjniejszą aparaturę badawczą.

A więc przede wszystkim mamy tu konflikt o podłożu erotycznym. Dwóch bohaterów ubiega się o tę samą kobietę. Mogliby to być ewentualnie przyjaciele, których poróżniła miłość. Autorka wybiera wariant dwóch (stryjecznych co prawda) braci. Ze względów fabularnych i motywacyjnych było to rozwiązanie właściwsze. Rywalizacja między nimi — rywalizacja jednostronna, bo Kaźmierz nie zdaje sobie sprawy z sytuacji i z intencji Konstantego — kończy się zabójstwem. Zgodnie ze schematem powieści dla młodzieży (to nic, że tak daleko posunięta rywalizacja erotyczna nie jest motywem przeznaczonym dla młodocianego czytelnika: chodzi tu raczej o pewien typ psychiczny i kulturalny odbiorcy niż naprawdę o jego wiek; wiadomo, że nie tylko młodzież jest odbiorcą tzw. literatury młodzieżowej) — ofiara niecnego postępku już wcześniej zdobyła sobie dzięki autorowi sympatię. Na Kaźmierzu była skoncentrowana przede wszystkim uwaga, jego szlachetne myśli i szlachetne postępki były przedstawione na poprzedzających ten zwrotny, decydujący punkt powieści stronach. Jeśli zaś nawet błądził, usprawiedliwiony częściowo przesądami epoki — to i wtedy odczuwał przynajmniej wyrzuty sumienia. Teraz dokonywa się nagła przemiana nieomal cudownie uratowanego Kaźmierza z pana w chłopa. Dużo tu z tradycyjnej techniki maskarady, bo zresztą i jest to przez długi czas maskaradą: Kaźmierz ma z początku zamiar ujawnić, kim jest. Podjąłbym się napisać studium o „maskaradowym" motywie z drugiej połowy *Sukni Dejaniry* na tle powieści światowej, przytoczę wszakże jeden tylko przykład, umyślnie odległy, by ujawniły się w ten sposób najistotniejsze chwyty fabularne: mam na myśli znaną i popularną w Polsce powieść Uptona Sinclaira *Król Węgiel*. Jej bohater, syn barona węglowego, przebrany za górnika, pracuje w kopalni nie swego ojca co prawda, lecz w każdym razie kogoś ze swego kręgu towarzyskiego. Poznaje nieznany mu dotąd byt robotników, staje się z nimi solidarny. Co prawda bohater Sinclaira walczy ze złem, które poznaje, a bohater Zofii Kossak — nie. To różnica między powieścią socjalistyczną a katolicką określonego typu. Tym trudniejsze zresztą zadanie miała autorka *Sukni Dejaniry*. Istotne technicznie jest tu uzyskanie momentu napięcia uwagi czytelnika: czy bohater ujawni się — czy nie? Działa tu przede wszystkim naiwne i infantylne oczekiwanie zadośćuczynienia, nawet zemsty (polegającej na ukaraniu lub upokorzeniu tych, którzy nie znając rzeczywistej proweniencji socjalnej bohatera — krzywdzili go albo nie okazywali należnych mu względów). Tego momentu nie odmówili sobie ani Sinclair, ani Zofia Kossak, choć w drugim wypadku nic by się nie zmieniło w ideowej wymowie powieści, gdyby efektu tego zabrakło. Nie wybaczyłby tego jednak autorce jej czytelnik, taki, dla jakiego *Suknia Dejaniry* jest pisana.

Fabuła *Sukni Dejaniry* jest może infantylna, schematyczna, ale w pewnym sensie bezbłędna. Nie chcę twierdzić, że powieść ta jest jakimś niedoścignym wzorem, ale w każdym razie byle czeladnik tego nie zrobi. I jeśli młodzi Korsakowie złapią w którymś rozdziale powieszonego potem Artemija, dążącego do obozu Szeina — na pewno będzie to miało dla głównego bohatera dalsze konsekwencje w rozdziałach następnych. Nic tu fabularnie zbędnego.

Przeczyć temu zdają się duże ustępy powieści, nie usprawiedliwione potrzebami konstrukcji fabuły. Rzecz jednak w tym, że fabuła ma tu ułatwić przekazanie pewnych treści czytelnikowi. Zofia Kossak, wbrew temu, co by wynikło z analizy fabuły jej powieści, nie jest autorką sensacyjną. To autorka dydaktyczna. Schematy powieściowe, których używa, nie są dla niej celem, lecz środkiem. Jest coś bardzo średniowiecznego w tej postawie. Dydaktyzm jej zaś jest co najmniej dwojaki.

Po pierwsze — powieści jej zawsze przekazują (i mają ten cel w założeniu) pewną wiedzę. Jest to wiedza o epoce taka właśnie, jaką otrzymuje uczeń w czytankach: podana niby przypadkowo, lecz obficie, na marginesie fabuły pochłaniającej lwią część uwagi czytelnika, a więc percypowana nieomal podświadomie. Te realia obyczajowe, ustrojowe, ekonomiczne, społeczne, polityczne — są czymś nieocenionym w powieściach Zofii Kossak. Dowiadujemy się z nich i o trybie życia dziedzica, oficjalisty dworskiego, chłopa z XVII wieku, i o zasobie pojęć społecznych ówczesnego przeciętnego szlachcica, i o przebiegu wielkiej bitwy o Smoleńsk, i o stosunku Władysława IV do Kozaków. Mamy i wprowadzenie do zagadnienia nadzwyczaj rzadkiej nobilitacji chłopa na polu bitwy, i pokazanie wędrownego teatru ówczesnego, i dyskurs o stylu, i próbkę diagnozy medycznej, i setki innych spraw. Autorka daje czasami całe eseje na marginesie fabuły, np. właśnie o teatrze. Przy okazji wspomni autorka krotochwilę *Z chłopa król*, „napisaną przez imć pana Barykę". To „imć pana" w tekście odautorskim — to właśnie *couleur local* epoki, a jeśli czytelnik już słyszał o Baryce, odczuwa dodatkowe zadowolenie: wzmaga to w nim zaufanie do wierności historycznej, a trochę i pochlebia, pozwala nawiązać nić porozumienia z autorem. Jeśli zaś nie słyszał, jeszcze jedna informacja wpadła mu do głowy. Ta mnogość elementów układa się jednak w rezultacie w obraz zharmonizowany z fabułą i stąd nieprzeciętny walor dydaktyczny powieści.

Po drugie jednak — dydaktyzm powieści Zofii Kossak nastawiony jest na przekazywanie pewnych treści ideowych. I po to przede wszystkim są one pisane. Forma powieści, struktura fabularna, psychologia postaci, uproszczona i dwuwymiarowa — to tylko środki. Wyżej opisany dydaktyzm, przekazujący czytelnikowi znaczną faktyczną wiedzę historyczną — to cel uboczny. Cel zasadniczy zaś — to propaganda określonej ideologii. I pod tym względem *Suknia Dejaniry* jest najbardziej interesująca, choć na mój gust nie najbardziej budująca.

Kluczem do powieści jest postać księdza Andrzeja Boboli, zjawiająca się w jednym z pierwszych rozdziałów. Tym razem nie jest to chwyt analogiczny do już wyżej wspomnianego z „imć panem Baryką". Nie chodzi o poinformowanie czytelnika, kim był ksiądz Bobola. Postać ta odgrywa w powieści zasadniczą rolę motywacyjną. Przemiana Kaźmierza spowodowana jest jej oddziaływaniem. Wyjaśnić ją można znając naukę Kościoła Katolickiego o świętych obcowaniu i pośrednictwie świętych. Tak się przedstawia strona dogmatyczna. Realia historyczne okresu powstania powieści (1939 r.) są jednak w tym wypadku ciekawsze: postać Andrzeja Boboli w *Sukni Dejaniry* ma bezpośredni związek z jego kanonizacją tuż przed wojną. Problem funkcji politycznych, jakie ta kanonizacja miała wówczas spełniać, jest już dziś sprawą pozbawioną aktualności, do której nie byłoby po co wracać, gdyby recenzent wznowień utworów sprzed dwudziestu lat nie musiał z obowiązku być po trosze i historykiem literatury oraz ideologii. Wymienię więc tylko jeden element z tego kompleksu ówczesnych tendencji, w których zrealizowaniu ta kanonizacja miała jakoś pomóc: był to projekt restauracji Unii Brzeskiej czy też stworzenia nowej Unii jako nowego instrumentu, nie tylko ekspansji katolicyzmu, lecz i ekspansji polskości, asymilacji obcojęzycznych mas we wschodnich województwach ówczesnej Polski (głównie Białorusinów).

Idee te nurtowały bardzo silnie na ideologicznym styku katolicyzmu z różnymi odmianami nacjonalizmu polskie-

go. Ze względów historyczno-literackich tylko — gdyż podkreślam raz jeszcze zupełną dezaktualizację tego aspektu *Sukni Dejaniry* — przypomnę jedną z propozycji programowych, która wykazuje pewne filiacje z ideą powieści Zofii Kossak. Mam tu na myśli broszurę Wojciecha Wasiutyńskiego *Kwestia wschodnia* (pierwodruk w miesięczniku *Ruch Młodych*, 1936, nr 3 i 4). Postulował on asymilację narodowościową Białorusinów na drodze ich stopniowej katolicyzacji poprzez stworzenie nowej unii kościelnej. Jako błąd w tej dziedzinie, udaremniający asymilację, wymienił autor m.in. oparcie się polityki narodowej polskiej na polskich dworach, ze względu na nieuniknione podsycanie w ten sposób konfliktów kulturowych — społecznymi. Ostra i słuszna krytyka egoizmu narodowego szlachty, którą znajdujemy w *Sukni Dejaniry*, jest w zasadniczych rysach zgodna z myślą przewodnią Wasiutyńskiego: ucisk społeczny chłopa odbiera go narodowi polskiemu (Zofia Kossak pisze, by nie być anachroniczną: Rzeczypospolitej), czyni go obojętnym na interes narodowy. Syruć, ubrany w pański kubrak, sięgający po buńczuk z okrzykiem „Niech żyje Rzeczpospolita" — bo pamiętający o nobilitowanych za bohaterstwo na polu bitwy Wielkołuckim i Szpądowskim — to przede wszystkim postulat narodowo-społeczny. Ten sam Syruć myśli nieco przedtem (zapamiętajmy ten fragment, bynajmniej nie wyjątkowy w omawianej książce, jego tonację społeczną, jakby z *Kordiana i chama* Kruczkowskiego — ocena *Sukni Dejaniry* była w pełni sprawiedliwa): „Cięgiem o tej Ojczyźnie gadają. Pełno jej u nich w gębie... Nie dziwota... Żebym był panem, też bym Ojczyznę miłował. Bo to im źle? Mają wszystko... Mnie ta jedno, gdzie jestem, w tej ziemi czy w cudzej, byle nikt z batem nade mną nie stał i żeby mnie bieda nie żarła... Ale ona chłopa żre wszędy..." (s. 112). (Co nb. nie przeszkadza autorce hołubić legendy o głębszych walorach moralnych „pańskości", objawiających się ni stąd ni zowąd w momentach wymagających bohaterskiego opiekuństwa. Tak jest, gdy Konstanty Korsak skacze ratować chłopkę-kalekę z płonącej chałupy, wołając do chłopa-Kaźmierza: „Nie przeszkadzaj! Moja rzecz!".)

Że sprawa Syrucia i ekspiacji Kaźmierza to nie jest tylko problem szlachecko-chłopski, rozpatrywany pod kątem widzenia dobra Rzeczypospolitej, lecz również sprawa tzw. misji dziejowej katolickiej Polski na Wschodzie, o tym świadczy geograficzne umieszczenie akcji oraz postać Boboli. Zupełnie inaczej czytalibyśmy tę samą powieść, gdyby jej akcja toczyła się np. pod Płockiem.

Istotniejsze natomiast dla tak typowego w ostatnich latach dwudziestolecia międzywojennego styku ideowego między katolicyzmem a nacjonalizmem polskim są nie te omówione dopiero co sprawy, już tylko historycznie dziś ciekawe, prawie równie dalekie od nas, jak opis odsieczy Smoleńska — lecz bardziej generalny problem całej owej formacji ideologicznej, stanowiącej podstawę światopoglądową dla strategicznych koncepcji nowej Unii, dla organicznego związku katolicyzmu z polskością, dla swoistego poczucia misji Polski. „Misja dziejowa Polski w nadchodzącej epoce polega na reprezentowaniu najczystszych pierwiastków cywilizacji katolickiej, na staniu się ośrodkiem tej cywilizacji" — pisał Wojciech Wasiutyński w *Ruchu Młodych* (1935 r., nr 3); „Misją dziejową Polski jest stworzenie epoki chrześcijańskiego nacjonalizmu, zdobycie Wschodu Europy dla cywilizacji chrześcijańskiej" — pisał Bolesław Piasecki w broszurze *Przełom narodowy* (cyt. za *Ruchem Młodych*, 1937, nr 2); „Katolickie Państwo Narodu Polskiego zorganizować musi Europę od Zatoki Fińskiej po Adriatyk i Morze Czarne" — czytamy w *Wytycznych programowych „Ruchu Młodych"* (*Ruch Młodych*, 1936, nr 12); „Katolickie Państwo Narodu Polskiego poprowadzi narody Środkowej Europy" — głosił jeden z punktów programu ruchu narodowo-radykalnego (*Przełom narodowy* B. Piaseckiego) — co powtarzał w swej mowie przygotowanej na komers „Arkonii" J. Hagmajer i co widniało na transparentach podczas akademickich Ślubowań Jasnogórskich. Posłużę się raz jeszcze cytatem, wskazującym, moim zdaniem, możliwie najdokładniej generalne założenia tej postawy. Są to tzw. „Prawdy bezwzględne" przedwojennego ruchu nacjonalistycznego (cyt. z *Przełomu narodowego* B. Piaseckiego):

„1. Bóg jest najwyższym celem człowieka. 2. Drogą człowieka do Boga — praca dla Narodu. 3. W tworzeniu

wielkości Narodu — szczęście i rozwój człowieka."

Brzmi to co prawda niejasno i enigmatycznie. Interpretację znaleźć by można dopiero po analizie dalszego, szczegółowego rozwinięcia „Prawd bezwzględnych". Niech tu starczą czytelnikowi już przytoczone cytaty, choć są tak fragmentaryczne. Oto wyjaśnienie, czemu deklarowałem swą nieprzychylność dla tendencji ideowej *Sukni Dejaniry*.

Bądźmy przy tym w zgodzie z faktami. Owa totalitarna katolicko-nacjonalistyczna postawa światopoglądowa, tak fragmentarycznie wyzierająca spoza przytoczonych tu cytatów, była czymś bardzo głęboko nurtującym ówczesne społeczeństwo polskie, lecz nie zawsze objawiała się tak skrajnie. Zofię Kossak dzieliły wtedy od cytowanych ideologów sprawy bardzo istotne, przede wszystkim stosunek do antysemityzmu (eseistyczny ustęp w *Sukni Dejaniry* na str. 223—224, mówiący o roli Żydów w wytworzeniu się podstaw ekonomicznych do rozpadu patriarchalnych stosunków na wsi — nb. naiwnie-sielankowo przedstawionych przez autorkę — w żadnej mierze temu nie przeczy; chodzi tu o zupełnie inną płaszczyznę i inny aspekt spraw społecznych). Po prostu Zofia Kossak głębiej chyba i prawdziwiej rozumiała zawsze katolicyzm niż politykierzy z Falangi. Ale stosunek do antysemityzmu — to przecież jeszcze nie wszystko.

Tyle uwag na marginesie historycznoliterackim *Sukni Dejaniry*. Przywiązuję do nich o tyle dużą wagę, że mimo dezaktualizacji konkretnego wątku ideowego, który nazwę tu umownie „wątkiem św. Andrzeja Boboli" — nie uważam ,by stał się nieaktualny i już niegroźny ów szerszy nurt ideologiczny, w którym widzę jednak *Suknię Dejaniry*. To istotniejsze dla mnie w tej powieści — niż sprawa takiego czy innego rozwiązania problemu świętości, choć nie mam zamiaru tego aspektu lekceważyć. Ekspiacja i ofiara, asceza nic nikomu konkretnie nie przynosząca — to są jednak z punktu widzenia osobowości jakieś problemy istotne. Decyzja Kaźmierza jest mi obca. Różniąc się tu od katolików, wierzących przecież w „świętych obcowanie", nie widzę w niej żadnej innej wartości, jak tylko czysto osobistą, moralną wartość dla samego Kaźmierza. W zestawieniu z wielką siłą moralnego oburzenia na krzywdę społeczną — ofiara ta wydaje się nieomal egoistyczna, gdyż czytelnik pamięta przecież o perspektywie zbawienia, w której ogląda swe życie katolik. Nie sądzę, by można było tę ofiarę w jakimkolwiek sensie nazwać rozwiązaniem problemu. Nie zadowoli ona chyba nawet katolików, jeśli myślą również i kategoriami społecznymi, a nie tylko eschatologicznymi. Tym niemniej czytelnik, który sumuje wartości inaczej, niż to robi socjolog i historyk — widzi, że stoi wobec sytuacji o dużym potencjale moralnym. Sprawa św. Aleksego z cytowanej w *Sukni Dejaniry* średniowiecznej legendy nie jest w sensie moralnym, jak prawie wszystko w historii kultury moralnej, ostatecznie zamknięta.

Tak to dziwnie i wieloznacznie toczy się konflikt propozycji ideowych zawartych w *Sukni Dejaniry*. Powiedzmy sobie zresztą otwarcie: konflikt ten toczy się przede wszystkim w myśli czytelnika, w pewnej mierze niezależnie od samej powieści. Bodźce, które tu daje *Suknia Dejaniry*, nie są silne: jest to powieść zbyt przeciętna artystycznie, zbyt czytankowa i młodzieżowa, by sama była w stanie narzucić te problemy czytelnikowi, nieuczulonemu na nie uprzednio. I to jej niebezpieczeństwo chyba największe: w sprzyjających okolicznościach może co prawda pobudzić do myślenia, prawdopodobniejsze jednak, że utrwali tylko pewną ilość bynajmniej nie niewinnych stereotypów, wciąż jeszcze mających żywy oddźwięk. Może też zresztą i czegoś nauczyć w najzwyklejszym, szkolno-erudycyjnym znaczeniu słowa „nauczyć".

Jan Józef Lipski

STARA NOWOŚĆ

Helena Boguszewska: *Całe życie Sabiny*. Wydanie IV. Biblioteka Dwudziestolecia. Warszawa 1958. „Czytelnik"; str. 219.

Kilku recenzentów, którzy zauważyli wznowione *Całe życie Sabiny*, uznało książkę Heleny Boguszewskiej za dokument bardzo czcigodnej, ale absolutnie staroświeckiej tradycji tzw. literatury kobiecej. Ci sami ludzie uważają francuską szkołę „nowego realizmu" i *Odmiany czasu* Michela Butora za szczyt nowoczesności tak ekstrawaganckiej, że aż nieodpowiedniej dla nas ze względu na nasze narodowe zacofanie. Wszystko widzieć oddzielnie — to zasada, której nie przywykło się u nas naruszać, choćby się bardzo ostentacyjnie wyśmiewało ze „strasznych mieszczan" Tuwima. A tymczasem powieść Boguszewskiej uznać by można za nasz polski manifest „nowego realizmu" i to z metryką bez mała dwudziestopięcioletnią. Któż się potrafi rozeznać w naszych polskich paradoksach.

Całe życie Sabiny (1934) jest obok książki autobiograficznej *Czekamy na życie* (1947) najświetniejszym utworem Boguszewskiej. W wypadku *Całego życia Sabiny* trudno nawet mówić o świetności początków pisarskich autorki. Boguszewska, niemal rówieśniczka Nałkowskiej, zaczęła pisać w wieku pełnej dojrzałości twórczej. Już dwie jej pierwsze książki — *Świat po niewidomemu* (1932) i *Ci ludzie* (1933) — miały smak prozy pisarza całkowicie ukształtowanego. *W Całym życiu Sabiny* wyraziła Boguszewska najpełniej i najswobodniej swoją własną osobowość twórczą.

W późniejszym pisarstwie podporządkowała Boguszewska swoją sztukę podwójnemu rygorowi: współpracy w spółce autorskiej i założeniom grupy „Przedmieście". Z tego podporządkowania wyniknęły dwie najlepsze książki spółki i grupy — *Jadą wozy z cegłą* (1934) i *Wisła* (1935). Tylko dlatego zresztą, że Boguszewska nie poddała się całkowicie koncepcyjności socjologicznej Kornackiego i programowemu dokumentaryzmowi „Przedmieścia". Pierwszy z tych żywiołów zawładnął nie najszczęśliwiej *Polonezem* (1936—1939), drugi pozorami naukowości osłaniał ograniczenie artystyczne grupy. Boguszewska w każdym razie nie potraktowała serio niektórych pompatycznych sformułowań Haliny Krahelskiej z przedmowy do tomu *Przedmieście:* „Dzieło swe buduje Zespół na nowych założeniach metodologicznych, obcych dotąd w świecie literatury pięknej: — wyrzeka się fantazjowania na tematy życia, uznaje obserwację bezpośrednią, rzetelną, wnikliwą i pracowitą za zasadniczy element swej pracy artystycznej" (str. VII—VIII). Dla dokumentaryzmu socjologicznego nie zrezygnowała Boguszewska z podmiotowego widzenia zjawisk życia. Co najwyżej jednopodmiotowość *Całego życia Sabiny* zastąpiła wielopodmiotowością, tak ostro po latach atakowaną przez krytykę socrealistyczną. Wszyscy bohaterowie *Jadą wozy z cegłą* i *Wisły* widzą i oceniają życie z własnych, indywidualnych punktów widzenia. W konsekwencjach artystycznych oznacza to tak zwany subiektywizm, stosowanie introspekcji i mowy pozornie zależnej. Konsekwencje moralne są jeszcze bardziej istotne.

Społeczność przedmieść, rozumianych przecież przez samych twórców grupy jak najbardziej metaforycznie, jest przynajmniej w sensie moralnym społecznością ludzi wolnych i niezależnych wewnętrznie. Schulz, także członek „Przedmieścia", przeciwstawił swój świat ludzi wolnych światowi „manekinów". Przeciwstawienie to jest zawarte *implicite* w twórczości Boguszewskiej i Kornackiego. Ich zafascynowanie ludźmi przedmieść i peryferii jest jednocześnie manifestacją pogardy dla ludzi włączonych w tryby, dla ludzi zautomatyzowanych i pozbawionych niezależności wewnętrznej. Ucieczka na peryferie jest więc dla nich ucieczką do ostatnich rezerwatów wolności. W sensie socjologicznym jest to świat lumpenproletariacko-drobnomieszczański, ale ważniejsze od rozróżnień socjologicznych są tu rozróżnienia moralne. Rzemieślnicy, sklepikarze i bezrobotni Grochowa, wodniacy z berlinek wiślańskich i najrozmaitsi lumpenproletariusze to przede wszystkim ludzie, w których poczucie społecznej solidarności jest funkcją poczucia nienależności indywidualnej. Kult wspólnoty międzyludzkiej nie jest u Bogu-

szewskiej i Kornackiego w żadnym razie kultem wspólnoty stadnej czy, jeszcze gorzej, wspólnoty świata manekinów. W powojennej powieści radiowej *Anielcia i życie* (1949) jeden z bohaterów Boguszewskiej wypowie się w ten sposób: „Bo tu, w kawiarni, wszyscy mężczyźni są do siebie podobni i kobiety są do siebie podobne... Zmieniają się, a całość jest ta sama...“ W świecie „przedmieścia“ nie ma miejsca na beztwarzowość. Jedna z bohaterek *Wisły* wyrazi to w kapitalny sposób: „Dla mnie zabicie jest, jak kto tak na mnie patrzy, jakby mnie już nie było...“.

Jakkolwiek wysoko oceniałoby się zasługi Boguszewskiej dla spółki autorskiej i grupy literackiej „Przedmieście“, niesposób nie stwierdzić, że podporządkowanie się Boguszewskiej któremukolwiek z tych zakresów solidarności ograniczyło jej swobodę twórczą. Nie sądzę jednak, że było to podporządkowanie przypadkowe lub nie w pełni świadome. Autorka *Całego życia Sabiny* nie mogła czy nie chciała dźwigać ciężaru tej wiedzy o życiu, która się stała udziałem Sabiny. Wiedza i doświadczenie Sabiny są przydatniejsze dla sztuki umierania niż dla sztuki życia. Sabina zwierza się z nich, ponieważ wie, że musi umrzeć. Dla syna, Kazimierza, który ma żyć, nie oczekuje jednak największych wtajemniczeń. Na zapytanie przyjaciółki, czy chciałaby, żeby syn jej był geniuszem, odpowiada z pełnym przekonaniem: „Nie, zwyczajny, tylko żeby był dobry i nie kłamał. I żeby się co chwila nie zmieniał i żeby można było na niego liczyć...“ (str. 33). Boguszewska, jak Sabina, chciała wybrać mniej, żeby zyskać więcej. Nie miejsce tu zastanawiać się nad tym, czy wybór był szczęśliwy. Jedno jest pewne, że w *Całym życiu Sabiny* odsłoniła Boguszewska ostateczną miarę rzeczy i w kategoriach ostateczności niewiele więcej już dałoby się o życiu powiedzieć. W tej książce sięgnęła Boguszewska najgłębiej w sprawy życia i najwyżej w sprawy sztuki.

Przedśmiertna świadomość Sabiny jest świadomością człowieka, który poznał wszystko, co można poznać. Rozważając swoje życie „po sukniach“, „po mieszkaniach“, „po służących“, „po książkach“, chce Sabina po raz ostatni zatracić się w znikomej, ale jedynej realności. Określoność i skończoność świata rzeczy i sytuacji staje się miarą i wykładnikiem dramatu życia, jego nadziei i nieuchronnej klęski. Ta klęska jest zagubieniem się ostatecznym we wszechogarniającej materialności świata. Ta ostateczna materialność wszystkiego, co ludzkie, jest odnalezieniem samej istoty epickości.

Epickość *Całego życia Sabiny* jest równie szlachetna jak epickość *Nocy i dni*, a ma w sobie ponadto coś bardziej powszechnego i odkrywczego artystycznie. Rzeczywistość rekwizytów społecznych i historycznych jest tu zastąpiona rzeczywistością jednorazowych a zarazem powszechnych kształtów świata.

W świecie rzeczy i sytuacji niezależnie od ich wyglądów i wartości wyczerpuje się człowiek i jego los. „Ale co robić, kiedy przyjdzie na człowieka taka tęsknota za głupstwem, za byle czym, za czymś, co nawet nie było dobre albo co było żadne, i tylko tyle, że w ogóle było?“ (str. 157). Taką potrzebę człowieka może zaspokoić sztuka, która jak myśl ludzka może odtworzyć to wszystko, co w ogóle było. Zbiór rzeczy i kłębowisko sytuacji, w których nie to jest ważne, co było ważne, ani nawet to, co powinno być ważne. „Boże drogi. Były potem rewolucje i wojny, i wielkie ruchy świata. I czyż to nie tamten tupot małych nóg po zielonych i różowych krajach mapy odczuwała duża Sabina, jak szli przez gęsto kreskowane wyżyny i puste niziny starego atlasu Kozena?...“ (str. 148). Wszystkie dramaty uczuć i myśli dadzą się w ostatecznym efekcie sprowadzić do wirującego kłębu sukni, książek, wszystkich rzeczy, które jego są. „Marysia zasypała całą kołdrę papierowymi lalkami, cielisty golas po któryś tam raz stawał się innym, a Sabina leży nieruchoma z zamkniętymi oczami, wpatrzona w tę swoją głąb: bo co się to tam nie porobiło, nie nakotłowało, nie naplątało... cały porządek pękł, cała kolejność, cały ład: — suknie jakby się pourywały z uwięzi, rozpętały, wszystkie na raz, wszystkie na raz... a w każdej inna Sabina, a w każdej ta sama Sabina...“ (str. 56—57). I można się w tym tak samo zagubić jak bohater *Odmian czasu* Butora w obcym angielskim mieście Blestonie. I można nawet skomplikowaną architekturę płaszczyzn czasowych powieści Butora zamknąć w prostszej i nie mniej pełnej znaczenia kompozycji rzeczy. „Ale Sabina na łóżku myśli sobie, że takie wspomnienia

we wspomnieniach, to jak czerwone, wielkie, drewniane jajko: w nim jest niebieskie, a w niebieskim żółte i tak bez końca... Jeżeli Sabina na ostatnim łóżku ma sobie przypominać tamtą na białym, lakierowanym, a tamta znowu tę małą, huśtającą się na poręczy mahoniowego... nie, dość tego — wracać do białego pokoju! (str. 35).

Manifestując bezsilność człowieka wobec życia i bezsilność artysty wobec sztuki, nie podważa Boguszewska samej możliwości trwania w chaosie rzeczy i w jeszcze większym chaosie ich odbicia. Można bowiem „nic naprawdę nie wiedząc — wszystkie egzamina pozdawać i jeszcze innych całe życie uczyć" (str. 75). Dobrze jednak wiedzieć, że się nic nie wie. Ostatecznie to szczyt tego, czego się dowiedział Sokrates. Po cóż udawać, że się dowiedziało więcej. Boguszewska jest przeciw takiemu udawaniu i jest to jeszcze jeden argument na korzyść jej starej, bardzo nowej książki.

Henryk Bereza

POECI WOBEC TWORZYWA

Rzecz Poetycka. Tworzywo. Pod redakcją Stanisława Czernika. Łódź 1958. Wydawnictwo Łódzkie; str. 177.

Inicjatywa wydawnicza redaktora *Rzeczy Poetyckiej*, Stanisława Czernika, zasługuje ze wszech miar na uznanie. Swego czasu mówiło się sporo o potrzebie powstania periodyku poświęconego sprawom twórczości poetyckiej, rodziły się różnorodne plany i projekty, cała historia spaliła jednak na panewce z powodów bliżej nie znanych. *Rzecz Poetycka* nie jest — jak głosi wstęp redakcji — wydawnictwem periodycznym, z pewnością jednak wypełni, choćby częściowo, zadania, jakie wydawnictwu takiemu można by postawić. Zapowiadana seria na rok 1958 ma objąć, oprócz *Tworzywa*, trzy dalsze tomiki: *Próg*, poświęcony sytuacji w poezji współczesnej, *Sto wierszy* i *Młodzi*. Piszący niniejsze słowa, z góry zgłaszając akces do klubu wiernych czytelników *Rzeczy Poetyckiej*, chciałby równocześnie wysunąć pewne sugestie, zmierzające do rozszerzenia zakresu tej imprezy. Otóż obok torów zapoczątkowanych w roku 1958 pragnąłbym w owej seriii widzieć przynajmniej trzy dalsze, które znakomicie mogłyby wzbogacić problematykę poetycką.

Po pierwsze sądzę, że wysoce celowe byłoby publikowanie dawniejszych prac teoretycznych poetów, ciekawszych programów artystycznych, manifestów szkół poetyckich etc. I to zarówno polskich, jak i obcych. Znalazłyby tu miejsce — podaję przykładowo — artykuły Peipera, szkice Brzękowskiego, antologia publikacji teoretycznych francuskiego nadrealizmu, eseje Paula Valéry, wybór artykułów programowych rosyjskiego futuryzmu. Są to rzeczy niezbędne dla poetów i krytyków, szczególnie najmłodszej generacji, której wykształcenie literackie pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Po wtóre — *Rzecz Poetycka* mogłaby przerzucić mosty pomiędzy poezją a nauką o niej. Myślę o pewnym rodzaju szkicu literackiego, który wprawdzie u nas nigdy nie był uprawiany, ale który np. w Rosji, w latach dwudziestych, rozwijał się niezwykle bujnie. Rozprawa Romana Jakobsona w Chlebnikowie czy Wiktora Winogradowa o poezji Achmatowej należą w tej chwili do klasycznych dzieł rosyjskiej „szkoły formalnej". W ogóle charakterystyczna dla tego kierunku badawczego była jego ścisła więź ze współczesną poezją. Prace „formalistów" — nawet najbardziej fachowe — znajdowały się na pograniczu krytyki literackiej. Ten rodzaj powiązań między poezją a jej naukową teorią może być bardzo owocny dla obydwóch. Rozwija się u nas w tej chwili w sposób imponujący jedna z gałęzi teorii języka poetyckiego — nauka o wierszu. Stopień specjalizacji jest tu jednak tak daleko posunięty, że osiągnięcia tej dyscypliny są w pełni zrozumiałe tylko dla nielicznych. Głośna dyskusja o polskim sylabotonizmie, ostat-

nie bardzo obiecujące próby zastosowania metod statystyczych do badań wiersza, dociekania nad wersyfikacją frazowo-intonacyjną — wszystkie te poczynania naukowe odbywają się poza życiem literackim, poza zainteresowaniami krytyków i pisarzy. Zbliżyć je do tych zainteresowań, stworzyć płaszczyznę, na której mogliby się spotkać teoretycy literatury, lingwiści, krytycy i twórcy — to chyba byłoby zadaniem wdzięcznym dla *Rzeczy Poetyckiej*. Wyobrażam sobie nawet, że wydawnictwo to mogłoby stymulować powstawanie pewnych „fachowych", a równocześnie szerzej zrozumiałych studiów na temat poezji.

Wreszcie — po trzecie — uważam, iż *Rzecz Poetycka* powinna zająć się bliżej niezwykle tajemniczą osobą anonimowego czytelnika współczesnej liryki. Pisał o nim niedawno w jednym ze swych artykułów Kazimierz Wyka. Czytelnik ów to niewątpliwie jedna z największych zagadek naszego życia literackiego. Kim właściwie są nabywcy tomików poetyckich, jakie są ich gusty literackie, kryteria wyboru, miary ocen? — takie i im podobne pytania mogłyby — jak sądzę — uzyskać odpowiedź w wyniku przeprowadzenia czegoś na kształt ankiety socjotechnicznej. Podsuwam ten projekt redaktorom *Rzeczy Poetyckiej*. Gra chyba warta świeczki. Tyle maksymalistycznych propozycji. Teraz o *Tworzywie*.

Ten zbiór wyznań dziewiętnastu poetów na temat zasad własnego tworzenia, na temat procesu twórczego i tzw. „warsztatu", może być odczytywany wielorako, za każdym razem z innego punktu widzenia. Można każde z owych wyznań potraktować jako swego rodzaju komentarz wyjaśniający indywidualną twórczość.

Można je odczytywać — nie wszystkie zresztą do takiej lektury się nadają — jako dokumenty psychologiczne, przydatne dla badań procesu twórczego (tradycyjnie teoria procesu twórczego, obok teorii przedmiotu estetycznego i przeżycia estetycznego, była składnikiem estetyki, współcześnie jest ona niemal wyłącznie domeną psychologii).

Można wreszcie te wyznania traktować jako dokumenty natury socjologicznej, jako interesujące przyczynki do analizy przeświadczeń twórców na temat ich „zawodu", „roli", „rzemiosła" etc. Szczególnie ten ostatni punkt widzenia jest usprawiedliwiony. Znamienne bowiem, że „rola" literacka bywa zazwyczaj sprowadzana do określonych pozaliterackich form działania społecznego. Poeta-obywatel, poeta-kapłan, poeta-rzemieślnik — oto typowe przykłady takich przyrównań, typowe przede wszystkim w dziejach naszej literatury. Kim zaś jest poeta jako poeta? Jakiego rodzaju jest „osobą"? Jakie są konstytutywne elementy tej „osoby"? Odpowiedzieć na takie pytania można tylko wówczas, gdy ujmuje się ową „osobę" w stosunku do tego, co stanowi naturalny przedmiot jej działań, oraz w stosunku do narzędzi tych działań. W stosunku do tworzywa i w stosunku do zasad tworzenia. Wobec materii poetyckiej i wobec sposobów organizowania jej w poezję.

Wypowiedzi skupione w *Tworzywie* są takimi właśnie próbami samookreśleń poetów. Każdy z nich rozumie swoją „rolę" literacką nieco odmiennie, ale wspólne im jest to, że mówią o sobie tylko i wyłącznie jako o podmiotach czynności twórczych, że tylko w ten sposób określają swoje stanowisko społeczne, a nie przez odniesienie go do jakichś funkcji pozaliterackich. Niewątpliwie dochodzi tu do głosu coś, co można by nazwać „liryzmem profesjonalnym", uczuciowy stosunek do własnego warsztatu pracy, stosunek, który występuje w każdym rodzaju działalności, w każdym zawodzie. (Znamiennym przykładem takiego liryzmu profesjonalnego są głośne *Rozważania o historii* Witolda Kuli. Nikt, o ile pamiętam, nie zwrócił na to uwagi, choć oglądana z tego punktu widzenia książka stanowiłaby przedmiot wielce interesującej analizy.)

Rozważania dziewiętnastu twórców (w tym dwóch nieżyjących: artykuły Czechowicza i Fika są przedrukiem z *Okolicy Poetów*) mają bardzo różnorodny charakter. Część szkiców to po prostu odpowiedź na ankietę: *Jak powstaje wiersz* (granicznym wypadkiem ankietowości stylu będzie kilkuzdaniowa wypowiedź Skonecznego), przy czym niektóre z nich przynoszą sporo cennych uwag, mających wartość ogólniejszą (wyznania Śpiewaka, Pogonowskiej, Sterna), ale są i takie, które cechuje zupełna jałowość (np. wypowiedź Ożoga). Pozostałe prace wymijają

pytanie ankietowe i w miejsce odpowiedzi na nie formułują pewne uogólnienia teoretyczne na temat twórczości i języka poetyckiego. Do najciekawszych należą: *Zapiski bez daty* Przybosia, *Nieco na temat sekretów twórczych* Piechala i *Zagadnienia poetyckie* Bąka. Oryginalny — choć grzeszący nadmierną pretensjonalnością — jest psychoanalityczny i mitotwórczy szkic Czernika *Poszukiwanie rodowodu*. Granicznym przypadkiem tego drugiego typu prac będzie fabularna opowieść Grzegorza Timofiejewa.

Z tej mozaikowej kompozycji, gdzie tylko parę stronic dzieli Przybosia od Iłłakowiczówny, chciałbym wydobyć pewne rysy, które pozwalają składniki owej mozaiki potraktować łącznie. Albowiem spoza różnorodnych tekstów, różnorodnych ze względu na postawę autorów, także ze względu na ciężar gatunkowy rozwijanej przez nich problematyki, przeziera jedna — w sensie socjologicznym — „osoba" poety, dość jednolity model pojmowania własnej „roli" literackiej. Zwróćmy uwagę na dwa istotne elementy tego wizerunku:

1. Pierwszą i podstawową cechą osobowości poetyckiej zdaje się być jej przekonanie o zasadniczo niewytłumaczalnym i tajemniczym podłożu twórczości. Przekonanie o niemożliwości dotarcia do źródeł tworzenia. Co więcej: przekonanie o tym, że jeśli się zechce do nich samemu dotrzeć, wtedy nie tylko czeka nieuchronna klęska, ale także grozi przygoda Meyrinckowskiej stonogi, która, zapytana przez ropuchę „skąd wie, kiedy i w jakiej kolejności ma ruszyć każdą ze swych stu nóg — skamieniała, gdyż namyślając się nad tym, jak to trzeba zrobić, po prostu nie potrafiła się ruszyć z miejsca". Historyjkę tę przypomina Anatol Stern, ale morał z niej płynący, niczym refren, przewija się przez szkice zawarte w *Tworzywie*. Czyli: nadmierne uroszczenia intelektu mogą działać paraliżująco na proces twórczy. To samo językiem sprzed lat pięćdziesięciu: myśl zabija natchnienie. Językiem Manna: „Siła życiowa, która samą siebie roztrząsa i analizuje, unicestwia się, a jedyną prawdziwą egzystencję stanowi istnienie bezpośrednie i nieświadome".

Poeta jest posiadaczem tajemnicy, której sam poznać nie może, ale która jego „osobę" wyróżnia spośród innych i nadaje jej charakterystyczne znamiona odrębności. Celebrowanie owej tajemnicy wydaje się być jednym z zasadniczych elementów społecznego „zachowania się" poety.

2. Jeśli źródła tworzenia są niewytłumaczalne, to pełnej racjonalizacji mogą natomiast podlegać czynności twórcze. Przeciwstawienie takie, występujące w niemal wszystkich wypowiedziach, dowodzi, że ekstremistyczna teoria (u nas reprezentowana przez Peipera), wedle której mówić o „warsztacie", to tyle samo, co mówić o „tworzeniu", nie zapuściła głębszych korzeni. Typowe w tym względzie przeświadczenie dałoby się tak ująć: w działaniu poety należy odróżnić sferę „natchnienia", „wyobraźni", „talentu" etc. od sfery czynności — by tak rzec — zawodowych i technicznych. Refleksja teoretyczna dotyczyć może wyłącznie tych drugich. Tylko one dają się zrozumieć i wyjaśnić. Zatem tylko one są społeczne. Wytłumaczyć można jedynie „warsztat". Poeta staje wobec dwojakiego tworzywa: wobec bezkształtnej materii psychicznej i wobec języka. Stąd wynika dualizm jego „roli" — tylko w zetknięciu z tym drugim tworzywem, w procesie formowania języka poetyckiego, zajmuje on postawę „zawodową".

W pojmowaniu owego dualizmu należy uwzględnić istotną poprawkę historyczną. Otóż im dalej od doświadczeń awangardy, tym większy obszar działań twórczych wymyka się racjonalizacji. Tym większa przewaga tego, co niewytłumaczalne i „nieprofesjonalne". I odwrotnie: w przeświadczeniach twórców awangardowych (dalekich zresztą od krańcowości Peipera) antynomia „warsztatu" i „nie-warsztatu" nie zarysowuje się tak ostro. Teoretyczna świadomość tworzenia sięga znacznie dalej, a to z kolei decyduje o bardziej jednolitym — bardziej „profesjonalnym" — stanowisku wobec „osoby" i „roli" poety. Szczególnie charakterystyczne są w tym względzie wyznania Fika i Czechowicza.

Koncepcja poety jako „osoby" społecznej należy do zjawisk historycznie zmiennych. Trudno byłoby mówić o jakimś ogólnym, pozaczasowym modelu traktowania „roli" poetyckiej.

Niewątpliwe jest chyba również, że każdorazowo koncepcja taka odciska się na kształcie samej poezji, przede wszy-

stkim w tym sensie, że określa typ podmiotu lirycznego. I tu — jak sądzę — znajduje się wręcz pasjonująca problematyka badawcza, nowy teren eksploracji dla krytyków i teoretyków literatury. Teren, gdzie nastawienie „socjologiczne" i nastawienie „formalistyczne" przestaną się nawzajem wykluczać, gdzie — przeciwnie — muszą iść ze sobą w parze.

Janusz Sławiński

„PAMIĘTNIKI NAUCZYCIELI-WETERANÓW"

Pamiętniki nauczycieli-weteranów. Wybrał, wstępem i objaśnieniami opatrzył Mikołaj Kozakiewicz. Warszawa 1958. Wydawnictwo „Iskry"; str. 360.

W r. 1955 redakcja *Głosu Nauczycielskiego*, dla uczczenia 50-lecia Związku Nauczycielstwa Polskiego, ogłosiła konkurs na pamiętnik nauczyciela-weterana. Nadesłano 4000 stronic maszynopisów i rękopisów. Mikołaj Kozakiewicz miał nie lada trudności z wyborem materiału do publikacji. Uważał, iż szeroki ogół czytelników bardziej zainteresują nie zagadnienia wiążące się z historią oświaty, lecz przede wszystkim te fragmenty, które w sposób najwszechstronniejszy i najpełniejszy kreśliłyby „wizerunek nauczyciela zarówno jako człowieka, jak też jako działacza społecznego".

W praktyce wielokrotnie pominięto to kryterium, co wpłynęło na dużą instruktywność opublikowanych materiałów pamiętnikarskich. Kozakiewicz nic nie wspomina o talentach pisarskich, artystycznych, administracyjnych, naukowych wielkiego zespołu ludzi wywodzących się z nauczycielstwa, którzy pracą swoją przeistoczyli nasze społeczeństwo w republikę demokratyczną. Nauczycielstwo było tylko etapem na ich drodze życiowej. Iluż ministrów, wojewodów, starostów, profesorów, pisarzy, artystów plastyków, muzyków wydało ze swoich szeregów nauczycielstwo! Nie jest to przecież „wizerunek nauczyciela jako działacza" czy tylko jako człowieka. Nie jest to również żaden awans. Talenty są poza schematami. Dwadzieścia pięć fragmentów pamiętnikarskich, opublikowanych przez „Iskry", mówi nam natomiast wielostronnie o dziejach naszego szkolnictwa podstawowego we wszystkich zaborach, w Polsce Odrodzonej i za obu okupacji niemieckich. Drzeworyty, akwarele, litografie, obrazy, fotografie dokumentują miejscowości omawiane w pamiętnikach, jak i poszczególne fakty z walk nauczycieli o wolność słowa i oświaty w minionym pięćdziesięcioleciu. Dziennik pt. *Na Ziemi Opolskiej* dr. Stefana Papée sięgnął nawet do wydarzeń obecnych, aktualnych na ziemiach odzyskanych. Szkoła w konspiracji Janiny Bem przypomina nam „Tajną Organizację Nauczycielską", na czele której stali: Czesław Wycech, Teofil Wojeński, Zygmunt Nowicki, Wacław Tułodziecki i Kazimierz Maj. W jakich warunkach odbywały się wykłady w owych czasach, niech pozostanie w pamięci pokoleń. Dokument to epokowy! Żaden naród nie przechodził przez takie udręki. Wspomnienia zamykają się w latach 1905—1945. Publikacja sięga głębiej w przeszłość. Cenne są fotograficzne reprodukcje wszystkich żartów, dowcipów i satyr z warszawskiej *Muchy*. Ale i rysunki ze *Szpilek* są charakterystyczne. Podobizny *Miesięcznika Pedagogicznego, Nowych Torów, Kuriera Świątecznego, Diabła, Cyrulika Warszawskiego, Płomyka* mówią więcej nawet niż teksty pamiętnikarskie.

W *Musze* z dnia 31 lipca 1926 r. znajdujemy rysunek przedstawiający dwóch nauczycieli, którzy siedzą na ławce w Alejach Ujazdowskich, pod rysunkiem podpis: „P r o f e s o r d o p r o f e s o r a: — W nowej Polsce my i ptaszki to jedno: żyjemy z tego, co komuś spadnie z nosa!".

Wszystkie resorty miały wtedy z reguły pierwszeństwo przed oświatą, toteż na jakąkolwiek poprawę doli nauczyciela przeznaczano resztki, pozostałe po zapreliminowaniu wydatków budże-

towych. Ministrowie Stanisław Grabski, Ujejski, Czerwiński i wiceminister Żongołłowicz nie umieli nic zrobić dla polepszenia doli nauczycielstwa i dla rozwoju szkolnictwa. Pamiętniki wciąż podkreślają niskie uposażenia, nieznośne wtrącanie się w życie szkolne czynników niepożądanych, okupacyjnych: austriackich, pruskich i rosyjskich. Wynaradawianie przez szkołę — oto zasada, jakiej przestrzegali zaborcy. Brak więc było odpowiednich budynków w miastach, a na wsi nauczanie odbywało się nieraz w kurnych chatach, i to w głodzie i chłodzie. Podręczników, pomocy pedagogicznych przy nauczaniu matematyki, przyrody, fizyki, geografii, historii nie stosowano, a i kajetów często nie starczyło. Dziś dopiero społeczeństwo nasze w związku z tysiącleciem państwa polskiego może postawić przed sobą zadanie wybudowania tysiąca szkół. Macierz Szkolna, mimo tylu światłych i naprawdę ofiarnych ludzi, nie potrafiła nadążyć za potrzebami oświatowymi narodu.

Już sam fakt, że obecnie mamy „nauczycieli zasłużonych", że podnosi się pensje i zmniejsza liczbę godzin, że kwalifikacje zdobyte drogą specjalnego szkolenia pedagogicznego przewyższają nawet kwalifikacje nauczycieli angielskich lub francuskich — wskazuje, iż wyszliśmy z martwego zaułka negliżowania oświaty. Nie znaczy to, że osiągnięto już wszystko, co powinno być dokonane. Bo przecież i teraz napotkać można po wioskach pedagogów nie zawsze wzorowych. Zresztą z kadr nauczycielskich często przechodzą, nawet do rzemiosła, ludzie żądni pieniędzy. Krawiec, szofer, ślusarz zarabia znacznie więcej niż nauczyciel a nawet docent na uniwersytecie. Ongiś posiadaliśmy dużo nauczycieli nie zatrudnionych. Teraz nauczycieli brak. W pamiętnikach znajdujemy wiele głosów, pochodzących od nauczycieli i nauczycielek bezrobotnych.

Nie chciałbym przytaczać tych wspomnień. Smutne to karty. Przykre są też zatargi między nauczycielami, inspektorami, proboszczami, radami rodzicielskimi. Prawie że nie ma pamiętnika, którego autor nie opowiadałby o tego rodzaju... przykrościach zawodowych. I to powinno ustać, choć każdy zawód ma swe ciemne strony. Interesują te pamiętniki także sumą nie wyzyskanych możliwości autorów. Wśród dwudziestu pięciu pamiętników z niewątpliwym talentem pisarskim napisane są fragmenty wspomnień kresowego nauczyciela, Władysława Jodki.

Maria Urzędowska ze Skawiny wnosi również barwność, dosadność, obrazowość w publikowane wspomnienia z życia nauczycielstwa. Wspomnienia Floriana Kozaneckiego, zasłużonego nauczyciela, noszące tytuł *Pod znakiem Rodła*, zostały wyróżnione przez redaktora; zamieszczono aż dwadzieścia kilka stronic tego pamiętnika. Powinno się jednak wydać go w komplecie, ma on swoją wymowę i wagę społeczną. Pisany jest ręką wprawną i doświadczoną.

W ankiecie brało udział 329 nauczycieli. Redaktor M. Kozakiewicz robi z racji pamiętników, jak i ankiety, ważną uwagę. Prawie wszyscy weterani wypowiedzieli się z entuzjazmem o swojej pracy, dodając, że za nic nie zmieniliby zawodu na inny rodzaj pracy, choćby najlepiej płatny. Stąd wniosek, że nauczycielstwo jest powołaniem. Właśnie powołaniem! I tego nas uczą te wspomnienia.

Szeroki ogół polski powinien zapoznać się z pamiętnikami nauczycieli-weteranów. Uderza w nich i bujna żywotność naszej narodowości. Napotykamy wciąż w rodzinach 14, 10 i 8 dzieci — i z tych rodzin pochodzą nasi nauczyciele i nauczycielki! Znają oni życie swoich uczniów, wiedzą, w jaki sposób podchodzić do dzieci, zwłaszcza dzieci pozbawionych ciepła rodzinnego domu.

Wizerunek nauczyciela polskiego dzięki tym pamiętnikom ukazuje się naszemu społeczeństwu w nowym świetle, w nieznanej postaci. Posłowie do sejmu, członkowie rad narodowych, działacze związków zawodowych mają do dyspozycji materiał niewątpliwy, wskazujący na kierunek, w jakim powinniśmy prowadzić nasze prace i walkę o podniesienie kultury narodu. Pamiętniki nauczycieli-weteranów powinny znaleźć się w każdej bibliotece.

Eustachy Czekalski

PRZEGLĄD PRASY

W 47 numerze *Nowej Kultury* ukazały się dwa eseje o *Zamku* Kafki: szkic Tomasza Manna z roku 1940 oraz artykuł Andrzeja Wirtha. Andrzej Wirth słusznie pisze, że wprowadzenie Kafki na polski rynek literacki odbyło się w atmosferze obojętności, chłodnego snobizmu i fakt, który powinien mieć rzeczywistą doniosłość dla twórczości literackiej, dla wyobraźni zbiorowej, pozostał tylko faktem wydawniczym. Te uwagi odnosi Wirth nie tylko zresztą do Kafki. Zwraca uwagę na wyjątek, jakim była kariera Hemingwaya w Polsce. Tylko Hemingway — pisze krytyk — „wszedł już u nas w krąg kultury popularnej". Owa „kultura popularna" jest dla Andrzeja Wirtha kryterium kulturalnej doniosłości. Chciałby dla niej właśnie uratować Kafkę. Przeprowadza więc próbę jego realistycznej, ba! racjonalistycznej interpretacji: „Nie można też poprzestać na przekonywaniu współczesnych, że książki Kafki są najlepszym eschatologicznym modlitewnikiem dla ludzkości wykonującej swój ostatni taniec na ładunku atomowym... Trzeba po prostu spokojnie zastanowić się, czy możliwe jest takie odczytanie Kafki, które pozwoli na wprowadzenie go w zakres pedagogii socjalistycznej, na przełamanie elitarności i zbliżenie go do kultury popularnej...". Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu przy przepisywaniu tych słów krytyka, w których dobre, na wskroś kulturalne i naprawdę społeczne intencje nie wątpię, ale w których uderza mnie jakaś bezbrzeżna prostoduszność. Wirth demaskuje własne założenia krytyczne, kiedy proponuje prace krytyczne z celem z góry założonym — tym celem jest „wyinterpretowanie" Kafki. Pamiętamy dobrze to słowo. Było ono bronią uczciwych, przywiązanych do literatury badaczy, którzy wiedząc, że broniona przez nich pozycja niezupełnie pasuje do ideologii, a nie chcąc od ideologii odejść ani na krok, próbowali godzić ogień z wodą. Tak to wchodzili kolejno do skarbca socjalistycznych tradycji: Sienkiewicz, potem Kasprowicz, potem nawet Leśmian, tak to „interpretowało się" Flauberta, próbowało się z Proustem. Z Kafką, jak dotąd, nie próbowano.

Ale to takie zgryźliwe glosy, którymi nie zamierzam bynajmniej pokwitować pracy Andrzeja Wirtha. Tylko niechże — na miły Bóg — traktuje sam swoją pracę na serio. Praca krytyka polega na poznawaniu dzieła literackiego, nie na anektowaniu go *per fas et nefas*.

Niezależnie od tego uwagi Wirtha mają swoją niewątpliwą wartość merytoryczną. Przynajmniej dyskusyjną. Zwraca uwagę „faustyczna" koncepcja bohatera Kafki. Dlaczego? Czyżby K. rzeczywiście walczył o coś więcej niż o swoją własną sprawę? Wirth sam pisze o jego swoistym minimalizmie: „...Kafkowskiego Fausta nie poruszają ostateczne cele ludzkości i niewiele obchodzą go granice poznania...". Więc dlaczego Faust? „Motorem jego poczynań jest dążność do zaspokojenia najbardziej elementarnych warunków życiowych, do zadomowienia się i wrośnięcia w społeczeństwo, elementarna chęć bycia użytecznym i elementarna wiara w racjonalność ładu społecznego." Wirth powtarza tu pogląd Tomasza Manna: „Wyrażają (dzieła Kafki — przyp. *A.K.*) wrodzoną, podejrzliwą

wobec samej siebie samotność — pisze autor *Doktora Faustusa* — walczącą o porządek i prawidłowość, o prawa obywatelskie, ustalony zawód, małżeństwo — jednym słowem wszystkie »rozkosze codzienności«. Wyrażają zawsze cierpiącą niepowodzenia, bezgraniczną chęć właściwego życia". Wydaje mi się, że wielki pisarz i krytyk dążący po tropach jego myśli niezupełnie trafiają we właściwe intencje Kafki. Zachwyciło mnie określenie Tomasza Manna — „religijny humorysta". Widzę natomiast inne konsekwencje tej znakomitej formuły. Widzę inną nieco funkcję Kafkowskiego humoru, o którym Mann pisze: „...Religijnym humorystą czyni Kafkę to właśnie, iż o niepojętym, irracjonalnym, nie mieszczącym się w ludzkich rachubach transcendentnym świecie nie mówi on — jak literatura skłonna jest zazwyczaj czynić — stylem wzniosłym, ekstatycznym czy przesadnie emocjonalnym. Nie, Kafka widzi ten świat jako austriacki urząd, jako spotęgowanie drobiazgowej, upartej, niedościgłej, niewytłumaczonej biurokracji, gigantyczny system dokumentów, kierowany przez jakąś niejasno odpowiedzialną biurokrację urzędniczą. Widzi go okiem satyryka; równocześnie jednak z całkowitą szczerością i wiarą, i poddaniem się walczy o wewnętrzne zdobycie niepojętego królestwa łaski — chociaż rolę techniki spełnia u niego zamiast patosu satyra".

Inaczej rozumiem humor Kafki, inaczej też rozumiem jego stosunek do porządku społecznego. Bohater Kafki jest skazany na poszukiwanie Boga. Nie może wyrwać się z kręgów ludzkiego porządku, który jest straszny i groteskowy. Groteskowy jest właśnie wobec tej jednej jedynej sprawy, która obowiązuje i która jest nieskazitelnie wzniosła. Bohater Kafki nie poszukuje szczęścia ludzkiego, przeciwnie — nie może się od niego uwolnić, jest ono ową „gorszą cząstką". K. wdeptuje w nie jak w błoto. „Człowiek szuka absolutu, otrzymuje w zamian miłość drugiego człowieka, który jest śmiertelny" — mówi pięknie poeta. Miłość u Kafki jest rozpaczliwa, byle jaka, obrzydliwa, wulgarna. Urzędy są bezsensowne — nie dlatego, że nie mogą zaradzić ludzkim sprawom, dlatego, że są jedynym znakiem porządku, który świadczy o istnieniu Boga. Wydaje mi się, że żadna siła nie zdoła pozbawić Kafki tej metafizycznej, po prostu religijnej treści. Wszystkie inne są do „wyinterpretowania", są akcydentalne, historycznie zmienne. *Boska komedia* jest dla nas przede wszystkim obrazem średniowiecza, tracimy z oczu jej treści mistyczne. Ale one istnieją. Może być dla kogoś Kafka świetnym satyrykiem i optymistycznym piewcą ładu społecznego. Nie mogę nikomu zabronić takiego czy innego czytania. Ale nie chciałbym, aby w krytyce szerzył się taki „impresjonizm polityczny": „Dramat kafkowski polega na niemożności nawiązania kontaktu z grupą, poza którą nie ma wyzwolenia. Jest w tym już schemat jednego z najbardziej znamiennych i podstawowych konfliktów epoki, w której wyzwolenie jednostki dokonuje się poprzez ruchy masowe" — pisze Andrzej Wirth. Twierdzi, że Kafka jest antyromantyczny i pisze trochę zagadkowo: „Romantyczny ideał wolności od społeczeństwa, który w dwudziestym wieku przestał cokolwiek oznaczać, zamienił (Kafka) na bardziej aktualny i tylko pozornie bardziej minimalistyczny ideał swobody od przeszkód w dążeniu do czegoś poza tym". (?) Gdzie wyczytał krytyk u Kafki ideał swobody? U Kafki jest ideał świętości, nie wolności — to zupełnie co innego. Wszystko, co jego bohaterowi może ofiarować społeczeństwo: miłość, szczęście, wolność — wszystkie radości ziemskiego, ludzkiego raju są rozpaczliwą nędzą wobec jedynego szczęścia, które jest nieosiągalne. Szczęście jest tylko w Zamku.

Myślę, że taki naprawdę jest Kafka, choć nie jestem pewien, czy taki jest świat. Świat może jest taki, jakim widzi go Tomasz Mann — racjonalny, domagający się pokornego uznania, a może taki, jakim widzi go Kafka — absurdalny i groteskowy z punktu widzenia absolutu. Wszyscy pisarze mają rację — obcowanie z literaturą jest przepływem chwil — chwili radości, rozpaczy, energii, zwątpienia, w żadnej z chwil człowiek nie jest prawdziwy, w żadnej nie jest jedyny. Są chwile Kafki i chwile Tomasza Manna. Bywają także chwile Andrzeja Wirtha. Ostatnio nawet coraz częściej.

*

W dyskusji nad artykułem Artura Sandauera zabrał głos Stefan Żółkiewski (*Nowa Kultura*, nr 46). W artykule pt. *Przeciw filisterstwu* publicysta określa przede wszystkim polityczne konse-

kwencje rozważań Sandauera. Autor cyklu *Bez taryfy ulgowej* — twierdzi Żółkiewski — nie docenia liberalno-demokratycznego nurtu kultury polskiej, który w naszych warunkach społecznych był nurtem najwartościowszym, najlepiej służącym postępowi. Przykłady dobrane przez Sandauera uważa Żółkiewski za nietrafne i niewystarczające; inaczej, pełniej należy ten nurt scharakteryzować, wówczas ukażą się jego właściwe wartości. Wydaje mi się, że wobec artykułu Sandauera, wobec głosów polemicznych, jakie się w związku z nim odezwały, mogę powtórzyć to, co napisałem miesiąc temu, że Sandauer nieprecyzyjnie wyznacza zakres swych pamfletów; mówiąc o problemach w gruncie rzeczy szczegółowych, często nawet marginalnych, pozoruje syntezę generalną.

Żółkiewski atakuje także pozytywną, programową część wywodów Sandauera, która w istocie jest najsłabsza. Owa „dobra robota", którą proponuje krytyk, dobra robota opatrzona jeszcze w dodatku cnotą „nowoczesności", rzeczywiście brzmi dość zagadkowo. Wydaje mi się jednak, że Żółkiewski nie dostrzega w artykułach Sandauera jednej zasadniczej cechy: mianowicie ich antyelitarności. Nie mówię w tej chwili o gustach Sandauera, o jego nadziejach artystycznych — nie bardzo mi się podoba koncepcja ludowości czy plebejskości, jaką krytyk lansuje. Chodzi mi natomiast o intencję wydarcia literatury z rąk speców i szczebiotek. Żółkiewski zarzuca Sandauerowi, że ten atakuje społecznikostwo owej literatury liberalno-demokratycznej. Nie dostrzegam tego: zrozumiałem, że atak Sandauera jest wymierzony przeciwko zarozumialstwu, przeciwko pysze kulturtregerów, przeciwko apostołom kultury, którzy wyrobili sobie na nią monopol. Sandauer jest za traktowaniem literatury serio — do tego właśnie nie są zdolni spece od jej „udzielania" społeczeństwu, dla nich to zabawa. Sandauer ma nienawiść prowincjusza do „warszawskich literatów", bywa brutalny i prostacki, ponieważ nie przyjmuje umownego, wygładzonego w kawiarnianych konwentyklach systemu ocen i wartości. Jest trochę dzieckiem, trochę profesorem — jest jak wujek z prowincji, który nie może zrozumieć swych stołecznych krewniaków. Trochę śmieszy, trochę złości, zwłaszcza wtedy, kiedy ma rację.

Ciekawą natomiast rzecz zauważył Włodzimierz Maciąg. „Skandalizujący charakter rozpraw — pisze w artykule *Ferdydurke na serio albo o nowym wypadzie Artura Sandauera (Życie Literackie*, nr 355) — także wywołuje niechęć, autor nie zdaje sobie sprawy, jaki żer daje ludziom, wobec których wyniośle zaznacza swoją wyższość, tzn. wszelkiej maści kołtunom. Zamiast stać się sztandarem czołowych artystów — jak zamierzał — zamienia się w coś w rodzaju gladiatora potykającego się ku uciesze gawiedzi różnych orientacji... Staje się także orędownikiem wszystkich niedocenionych, skrzywdzonych przez koterie, skłóconych ze środowiskiem — ci najwięcej chyba spodziewają się po jego wystąpieniach, mają nadzieję, dla nich przecież robi się miejsce..."

Inaczej mówiąc: głos Sandauera, który odezwał się w momencie powszechnej nieaktywności, sprzyja nieaktywności — sprzyja jej każda negacja. Dobrze jest powiedzieć ludziom, którzy nic nie robią, że to, co inni robili, funta kłaków niewarte. Sandauer uderzył nie w momencie stabilizacji i samozadowolenia. Sandauer dopomógł nastrojom depresji, minimalizmu, roczarowań co do roli i możliwości literatury w naszym kraju. Jego propozycja dobrej roboty jest wtedy w gruncie rzeczy gołosłowna: nie można przychodzić z drwiną jako programem serio. Krytyk jest trochę pedagogiem. Powinien wiedzieć, kiedy należy poniżać, kiedy chwalić. „Kiedy się wywyższa, poniżam go, kiedy się poniża, wywyższam go"' — mówi Pascal. Kiedy należy unicestwiać, obnażać pozory, kiedy zaś należy kreować i stwarzać pozory.

Tak, stwarzać pozory. Kiedyś przypadł mi w udziale obowiązek opracowania na użytek wydawnictwa katalogu poezji współczesnej. Musiałem wypisywać notki reklamujące poetów, o których wiedziałem doskonale, że niewiele wnoszą, że są po prostu falą, ilością, masą. Każdemu musiałem wymyślić jakąś szczególną cechę, jakąś własną problematykę, która odróżnia go od innych, musiałem skonstruować każdemu jakąś mikro-dialektykę rozwoju („nowy tom wierszy tego poety nosi znamiona rozwoju i pogłębienia"...). Jakiż piękny obraz poezji współczesnej z tego wyniknął! Nieprawdziwy? Zdawałoby się, że nieprawdziwy, ale w stosunku do czego? W stosunku do naszego przeświadczenia, w stosunku do

naszego gustu, który posiada jakąś tam obiektywną, absolutną miarę wartości? Wszystko to fikcja. Literatura jest taka, jaka jest. Jest jedyna, a więc najlepsza, a więc należy ją zawsze traktować serio, po cenie kupna. Należy jej nadawać znaczenie, należy wygładzać jej zmarszczki. Aż do chwili, kiedy na horyzoncie pojawi się nowa literatura. W imię nowej literatury można niszczyć bez litości, bez żadnych skrupułów, i im ostrzej, tym lepiej. Ale dopiero wtedy: niszczenie w imię własne jest pychą nie do darowania.

Andrzej Kijowski

GARŚĆ FIOŁKÓW

Sporo napisano już o Tadeuszu Mikulskim, zmarłym tragicznie w sile wieku przed trzema miesiącami. Żałowano go szczerze, wspominano boleśnie, nieraz — opłakiwano. Pozostawił wyrwę w sercach i myślach wielu ludzi. A jednak we wspomnieniach tych, jak w jego życiu — czegoś brakowało. W życiu przede wszystkim — zdrowia, we wspomnieniach — krwi.

Odmalowano jego portret jako badacza, naukowca, bibliografa, profesora i pisarza, zapomniano o jego głosie, uśmiechu, spojrzeniu. Na miłym wieczorze, urządzonym w dniu Jego imienin w Klubie Księgarza na rynku Starego Miasta w Warszawie, czytano i mówiono rozmaicie o różnych okresach jego życia dorzucając sporo nowych szczegółów do znanej biografii. Ale wszyscy prelegenci zgadzali się niemal „okrutnie" na jedno: Tadeusza Mikulskiego nie można wyobrazić sobie inaczej, jak z książką w ręku.

Otóż można i należy! Zarówno pod kwitnącą jabłonią na Oporowie, jak z garstką fiołków w Wieńcu; i na widowni teatru warszawskiego, i na peronie dworca wrocławskiego; z kieliszkiem strzemiennego w ręku przed odjazdem do Wrocławia i z małą walizeczką w ręku po powrocie do Warszawy, z uśmiechem i z marsem, w pośpiechu i w spokoju, opowiadającego z humorem przygody lekarskie i — bibliograficzne. Gdyż był to wprawdzie wybitny uczony, wytrwały badacz, niestrudzony bibliograf, ale — przede wszystkim uroczy człowiek! A to się uczonym, pisarzom, badaczom tak rzadko zdarza.

Kto nie znał Tadeusza Mikulskiego, jego uśmiechu, sposobu mówienia, spojrzenia, ten wiele stracił. Ośmielę się rzec, że więcej niż ten, kto nie przeczytał jego studiów o Chełchowskim czy Czahrowskim. Kto nie poznał jego dobroci, lojalności, uczynności, delikatności, sumienności, ten stracił więcej niż odległy czytelnik jego znakomitych krasicianów.

Niezwykły urok osobisty Tadeusza Mikulskiego najlepiej może odmalował inny tragiczny Tadeusz, jego umiłowany uczeń z czasów wojennych kompletów uniwersyteckich — Borowski. W r. 1947 wspominając te czasy pisał w *Pewnym Żołnierzu:*

„W Gabinecie Korbuta na Krakowskim Przedmieściu, naówczas pełnym książek, a dziś świecącym wypalonymi murami, odbywały się wykłady z bibliografii. Profesor był bardzo młody i mówiąc rumienił się jak panna. Wyciągał dla nas inkunabuły średniowieczne, oprawne w obszyte skórą deski, objaśniał ówczesną technikę wyrobu papieru i proces tworzenia książki. Seminarium było na parterze, a okno wychodziło na podwórze, z ulicy zaś nie docierał do sali żaden odgłos poprzez grube ściany starego pałacu. Toteż można było w tej sali, pełnej starych książek i przesiąkniętej specyficznym zapachem biblioteki, odpocząć zapomniawszy o ulicy, żandarmach i szpiclach, a także o domu, który był magazynem rozmaitych przedmiotów bardzo użytecznych w życiu konspiracyjnym.

. . . . . .

Pamiętam zakończenie pierwszego roku akademickiego. W pięknej willi pod Warszawą, w ogrodzie pełnym kwiatów, malin i czereśni, zasłoniętym żywopłotem od ulicy, spacerowaliśmy po alejkach i obrywając pełnymi garściami owoce omawialiśmy plany na przyszłość, jakbyśmy byli pewni, że bezpiecznie dojedziemy do domu.

Urządziliśmy także szopkę. Na kartonie namalowaliśmy ogród, zaludniony krzewami. Każdy krzew oznaczał jednego z nas... Profesor, który wykładał nam dzieje literatury średniowiecznej i zaznajamiał z tajemnicami książki, był fiołkiem, ukrytym wśród olbrzymich słoneczników. Kiedy odczytano odpowiedni wierszowany tekst, chwalący skromność profesora, a wszyscy śmiejąc się klaskali w dłonie, on wstał, zarumienił się jak panna, wydobył spod poły surduta książkę i rzekł nieśmiało:

— Ponieważ kończymy rok akademicki, pozwolę sobie odczytać z pamiętnika Karpińskiego, jak to on zdawał maturę w Warszawie przed bez mała półtora wiekiem.

Karpiński jest jednym z najsympatyczniejszych poetów epoki klasycyzmu. Pisywał czułe sielanki i bukoliki. Ówczesnym zwyczajem swoje świadectwo dojrzałości miał odebrać w kościele. Zjechała się szlachta, krewni bliżsi i dalsi, zajaskrawiło się w kościele od kontuszów, jako że inni jego koledzy też tego dnia świadectwo odebrać mieli. Kiedy przyszła kolej na naszego sielankopisarza — czytał profesor — jakiś widać podpiły szlachciura krzyknął ze stalli:

— *Veto*, nie pozwalam!

Wyglądało na to, że zarzucał abiturientowi, jakoby ten nic nie umiał. Przezorny poeta sięgnął za pas, wyjął obuszek i zdzielił nim pijanicę przez łeb. Szlachcic milczkiem osunął się pod ławę. »I tak uroczystość bez przeszkód końca dobiegła.« Profesor uśmiechając się zamknął księgę i usiadłszy w rogu kanapy wypił szklankę wody, podaną przez uczynne studentki."

Młody, uśmiechnięty, nieraz istotnie rumieniący się jak panna, miły i skromny — aż nazbyt skromny jak na swoje możliwości, lekko już wtedy zasapany i popijający wodę w kątku kanapy, taki najwierniejszy portret Tadeusza Mikulskiego „z czasów młodości" pozostał na zawsze w oczach rozmiłowanych w nim wojennych studentów.

Taki sam, mimo przejść powstania i obozu, był jeszcze po powrocie, gdy na jesieni 1945 r. wyruszył do Wrocławia. 22.XI.45 r. pisał stamtąd:

„Wylądowaliśmy we Wrocławiu zgodnie z planem. Profesor... przyjął mnie w sposób gościnny i dobrze rokujący na przyszłość. Oba listy... odczytał — jak to później stwierdził — »uważnie i bez uczuć mieszanych«... Pewne trudności wywołało jednak sformalizowanie mojej osoby. Ostatecznie zostałem podany jako adiunkt Instytutu do aprobaty rektorskiej (w VI stopniu), która jeszcze nie miała czasu nastąpić. W tym najlepszym wypadku pensja moja wynosiłaby niewiele ponad 2000 zł. Żeby skończyć ze sobą: mogą wyniknąć pewne trudności z moim zastępstwem... ale nie zrażam się początkiem... W zakładzie zastałem sporą bibliotekę (ok. 2000 dzieł) jak na moje spodziewanie, w tym 500 polskich literariów... Biblioteki literackiej nie wyłączam z ogólnego zasobu, ponieważ posiada wspólną sygnaturę i katalog, ale na dobrą sprawę należało to by uczynić. Lokal Instytutu (wydzielony w ogólnym gmachu) obejmuje: 2 pokoje biblioteczne (magazyny), salę wykładową, czytelnię, dwa pokoje profesorskie... pokoik asystencki... Planowane jest przeniesienie do gmachu, który obecnie jest w remoncie a zawiera obszerne pomieszczenia dla nas (katedra literatury starszej ma dostać 10 pokoi).

Zatrzymaliśmy się w Instytucie Śląskim, szukamy mieszkania (z tym niełatwo) i patrzymy na nowe życie, nie zrażając się chwilowymi przeciwnościami... Dziś zaczęliśmy wykłady; ja zgłosiłem Proseminarium (2 godz.), Literatura w. XVI (2 godz.), Lektura tekstów (1 godz.). Dziś miałem wykład wstępny, informacyjny."

Ta prosta, niemal oschła relacja o sobie zostaje w sześć dni później uzupełniona inną, 28.XI.45 r.:

„Już po trosze wrastamy w teren. Zakład nastręcza wiele jeszcze roboty; bo prócz księgozbioru podstawowego znajduje się tu wiele książek rozmaitego pochodzenia o pewnej przydatności literackiej. Te wybieram z wielkich stert makulatury i zatrzymuję dla przyszłych prac katalogowych. Ale biblioteka zakładu jest dość biedna: zawiera kilka podręczników, nieco pomocy bibliograficznych, garsteczkę autorów i opracowań. Cała ta grupa literacka pozostaje wciśnięta między dział języka i slawistyczny. Nie wyłączałem jej dotychczas dla pewnych względów rzeczowych (lokal, katalog, sygnatura)...

Wykłady i ćwiczenia przy stałej frekwencji idą mi dość pomyślnie. Materiał studencki wykazuje dwie formacje: 1. lwowską i 2. miejscową. Młodzież garnie się do nauki chętnie i skwapliwie, ale wykazuje na ogół większe luki aniżeli roczniki warszawskie (nawet wo-

jenne), do których przywykłem... Miałem obszerniejszą rozmowę z rektorem, który powitał mnie z całą uprzejmością, ale... obniżył szóstkę, proponowaną przez dziekana, na siódemkę (do czasu habilitacji)...

Stałej tendencji krakowskiej: przewagi języka nad literaturą w studium polonistycznym, wydaje mi się, należy przeciwstawić myśl współpracy harmonijnej.

Najgorzej jak dotychczas z mieszkaniem. Siedzimy ciągle w Instytucie Śląskim (w pokoju hotelowym), gdzie spoglądają na nas zezem... Jeszcze nie mogłem tu podjąć jakiejś pracy naukowej. Na razie zbieram przyczynki do tematu Polonistyka Wrocławska, a z przechadzek po mieście wyławiamy przygodne reminiscencje literackie..."

Zarysowują się więc pierwsze szkice *Spotkań wrocławskich*, ale zarazem z biegiem lat pojawiają się na warszawskim, uśmiechniętym portrecie młodego profesora pierwsze rysy zmęczenia, zasmucenia, może zarazem oznaki zbliżającej się choroby. Po trzech latach wrocławskiej pionierskiej pracy przerost obowiązków wyrywa mu słowa (27.III.48):

„...Ludzie. Proszę mi wierzyć, że ja muszę wszystko niemal załatwić osobiście! Nie chcę rozszerzać się nad tym tematem, zwłaszcza listownie, ale obserwuję coraz mniej dokładności i rzetelności w pracy... Brak należycie wykwalifikowanych i odpowiedzialnych współpracowników. Czy się ich wychowa? Nie umiem żyłować ludzi... Wszyscy urządzają sobie życie (lub je właśnie dezorganizują), leczą się lub chorują, są ironiczni i pewni siebie, grymaszą... i zostawiają robotę, by się odleżała lub żeby zrobił ją kto inny. Niepotrzebnie się rozpisałem, ale jakoś za wiele zebrało się goryczy... Będę ciągnął dalej, bo — cóż mam robić innego, a po drugie ambicjonuję się robotą... Tylko już chwilami ma się tego za dużo."

A w trzy miesiące później (11.VI.48):

„Wrocław zżera ludzi swoją pustką i odległościami zupełnie straszliwie. Siedzę tu trzy lata — pracuję jak wół, a cóż zrobiłem."

O tym, jak dużo zrobił, najlepiej wiedzą wrocławianie: jego dawni i nowi studenci, magistrzy, doktoranci; sale wykładowe, seminaryjne, biblioteczne, drukarskie; ulice wrocławskie, które w pośpiechu przemierzał, i cienie Molińskich, Dembowskich, Zmorskich, Polów, Lenartowiczów, które wskrzesił i ożywił na kartach swej książki i z którymi na wspólny apel zbyt wcześnie się stawił. W głębi duszy on sam zdawał sobie sprawę, jak wiele dał z siebie Wrocławowi, wszystko — co mógł oddać. Ale jak na to, co tam zastał i co wypadło mu podjąć, był niewątpliwie za delikatny i za wrażliwy, choć tłumiąc bezwzględnie te swoje przyrodzone cechy psychiczne, raz rozpoczęwszy nie porzucił do końca swej syzyfowej pracy: profesorskiej, bibliotecznej, wydawniczej i redaktorskiej. I w tej ostatniej piętrzące się trudności wywoływały nieraz takie parafrazy (18.II.54):

„Wrogowi życzę redagowania pisma! Toż to męka. Jak Dant za życia przeszedłem przez redakcję."

A przecież mimo tych wszystkich obowiązków, coraz dokuczliwiej odzywającej się choroby i „dantejskich" doświadczeń organizowania życia umysłowego w zrujnowanym mieście — znajdował Tadeusz Mikulski czas dla przyjaciół i bliskich, nawet wtedy, kiedy przyjaciele ci byli bardzo jeszcze malutcy. A gdy czasem chcieli mu sprawić przyjemność, z radością potwierdzał przesyłki pocztowe: „Karpiński i Feliński pocieszyli moje posiwiałe serce" (II.54). Siwizna psychiczna zbyt wcześnie niestety rozsiadła się w jego sercu. Zapoczątkowała tragiczną walkę z nieustępliwą chorobą, walkę podsycaną pragnieniem pracy, chęcią do życia.

Walka taka musiała po paru latach radykalnie zmienić, zaostrzyć i zasmucić rysy młodzieńczego portretu warszawskiego. Niewiele było już uśmiechu w liście z 1957 r.:

„Ze zdrowiem moim niezbyt tęgo. Trzeba czymś płacić straszliwe lata pionierki wrocławskiej, która dała mi radę dokumentnie. Niby już wróciłem do zdrowia, ale pracować się nie chce — i w tym właśnie siebie nie poznaję... Byłoby wszystko dobrze, gdyby nie to, że trzeba czasem zajrzeć do lekarza... Mamy go w sąsiedztwie, miły i dobry, ale mógłbym go nie znać, bez względu na walory towarzyskie. Może uda mi się zakończyć w r. 1957 te wielkie kolubryny źródłowe, tom I listów Krasickiego nadchodzi z drukarni... i to mnie zapewne rozrusza. W każdym razie — choć się nie zaklinam — zostaniemy już chyba w tym Wrocławiu..."

Został w nim aż nazbyt dosłownie! Ale nie pozostał tam cały. Sylwetka,

wdzięk, uśmiech Tadeusza Mikulskiego żyją na zawsze we wspomnieniach tych, którzy go pamiętają.

To on na kompletach wojennych, gdy w sąsiednich ulicach grasowała straszna, niemiecka śmierć, zacytował nam kiedyś te na pozór bezsilne wobec śmierci słowa:

Jak gdy kto ciśnie w oczy człowiekowi
Garścią fiołków i nic mu nie powie.

Zofia Świdwińska

POETA ANGIELSKI W ŚWIECIE WSPÓŁCZESNYM*

W Polsce czuję się między poetami. Ale już w chwili, gdy to mówię, uświadamiam sobie, że taka wypowiedź może wywołać wiele nieporozumień. Co mam na myśli mówiąc, że Polacy są poetyczni jako naród? Mam na myśli, że historia ukazuje ich jako ludzi namiętnych, idealistów i romantyków. Sam naród polski ma w sobie coś z poematu. Przez długie okresy Polska istniała jedynie w sercach i żywej wyobraźni jej mieszkańców. W innych okresach bywała stwarzana, urzeczywistniana według owego wyobrażenia. Dziś sprawia szczególne wrażenie tworu w połowie realnego i w połowie imaginacyjnego.

Wypowiadając te uwagi odbiegam daleko od moich i w ogóle od angielskich wyobrażeń o poezji.

Jakie są między nami punkty styczne, gdzie można się spodziewać wzajemnego zrozumienia Polaków i Anglików na temat poezji? Jak przypuszczam, pierwszym takim punktem stycznym jest romantyzm, szczególnie zaś wpływ i legenda Byrona. Ale możliwości poetyckie tkwiące w byronowskiej mieszaninie rewolucjonizmu, namiętnej osobowości romantycznej i nacjonalizmu (okazywanego na przykładach wszystkich krajów poza własnym — bo jako Anglik daleki był od uczuć patriotycznych) — uważam już za wyczerpane.

W czasach najnowszych ważnym ogniwem łączącym był Paryż. Ruch poetycki, wszczęty przez Baudelaire'a i kontynuowany przez Rimbauda, Verlaine'a, Mallarmé'go i Valéry'ego, uczynił z poezji współczesnej „międzynarodówkę", umożliwiającą poetom całego świata zrzucenie kajdan zakademizowanego romantyzmu.

Wydaje mi się jednak, że wpływ Paryża na poezję angielską był mniejszy niż na poezję innych krajów. Dla wyjaśnienia muszę dorzucić parę słów o angielskiej postawie wobec poezji. Zacząć trzeba od stwierdzenia, że wszystkie gałęzie sztuki uchodzą w Anglii za dziedziny amatorstwa. I być może dlatego mają Anglicy tak wybitne osiągnięcia właśnie w poezji, że nie można jej uczyć w akademiach. Sztuka ta ma z punktu widzenia uprawiającego ją człowieka szczególny charakter: jakkolwiek byłby w niej biegły, powinien za wszelką cenę utrzymać pozycję amatora.

Ponadto poezję uważa się w Anglii za coś prywatnego i osobistego — i chociaż może ona oczywiście zajmować się tematami publicznymi, nie wolno jej nigdy utracić szczególnego, osobistego tonu. Keats napisał, że w całej swej twórczości poetyckiej nie czuł nigdy ani cienia spraw publicznych *(public cause)* — i tę wypowiedź wzięli sobie do serca poeci angielscy jako przestrogę.

Słabość naszkicowanej powyżej postawy polega na tym, że w pewnych okresach poezja angielska staje się czymś w rodzaju zmowy rozleniwionych umysłowo, zadowolonych z siebie amatorów, spoczywających na laurach zebranych przez poprzedników. Tak było na przykład w pierwszych latach tego wieku, kiedy to wiktoriański nurt poetycki Tennysona i Browninga zmienił się w nikły strumyczek tak zwanych poetów georgiańskich.

Rewolucja, jaka dokonała się w poezji angielskiej między rokiem 1911 a 1920, była dziełem dwu Amerykanów,

* Odczyt wygłoszony 20 października 1958 r. w lokalu Związku Literatów Polskich w Warszawie.

tworzących pod wpływami francuskiego symbolizmu: Ezry Pounda i T. S. Eliota. Obaj kojarzyli praktykę poetycką z bojową działalnością krytyczną. Pisali artykuły i szkice, zwracając uwagę na brak odpowiednich kryteriów w ocenie poezji współczesnej i na niedbalstwo twórczości poetów georgiańskich. Pound był inicjatorem imażynizmu, sprowadzającego poezję do najprostszej postaci „czystych obrazów". Ja osobiście nie mogę jakoś wyżyć na diecie czystych obrazów i lubię naprawdę zaledwie kilka wierszy, napisanych przez imażynistów. Ich pozytywnym osiągnięciem było jednak niewątpliwie uwolnienie poezji od nadużytych formuł, które tak już były zakorzenione i znajome, że narzucały twórcy stanowczo zbyt wiele zwrotów językowych i zwyczajów myślowych dawnych poetów. Imażyniści nie uznawali ani sztywnych form, ani rytmiki; musieli siłą rzeczy używać własnych głosów — i dzięki temu poezja była w stanie wchłonąć zasoby języka współczesnego.

Głównym celem Pounda i Eliota było stworzenie języka poetyckiego nie nienaturalnego, nie literackiego — ale współczesnego w tym samym stopniu, co mowa człowieka z ulicy (choćby sprawy, którymi się zajmowali, mogły się owemu człowiekowi z ulicy wydawać bardzo trudne).

Nad czym zastanawiała się nowa poezja? Nie nad nauką, jakby można przypuszczać. Poezja współczesna nie spełniła owych ugruntowanych przez Goethego i Shelleya nadziei, że poezja może uczynić dostępnymi naszej wyobraźni rozmiary wszechświata, teorię względności albo rozbicie atomu. Eliot w *Jałowej ziemi* i Pound w *Hugh Selwyn Mauberley* wyrażali rozpacz współczesnego człowieka, który usiłuje zestawiać cywilizację współczesną z cywilizacjami minionymi. Trzeba tu zwrócić uwagę na zjawisko, które z biegiem lat staje się coraz wyraźniejsze. Mianowicie najświetniejszymi osiągnięciami sztuki naszego stulecia są te dzieła, które w mistrzowskim skoordynowaniu elementów wyrażają ideę rozkładu cywilizacji. W porównaniu z *Jałową ziemią* w poezji, *Ulissesem* Joyce'a w prozie lub kubizmem w malarstwie wszystkie późniejsze usiłowania były albo ilustrowaniem owego rozbicia na elementy, które jest tematem wymienionych dzieł, albo znowu próbami zrekonstruowania naszego świata duchowego i materialnego — próbami, które wydają się raczej płytkie w zestawieniu z potężną wizją dezintegracji. Niezdolność objęcia wszystkich czynników współczesnej realizm socjalistyczny. Poezja religijnej twórczości Eliota wydaje się, rzecz paradoksalna, przypominać tzw. realizm socjalistyczny. Poezja religijna Eliota omija stosunki społeczne, uchwycone przecież w *Jałowej ziemi* — podobnie jak materialistyczna poezja realizmu socjalistycznego ignoruje najwyraźniejsze potrzeby duchowe człowieka i przerażający upadek wartości, wynikający z materialistycznego poglądu na świat.

Mówi się często, że sama *Jałowa ziemia* nie jest poematem rozpaczy. Ale najgłębiej zapadają w pamięć fragmenty, które zawierają rozpaczliwą, proroczą wizję tego, co mieliśmy zobaczyć w Europie w latach późniejszych.

Co to za dźwięk wysoko w powietrzu
Głuchy pomruk matczynych lamentów
Kto są te hordy w ostrych kapturach
[gnające
Po bezbrzeżnych równinach, po spękanej
[ziemi
Aż hen tam za płaski horyzont
Co to za miasto ponad pasmem gór
Trzaska zrasta się pęka w powietrzu
[fioletowym
Walące się wieże
Jerozolima Ateny Aleksandria
Wiedeń Londyn
Nierzeczywiste *

Słowo „nierzeczywiste" jest tutaj echem stanu naszej cywilizacji, a cytat ze św. Augustyna „O Panie Tyś wydarł mnie Płonącego" w zakończeniu IV części poematu uwypukla tylko, przez odwołanie się do Państwa Bożego, zniszczenie ludzkiej Kartaginy.

Od chwili powstania *Jałowej ziemi* poezja podejmuje stale próby odbudowy cywilizacji, której ruina ukazana została w poemacie — a sam Eliot bierze w tych próbach udział nie mniejszy niż inni poeci.

Poezja lat 1930-tych — W. H. Auden, C. Day Lewis, Louis MacNeice, Stephen Spender — była z jednej strony

* Przekład Czesława Miłosza.

ruchem literackim: w sensie przeciwstawienia się latom dwudziestym. Była próbą znalezienia odpowiedzi na rozpacz poezji — w polityce, wizją społeczeństwa sprawiedliwego, które na miejsce wartości wprowadzanych przez arystokrację i z instytucjonalizowaną wiarę będzie posiadało wartości własne.

Z drugiej strony ów ruch literacki był w gruncie rzeczy powiązany z bieżącymi wydarzeniami — był wręcz ich skutkiem. Świat lat trzydziestych rzucał wyzwanie wszystkim ludziom, nie pozbawionym inteligencji, wyobraźni i humanitaryzmu. *Jałowa ziemia* powstała bezpośrednio po roku 1918, w epoce politycznie nierealnej, wypełnionej daremnymi działaniami, w okresie ideałów wilsonowskich i Ligi Narodów. Hitler, hiszpańska wojna domowa, bezrobocie — stały się wyzwaniem. Kiedy w miejsce abstrakcyjnego biadania nad cywilizacją pojawiają się konkretne kształty straszliwych niesprawiedliwości, obozów pracy itp., ludzie muszą postawić się w położeniu ofiar i dać odpowiedź — choćby nawet myśleli, że wszelka poezja nazywająca samą siebie „społeczną", „humanistyczną" czy „antyfaszystowską" jest tylko improwizowaniem.

Vita brevis, ars longa. Niebezpiecznie jest wiązać poezję z walką społeczną, ponieważ z biegiem czasu sytuacja polityczna ulega zmianie, jedna ze stron zwycięża w walce — albo też okazuje się, że owa strona, którą uważano za rzecznika najszczytniejszych ideałów, nosi w sobie takie samo zło, jak jej okrutny przeciwnik. Taki był w znacznej mierze los poetów lat trzydziestych, podobnie jak na przykład los całej, już zapomnianej, literatury francuskiej *Résistance*.

Wydaje się, że w naszej epoce trwałe dzieła literackie rodzą się częściej z rozpaczy niż z wiary społecznej. Jednakże rozpacz nie może trwać wiecznie: dzieło rozpaczy, takie jak *Jałowa ziemia*, oparte na przekonaniu, że cywilizacja ginie, musi albo zaprezentować ten zgon w postaci końca literatury, albo też zwrócić się po nadzieję do społeczeństwa.

Literatura opiera się na społeczeństwie, ale wzajemne stosunki literatury i społeczeństwa są w naszych czasach bardzo nieprzyjemne. Przypuszczam, że jest to równie prawdziwe w odniesieniu do tzw. Wschodu, jak jest prawdziwe na tzw. Zachodzie.

Istnieje w poezji skłonność do demonstrowania na przemian to społecznej rozpaczy, to znowu społecznej nadziei. Pośród młodych poetów pojawia się też dziś tendencja do odwracania się od społeczeństwa, które skaziło poprzedników destruktywną rozpaczą i fałszywą nadzieją — i do powrotu do wartości czysto literackich, szukania podniety w studiach, obwieszczania niezależności poezji od społeczeństwa.

Odwrót od tematyki socjalnej i politycznej jest w Anglii widoczny począwszy od lat dwudziestych i trzydziestych. Twórczość Dylana Thomasa nie jest „literacka" w sposób oczywisty. Jest na to zbyt osobista, namiętna, odurzona, surrealistyczna — a sam Thomas niewiele się troszczył o książki i wiersze poza własnymi. Jednocześnie wszakże ciągle poszukiwał obrazów i zwrotów, które byłyby poezją i tylko poezją. Unikał języka, który prowadzi umysł czytającego wprost od słów poematu do przedmiotów i idei, istniejących w realnym świecie idei i przedmiotów. Usiłował pisać wiersze stwarzające własny świat, własną, niezależną rzeczywistość. W jego poezji wiele jest współczucia dla nędzy ludzkiej, ale nie jest to współczucie związane z jakimś ruchem społecznym.

Krytyka marksistowska dysponuje użytecznymi terminami dla określania pisarzy, którzy unikają tematyki społecznej: formalistyczny, subiektywny itp. Jedyne, co mam do zarzucenia tej krytyce, to nadużywanie owych terminów jako potępiających — podczas gdy powinny raczej służyć odmierzanej pochwale. Prawdą jest, że poezja nie stanowi świata sama dla siebie i że tacy poeci, jak Keats lub Thomas, którzy starali się takie własne światy stwarzać, byli Ikarami wzbijającymi się zbyt blisko słońca na swych woskiem przytwierdzonych skrzydłach. Ale polegli jak bohaterowie — i czasem z ich przykładu możemy nauczyć się więcej niż ze wzorów poetów znakomitszych, ponieważ dostarczają idealnego modelu poezji absolutnej, z którym zestawiać możemy inną poezję.

Rozpatrując postawy współczesnych poetów Anglii i Ameryki można wy-

prowadzić pewien cząstkowy wniosek w sprawie stosunku poezji do społeczeństwa. Matthew Arnold miał z pewnością słuszność, kiedy mówił, że poezja jest krytyką życia. Poezja wywodzi się z pewnej, właściwej życiu wyobraźni, duchowej niezależności i poeta stara się zawsze dociec w swoim dziele, w jaki sposób i o ile wewnętrzny świat jego wyobraźni może dojść do porozumienia ze społeczeństwem, które go otacza. Stosunkiem idealnym byłoby uznanie przez społeczeństwo pewnych poetyckich zasad prawdy i moralności. Jeżeli taki idealny stosunek nie zachodzi — na przykład skutkiem powszechnego materializmu społeczeństw współczesnych — wówczas związek poezji ze społeczeństwem staje się sprawą taktyki twórczej. Poeta popiera to, co — jak ma nadzieję — może dopomóc jego wizji, a wycofuje się ze społeczeństwa, jeżeli dostrzega (jak to zwykle bywa), że społeczeństwo zagraża jego poezji, odmawiając uznania duchowej niezawisłości artysty.

Jałowa ziemia i poezja lat trzydziestych były frontalnym atakiem na społeczeństwo, operującym pełnymi rozmachu gestami nadziei i rozpaczy. Później poeci angielscy albo usiłowali znaleźć impuls silniejszy od socjalnego, albo też zgoła wycofywali się na pozycje nie niepokojone i nie niepokojące społeczeństwa.

W *Czterech kwartetach* Eliot stara się osiągnąć stan umysłu pozaczasowy, a więc i pozaspołeczny. Najbardziej zdumiewająca próba w tym kierunku podjęta została przez Yeatsa, który zbudował całą historiozofię, opartą na ezoteryzmie, stwarzającą dla jego poezji punkt widzenia, z jakiego teraźniejszość wydaje się tylko przelotnym cieniem wśród epok dziejowych. Cytuję jego *Powtórne przyjście:*

Krążąc, kołując w coraz szerszym locie
Sokół nie słyszy głosu sokolnika;
Rzeczy pryskają; ciężar środka słabnie;
Nad światem huczy anarchia, wezbrany
Krwią ciemną przypływ pęka, i gdzie
[spojrzeć
Zalewa jasne ceremonie cnoty.
Najlepsi tracą wiarę, najgorszymi
Targa ogromny ogień namiętności.

To chyba czegoś zapowiedź już bliska;
To pewnie czas już na Powtórne Przyjście.
Powtórne Przyjście! Mówię — i natychmiast
Oczy mi razi ogromne wcielenie
Z *Spiritus Mundi;* gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i o ludzkiej głowie,
O bezlitosnym spojrzeniu jak słońce,
Dźwiga powoli ciężkie łapy; nad nim
Pustynnych ptaków wściekłe wrzeszczą
[cienie.

Ciemność zapada; ale teraz wiem, że
Snu kamiennego dwa millenia kołys
Kolebki zbudził na przyjście koszmaru;
I jaka straszna bestia ciężko pełznie,
By się narodzić wreszcie w Betlejemie?*

Auden używa jako ideologii — religii. Dla D. H. Lawrence'a namiętny, prężny związek seksualny jest wartością, wedle której świadomość jednostki osądzać może świadomość społeczną.

Tak potężny wysiłek indywidualny poetów, pragnących stać się Atlasami dźwigającymi na barkach rzeczywistość całej przestrzeni i czasu — i rzeczywistość poza przestrzenią i czasem — musiał wreszcie doprowadzić do spadku intensywności. Młodym poetom nie dostaje rozpaczy, by zastanawiać się nad upadkiem cywilizacji, nie wierzą w polityczne programy przebudowy społecznej, nie są też zdolni, jak Yeats, do wywołania ze swoich zgorzkniałych serc świata żywego i zupełnego. Skłonni są więc do szukania schronienia w murach uniwersytetów i na posadach akademickich. W swoim postępowaniu nie są prymitywni, owijają się w subtelności i ironie. *Jim szczęściarz* Kingsleya Amisa, satyra na życie uniwersyteckie, które jest zarazem życiem autora tej powieści, opisuje sytuację, w jakiej rodzi się poezja młodych twórców — samego Amisa, Philipa Larkina czy Johna Waina. Wszyscy oni pracują w uniwersytetach.

Powyższa tendencja zaznacza się jeszcze wyraźniej w Ameryce. Nie będzie chyba przesadą powiedzieć, że 80% poetów amerykańskich poniżej czterdziestki (i bardzo wielu starszych) przebywa w uniwersytetach. Jest to oczywiście związane ze względami materialnymi, ale musimy także odnotować coś w rodzaju powrotu do klasztornych zamknięć w życiu poetyckim i intelektualnym Zachodu.

* Przekład Pawła Mayewskiego.

Cały kierunek — wiele kierunków — rozwoju poezji anglosaskiej w naszym stuleciu można pojmować jako wyraz przekonania, że poeta żyje jak gdyby na innej płaszczyźnie czasowej niż politycy i budowniczowie społeczeństwa. Problemem, jaki stoi przed poetą, jest znalezienie takiej postawy, która pozwoliłaby mu uniknąć zarówno przygniecenia przez machinę społeczną, aparat propagandowy i tendencje materialistyczne — jak i oderwania się od społeczeństwa.

W gruncie rzeczy nie jest to sprawa zgody lub niezgody ze społeczeństwem. Jest to raczej sprawa zawarcia z nim pewnego paktu, a następnie utrzymania się w jego ramach. Współczesne problemy i walki polityczne, namiętne i pochłaniające, nie są życiem samym — życie leży poza walką. Zadaniem bojowym twórczego artysty winno być stworzenie takiej koncepcji życia, którą społeczeństwo mogłoby zrealizować. Społeczeństwo winno istnieć dla życia, nie odwrotnie: życie dla społeczeństwa. Poezją najbardziej konstruktywną będzie taka, w której artysta wyobraża sobie pewien typ życia odpowiedni dla człowieka, a zarazem dający się zrealizować przy użyciu środków dostępnych współczesnemu społeczeństwu. Ograniczoność większej części poezji współczesnej polega na tym, że jej własna prawda i logika wewnętrzna zmusza poetów albo do odrzucenia aktualnej rzeczywistości społecznej, albo też do czynnego zaangażowania się po którejś z wiodących walkę polityczną stron, które uważają artystów jedynie za kółka w maszynie państwowej i tym samym niszczą ich talenty.

Zawsze bywają walki, w których musimy brać udział, ofiary, których żałujemy i żałować powinniśmy, ruchy entuzjazmu i oporu, bohaterowie, których powinniśmy czcić. Ale całkowite zaangażowanie się po jakiejś stronie — choćby wydawała się nam wcieleniem doskonałej słuszności, a strona przeciwna wcieleniem zła — sprowadza wreszcie poezję do poziomu jakiejś dziecinady. Nie pamiętam, po której stronie stał Dante, czy był Gwelfem czy Gibelinem. Z jego punktu widzenia jego własne poglądy polityczne były równie istotne, jak poglądy teologiczne — ale właśnie te fragmenty Piekła, w których Dante daje upust swoim obsesjom politycznym, sprowadzają go na przeciąg paru tercyn do poziomu małomiasteczkowego prawnika z XIV wieku.

Wallace Stevens jest poetą amerykańskim, u którego spotykamy czasem wizję człowieka, pozwalającą nam uświadomić sobie nagle, że społeczeństwo winno umożliwiać realizowanie wszechstronnej, coraz pełniejszej i bogatszej koncepcji człowieka. Cytuję jego *Niedzielny ranek*, strofa VII:

Supple and turbulent, a ring of men
Shall chant in orgy on a summer morn
Their boisterous devotion to the sun,
Not as a god, but as a god might be,
Naked among them, like a savage source.
Their chant shall be a chant of paradise,
Out of their blood, returning to the sky;
And in their chant shall enter, voice by [voice,
The windy lake wherein their lord delights,
The trees, like serafim, and echoing hills,
That choir among themselves long [afterward.
They shall know well the heavenly [fellowship
Of men that perish and of summer morn.
And whence they came and whither they [shall go
The dew upon their feet shall manifest.*

Z uwagi na zawiłość powiązań ze społeczeństwem zadanie poety jest dziś przerażająco trudne. Ale ta strofa Wallace Stevensa prowadzi mnie do wniosku, że cokolwiek powiedzieć można na temat sytuacji, w jakiej żyjemy, zawsze istnieje możliwość, że geniusz wskaże nam z tej sytuacji wyjście i dalszą drogę. Głos krytyki, analizują-

* Przekład dosłowny: Giętki i ruchliwy krąg ludzki śpiewać będzie w upojeniu, w letni poranek, donośny hymn ku chwale słońca — nie jako boga, ale jako mogącego być bogiem, nagiego wśród nich, jak pogańskie źródło. Ich pieśń będzie pieśnią raju, tryskającą z ich krwi i wracającą do nieba; śpiewając wstępować będą, głos za głosem, w wietrzne jezioro, w którym ich pan raduje drzewa — jak serafin — i dające echo wzgórza, które długo jeszcze same śpiewają chórem. Znać będą dobrze niebiańskie braterstwo ludzi śmiertelnych i letniego ranka. A skąd przyszli i dokąd pójdą, pokaże rosa na ich stopach.

cy naszą sytuację, mówi nam, że jesteśmy od niej w pełni uzależnieni. Głos geniuszu analizuje sytuację, aby ją zmienić i na jej miejsce stworzyć nową. To, na co dziś oczekujemy, to geniusz właśnie. Poezja, podobnie jak religia, jest oczekiwaniem i przygotowywaniem się — przygotowywaniem się na przyjście Człowieka.

Stephen Spender

DWA BIEGUNY NIEMIECKIEJ KRYTYKI

Spośród nowości krytycznych, które w ostatnich miesiącach ukazały się w Niemczech zachodnich, warto poświęcić kilka chwil uwagi dwóm książkom: *Możliwościom (Möglichkeiten)* Ernsta Bertrama i *Uwagom o literaturze (Noten zur Literatur)* Teodora W. Adorno. Nie dlatego, że objawiają one nowe odkrycia lub rewelacje interpretacyjne, ale przede wszystkim z tego powodu, że reprezentują dwa odmienne stanowiska, niejako dwa bieguny, pomiędzy którymi oscylują poglądy i metody współczesnej krytyki niemieckiej.

Możliwości wyszły z druku nakładem wydawnictwa Günther Neske w Pfullingen jesienią roku 1958, już rok po śmierci autora. Ernst Bertram był z zawodu (do 1946 r.) profesorem germanistyki w Kolonii, z powołania — poetą. W twórczości jego zawarły małżeństwo liryka i zamiłowanie do krytyki. W tym wypadku było to małżeństwo niedobrane. U Bertrama poeta przeszkadza badaczowi, zaś krytyk miesza szyki lirykowi. Bertram jest na skutek tego miernym poetą i nieodpowiedzialnym krytykiem. Nie byłoby więc potrzeby zajmować się jego *Możliwościami*, gdyby nie wyrozumiałe, a nawet pochlebne recenzje, którymi skwitowano jego szkice krytyczne w kilku czasopismach NRF. Jest to symptomem niepokojącej tolerancji poglądów, które niby widmo występują z grobu przeszłości.

Najgłośniejsza książka Bertrama, który należał kiedyś do koła Stefana George, ukazała się w roku 1918 pod tytułem *Nietzsche. Próba mitologii.* Tak, nie jest to próba analizy, lecz próba stworzenia mitu. Autor przekształcił historię literatury niemieckiej w pewnego rodzaju Walhallę, do której wpuszczał tylko bóstwa. Metoda krytyczna Bertrama polegała na wykazaniu podobieństwa Nietzschego z Bogiem, na stworzeniu legendy promieniującej po wszystkie czasy i wskazującej jedyny, najlepszy wzór niemieckiej kulturze.

W poglądach autora — widać to również w *Możliwościach* — dużą rolę odegrała teza o nordyckiej kulturze, wyłożona najskrupulatniej w rozprawie *Północ i romantyzm niemiecki* (1925). „Morze Północne i Morze Śródziemne — czytamy tam — dzieci lodu i synowie pustyni toczą w poezji i sztuce wieczystą walką w cieniu zmierzchających bogów." Północ jest oczywiście synonimem tężyzny i twórczej siły, Południe — upadku i rozkładu: „Północ jest górą. Ku południu wzniesienie opada". Linia północna jest zdaniem autora „linią germańskiego losu". Jeśli jakiś cudzoziemski pisarz podobał się Bertramowi, bez wahania pasował go na Niemca i człowieka Północy. Tak było na przykład ze Stendhalem, o którym Bertram pisał, że „jest Niemcem i człowiekiem nordyckim w swoim drążącym głębie uporze, w wewnętrznym rozdarciu całej swojej istoty".

Nic dziwnego, że w roku 1933, kiedy na niemieckich stosach poczęły płonąć nie nordyckie książki, Bertram zaaprobował owe akty barbarzyństwa i w przemówieniu do niemieckich studentów wychwalał „niemiecki przełom" i prawił o germańskiej Rzeszy jako o „wskrzeszonej Helladzie Północy". Upadek poetyzującego profesora rozpoczął się z totalną klęską totalnego reżimu. W 1946 roku Bertram został zwolniony ze swojego stanowiska i przez długi czas o nim zapomniano. I oto znowu jego nazwisko wyłoniło się z przelotnej, jak się okazało, niepamięci. *Możliwości* pojawiły się na półkach księgarskich, spotkawszy się tu i ówdzie z ciepłym przyjęciem.

Składają się one z kilkunastu szkiców: z aforystycznego eseju *O istocie i przyszłości naszego wiersza* i rozpraw o niemieckich pisarzach, głównie o Goethem, Adalbercie Stifterze i Nietzschem. Sądy wyłożone w tej książce są rzadko rezultatem naukowej analizy, a przeważnie polegają na przenoszeniu nastrojów, przepowiedni i mitycznych obrazów w sferę krytyki. Nigdy nie wiadomo, kiedy przestaje mówić poeta, a zabiera głos uczony, gdzie kończy się zakres uniwersyteckiej katedry, a zaczyna krąg pytyjskiej wyroczni. W poetyckiej teorii autora odżywają stare romantyczne pojęcia, które z szybkością gazeli przeskakują z początków wieku dziewiętnastego w środek naszego stulecia: „Poeta nie jest związany z czasem, on ujarzmia czas. Poeci są historykami przyszłości. To, co będzie, jest już w poezji świata... Naszym najlepszym wierszem jest czarodziejskie zaklęcie. Wiersz musi wskrzesić właściwość zaklęcia". Jeszcze bardziej tajemnicze misteria odprawiają się w szkicach poświęconych konkretnym tematom literackim lub autorom. Tutaj autor nie rozwija krytyki literackiej, lecz buduje zawiły system mitologii, która jest miejscami niezrozumiała, miejscami bardzo pompatyczna, a zawsze pozbawiona wartości naukowej.

Książka ta nie jest typowa dla współczesnej krytyki zachodnio-niemieckiej, która dysponuje świetnymi talentami, jednakże świadczy o żywotności konserwatywnych mitów, przed laty chętnie wykorzystywanych przez faszyzm. Z tym większą przyjemnością czytamy bardzo ciekawy tom esejów Adorna *Uwagi o literaturze*, wydany mniej więcej w tym samym czasie przez firmę Suhrkamp we Frankfurcie nad Menem. Autor jest znanym socjologiem i filozofem interesującym się zjawiskami sztuki i literatury, w jego rozważaniach duża erudycja kojarzy się z precyzją analizy. Adorno nie uprawia jednak krytyki akademickiej, przeciwnie, zaskakuje często oryginalnymi pomysłami, które mają posmak rewelacji lub charakter śmiałych hipotez.

Zakres tematyki *Uwag o literaturze* jest szeroki. Autor pisze o „eseju jako formie", o epickiej naiwności, współczesnych kształtach prozy, surrealizmie, poza tym o kilku poetach — Eichendorffie, Heinem, Valérym.

Wewnętrzną zasadą eseju jest, zdaniem Adorna, herezja. W Niemczech eseistyczna forma zawsze wegetowała, gdyż w tym kraju „nikt nie odważa się myśleć więcej, niż w danym czasie i miejscu się myśli". Tutaj „karze się żywiołowość subiektywnej fantazji w imię obiektywnej dyscypliny". Konserwatyzm i konformizm nie są dobrą aurą dla eseju i dlatego „w Niemczech broniono się przeciwko tej formie, gdyż przypomina ona o wolności myśli".

Na ogół dominuje w krytyce Adorna metoda historyczna i skłonność do tłumaczenia zjawisk literackich przy pomocy przemian zachodzących w dziejach i społeczeństwie. „Bowiem treść utworu poetyckiego jest nie tylko wyrazem indywidualnych odruchów i doświadczeń. Stają się one wartością artystyczną dopiero wtedy, kiedy dzięki specyfice swojej formy estetycznej poczynają brać udział w życiu zbiorowości." Autor tomu rozwija najpełniej swoją teorię społeczno-literackiej krytyki w szkicu *Liryka i społeczeństwo*, przeciwstawiając ją czysto filologicznej interpretacji, wywodzonej tylko i jedynie z literackiego tekstu. Metoda autora nie ma oczywiście nic wspólnego z prymitywnym lub naiwnym socjologizmem, przeciwnie, wykazuje dużo pomysłowości i twórczej inwencji. Pomiędzy Bertramem i Adornem ściele się przepaść poglądów i metody. Ta różnica jest charakterystyczna nie tylko dla krytyki, ale i dla całego życia kulturalnego Niemieckiej Republiki Federalnej, wymagającego w każdym poszczególnym wypadku dokładnego rozważenia i unikania zbyt pochopnych uogólnień.

Roman Karst

AKTUALNOŚĆ RACINE'A

Odpowiadając w *Przeglądzie Kulturalnym* (nr 47/58) p. Annie Tatarkiewiczowej na jej szkic *Racine i czas* (*Nowa Kultura* nr 45/58) Andrzej Kijowski jest bardzo bliski, niemal tuż, tuż odkrycia źródła, istoty dzisiejszej aktualności Racine'a. Aktualności tej nie zdefiniował co prawda, nie znalazł dla niej tych prawideł filozoficznych, światopoglądowych, które ją wyznaczają, ale czy nie uczynił przypadkiem jeszcze więcej? Dał się jej porwać i z jej pozycji, z pozycji dzisiejszego uwrażliwienia na wartości Racine'a, Racine'a odczytał.

Bo Racine jest dzisiaj jednym z najbardziej aktualnych pisarzy przeszłości. Jest klasykiem współczesności, w tym sensie, w tym jedynym sensie sensownym, że dzisiaj właśnie może być w sposób całkowity, pełny, bez reszty zrozumiany i przeżyty. A tylko to jest decydujące. Tylko w tym sensie, uważam, jest się klasykiem współczesności albo się nim nie jest.

Taki klasycyzm, ten właśnie współczesny klasycyzm, Racine zdobył nie przeciwko, nie w walce, nie przez przeciwstawienie klasycyzmowi Szekspira. Racine nie detronizuje Szekspira. W ogóle przeciwstawienie Racine — Szekspir nie ma dzisiaj żadnego sensu. Dzisiaj bowiem nie poetyki spór wiodą, ale idee, postawy i świadomości. To przeciwstawienie miało jedynie sens w walce romantyzmu z konwencją pseudoklasyczną. Wyrok Stendhala bardziej dotyczył Szekspira niż Racine'a. Chodziło o wydarcie wolności regule, żywiołu konwencji oraz życia sztuce. Stendhal przeciwstawia Racine'owi Szekspira w imię ogromu. W imię tego samego ogromu Wiktor Hugo zestawi później Szekspira z Ajschylosem. I ta intronizacja Szekspira dokonała się raz na zawsze. Szekspir jest klasykiem wszystkich współczesności.

Od tego wyroku Stendhala i Wiktora Hugo nie ma odwołania. Żadna epoka, żadna szkoła, żadna filozofia go nie zgłaszała zresztą. A dzisiaj mniej niż kiedykolwiek. Dzisiejsza koncepcja sztuki mieści się bez reszty w Szekspirowskim bezmiarze. Odczytywanie Szekspira jest wciąż nieskończone. Postacie Szekspirowskie obrastają wciąż nowym ciałem, znaczą się wciąż nowymi rysami. Każdy okres, niemal każda chwila historii przeobraża, a więc coś nowego, własnego odnajduje w Szekspirze. Hamlet np.! Iluż Hamletów przeszło, iluż jeszcze nadejdzie? Jakże niepodobni do siebie! Z romantycznego bohatera braku woli i charakteru stał się uosobieniem bezwzględności, bohaterem czynu pozorującym histerią swoje plany. Hamlet Oliviera to potentat sił żywotnych, to ambicjonat!

Wyznam, że w toczącym się sporze o Racine'a zażenowała mnie dopiero podjęta przez p. A. Tatarkiewiczową obrona Szekspira. Andrzej Kijowski — nie mogłem go inaczej zrozumieć — przeciwstawieniem Szekspirowi rzuca na Racine'a cień bezmiaru, imieniem Szekspira jak czarodziejskim zaklęciem wyzwala Racine'a z więzów pseudoklasycznej reguły, wyolbrzymia go, przyzywa do przeżycia dzisiaj przez Fedrę i Andromachę dzisiejszego świata.

Nie pojmuję sensu różnicowania czasu, które proponuje p. A. Tatarkiewiczowa. Czas Racine'a i czas Szekspira jest czasem jednakowym, jest zawsze czasem teraźniejszym. A to jest najistotniejsze. Scena nie zna czasu innego niż teraźniejszy. Czas „historyczny" i czas „abstrakcyjny" są na scenie zawsze skumulowane, scalone. Przeżycia bohaterów i Racine'a, i Szekspira dzieją się zawsze *teraz*, zawsze przed nami, a my nie jesteśmy ani historią, ani abstrakcją. Kategorie czasu gdzie indziej mają funkcję formalną, a więc zasadniczą — w powieści. A więc tam tylko, gdzie jest relacja. Pani A. Tatarkiewiczowa całkiem mechanicznie przenosi akcent czasowy z jednej dziedziny sztuki do drugiej. Jedność czasu, której Racine przestrzegał, a której nie przestrzegał ani Szekspir, ani Corneille, ogranicza go, oczywiście, ale jednocześnie umożliwia — samą poetyką — osiągnięcie tego napięcia, spiętrzenie losu do tego maksymalnego stanu, który już nie jest ani intencją, ani celem poetyki pseudoklasycznej. Racine ze schematu, którym się posługiwał, któremu ulegał, z niewoli, w którą się oddał, uczynił instrument precyzji porównywalnej do precyzji żywiołu Szekspira. To jedno. A drugie: niewola, ograniczenie, czas

„abstrakcyjny" nie odcięły go, ale właśnie zbliżyły do tej wolności, do której dzisiejsza sztuka z *Godotem* Becketta zmierza. Rację ma Andrzej Kijowski, kiedy pisze: „Tragedia pseudoklasyczna* dokonuje przedziwnej sztuki, hamując życie w momencie jego szczytowego napięcia, w momencie, w którym rozgrywa się sprawa jego wartości i jego sensu. U Racine'a nie ma losu ludzkiego (który rozumiem jako pewien porządek doświadczeń, jako pewien p r z e b i e g) — jest sytuacja. Jest równanie moralne, które trzeba natychmiast rozwiązać, posługując się kilkoma danymi, jakimi pozwala się posłużyć pseudoklasyczna receptura. Uczucia rodząc się osiągają natychmiast kulminacyjne nasilenie, zamiar jest równoznaczny z czynem i wszystko dokonuje się w stanie pełnej, jasnej świadomości moralnej. Świadomość ta zastępuje tu psychologię... Tu nie ma żadnej historii, jest sekcja dusz — bohaterowie Racine'a to rozkrojone preparaty ukazujące nam skurcze i rozkurcze swych serc, poruszenia mięśni, »obieg krwi«".

Diagnoza Andrzeja Kijowskiego jest zbyt trafna, aby nie była przypadkowa. Źle się wyraziłem, nie zamierzam bynajmniej jej deprecjonować. Chodzi mi o to, że nie w Racinie Kijowski wyczytał prawdę Racine'owską, że do Racine'a podszedł z gotowym, urobionym przez czas teraźniejszy, przez dzisiejszy stan umysłów, dzisiejsze potrzeby przeżywania — stosunkiem do dramatu jako takiego. Nie trzeba szukać daleko, gdzie indziej. W tej diagnozie Andrzeja Kijowskiego zawiera się tajemnica aktualności Racine'a. Bo Kijowski znalazł w Racinie to, czego w nim szukał. A szukał dramatu egzystencjalistycznego.

Bo właśnie egzystencjalizm sprowokował największą chyba od romantyzmu rewolucję teatralną. Nie charaktery ludzkie, nie ich rozwój, ale sytuacja jest ośrodkiem dramatu egzystencjalistycznego. Sytuacja zastępuje psychologię, historię (zdarzeń), sytuacja jako akt wyzwalającej świadomości.

I nic dziwnego, że dramat jest najsilniejszą stroną egzystencjalizmu, bo tylko dramat stwarza warunki stawania się sytuacji, dokonywania się przełomu, tego przekraczania dotychczasowych granic świadomości. Powieść egzystencjalistyczna jest relacją, a więc opowiadaniem o przeżywaniu sytuacji. Przeżycie sytuacji odbywa się więc na terenie psychologii, która zaciera, zamula, niuansuje to, co miało być wtargnięciem losu. Z pisarzy egzystencjalistycznych jedynie Nathalie Sarraute poszukuje takiej formy powieści, która by była antyrelacyjna i chwytała moment przełomu w jego autentycznym, nie umownym czasie teraźniejszym. Dlatego też Nathalie Sarraute do każdej swojej powieści wprowadza narratora, który zmusza postacie powieści do przekraczania progów, do przeżywania przełomów w czasie teraźniejszym. Narrator dramatyzuje więc powieść (w sensie: antyrelacjonuje), daje jej konwencję dramatu, a więc podstawę do autentycznego (nie sfingowanego trickami czy wtrętami autorskimi) dialogu. Z powieściopisarzy egzystencjalistycznych jedynie Nathalie Sarraute stwarza warunki dla powstawania *sytuacji*. Natomiast w dramacie egzystencjalistycznym *sytuacja* panuje.

Wszystkie sztuki Sartre'a są dramatami nie charakterów, ale sytuacji. Tak samo *Przy drzwiach zamkniętych* jak *Muchy*, tak samo *Brudne ręce* jak *Diabeł i Pan Bóg*. Dramat egzystencjalistyczny nie charaktery rozwija, ale spiętrza konflikty. Bohaterowie Sartre'a są wszyscy postawieni w przymusowej sytuacji, muszą dokonać wyboru, zdecydować się na tak czy na nie, i każda ich decyzja będzie rozstrzygająca. I ta decyzja właśnie, ta sytuacja zmuszająca do powzięcia decyzji formuje ich, sprawia, że są tacy, a nie inni. We własnych rękach są tak, jakby byli w rękach cudzych, bo samym sobie są obcy.

Andrzej Kijowski dojrzał w Racinie to, co stanowi o jego niezaprzeczalnej aktualności: zarys egzystencjalistycznego dramatu. Bo dramat Racine'owski, i tylko dramat Racine'owski, a nie cały bynajmniej dramat pseudoklasyczny, jest egzystencjalny. Tylko Racine tworzy sytuacje, spiętrza konflikty wokół gotowych, uformowanych już przez własne namiętności ludzi. W każdym Racine'owskim dramacie chodzi o jedną chwilę, chwilę decydującą, nieodwracal-

* Konieczne uzupełnienie: nie tragedia pseudoklasyczna jako taka, ale tragedia pseudoklasyczna Racine'a. Bo nie w pseudoklasycyzmie rzecz, ale w Racinie. Już np. tragedia pseudoklasyczna Corneille'a tej sztuki nie dokonuje.

ną. Ona tylko jest do przeżycia. Cała przeszłość ukazanych postaci do tej jednej chwili tylko zmierza, do tej chwili, która przełamuje los.

Namiętności, karygodne uczucia, stargane sumienia, bezgraniczne cierpienia spełniają w świecie Racine'a tę samą funkcję, jaką w świecie sztuki egzystencjalistycznej pełnią rozpacze i Weltschmerze. One stwarzają sytuację progu, przełomu, który otwiera i zamyka jednocześnie. Analogie są nieustające.

Może jeszcze nigdy Racine nie był tak przeżywany jak współcześnie. Sztuka, literatura współczesna dała bowiem, mówiąc ogólnie, klucz do *Fedry*. Zwycięstwo Racine'a jest tym większe, że nie jest wymierzone przeciw niczemu, że nie odbywa się kosztem innych, zdetronizowanych wartości. W każdym razie nie kosztem Szekspira, A taka bezwzględność zwycięstwa wróży o jego trwałości. Także u nas. Właśnie dopiero u nas. Nie zgadzam się z Andrzejem Kijowskim, że jesteśmy uwrażliwieni jednakowo na wszystkie konwencjonalności. Odwrotnie, nie jesteśmy uwrażliwieni na żadną. Wrażliwość na konwencje to wyższy stopień obcowania ze sztuką. Konwencje pseudoklasyczne broniły nam właśnie dostępu do Racine'a. Dopiero klucz egzystencjalistyczny drzwi nam otworzył.

*

Należy się specjalne podziękowanie Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu za dawanie pretekstów do sporów tak bardzo zasadniczych. Wydanie niemal równoczesne *Tragedii* Racine'a i *Dzieł* Szekspira (pierwsze wydanie po dwóch wojnach) stwarza wyjątkową wprost sytuację w naszym życiu umysłowym.

Zbigniew Bieńkowski

PISARZE POLSCY W „LA TABLE RONDE"

Listopadowy numer (131/1958) francuskiego miesięcznika *La Table Ronde* poświęcony został w całości Międzynarodowemu Uniwersytetowi Radiowemu (L'Université Radiophonique Internationale — U.R.I.). U.R.I. z inicjatywy Radia Francuskiego przy poparciu UNESCO powstał jeszcze w 1949 roku. Zadaniem jego było poszukiwanie dróg i form współpracy kulturalnej na antenach świata. W latach minionych inicjatywa ta realizowana była z różnym szczęściem i skutkiem i zawężona do Europy Zachodniej. W roku 1956 U.R.I. zwrócił się do 100 pisarzy z 16 krajów europejskich i pozaeuropejskich (St. Zjednoczone, Japonia) z propozycją wzięcia udziału w ankiecie na temat powołania pisarskiego. Ankieta brzmiała stereotypowo: „Dlaczego pan pisze?". Stereotypowość i oklepanie tematu ankiety nie przeszkodziły wypowiedzeniu się kilkudziesięciu pisarzy w najbardziej istotnych sprawach. Wszystko przecież zależy od głębokości, na jakiej temat się rozważa. Większość pisarzy zeszła najgłębiej jak to się w takich razach praktykuje.

Miesięcznik *La Table Ronde* ogłasza obecnie wypowiedzi wybrane. Ze stu zgłoszonych i wygłoszonych przez mikrofon *La Table Ronde* wybrała siedemdziesiąt sześć. Miesięcznik francuski publikuje je w całości, w wyborze lub streszczeniu. W wielu wypadkach atrakcyjność nazwiska pisarza na Zachodzie decyduje o formie podania jego wypowiedzi. Głos np. André Maurois jest nabrzmiały komunałami, co nie przeszkadza, że nie uroniono z niego nawet przecinka. Wśród tych 76 wypowiadających się pisarzy spotykamy Caldwella, Moravię, Ungarettiego, Jeana Paulhana, Jeana Rostanda, Duhamela itd. Znajdujemy także wpowiedzi trzech pisarzy polskich (w kolejności opublikowania): Adama Ważyka, Marii Dąbrowskiej i Juliana Stryjkowskiego.

Wypowiedź Ważyka ma charakter ogólny i podana została w formie obszernego cytatu. Ważyk mówi o przeobrażeniu, które nastąpiło w jego twórczości i postawie. Ukazuje perspektywy filozoficzne tego przełomu:

„Każdy powraca do kraju swojej młodości po to, ażeby się rekreować. Moraliści stają się znowu moralistami, empirycy wracają do empiryzmu. Te powroty zaprawione są goryczą i melancholią. Jesteśmy produktem wielu generacji, z których żadna nie potrafiła nam przekazać w całości swojego doświadczenia. Nikt jeszcze nie napisał historii intelektualistów, którzy chcąc stać się innymi, niż byli, narzucili sobie system myślenia i działania w nadziei, że to im da afirmację, da sens ich egzystencji, a w rzeczywistości doprowadzili tylko do zniszczenia własnej inteligencji. Być może filozofia egzystencjalistyczna wyraża w jakimś stopniu przeczucie tego tragizmu, ale jeśli wyraża, to jedynie w formie metafizycznej, w formie zmistyfikowanej. Dlatego na ogół biorąc filozofia ta do nas nie przemawia. Należy dopiero odkryć nie zbadany dotychczas mechanizm świadomości. Ale to przekracza zakres moich bezpośrednich zainteresowań. W moich ostatnich, częściowo opublikowanych poematach usiłowałem wyciągnąć z tej

przykrej historii wnioski intelektualne i filozoficzne. Jestem głęboko przeświadczony, że tak jak w dziedzinie nauk ścisłych wielkie systemy teoretyczne ubiegłego stulecia dzisiaj straciły wartość, tak we wszystkich innych dziedzinach myśli ludzkiej wielkie systemy przeżyły się i daremne są wysiłki podjęte dla ich regeneracji."

Maria Dąbrowska wyraża (według streszczenia) niechęć do teoretyzowania i sceptycyzm wobec teorii estetycznych. Nurtem jej myśli jest stosunek do świata, do tego, co nazywamy rzeczywistością:

„Staram się być wierna sobie i wznosić artystyczną wizję świata z wybranych elementów tego, co nazywamy rzeczywistością. Wydaje mi się, że idea twórczości wyraża się nie tylko poprzez deformację, lecz także przez wybór. Nie znaczy to bynajmniej, że nie dostrzegam przeraźliwych stron losu ludzkiego. Nie daję się jednak steroryzować przez ciemne strony egzystencji."

Wypowiedź Juliana Stryjkowskiego jest próbą komentarza do *Głosów w ciemności*, które, jak wiadomo, ukazały się we Francji pt. *Les voix dans les ténèbres*. Ta wypowiedź, relacjonowana cytatami, mimo (a może właśnie na skutek) swojej zwięzłości i nawet pewnej lapidarności ma wagę wielką, tak jak książka, do której się odnosi. Julian Stryjkowski podkreśla myśl przewodnią, ideę *Głosów w ciemności* — którą jest walka dobrego ze złem, walka tragiczna, gdyż zło jest zwycięskie:

„Jakże mógłbym w tych straszliwych latach, kiedy pisałem moją książkę — wyznaje autor *Głosów w ciemności* — o czym innym myśleć, co innego widzieć i przeczuwać niż odwieczną klęskę dobra? Walka jednak nie jest skończona. Ale co zwycięży?"

Jak same cytaty mówią, wypowiedzi polskich pisarzy dotyczą centralnych zagadnień filozoficznych, które formują współcześnie światopoglądy, urabiają postawy i dzielą literatury.

b

NOWA SZANSA FERDYDURKE

Ferdydurke wszedł więc do repertuaru światowego literatury współczesnej. Po przekładzie hiszpańskim, dokonanym pod okiem autora przez kilkunastoosobowy zespół tłumaczy południowo-amerykańskich, ukazał się przekład francuski. Przekład podpisany został nazwiskiem Brone'a. Nic więcej nie mogę powiedzieć o tym tłumaczu, który występuje na okładce lakonicznie, nawet bez imienia. Ma tylko jedną kwalifikację: doskonałość. Powieść Witolda Gombrowicza ukazała się u Julliarda, w kolekcji *Les Lettres Nouvelles*. Przekład francuski utoruje więc drogę *Ferdydurke* na Zachodzie. Zainteresowało się nim już bardzo ruchliwe włoskie wydawnictwo Einaudi.

Trzeba powiedzieć, że *Ferdydurke* rozpoczyna swoje życie światowe w doskonałej dla siebie chwili. Ma już drogę utorowaną i audytorium przygotowane. Dzieła i prądy literackie, które przez minione dwadzieścia lat rozkwitły czy też, jak kto woli, rozbuchały się na Zachodzie, oswoiły nawet szeroką publiczność z tymi wartościami formalnymi i myślowymi (co zawsze na jedno wychodzi, gdyż nie ma nowości myśli bez nowości formy), które *Ferdydurke* wyraża. Gombrowiczowi ujmy to nie przynosi, prekursorstwa go nie pozbawia, a książce drogę toruje.

Nowość, wbrew temu, co się zwykło sądzić, nie jest nigdy dobrą rekomendacją. Publiczność czytająca na całym świecie, tak samo nad Wisłą jak nad Sekwaną, nie lubi niespodzianek, które wystawiają na próbę jej gust i rozeznanie. W książkach szuka przede wszystkim potwierdzenia swojej urobionej już estetyki. Książki nowe, wnoszące ferment myślowy i propozycje formalne, mają zawsze żywot trudny. W każdej chwili (współczesności i dziejów) można przytoczyć na to sto przykładów. Szeroka publiczność zawsze i wszędzie należy do epigonów. Nowatorzy mają za to na pociechę kapliczki i kaplice.

Wszystkie, dzisiaj już powszechnie uznane i rozsławione odkrycia literatury współczesnej przeszły przez kaplice. Miał swoją kaplicę Kafka, miał swoją Joyce, miał swoją Faulkner; były kaplice Saint-John Perse'a, Michaux, nadrealistów; jest kaplica Ponge'a. Te i tamte kaplice to ustawiczny przedmiot drwiny i ataków. Aż do wyczerpania, aż do nowego kozła ofiarnego złożonego na ołtarzyku wszystkich świętych zrozumialstwa i tradycjonalizmu. Aż wreszcie drwiny i ataki słabną, maleją, cichną. Dokoła zjawiska ośmieszonego i sponiewieranego rozlega się błogosławione milczenie, namiastka czystego

sumienia. Zdrowy rozsądek ma rację. Stary gust może spokojnie odetchnąć.

Pamiętamy wrzawę, a potem kilkunastoletnie milczenie wokół Kafki, także wokół Joyce'a. Tylko gdzieś w podziemiach, w katakumbach literatury, odprawiało się nabożeństwo. Ono jest już tolerowane jako dziwactwo niegroźne, bez żadnego społecznego znaczenia, snobistyczny rytuał, na który już piorunować nie warto. I wtedy, bywa, dzieje się cud.

Z podziemi, z katakumb, nie wiadomo jak, kiedy, przedostają się na powierzchnię literatury odgłosy, echa, zrazu szeptane, potem coraz głośniejsze, wyraźniejsze, przechodzące we wrzawę. I pękają mury. Ściany kapliczki czy kaplicy rozszerzają się, obejmują tłumek, tłum, społeczeństwo, naród, wiele narodów. Szeroka publiczność, niewrażliwa na wartości, kiedy były nowością, przejmuje je teraz, wchłania, powtarza, uznaje za swoje i według nich formuje swoje rozeznanie i gust estetyczny.

Nie wszystkie kaplice, rzecz prosta, taki los, los zwycięstwa czeka. Ale już tych kilkanaście tryumfów, kilkanaście exodów z ciemności i przekleństwa powinno być dostatecznym argumentem przeciwko programom lekceważenia wartości nowatorskich, trudnych, nie od razu dostępnych szerokim kręgom odbiorców. Nasi politycy upowszechniania i nasi ideolodzy epigoństwa, którzy — mimo pozornych różnic — tworzą wspólny front przeciwko literaturze odkrywczej, awangardowej, zdobywczej formalnie, powinni chyba, chociażby na własny użytek, przemyśleć cząsteczkę sprawy: program upowszechniania (oczywiście konieczny, i to w jak najszerszym zakresie) to jedno, a rozwój literatury to drugie. Jedno nie powinno, nie może przeszkadzać drugiemu. Ideologia zrozumialstwa nie załatwi wszystkiego. Bez awangardy, tych drożdży myśli, nie ma rozwoju literatury, a więc nie ma życia umysłowego. Literatura dostępna od pierwszego spojrzenia może odegrać wiele wyznaczonych jej ról. Nie może jednak odegrać roli głównej: nie posunie naprzód samej literatury.

To są refleksje po lekturze francuskiego przekładu *Ferdydurke*. Książka awangardowa, a więc postępowa w najistotniejszym sensie literatury, książka trudna, po dwudziestu latach rozpoczyna życie nowe, poza kaplicą. U nas, w kraju — klasycznym, opisanym wyżej trybem, po etapach skandalu, drwiny i milczenia, mury kaplicy *Ferdydurke* runęły. Powieść Gombrowicza wznowiona po Październiku stała się dla polskiej inteligencji czymś więcej niż dziełem literackim, stała się kluczem do narodowych kompleksów. Gombrowiczowskie gęba i pupa uchodzą za symbole mitologii moralnej, obyczajowej, społecznej...

Jak jednak gombrowiczowskie niedojrzałość i niemożność, jak kompleksy Młodziaka i Pimko, symbolika gęby i pupy wypadną na tle europejskich kompleksów i symbolik? Jak ta najbardziej chyba polska książka z całej polskiej literatury współczesnej, książka epatująca polskością w najbardziej skrajnym, prowincjonalnym aspekcie, nabrzmiała jednostkowym i narodowym kompleksem niższości, będąca próbą rehabilitacji i mitologicznego przezwyciężenia tego kompleksu, znajdzie drogę do Europy?

Znakomity wstęp, który do francuskiego wydania *Ferdydurke* napisał K. A. Jeleński, odkrywa Francuzom, ale nie tylko Francuzom, nam także, te wartości książki Gombrowicza, które — aż dziw bierze — dotychczas uszły uwagi. Czytaliśmy więc *Ferdydurke* w jednym tylko wymiarze. Pupę i gębę braliśmy zbyt dosłownie, zbyt prowincjonalnie i zbyt narodowo, Sandauer, który na schemacie *Ferdydurke* jak na bleitramie rozpiął całą problematykę literacką, całe — ale tylko — życie duchowe polskiej inteligencji, jest skrajnym przykładem tego zawężenia, sprowadzenia książki Gombrowicza do roli klucza, szyfru, a więc roli bardzo jednostronnej. Tymczasem *Ferdydurke* jest bardzo mocno osadzony w kompleksach Europy, jest nawet — jak przekonywająco uzasadnia K. A. Jeleński — prekursorski wobec form, które te kompleksy przybrały. Ściślej — *Ferdydurke* jest prekursorski wobec panującej dzisiaj na Zachodzie europejskim ideologii: egzystencjalizmu.

Jeleński niedojrzałość postaci Gombrowiczowskich widzi w wymiarze jednostkowym — moralnym i społecznym — ogólnym. Ta niedojrzałość jest według niego rezultatem zaszczepienia na świadomości jednostkowej symboliki mitów społecznych.

„Czy *Ferdydurke* jest więc powieścią? — pyta Jeleński. — Wydaje mi się, że jest raczej ankietą egzystencjalistyczną zrealizowaną *avant la lettre*...

Jak Sartre, Gombrowicz pięć lat przed powstaniem *L'être et le Néant* akcent ważności kładzie na chwilę, na potencjalną możliwość zmiany pozycji, zajęcia pozycji nowej w obliczu przeszłości, która, ona tylko, jest niezmienna. Znalazłem w *L'être et le Néant* ustępy, które są jak gdyby abstrakcyjną definicją pewnych zasadniczych wątków Gombrowicza. Np.: »Każdy mój akt, czyn wymierzony przeciwko komuś innemu może przez tego kogoś innego zostać wyzyskany przeciwko mnie«. (Dwa pojedynki: Miętusa i Syfona, Filidora i anty-Filidora.) Albo słynne zdanie ze sztuki *Przy drzwiach zamkniętych:* »Piekło to inni« — mogłoby służyć jako motto dla *Ferdydurke.* Gombrowicz często jest zadziwiającym prekursorem. Czyż przed Blanchotem i Barthèsem nie stwierdził jałowości wszelkiego przedsięwzięcia czysto literackiego?".

Nikt przed K. A. Jeleńskim tej strony *Ferdydurke,* jego strony egzystencjalistycznej nie odczytał. A ta strona właśnie ma najszersze perspektywy.

Ferdydurke trafi na Zachodzie na grunt dobrze przygotowany. Obfita literatura egzystencjalistyczna i paraegzystencjalistyczna spopularyzowała szeroko problematykę kompleksów i same kompleksy socjopsychologiczne. *Ferdydurke* ma szanse swoim autentycznym prekursorstwem, swoją autentyczną nowością na szczęśliwie przygotowanym terenie zakwitnąć i zaowocować. Kto wie, czy jeszcze raz nie powróci do nas, do kraju, z całym ujawnionym już bogactwem swojej problematyki i nie zaaplikuje nam kawału prowincjonalizmu w europejskiej skali. Będziemy czytali wtedy *Ferdydurke* jako dokument prowincjonalizmu filozoficznego w europejskiej aureoli. *Ferdydurke* ma więc szanse jeszcze jednego odczytania. A niewiele książek ma szczęście przejść przez tyle lektur, z których każda jest odkryciem.

zb

LISTY NIEMIECKICH PISARZY

Zarówno prasa zachodnich Niemiec, jak i edycje wydawnictw ponownie zwróciły uwagę na wciąż aktualny problem opracowania korespondencji trzech wybitnych pisarzy: Tomasza Manna, jego brata Henryka i Franza Kafki.

Niedawno firma Hauswedell w Hamburgu zapowiedziała aukcję listów i druków, która wzbudziła zainteresowanie w całym świecie. Katalog firmy przewiduje między innymi wystawienie na licytację 328 listów Henryka Manna zawierających intymne wynurzenia i wypowiedzi na tematy literackie. Ponadto przedmiotem sprzedaży będzie również duża ilość listów jego wydawców; wynika z nich, że Henryk Mann, pomimo swojej poczytności, często borykał się z trudnościami finansowymi, którym nie mógł zresztą podołać do ostatnich chwil swego życia. Aukcja obejmie także 52 listy Tomasza Manna, w których autor porusza swój stosunek do narodu niemieckiego, snuje rozważania o Nietzschem, pisze o swej powieści *Doktor Faustus* i zagadnieniach swojej twórczości. Jeden z listów zawiera wiadomość o samobójstwie Loli Möhr, z domu Mann, siostry obu pisarzy.

Stoimy w obliczu skandalu — tak zatytułował Willy Haas artykuł napisany z okazji wspomnianej aukcji. Redaktor słynnej *Die Literarische Welt,* z którą w czasach republiki weimarskiej współpracowali obaj Mannowie, bije na alarm, ostrzegając przed groźbą rozproszenia korespondencji wielkich prozaików. Haas przypomina, że nie jest to pierwszy skandal w historii niemieckiej puścizny literackiej i artystycznej. Pośmiertna teka Nietzschego dostała się w ręce jego siostry, która według swojego widzimisię redagowała i fałszowała nie opublikowane prace brata. Dziwne koleje przechodziła puścizna Ryszarda Wagnera. Bezcenne partytury dostały się w darze Ludwikowi II bawarskiemu. Dom Wittelsbachów sprzedał je za fantastyczną cenę 800 000 marek grupie niemieckich przemysłowców, którzy podarowali je Hitlerowi. Odtąd partytury znikły bez śladu. Obecnie, jeśli listów braci Mannów nie wykupi jakaś państwowa instytucja biblioteczna lub muzealna — na co się zresztą nie zanosi — ich dalsze losy staną pod znakiem zapytania.

Sprawa ta rzuca światło na opracowanie wyboru listów obu prozaików. Tomasz Mann prowadził przez całe życie ożywioną korespondencję i fachowcy obliczają ilość jego listów na kilkanaście tysięcy. Większość z nich jest rozproszona w prywatnych rękach, część zaginęła, a reszta znajduje się w posiadaniu rodziny i amerykańskich uniwer-

sytetów. W Europie najzasobniejsze zbiory mają: Wyższa Szkoła Techniczna w Zurychu oraz Archiwum Tomasza Manna przy Akademii Nauk w Berlinie (NRD). Zebranie i uporządkowanie tego materiału napotyka często duże przeszkody i wymagać będzie zapewne dużo czasu. Nieco lepiej mają się rzeczy, jeśli idzie o listy Henryka Manna. Autor *Henryka IV* nie pozostawił testamentu, tak że uniwersalną spadkobierczynią puścizny została jego córka mieszkająca w Czechosłowacji. Przekazała ona listy ojca Akademii Nauk w Berlinie, jednakże wiele z nich pozostaje nadal w prywatnych rękach. I tutaj więc piętrzą się trudności, które niewątpliwie opóźnią edycję korespondencji.

Inaczej przedstawia się sprawa z listami Kafki. Jego korespondencja nie jest tak obfita jak u Mannów, o wiele mniejsza jest także ilość osób, z którymi autor *Procesu* utrzymywał listowne kontakty. Listy Kafki stanowią natomiast bezcenny materiał, nieodzowny do zrozumienia jego dzieł, gdyż często jego intymne wynurzenia potrącają o najbardziej ukryte struny twórczości pełnej zagadek i sprzeczności. Tutaj każdy utracony list, każde zagubione słowo powoduje niepowetowane straty.

Puścizną Franza Kafki dysponuje od chwili jego śmierci Maks Brod, zamieszkały stale w Izraelu, obecnie poseł tego państwa w Wiedniu. Maks Brod posiada wszystkie rękopisy Kafki oraz dużą ilość listów, ale spora ich część spoczywa nadal w szufladach prywatnych, niektóre zaginęły.

Z intymnych pism Kafki zostały dotychczas ogłoszone: *Dzienniki, Listy do Mileny* oraz *List do ojca. Listy do Mileny* obejmują dwuletnią korespondencję Kafki z Mileną Jesenską, trwającą od roku 1920 do 1922. Kafka poznał Milenę, która pochodziła ze starej patrycjuszowskiej rodziny w Pradze, jako tłumaczkę swoich opowiadań na język czeski. Ta znajomość niebawem przerodziła się w głęboką miłość. Milena mieszkała wówczas w Wiedniu i była żoną pisarza Oskara Pollaka. Listy do Mileny, wydane przez Willy Haasa, rozpoczynają się korespondencją z Meranu, gdzie Kafka się leczył, i kończą pismami adresowanymi z Pragi. Kafka zerwał z Mileną w roku 1922. Jesenska przeżyła go o dwadzieścia lat. W roku 1940 została osadzona w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück, gdzie zmarła 17 maja 1944 r. po operacji nerek, na 23 dni przed oswobodzeniem więźniów.

Listy do Mileny mają, niestety, liczne skazy. Niektóre pisma Kafki do Jesenskiej zaginęły i ta luka nie da się już więcej wypełnić. To, co ocalało, Milena podarowała wiosną 1939 roku Haasowi w Pradze. W tymże roku musiał on emigrować z Czechosłowacji, jednakże listy Kafki pozostały w Pradze i przechowały się, na szczęście, u jego krewnych. Niektóre słowa w listach do Mileny zostały przekreślone przez samego Kafkę, ale i wiele zdań adresatka zamazała atramentem. Oba rodzaje skreśleń będzie można w przyszłości odczytać po odpowiednich zabiegach chemicznych i rentgenologicznych. Poza tym Haas usunął niektóre ustępy „ze względu na żyjące jeszcze osoby". Dużym mankamentem jest wreszcie brak listów Jesenskiej do Kafki.

Nie mniej ciekawa jest historia *Listu do ojca*. To pismo, liczące w pełnej redakcji ponad sześćdziesiąt stron druku i formułujące tragiczny konflikt pisarza z jego ojcem, Kafka wysłał w listopadzie 1919 roku z prowincjonalnego miasta czeskiego na ręce matki z prośbą, by przekazała je panu Hermannowi Kafce. List nie dotarł nigdy do adresata, bowiem matka nie chciała zaostrzać rodzinnego sporu. Po śmierci autora list, pisany na maszynie (poprawki nadawca poczynił piórem), dostał się w posiadanie Maksa Broda, który przez długi czas nie mógł się zdecydować na jego opublikowanie. Dopiero w roku 1952 ukazał się pełny tekst listu w *Frankfurter Hefte*.

Ostatnie lata wydobyły na jaw szereg listów Kafki, które publikowano sporadycznie w czasopismach literackich Niemiec zachodnich. Do ciekawszych znalezisk należy około 30 listów i dokumentów wydobytych z archiwum dawnego „Zakładu ubezpieczeń od wypadków przy pracy dla Królestwa Czeskiego w Pradze", gdzie pisarz pracował wiele lat jako urzędnik. Piętnaście z nich ogłosił Klaus Hermsdorf w *Sinn und Form* (NRD), zaopatrując je w dłuższy komentarz. Są tam: podanie Kafki o przyjęcie do pracy w zakładzie, prośby o podwyższenie pensji, usprawiedliwienia nieobecności spowodowanej chorobą, prośby o urlop zdrowotny itp.

Korespondencja z władzami zakładu ma duże znaczenie dla badaczy prozy Kafki, gdyż pomnaża dowody podkreślające urzędowy, „protokolarny" styl wielu ustępów *Procesu* i *Zamku*, kopiujący często oficjalne pisma i okólniki biurowe.

Jesień 1958 roku przyniosła wreszcie największe wydarzenie: z dawna oczekiwany tom listów Kafki, wydany przez firmę S. Fischer we Frankfurcie nad Menem (*Briefe 1902—1924*). Tom zredagowali i opracowali Maks Brod i młody badacz Kafki, Klaus Wagenbach. Tak więc w 34 lata po śmierci pisarza ukazał się po raz pierwszy duży wybór jego listów, który zaciekawi zapewne nie tylko krytyków literackich, lecz także miłośników twórczości autora *Zamku*. Do tej fascynującej książki powrócimy w przyszłości, gdyż wymaga ona obszernego omówienia. Dzisiaj ograniczymy się tylko do uwagi, że wybór ten, podobnie jak wszystkie do dzisiaj drukowane dzieła Kafki, nie ma cech krytycznej edycji. Dotychczas teksty Kafki są przedmiotem sporów badaczy, tym bardziej że redakcja Maksa Broda nasuwa wiele wątpliwości, zarówno w układzie materiału, w chronologii niektórych rozdziałów powieściowych, jak i w korekturach. Brod często poprawiał rękopisy zmarłego przyjaciela, nie poprzestając na korygowaniu oczywistych lapsusów *linguae et calami*, lecz ingerował także w styl, zmieniał interpunkcję, poprawiał zwroty, które jego zdaniem miały naleciałości praskiej niemczyzny (tak zwane pragizmy) itp. Pomimo tych uchybień tom listów Kafki niewątpliwie wzbogaci niepomiernie wiedzę o życiu i twórczości autora, którego przez wiele lat otaczała sfera zagadki i niedomówień.

rk

NIEMAL JĘZYKIEM ALCESTA

27 listopada odbyła się w Paryżu publiczna licytacja trzydziestu nie wydanych jeszcze listów markizy de Pompadour. Można się zdumiewać — i nawet oburzać — że te ważne dokumenty historyczne nie zostały zabezpieczone w archiwum narodowym, że się je wystawia na sprzedaż — zamiast powierzyć opiece i badaniom historyków.

Fragmenty tych listów, jakie przytacza prasa francuska, pozwalają wyciągnąć wnioski dotyczące inteligencji i zainteresowań sławnej markizy. Już Sainte-Beuve mówił, że była ona „godna uwielbienia" i „nie tylko uchodziła za najpiękniejszą kobietę Paryża, ale i najdowcipniejszą, najelegantszą, ozdobioną wielu talentami". Zdaje się, że używała swych wpływów dla dobra mecenatu artystycznego. Listy pani Pompadour potwierdzają tę opinię. Pisała je w latach 1749—1751 do swego młodszego brata, mianowanego w dwudziestym roku życia „generalnym dyrektorem i ordynatorem budynków królewskich". Zanim jednak objął te funkcje, pani de Pompadour wysłała go na dwuletnią naukę artystyczną do Włoch, celem kształcenia smaku. Dodała mu wybornych przewodników: architekta Soufflot (którego pamięć czci dziś w Quartier Latin jedna z malowniczych ulic), drzeworytnika Ch. Nicolas Cochina i krytyka artystycznego, Le Blanc. Markiza nie omieszkała dać ponadto braciszkowi szeregu lekcji pisemnych, stanowiących przedmiot korespondencji: mówi tu o uprzejmości i dyskrecji, o życzliwości i łagodności wobec ludzi, o własnym doświadczeniu życiowym, nabytym mimo młodziutkiego wieku, o konieczności ukrywania niektórych swych myśli i niebezpieczeństwie szczerości (jakaż nauka dla nas, krytyków teatralnych!), o prawdopodobnej cenzurze, jakiej podlegają listy braciszka ze strony włoskich władz, o przedstawieniu amatorskim *Alzyry*, w którym uczestniczyła nie bez sukcesu. Gdy Voltaire został szambelanem króla pruskiego, pani de Pompadour donosi, iż wystarała się o następstwo dla Duclosa. A więc było to kumoterstwo w dobrym znaczeniu tego słowa.

W jednym z listów wspomina pani Pompadour ostrożnie o egzekucji więźniów politycznych i o tym, „że lud wołał o łaskę oraz uciekł z miejsca kaźni". Nie brak nawet melancholijnej uwagi, że „tylko szczęście przestawania z Królem pociesza mnie po złośliwościach, płaskościach, plotkach i małościach, do jakich zdolni są ludzie. Oto piękny materiał do rozmyślań, szczególnie dla kogoś tak skłonnego do refleksji — jak ja". Pani de Pompadour przemawia w tym liście — niemal językiem Molierowskiego Alcesta!

W. N.

DLACZEGO NIE PROTESTUJĄ?

Zarząd francuskiego Związku Literatów — sławnej, założonej kiedyś z inicjatywy Balzaka, Société des Gens de Lettres — uchwalił rezolucję, dotyczącą tzw. „nie bronionych już przez prawo autorskie", tj. dawno zmarłych wielkich autorów. Chodzi o to, że „powieściopisarze tej miary, co Stendhal, Flaubert i Balzac, są nieustannie grabieni i zniekształcani przez filmowych scenarzystów pozbawionych cienia talentu, a działających w celach wyłącznie handlowych". Rezolucja zwraca się równocześnie z apelem do krytyków filmowych całego świata, by pomagali swymi ostrymi a rzeczowymi uwagami w zwalczaniu takiego zniekształcania.

Warto ten apel przytoczyć, skoro i do nas docierają niezgrabne adaptacje arcydzieł (i to nie tylko drogą filmu — wspomnijmy sprawę *Baryłeczki*). Lecz warto również zacytować uwagi, jakimi ów apel zaopatrzył jeden z najpoważniejszych paryskich tygodników kulturalnych *Les Nouvelles Littéraires*. Chodzi o korsarstwo wobec pisarzy współczesnych, całkowicie chronionych — a bynajmniej nie korzystających ze swego prawa do obrony. Na przykład bardzo interesująca powieść Roger Vaillanda *La Loi* została sfilmowana we Włoszech z Lollobrigidą w głównej roli. By uniknąć w tym kraju niepopularności, jaką mogłoby ściągnąć niezbyt pochlebne odmalowanie włoskiej obyczajowości, scenarzyści zdecydowali się przenieść akcję — na Korsykę. Ale Vailland nawet nie drgnął, dowiedziawszy się o takim zniekształceniu swego, przecież chronionego, dzieła!

Inna tego rodzaju afera, może jeszcze bardziej pikantna, to sprawa słynnej powieści Rogera Gary *Korzenie nieba (Les Racines du Ciel)*. Prasa francuska przyniosła wiadomość, że autor tego utworu doznał gorzkiego rozczarowania oglądając film zrobiony w Hollywood na podstawie jego powieści z Juliette Greco i Trevorem Hovardem. Wszystko na to wskazuje, że informacja nie była fałszywa. Roger Gary, mimo to, z łatwych do zrozumienia powodów ogłosił dementi. Tygodnik *Arts* zamieścił ilustrację z filmu, malującą jego atmosferę, a pod nią ironiczny napis: „Gary się nie odezwał!".

Bohaterem trzeciej sprawy był autor sławy światowej, Erskine Caldwell. Współpracowniczka *Les Nouvelles Littéraires*, Vera Volmane, otwarcie zadała Caldwellowi pytanie, czy jest zadowolony ze smutnej szmiry, w jaką się obróciła filmowa adaptacja *Poletka Pana Boga*. Caldwell oświadczył z uśmiechem — że nie ma żadnych zastrzeżeń.

Zdaniem *Les Nouvelles Littéraires* także i Saganka powinna była zaprotestować przeciw „smutnemu losowi, jaki filmowcy zgotowali adaptacjom jej dwóch powieści". Oczywiście jest to już jednak sprawa odmienna, gdyż poziom i gatunek *Żegnaj smutku* i *Pewnego uśmiechu* nie dadzą się porównać z wartością powieści Caldwella, Vaillanda czy nawet Rogera Gary. Można to samo powiedzieć o Marcel Achardzie, który wedle tygodnika *Arts* zgodził się na niewesołe kombinacje z amerykańską adaptacją swej sztuki *Patate*.

Nie wolno, naturalnie, generalizować faktów powyższych i wysnuwać wniosków, że los artystyczny własnych utworów jest obojętny dla większości wybitnych pisarzy współczesnych. Jest rzeczą pewną, że niejeden z nich byłby gotów, jak Franciszek Kafka, raczej kazać spalić swe rękopisy niż oddać je w niepowołane ręce. (Mam na myśli Wildera, Faulknera, Mauriaca, Duhamela, Camusa.) Niemniej jednak warto tu podnieść, że paradoksalnym zbiegiem okoliczności dzieła klasyczne są przedmiotem gorętszej obrony — niż utwory niektórych współczesnych pisarzy, którzy wedle złośliwych słów paryskiego tygodnika „uważają, iż najsroższe rany zadane ich godności pisarskiej mogą być łatwo uleczone przy pomocy — odpowiedniej ilości milionów"!

W. N.

SPOŁECZNA PRACA PISARZA

Stanowisko „stałego sekretarza" (*Secrétaire Perpetuel*) Akademii Francuskiej zawakowało po śmierci 91-letniego, ale niezmiernie do końca czynnego Georges Lecomte'a. Jest to stanowisko zaszczytne — tylko że wymagające niemałej ofiarności. Stały sekretarz bierze udział we wszystkich sesjach i posiedzeniach, dotyczących Akademii Francuskiej, a także i innych akademii zrzeszonych w Instytucie; podlega mu cały personel Akademii; zarządza on

niemałymi dobrami, majątkami, fundacjami i kapitałami przeznaczonymi na kilkadziesiąt różnych nagród, nagromadzonych przez kilka wieków historii akademickiej; sekretarz musi podpisywać wszelkie akty dotyczące Akademii i przeglądać całą korespondencję; on czuwa nad wielkim Słownikiem Mowy Francuskiej, którego nowe wydania ukazują się mniej więcej co 30 lat, a nad którym Akademicy pracują stale, na czwartkowych swych posiedzeniach; sekretarz przewodniczy z reguły komisji dla spraw Słownika.

Wszystko to odrywa od pracy literackiej, nie mówiąc już o wcale nie najlżejszych funkcjach „reprezentacyjnych", tj. obowiązkowej obecności na wielkich przyjęciach w Pałacu Elizejskim (u prezydenta republiki), w ministerstwach, na ratuszu czy w ambasadach. No i wreszcie ważną funkcją sekretarza jest uzgadnianie poglądów wewnątrz Akademii, uśmierzanie ostrych nieraz sporów, grożących poważnymi konsekwencjami. Sekretarzem Akademii musi być człowiek cierpliwy, beznamiętny, spokojny, utrzymujący dobre stosunki ze wszystkimi kolegami.

Idealnym kandydatem na to stanowisko okazał się Maurice Genevoix. Stały sekretarz ma tylko dwa przywileje. Pierwszy z nich — to pensja, wynosząca 20.000 franków, tj. około 1200 złotych. Rzecz jasna, iż suma ta nie pozostaje w żadnym stosunku do straconych możliwości zarobkowania literackiego.

Drugim przywilejem jest możność korzystania z apartamentu w gmachu Instytutu, nad Sekwaną. To już korzyść poważniejsza, gdyż mieszkania są obecnie w Paryżu taką samą rzadkością, jak u nas, przy czym ceny dochodzą do sum fantastycznych (w samym Paryżu mieszka podobno pół miliona stałych mieszkańców — w hotelach!).

Genevoix otrzymał wszystkie głosy, z wyjątkiem dwóch, które padły na byłego ambasadora, a potem francuskiego komisarza w Niemczech, André François Ponceta — oraz jednej kartki białej, oddanej przez samego Genevoix. „Nieśmiertelnie stałemu" włożono na głowę cierniową koronę sekretarską! Oczywiście w te ciernie wplecione są misternie różyczki przynajmniej salonowego blichtru.

W. N.

BESTSELLER

Jak było do przewidzenia, wydane przez „Wiedzę Powszechną" w serii „Myśli złote i srebrne" sentencje i aforyzmy z literatur greckiej i rzymskiej pt. *Hellada i Roma* w mgnieniu oka stały się bestsellerem. Jak było do przewidzenia, gdyż na myśli, a zwłaszcza na złote (i srebrne) myśli zapotrzebowanie zawsze jest olbrzymie. Wybór myśli bez względu na jego zakres to antologia najsensowniejsza ze wszystkich możliwych. Taki wybór zawsze jest doskonały. Ta doskonałość z założenia nie pomniejsza oczywiście zasługi autora wyboru, jedynie przydaje jego pracy sensu. Bo przecież wszystkie inne antologie są z góry skazane na niedoskonałość. Antologie poetyckie np. One odbijają przede wszystkim poglądy estetyczne układającego, którego indywidualność (np. Borowego) bardzo wiele waży, bywa nawet, że waży więcej niż wartości ,którym ma służyć. Z myślami nie ma tego kłopotu, co z wierszami. Każda jest piękna jak forma sama. Każda tak lśni, jak znaczy. (Nie dziwota, że najwyższym zamiarem poezji jest filozofia.)

Myśl nie lęka się więc wyboru. Oczywiście wybierający swoje piętno na niej także położy. Irenie Krońskiej, autorce wyboru *Hellada i Roma*, światopogląd kazał uprzywilejować złote (i srebrne) myśli materializmu starożytnych. Odbiło się to np. w nadmiarze Lukrecjusza, którego cytaty — być może z powodu przekładu poetyckiego, niedostatecznie zdynamizowanego — nie zawsze nawet mają charakter aforyzmów. Ale czy — ostatecznie — można mówić o nadmiarze myśli i o nadmiarze myśliciela? Autor wyboru *Hellada i Roma* mógł, miał prawo kierować się swoimi upodobaniami, miłościami, gdyż w dziedzinie myśli miłość, nawet fanatyczna, nigdy nie jest zabójcza, chociaż zaraźliwa bywa zawsze. Zarażajmy się więc, to chroni przed bezmyślnością, pomyślało już sobie około 10.000 ludzi w Polsce, bo takiej wysokości był nakład książeczki rozchwytywanej, jak to się mówi, w mgnieniu oka. Brawo, ludzie w Polsce!

Krzepiąca to lektura — myśli. Szczególnie po naczytaniu się sterty bezmyślności literackich i publicystycznych otwiera się *Helladę i Romę* z uczuciem pewności, że każda stroniczka

przyniesie 4-5-6 autentycznych myśli. Cztery, pięć, sześć, bagatela!

Myśl, rzecz rzadka, rzecz najrzadsza. Przypomina się riposta Einsteina (zrelacjonowana w monografii Antoniny Vallentin), który na pytanie Pawła Valéry, jaką ma technikę pracy, czy pomysły swoje notuje w notatniku na gorąco, czy też dopiero wieczorem przy biurku, odpowiedział: „Co tu notować? Myśli się ma tak rzadko, że się je pamięta!".

Czytając więc *Helladę i Romę* miejmy to także na uwadze: każda myśl to część życia, a często także strona świata. Tylko fałszywe myśli rodzą się na kolanie. Złote i srebrne nie. Ta np. myśl Marka Aurelego, tak jasna, że aż przezroczysta, powstała nie tylko po to, by błyszczeć swoim złotem i srebrem, po to także, by dać do myślenia:

„Nie może się człowiekowi przygodzić nic, co nie jest ludzką przygodą. A wołu — co nie jest losem wołu, a winnej latorośli, co nie jest losem winnej latorośli, a kamieniowi — co nie jest właściwe kamieniowi. Jeżeli więc każdego spotyka to, co jest zwykłe i naturalne, czemuż byś się miał czuć niezadowolony? Wszakże natura nie przynosi nic niemożliwego do zniesienia."

Hellada i Roma została wydana bardzo starannie. Wydawnictwo nie zepsuło starannej i pięknej pracy autora, któremu zawdzięczamy nie tylko wybór, lecz także pełną erudycji, wnikliwą i inteligentną przedmowę. Amatorów filologii czeka jeszcze jedna radość. Wszystkie złote i srebrne myśli podane są dwujęzycznie, po grecku (lub łacinie) i w polskim przekładzie. Jest to przykład kultury upowszechnienia. Upowszechnienie kultury nie musi się koniecznie odbywać na poziomie pogróżek, może się też odbywać na poziomie najwyższym.

b

WŁAŚCIWE ANALOGIE

Ukazanie się (zapewne już w przyszłym roku) *Doktora Faustusa* Tomasza Manna będzie miało niewątpliwie rewolucyjne znaczenie dla naszego życia umysłowego. Nie mam w tej chwili na myśli wielkiej wartości artystycznej tego dzieła. Chodzi mi o problematykę muzyczną, która to dzieło nasyca. Nie docenia się bowiem u nas tej problematyki, jej ogólnoartystycznego znaczenia.

W dyskusjach o poezji, o prozie, w dyskusjach ogólnoartystycznych przewija się, ilustruje, przytłacza stale jedna tylko analogia: malarska. Nasza publicystyka artystyczna jest pod tym względem wyjątkowo jednostronna. Analogie z malarstwem, z plastyką w ogóle stały się, co tu ukrywać, przysłowiową kłodą u nóg. Właśnie! Z prostego powodu: w plastyce i naszej, i światowej panuje stagnacja. Wieczne odwoływanie się w metaforycznych skrótach do kubizmu czy fauvizmu, do abstrakcjonizmu ogólnie biorąc czy unizmu w szczególności nie otwiera perspektyw, ale je zamyka, zamurowuje. Jest to szczególnie wyraźne i dotkliwe w dyskusjach o poezji, gdzie analogie z malarstwem są tradycyjne, niemal odwieczne. Nic więc dziwnego, że za stagnacją w malarstwie postępuje stagnacja w poezji. Poezja od dawna już przestała pełnić funkcje awangardy sztuki. Czyżby ją czekała dola jubilera, dola sztuki stosowanej? Tymczasem rozwój artystyczny, narodziny nowego, poszukiwania formalne, a więc antystagnacja, mało antystagnacja — wrzenie form i koncepcji, od lat już trwa w muzyce. Muzyka jest dzisiaj awangardowym centrum sztuki, ona jest laboratorium form. Jej odkrycia mają wartość ogólnoartystyczną. Muzyka jest dzisiaj natchnieniem nowego i przekleństwem starego w sztuce.

Świat, szeroki świat z lewa i z prawa ma już świadomość rewolucyjności współczesnej muzyki. Przecież właśnie muzyka od lat powiedzmy dziesięciu jest przedmiotem ataku i represji dogmatyzmów. Pierwsze uderzenie w nową sztukę (1948) miało miejsce na froncie muzyki właśnie. Ona, muzyka, jest aparatem Geigera mierzącym zbliżanie się do sztuki kataklizmów. Wystarczy śledzić u nas piękną eseistykę Zygmunta Mycielskiego, by zdać sobie sprawę z nacisków, z tej ustawicznej walki, towarzyszącej odkryciom formalnym nowej muzyki.

Kiedyś zajmę się bliżej tą problematyką. Tym bardziej że są już u nas publikacje, ciekawe i cenne, które dają podstawy do snucia analogii ogólnoartystycznych. Wymienię chociażby *Orfeusza na rozdrożu* Stefana Jarocińskiego i *Nową muzykę* Bogusława Schäffera. Teraz, na początek, chciał-

bym jedynie zwrócić uwagę na publikację popularną, encyklopedyczną, która może spełnić misję doraźną: ukazać rolę współczesnej muzyki w dzisiejszym świecie sztuki. Mam na myśli *Informator muzyki XX wieku* Bogusława Schäffera, niewielką książeczkę wydaną przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne.

Publikacja skromna, ale jakże cenna. Na 142 stronach zawiera leksykon kompozytorów XX wieku, małą encyklopedię pojęć muzycznych oraz bardzo jasny, czytelny szkic pt. *Nowe drogi muzyki współczesnej*. Tablice chronologiczne i indeksy uzupełniają tę publikację, spełniającą znakomicie swoją tytułową funkcję. Za szczególnie cenną w sensie popularyzatorskim uważam małą encyklopedię pojęć muzycznych, gdzie każdy, bodaj wstępujący dopiero w problematykę muzyki, znajdzie przejrzyste wyjaśnienie takich pojęć, jak seria, serialna muzyka itd. Dodam jeszcze, że dla przyszłych czytelników *Doktora Faustusa* nie obeznanych z problematyką muzyczną *Informator* Schäffera jest książeczką niezastąpioną. Znajdą tam bowiem i wykład teorii Arnolda Schönberga, i wyjaśnienie podstawowych pojęć dodekafonii.

Doktor Faustus dokona z pewnością przełomu. Za dwa, trzy lata nie Matisse'em, Picassem, Strzemińskim i Malewiczem będą teoretycy nowych form sztuki metaforycznie operowali i nie w plastyce będą szukali analogii. Schönberg, Webern i Nono tych analogii im dostarczą. Przełożenie akcentu uwagi z malarstwa na muzykę będzie miało zapewne jeszcze dalsze konsekwencje. Zaczną wreszcie teoretyzować powieściopisarze. Bo ich właśnie analogie z muzyką dotyczą głównie. Nie jest bowiem przypadkiem, że nowatorstwu muzyki w świecie towarzyszą awangardy i odkrycia powieści.

zb

JESZCZE W SPRAWIE „INTERLOKUCJI PAPIESKIEJ DO KRASZEWSKIEGO"

Szanowna Redakcjo!

Słuszność ma Hieronim Pawlicki w korespondencji do Redakcji *Twórczości* (1958 r., nr 10, str. 183) twierdząc, że Antoni Trepiński (autor rozprawki *Interlokucja papieska do Kraszewskiego*, zamieszczonej w *Twórczości*, w nr. 7 z 1958 r., str. 116 i n.) nie wykorzystawszy wszystkich dokumentów, odnoszących się do audiencji J. I. Kraszewskiego u papieża Piusa IX dnia 20 lipca 1858 r., a więc temu sto lat, „otworzył sobie szeroką furtkę do mitów — apodyktycznych uogólnień, pewny bezkrytycznej ich aprobaty ze strony czytelnika".

Trzeba mieć zaiste sporo odwagi czy też braku poczucia odpowiedzialności za słowa, żeby wiedząc, jak płodnym pisarzem był Kraszewski i jak trudnym z tego względu do ogarnięcia przez biografa czy krytyka, móc kategorycznie stawiać takie twierdzenia, jak to, że Kraszewski „nigdy w żadnym utworze przeznaczonym do druku ani w korespondencji nie napomknął konkretniej o przygodzie (tj. audiencji) z r. 1858, poza niedomówieniami, jak w liście do Podwysockiego, przyjaciela z Podola".

Hieronim Pawlicki dostarczył jednego dokumentu, listu względnie kopii listu Kraszewskiego z dn. 29 marca 1859 r., na dowód, że twierdzenie A. Trepińskiego nie jest zgodne z prawdą.

Ja przytoczę drugi, oryginalny, dokument, pióra samego pisarza, zawierający dokładny przebieg audiencji Kraszewskiego u papieża, której obraz byłby dokładniejszy, gdyby nie skreślenia, zapewne cenzury rosyjskiej, co w tekście zostało zaznaczone wielokropkami (4 razy).

Opis audiencji znalazłem w *Kartkach z podróży 1858—1864 r.*, napisanych przez J. I. Kraszewskiego, a wydanych w Warszawie nakładem Gustawa Sennewalda 1866 r. Na odwrotnej stronie karty tytułowej mieści się uwaga cenzora: „Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy. W Warszawie, dnia 3/15 Listopada 1864 roku, p.o. Cenzora J. A. Rogalski". *Kartki* zawierają na początku spis rzeczy w 17 punktach, następnie 487 stron tekstu właściwego, zaś na stronie 488 podanie miejsca druku: Lipsk. Drukiem Giesieckiego i Devrienta.

Przypuszczam, że egzemplarze *Kartek z podróży* znajdują się w większych bibliotekach polskich i niewykorzystanie tej możliwości stawia pod znakiem zapytania nie tylko dokładność pracy badacza, ale i jej główną tezę, że audiencja u papieża stanowiła przełom w życiu duchowym i twórczości Kraszewskiego.

Opuszczając obszerny wstęp autora, przedstawiający obraz wspaniałego wnętrza pałacu watykańskiego, zatrzymam się na samej audiencji (str. 370), przytaczając jej przebieg w transkrypcji oryginalnej. Nie wydaje się, aby opis ten, bezpośredni przecież wyraz myśli i uczuć Kraszewskiego po audiencji, chłodny i zrównoważony, dawał podstawę do wniosku, że nastąpił wstrząs duchowy w pisarzu, przeciwnie, raczej odzywa się tu spora doza krytycyzmu autora wobec wypowiedzi papieża, właściwa ludziom pióra, nawet takim,

którzy prowadzili tryb życia mniej czynny niż Kraszewski i rzadziej zagłębiali się w świat myśli i uczuć własnych i cudzych.

Oto tekst:

„Pius IX siedział na małem podwyższeniu, na którem był fotel i biuro do pisania, albo raczej stół wielki: cały ubrany biało... z twarzą łagodną, ale zarazem energicznego wyrazu... Czerstwy był, oblicza spokojnego i nie wyglądał na więcej nad lat sześćdziesiąt, włosy miał siwe, twarz dość rumianną, nieugięta wola malowała się w rysach pełnych szlachetności. Gdyśmy po trzykrotnem przyklęknieniu przybliżyli się, Ojciec Ś. kazał nam stanąć przed sobą, a że widocznie był uprzedzony, kto jesteśmy, począł z każdym z osobna rozmowę, mylę się, każdego z osobna pytał i dawał nauki. Poznać z nich było można łatwo, iż mówił wedle skazówek i natchnienia tych, którzy objaśnili zawczasu Ojca Ś. o osobach mających mu być przedstawionemi. Nie wchodzim w to, o ile zdanie o nas było lub nie sprawiedliwem, przez usta Piusa IX mówiło przekonanie własnych ziomków, przyjęliśmy więc opartą na niem naukę jako pokarm duchowny w milczeniu. Kolej obeszła wszystkich, każdego Ojciec Ś. zapytywał, badał, pocieszał lub gromił, wedle wiadomości, jakie mu o kim z nas dostarczono. Mówił do nas po francusku... Na ostatek spytał, czy mamy co do podpisania, i począł podane formuły w różny sposób opatrywać swym podpisem, co chwilę jeszcze zabrało. Zatem dał znak do pożegnania, udzielając swe błogosławieństwo (!), rękę (!) do ucałowania i nogę (!)... Przyklękliśmy, dzwonek dał się słyszeć i drzwi gabinetu zamknęły się za nami. Jeden z nas tylko pozostał w pałacu, oczekując na błogosławione różańce. —“

Ultima ratio — veritas. W imię prawdy i konieczności poznania nie sfałszowanego obrazu życia wielkiego pisarza proszę o umieszczenie tej notatki w swoim periodyku.

Z wyrazami szacunku

Jan Harhala

W poprzednim numerze:

Kazimiera Iłłakowiczówna: Pastorałki — *Zofia Chądzyńska:* Rodzina — *Sławomir Kryska:* Statystyka. *** (Jestem z tobą...) — *Marian Promiński:* Wilk — *Georg Trakl:* Na wschodzie. Gródek. Zagłada. Noc zimowa (przełożył *Stanisław Jerzy Lec*) — *Leszek Elektorowicz:* Nawrócony — *Jerzy Zawieyski:* Spotkanie którego nie było — *Jerzy Kwiatkowski:* Janusowe oblicza natury — *Kazimierz Wyka:* Brulion Borowego — *Wojciech Natanson:* Sprawa Henryka Kleista — *Paweł Jasienica:* Wśród starożytności.

Książka miesiąca: *Zbigniew Bieńkowski:* U źródła poezji.

Wśród książek: *Anna Kamieńska:* Nowy tom Arnolda Słuckiego — *Włodzimierz Maciąg:* Z zagadnień psychiki konspiratorskiej — *Jan Józef Lipski:* Świątki, centaury i ludzie — *Janusz Sławiński:* Proza liryczna — *Henryk Bereza:* Marionetki przeciw sobie — *Wanda Leopold:* Pamiętnik czy powieść. Kobieca powieść — *Eustachy Czekalski:* Prześwietlone wspomnienia — *René Śliwowski:* Ilf i Pietrow.

Na widnokręgu: *Jarosław Iwaszkiewicz:* Upowszechnienie — *Andrzej Kijowski:* Przegląd prasy — *Wiktor Woroszylski:* Przeciw umasowieniu wyobraźni — *Krzysztof Pomian:* Marks w oczach jezuity — *Jan Prokop:* Georga Trakla podróż do piekieł — *René Śliwowski:* Z literackiej prasy radzieckiej — *Donata Zielińska:* Porządki we własnym domu — *Stefan Durski:* Mickiewicza „Poezje wybrane" — po angielsku — *ab:* Amerykański numer „New Statesman".

Noty

Korespondencja

Książki nadesłane

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Zbigniew Bieńkowski — O Faulknerze · Wacław Bojarski — Pożegnanie z mistrzem · Jean Douassot — Gana · Anna Kowalska — Safona · Stanisław Lem — Science Fiction · Leon Szwed — Ucieczka